









DZWON

LITERACKI

PISMO ZBIOROWE

**DZWON**

**LITERACKI.**

1848

*[Faint handwritten signatures and text]*

WARSZAWA

Wydawnictwo Literackie

WYDAWCA



# DZWON LITERACKI

PISMO ZBIOROWE.

ODDZIAŁ II.

TOM II.

*Wydawca*  
*Karol Maycher*

WARSZAWA.

W Drukarni Jana Jaworskiego,

przy ulicy Krakowskiej przedmieście w pałacu Stanisława hr. Potockiego  
wprost kościoła XX. Karmelitów n. 415.

—  
1853.

DZWIEN

LITERACKI

PISMO ZBIOROWE

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 18/30 Lipca 1852 r.

Starszy Cenzor,  
Radca Dworu, L. T. TRIPPLIN.



PI 548.

NOT

*[Handwritten signature]*



# **ŻYCIE JEDNEJ KOBIETY**

**OBRAZEK**

*przez Paulinę z L. Wilkońską.*

YTHUOR LHMOL HIOYK

1872

Printed and Published by J. W. Johnson

Widziałem duszę poety wielką  
Leżała u niebios proga,  
I była tylko rosy kropelką  
Przed oczami Boga.  
Widziałem duszę mędrca niepojętą,  
Leżącą u niebios proga,  
I była perłą na wpół rozciętą  
W oczach Boga.  
Lecz była dusza, dusza kobiety,  
Ta wieniec cierpień niosta u czoła,  
Była większą od duszy mędrca, i poety,  
Była tak wielką, jak dusza anioła!

J. I. KRASZEWSKI.

## I.

Błede nocy światło smutno się rozpostarło po gołych rżyskach i szarawych polach. Cichość panowała w około, wiatr tylko wschodnio-północny świszczął i szumiał mroźno. W kilku chatkach rozległej wioski dogorywającego ognia jeszcze nie przygaszono.

W domku, będącym w lepszym nieco stanie jak inne wieśniacze lepianki, paliła się świeca na stoli-

ku, przy którym młoda dziewczyna ręczną zajmowała się pracą. Twarz ślicznych rysów była zbledzona, niebieskie oczy zabrzękłe, ubiór, pomimo że czysty, staranny, świadczył o ubóstwie, dowodząc zarazem, że obecne zatrudnienie nie służy jej za rozrywkę. — Opoдал niej spoczywała na wygodném pościeliu kobieta średniego wieku — płomyk świecy, padający na jej twarz wskazywał, że niegdyś bardzo piękną była.

Sprzęty małej izdebki dziwną przedstawiały mieszanie dawnego blasku z dzisiejszym niedostatkiem jego mieszkańek: machoniowa kanapka z podartém adamaszkowém pokryciem, stała z odłamaną nogą, nad kominkiem, w którym ogień przygasił, ustawiono kilka pięknych ale spękałych kryształów; przy łóżku śpiącej, którą okrywała atlasowa ale mocno zużyta kołdra, wisiał popsuty zegarek misternej roboty; kobierzec podarty, niegdyś piękny i kosztowny, zaściełał gliną ubitą podłogę. I jeszcze jedno łóżko, ale proste, sosnowe, na niem jedna biała poduszka i stary kilimek, kilka połamanych krzesel, dwa stołki, i stół sosnowy stanowiły resztę.

Młoda dziewczyna pracowała z bezprzykładną pilnością, ocierając niekiedy łzy z oczu: skutek wieczornej pracy albo raczej smutku!

Psów szczekanie na wsi przerwało głuchą nocą ciszę, lica dziewczyny słaby powlókł rumieniec, spojrzała w okno — zbliżające się stąpanie i przytłumionym głosem wymówione wyrazy: „Wiernek do

nogi!" — żywszym zapłonieniem młode przykрасiły  
lica.

Zlekka stuknięto w szybę; dziewczyna powstała, i zwróciwszy się wprzód troskliwie ku śpiącej matce śpiesznie z izby wybiegła.

Przed domem czekał jej przybycia młody mężczyzna po myśliwsku ubrany: przewieszona na nim strzelba, mosiężna trąbka i ulubiony ogar, Wiernek, świadczyły, że dopiero co z łowów powracał. W milczeniu ujął rękę dziewczyny i przycisnął ją do ust.

— Dobry wieczór, Stanisławie! — i chciała z jego dłoni drżącą wycofnąć rękę.

— Ty masz żal do mnie, że tak późno przybywam! Ale daruj, nie mogłem wcześniej stanąć, polowaliśmy do szarej godziny.... Jesteś smutna, milczysz.... O nie karz mnie za to mimowolne spóźnienie się: ty masz żal do mnie.

— Nie mam żalu do ciebie i żadnego do ciebie żalu mieć nie mogę!... Ale Stanisławie — wymówiła wzruszonym głosem — Stanisławie, my się dziś po raz ostatni widzimy!

— Nie rozumiem ciebie! nie wiem co przez to chcesz wyrazić! — zawołał blednąc — chyba, że się serce twoje zmieniło! — dodał z silnym zadrzeniem głosu.

— Nie zmieniło się ono, ale ja woli mojej nie mam.... matka zabrania mi widywać się z tobą...

— Czyliż jej nieograniczona duma i próżność, nie dosyć jeszcze....

— Milez Stanisławie przez litość! ona jest matką moją!

— Niczém niehamowanym zbytkiem i rozrzutnością straciła zostawiony ci po ojcu majątek — mówił dalej, niezważając na błagalne wyrazy dziewczyny — i dzisiaj jeszcze ofiarę z siebie uczynić zamyśla.

— O milez, milez, mój drogi! córka niepowinna znać błędów matki swojej, nie powinna słyszeć o nich!

—.... I dzisiaj, kiedy ty dla niej dni i nocy pracujesz, kiedy....

— Wypełniam tylko powinność, świętą powinność dziecka.

— O, ja ciebie i wielbię to twoje uczucie dziecięce. Całą duszą pojmuję ten obowiązek cnotliwej córki — wyrzekł dziwném przejęty wzruszeniem — i czyliżbym łącznie z tobą nie chciał popracować, by jej wygody do których nawykła zapewnić, by jej resztę życia osłodzić? Pylék zdmuchiwałbym z przed jej stopy!... Powiedz Bronisławo, wszakżeż znosząc go pospołu, każdy trud życia lekkim nam tylko będzie ciężarem?

Dziewczyna łzawe spojrzenie zwróciła ku niebu i smutno poruszyła głowę.

— Ty powątpiewasz o tém?

— O nie, Stanisławie!... Przy tobie szczęście moje, zdala od ciebie łązy, i tylko łązy!... Serce się moje rozdziera ale... Stanisławie, matka moja pod

niebłogosławieństwem, przykazała mi wszelkie z tobą zerwać stosunki.

— Boże! mój Boże! I cóż jest tego powodem?

— Nie wiem... nie wiem!

— Duma, bezrozumna, przeklęta duma! Nasze nieszczęście zrzędziła, żeś się w pałacu zrodziła, że matka twoja ogląda się na ród swój, że dawniej świetności domu zapomnieć nie może, że dziś jeszcze do marnotraw....

— O nie mów nic złego o niej!

— Ależ ja mówię prawdę! Ona majątku, bogactw pragnie dla ciebie, by je z tobą podzielić mogła, i dla tego targa się na szczęście twoje, gdy ono w skromnym tylko domku leśniczego ma zakwitnąć. Roztrwonila majątek, teraz chce ciebie zaprzedać, by sobie....

— O Stanisławie! zawołała dziewczyna z wyrzutem, załamując ręce.

— Ona ciebie nigdy nie kochała, nigdy o twoje nie dbała szczęście!

— O milcz już, milcz, mój drogi! upadam pod ciosem każdego wyrazu twojego. Miej litość nademną, i nie rań mnie więcej. Ostani raz się widzimy: niechaj więc to widzenie zatrutem nie będzie.

Bronisława rękoma twarz zakryła, Stanisław z niemą rozpaczą uderzył dłonią w czoło i pełne bóleści nastąpiło milczenie. Po chwili zmienionym odezwał się głosem:

— I ty mówisz, że mnie kochasz Bronisławo?

— Bóg mnie słyszy!

— A więc nie bądź powolną rozkazom matki, dla tej miłości ku mnie! zawołał namiętnie i ujął w swoje dłonie zziębłe ręce dziewczyny — nie poświęcaj się ślepo jej zamysłom i przywidzeniom, jej wymaganiom bezrozumnym, i twoje szezęście będzie celem mojego życia, a matka twoja, moją będzie matką.

— Niepodobna, niepodobna! Ty nieznasz matki mojej... Ty jej nie znasz: ona jest nieugięta w woli swojej. Łzy moje, błagania, ... wlokłam się za nią na kolanach... to wszystko tylko więcej ją jątrzyło.

— O moja Bronisławo!

— Widzisz ile cierpię, nie przyczyniaj mi więcej boleści!... Rozstańmy się, to widać, że wyższa wola tak każe: Bóg nas doświadcza!... Bóg nas doświadcza, bo nas kocha, Stanisławie! wytrwajmy, mój drogi, wszakżeż to życie krótkiem tylko jest przejściem.... Ja z ufnością w wyższą opiekę spełnię tę ofiarę, i myśl, że nietylko *dla tej żyjemy* ziemi, doda mi odwagi do przetrwania wszystkiego. Ty zaś znajdziesz w świecie, który dla ciebie stoi otworem, lekarstwo....

— Nigdy! nigdy!

— Bronisiu! Bronisiu! dał się słyszeć głos matki.

— Żegnam cię, kochany! zawołała blednąc, ze łzami w głosie Bronisława — na zawsze!... Ale nie, nie, bo tutaj tylko!... Raz jeszcze błagam cię, miej litość nademną, nie przyczyniaj mi cierpień, nie



zwiększaj podwyższenia boleści, poświęcenia mego!... Och to życie bez ciebie... to męczarnia... życie krótką wędrówką... a wiekiem cierpienia!... O mój kochany!... Ty... stłumił się głos rozżalony, Stanisław ujął jej ręce, pochyliła się ku niemu, jak gdyby nadludzką przyciągnięta siłą; spoczęła z jękiem w jego objęciu.— On przycisnął łkającą do rozdartej żalem piersi i złożył pocałunek, lekki jak muszkieta wietrzyka, na bladym jej czole — pocałunek pierwszy i ostatni!

— Bronisiu! zawołała matka po raz drugi.

— Do widzenia się — tam! wyrzekła dziewczyna, i wskazała ku niebu.

-- Tam! tam! powtórzył Stanisław z rozpaczą.

Bronisława pobięła do matki; on spojrzał boleśnie za nią, potem dosiadł konia i pędem strzały, jak gdyby w tym gwałtownym locie zapomnienia lub śmierci szukał — bo wszakżeż i śmierć jest zapomnieniem! — puścił się ku lasowi.

— Gdzieżeś była, żem się ciebie dowołać nie mogła? — zapytała z gniewem matka, gdy Bronisława przed nią stanęła.— Cóżto? zapłakanaś?

— Pożegnałam na zawsze Stanisława! — zawołała dziewczyna, niezdolna żalu swojego dłużej tłumić, i z głośnym łkaniem przed matką na kolana upadła i obejmując ją rękoma, twarz łzami zalaną do niej tuliła, jak gdyby w tym uścisku, balsamu dla rozdartego serca szukała.

— No, to dobrze, dawnoś to powinna była zrobić — odpowiedziała matka, obojętna na żalność córki, i odepchnęła ją od siebie.

— Ah matko, ależ ja umieram!

— Nie umrzesz, przetrawi się to wszystko. Niegodna! i czyliż się nie rumienisz ze wstydu, że ty wnuczka starosty \*!... córka pana na Łętoszycach, pokochałaś jakiegoś tam służalca księcia \*\*?! Księcia \*\* na którego pokojach rodzice twoi pierwsze zajmowali miejsce, którego przodkowie w znakomitości rodu naszej familii niegdyś ustąpić musieli? I dzisiaj, ty, ty, miałabyś zostać żoną jego służalca?!

— O moja matko, nie nazywaj go służalcem: onby służalcem być nie potrafił! Szlachetna duma, uznanie własnej godności nie odstępują go na chwilę. Wykształcenie, o ileż go nad innych, znakomicie urodzonych wywyższa. A serce, a dusza jego!

Matka głośno się rozśmiała.

— Obowiązek swój wypełnia za umówione wynagrodzenie, ale nie służy. Książę go poważa, a Stanisław, nie zniósłby jednego ubliżającego mu spojrzenia!

— No, no, już dobrze! Ty po swojemu to pojmujesz a ja po mojemu: córka moja nie splami rodu naszego niestósownem zamęściem, chyba unosząc z sobą wszędzie przekleństwo matki!... Idź się połóż, już późno, jutro dowiesz się o postanowieniu mojem.

Bronisława, uciekając się z całą ufnością do tej na-

szęj ostatniej pociechy, upadła na kolana przed obrazem Chystusa, załamała ręce, wzniosła oczy ku niebu, i serce, i dusza jedno o litość do Boga zappełniło wotanie. — O! bo wszakżeż u matki i jednego litości nie znalazła wyrazu, i jedno słowo, i jedno spojrzenie matczyne nie złagodziło jej żałości: odpychające zimno tam, gdzie powinna była za swoje poświęcenie znaleźć w pieszczocie matczynej nagrodę, zraniło jeszcze głębiej przepalone bólem serce.

W kilka tygodni później, stanęła Bronisława, blada jak zwiedły listek kwiatu minionego, piękna jak anioł poświęcenia, przed ołtarzem z bogatym Teodorem Z. Wystawność otaczała młodą parę, a matka bladę oblubienicy jaśniała zadowoleniem, w pięknym kaszmirowym szalu, i sukni aksamitnej.

Pan Teodor, którego ojciec uczciwem rzemiosłem, jako fabrykant powozów wielki był zgromadził majątek, przeniósłszy się w tak zwaną wyższą sferę społeczeństwa, gdzie go dla jego majątku *tolerowano*, zapragnął węzłem małżeńskim połączyć się z którą z rodzin znakomitych, by tym pożyczanym, czezym blaskiem, zatrzeć nieznane lecz pocziwe pochodzenie swoje. Przypadkiem poznał Bronisławę; była piękną, *wysoko urodzoną*, matka jej pragnęła majątku, choćby go i zaprzędaniem szczęścia jedynej córki okupić miała — i ofiara spełnioną została: bo słaba, ujarzmiona, kochająca i przejęta obowiązkiem dziecka względem rodziców, dziewczyna, z zaparciem samej siebie, uległa woli matczynej.

W ozdobnym pokoju, pochyłona nad kołyską, siedziała młoda kobieta i wpatrywała się w drobne rysy śpiącej dzieciны, jak gdyby z nich najmiłszą życia pociechę zaczerpnąć pragnęła. Przyémiona zieloną zasłoną lampa, paliła się opodal na stoliku. W tém wszedł młody mężczyzna dzikiego wejrzenia i z piętnem złych nałogów w nieprzyjemnych rysach; przystąpił do biurka otworzył i brzęk licznych sztuk złota rozległ się po pokoju, napełnił niemi kieszenie i znowu ku drzwiom zmierzał.

— O Teodorze! Teodorze! — zawołała kobieta zastępując mu drogę, i błagalnie ku niemu wyciągnęła ręce — już znowu idziesz by ostatek mienia przegrać....

— Jakaż to manija ciebie zapala! jakżeż mi możesz wyjścia zabronić! Cóż to za szaleństwo opanowało ciebie?!

— Nie szaleństwo to, Teodorze, nie manija żadna, ale ja wiem *wszystko*!

— Wiész *wszystko*?! Cóż — że więc wiész? — i oparł wzrok zapamiętałego gniewu na żonie. — Jakżeż to wiész *wszystko*? gadajże!

— Żeś już niemal całe mienie w niecnych towarzystwach roztrwonil, że....

— Ha i czyż to ja twój majątek trwonie! — krzyknął Teodor, ściskając ze złością pięście.

— Ja nie za sobą, nie za sobą, ale za synem naszym proszę, Teodorze! — wyrzekła poruszającym głosem. — Pragnę dziecię nasze od skutków twojej

rozzutności, od nędzy uchronić, inaczej, nie wtrącałabym ani jednego słówka.

— Ja wiem co robię, lecz ty nie wiesz co gadasz! Precz mi z drogi, precz z wszelkimi uwagami: żyję tak, jak mi się podoba, i szaleńcem jestem, żem chociaż chwilę twójego świergocenia posłuchał! — odepchnął ją silną ręką i wybiegł; nieszczęśliwa zakrywając twarz dłońmi, na kolana przy kołysce upadła.

— O ty moja pociecha jedyno! — zawołała, przyciskając do ust swoich drobniuchne rączki synka. — Całe życie nieszczęśliwa!.... Boże! twoja wola niechaj się dzieje! — Oparła głowę o kołyskę i w głębokie pograżyła się dumanie. Przebiegła myślą dni życia, tak ubogiego w chwile wesela i swobody, a tak obfitego w dotkliwe, głębokie cierpienia — i biedna, trudziła pamięć, szukając winy, która na nią tyle złego, tyle nieprzerwanych cierpień, jako karę, ściągnęła — nie znalazła jej, a promień wielkiej wiary w przyszłe życie rozjaśnił czoło niewieście, i z pokorą religijną złożyła dłonie i w górę spojrzała: bo jeżeli tutaj cnota cierpi a występki zuchwały wzrok podnosi, zasłużoną niedoścignioną karą, to musi być inna kraina, gdzie wymiar sprawiedliwości nastąpi — Iza nawet, którą oko z ufnością ku niebu zwrócone uрони, marnie nie zginie! — I blada kobieta myślą zmierzyla całą przestrzeń swojego życia, od kołyski aż do obecnej chwili, widziała się dzieckiem oddanem pod dozór francuzkiej guwernantki, surowej i niesumiennej dla dziecięcia, sobie powierzonego; nie zna-

ła prawie pieszczoty matczynej, bo matka oddana światowemu życiu, rzadko tylko dla córki widzialną była — a ojciec? o wszakżeż najlepszy ojciec matki zastąpić nie zdoła! — Nastąpiła śmierć ojca, utrata majątku — niedostatek — choroba matki, która do zbytków nawykła, niepotrafiła bez sarkania, bez zgryzot, z uległością tej smutnej poddać się zmianie — brak wszystkiego — i praca, ciągła nieprzerwana praca!.... W tém jakoby zabrzask siedmio barwniej tęczy, wśród czarnych i groźnych chmur, zajaśniało jedno, jedno łube, drogie wspomnienie, w sercu marzącej — wspomnienie Stanisława!... I słaby rumieniec powłókł zwiędłe rysy, i w oczach łza zabłysła, usta okrążył wyraz rzewnej radości. — O! bo miała przecież jedno, jedno wspomnienie, przecież jedną szczęśliwą chwilę przeżyła na ziemi, i tego wspomnienia nie nie zatruwało: czystym, szlachetnym zjawił się obraz kochanka, przed oczyma jej duszy — nie miała sobie niczego do wyrzucenia — a! to wspomnienie rzucało niebiańskie światło na ciernistą drogę jej smutnego życia! — Ale w tém nagle kurzowo zadrżała, zaciskając oczy dłońmi, bo jak w czarnoksiężkiej latarni, przedstawił się w umyśle Bronisławy dzień jej ślubu z Teodorem!.... Dzień pogrzebu najczystszych uczuć dziewczyny!.... Ale poświęciła się dla matki, i tą ofiarą, i krwawemi łzami, które jej serce ronilo, zmyła zarzut wewnętrzny że bez miłości, dla małżonka, ślubną wykonała przysięgę. I pojęła wielkie obowiązki żony, i usiłowa-

ła zapomnieć o przeszłości. Lecz w tém umarła jęj matka, dla której się szczęścia całego życia wyrzekła... i co raz czarniejsze, straszniejsze obrazy przesuwały się w pamięci Bronisławy. Teodor był złym mężem, oddanym wszelkim nagannym namiętnościom — a żona żadnego na nim nie wywierała wpływu. W trzy lata po ślubie Bronisława została matką — nowe dla nięj zabłyśło życie — inna przyszłość uśmiechnęła się do nięj, ale do upajającego całą jęj istotę uczucia, gdy dziecicę swoje przytulała do łona, mięszała się i gorzka boleść, bo Teodor największą obojętność okazywał dla małego synka. Złe nałogi i namiętności zwiększały się w nim z dniem każdym, trwonil gwałtownie majątek i biedna matka, doznając codziennie najwyższych od niego przykrości, drżała tylko o przyszłość swojego dziecięcia — Na ten obraz niedoli mroźne drżenie przebiegło całą jęj postać, załamała ręce z ciężkim westchnieniem.... gdy zwolna drzwi otworzono — posłyszala lekkie ich skrzypnięcie, podniosła się machinalnie i przed nią stanął wysoki mężczyzna.

— Stanisław! — zajęczala z przestachu, przyciskając załamane ręce do zbolalej piersi, i cofnęła się o kilka kroków: mniemala, że się widmo jego ukazało, przywołane jęj wspomnieniem chwil szczęśliwszych.

— Daruj Bronisławo, że cię nachodzę!.... Pragnęłam cię choć chwilkę jedną znowu zobaczyć po czteroletniem, okrutném rozłączeniu się naszym!....

O Bronisławo! — dodał z wybuchem żalu — ty myślom moim zawsze nieodstępną byłaś!

— Jestem żoną .. żoną innego!... Po cóż mięszasz mój spokój!... O uchoďź, uchoďź, uchoďź co prędzej, nie zatruwaj do reszty nędznego życia!... — zakryła twarz dłońmi, i drżała jak wietki listek mroźném tchnieniem dotknięty.

— Chwilkę jedną, Bronisławo, posłuchaj mnie!... Jesteś nieszczęśliwą, sponiewieraną, o zbyt nieszczęśliwą!... Znam występne życie tego nیکczemnika, jego obchodzenie się z tobą, z tobą, która innym kobietom za wzór postużyć możesz!... Głos Stanisława zadrżał — Bronisławo! — wymówił słumionym przez wzruszenie głosem, — prawo dozwala rozwodu: opuść go!

— Strasznie! okropnie! — i Bronisława z jękiem upadła na krzesło.

— O posłuchaj mnie! — zawołał błagalnie, przystępując bliżej.

— Nie mogę, nie powinnam! łączy mnie z nim węzeł niezem nie rozerwany... Znam wielką powinność żony... tēm większą, żem nad nim czuwać powinna, żem powinna usiłować wpłynąć na niego...

— Nigdy, o nigdy tego nie dokażesz! Zmarniejesz, zginiesz przy nim, a on twojēj straty nawet i żałować nie będzie!

— O przestań! przestań Stanisławie!... — pobięła do kołyski, wzięła śpiące dziecko w swoje objęcia, przycisnęła je do łona, i przedzierającym się do



głębi duszy wymówiła głosem: Jestem matką syna Teodora.

Stanisław zbladł, zakrył rękoma twarz strasznym bólem zmienioną: on ją zrozumiał — pojął wielką duszę kobiety — matki! pożegnał ją niemej rozpaczy spojrzeniem, i szybko wybiegł.

Bronisława z dziecięciem swoim w objęciu upadła na kolana i przygasłym zawołała głosem:

„O Boże, pod twoją świętą nieiekam się opiekę! Ty mnie obroń, Ojczy niebieski!”

Nieszczęsna! ona jeszcze z całą siłą pierwszej i jedynej miłości kochała Stanisława.

Stanisław wkrótce potem kraj rodzinny pożegnał, daleko pod obcym niebem innego szukał życia.

Na trzecim piętrze, na jednej z ulic Starego-Miasta w Warszawie, w dwóch małych lecz wzorowej czystości pokojach, przechadzała się wolno i w smutnym zamyśleniu pogrążona wysoka, wychudła postać niewieścia; zakłęste lica, przygasłe oczy, za ledwie dały poznać piękną niegdys Bronisławę. Ciągłe zmartwienia, niedostatek i praca napiętnowały ją przedwczesną starością: Teodor strwonił był cały majątek i w końcu sam sobie życie odebrał.

Na wschodach dały się słyszeć zbliżające się kroki, Bronisława zwróciła ku drzwiom oczy, anielski wyraz rozjaśnił jej rysy, zdawało się, że nowe w nią wstąpiło życie—i drzwi się otworzyły i wbiegł wysoki, kilkonastoletni młodzian.

— Mój Tadzio! mój syn! — zawołała, wyciągając wyschłą ku niemu rękę.

— O moja matko! moja matko najdroższa! — i ujął jej dłonie, i twarz swoją w nich otulił.

— Cóż tobie, moje dziecię, z kąd to rozrzewnienie? — bo uczuła na swoim ręku łyzy ukochanego syna.

— Matko! otoczyłaś kołyskę moję najtroskliwszą opieką! pod twojem okiem wyrosłem! o! każda chwila mojego życia nosi cechę najczulszej macierzyńskiej miłości twojej!... Pracowałaś dni i nocy, ażebym się mógł kształcić w naukach; odmawiałaś sobie wszystkiego!... O matko moja! tyżeś mnie powiodła na drogę cnoty! ty-to wlałaś w serce moje uczucie najwyższych powinności i żądzę szlachetnych czynów!... O moją matko! i w wypełnieniu świętych obowiązków miałżeby twój Tadeusz być ostatnim?!... Matko! ja ciebie pożegnać przyszedłem!...

Matka złożyła ręce, rysy jej zachowały wyraz spokoju duszy, i tylko lekkie drżenie ust zsiniałych dowodziło silnego wzruszenia i walki.

— O mój synu! wywiąż się, z powinności twojej! — wyrzekła następnie głosem stłumionym lubo pewnym.

— O, matko! wielka w każdym czynie, w każdym uczuciu wielka! — zawołał z uniesieniem Tadeusz rzucając się do stóp jej. — Bóg mi dozwoli powrócić i wrócić godnym ciebie! Bóg zachowa dni moje dla ciebie, iżbym myśli twoje uprzedzał, iżbym

cię najwyższą miłością syna otoczył.... Matko! daj mi twoje błogosławieństwo!

Bronisława zadrżała, złożyła ręce na głowie młodziana, pobłogosławiła mu i przycisnęła skrzepte usta do młodego czoła syna. Tadeusz zażwionemi oczyma powiódł po ścianach, w których tyle chwil błogich przy matce spędził; raz jeszcze ucałował jej stopy — i spiesźnie wybiegł. Matka suchém za nim spojrziała okiem, pozostała w miejscu blada, nieruchoma jak posąg — o! bo wszakżeż serce i dusza matczyzna wraz z ukochaném dzieckiem pobiegły.

W r. 1809, 11 kwietnia wojenne działa pod Raszynem umilkły, wojska cofnęły się z pobojuwiska licznemi zasłanego trupami, a z Warszawy wybiegły tłumy ludu, by wracających powitać: ojciec szukał syna, żona męża, siostra brata, dzieci ojca — och! ileż to pomiędzy niemi nadaremnie kochanych wyglądało!

I w pośród tego tłumu cisnie się w ciemnej sukni kobieta, wynędzniała, blada, zaledwie lekką stopą ziemi dotyka. Wzrokiem przedziera przestrzeń, dzielącą ją od wracających wojaków, w źrenicy jej całe zestrzeliło się życie: to jest matka, która nadbiegła jedynego oglądać syna!

Nadciągają krwią, dymem i kurzem okryci żołnierze — oczy matki śledzą zmienione trudami twarzy; już ją mijają a syna jej nie widać!... O, serce matczyne byłoby obecność jego przeczuwało, oko matki dojrzałoby ukochane rysy i wśród tysięcy!

— Mój Tadeusz!... gdzie mój syn! mój Tazio!... wołała głosem wnikającym do duszy każdego i nadludzką siłą wcisnęła się w środek zbrojnej kolumny.

— Biedna matko, twój syn przy moim boku zginął — odpowiedział ponuro jeden siwowłosy szeregowiec, na jej powtarzane wołanie.

— Zginął!... Mój Tadeusz!... Wola Boska!... zaczęła, składając ręce na piersi, zwróciła oczy ku niebu i na ziemię upadła.

Podniesiono ją spiesźnie. Nadbiegł wysoki, blady, z piętnem przebytych trudów na zorany czole wojak, ujął jej rękę — zamgliły mu się oczy... „Bronisławo!” poszepnęły spieczone usta — „Ratujcie! o ratujcie!” — krzyknął rozpaczliwie. I pośpieszono z ratunkiem — lecz nadaremnie, bo już serce matki, sieroty, nie biło!

Blady wojak pochylił się raz jeszcze nad martwymi rysami zgasłej — łza wspomnienia i żałoby stoczyła się po jego mężkiem licu... potem, z pochyloną ku ziemi głową, powrócił do szeregu.

# WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA,

## O MIEŚCIE BOLESŁAWCU,

w powiecie Wieluńskim, gubernii Warszawskiej położonym,

PRZEZ

*Wincentego Hipolita Gawareckiego.*

---

Wielkość światowa przemija! jak kwiat  
trawy. *Myśl wyjęta z pisma świętego.*

Gdy grody nasze większe, zamożniejsze, słynne mieniem dostatnim, i ludnością, są opisywane, a pomniejszych w zakątkach kraju pozostawione, mało są znane, i ledwie ich nazwy wspominane niekiedy, świadczą o ich istnieniu, przeto nie od rzeczy będzie, obszerniejsze o nich podawać wiadomości, dla wykrycia ich dawności, i stanu w jakim obecnie pozostają.

Bolesławiec, albo Bolesławice, miasto rządowe leży w powiecie Wieluńskim, gubernii Warszawskiej,

o pół czwartej mili od Wielunia, stolicy powiatu tejże nazwy, przy granicy Szląskiej, i nad brzegiem rzeki Proсны, (1) założone w roku 1209 przez Bolesława *pobożnego*, księcia Kaliskiego, który od swego imienia nadał mu nazwę Bolesławca. (2)

Okolice i położenie w ogóle piękne, otaczają gród ten starożytny, niegdy głośny w rocznikach kraju tutejszego, a dziś zapomniany.

Lekkie wzgórza nakształt podłużnego wału oddzielają kraj ten od sąsiedniego Szląska. Wał ten dzieło przyrody ciągnie się po nad granicą daleko, jak gdyby naturalny przedział stanowił. Grunta w ogólności średnie, to jest dostatnie do uprawy żyta, na lasach i borach w bliskości zbywa, miejsce błotnistych bardzo mało, pastwiska, acz nad rzeką, więcej suche, niż mokre.

Położenie miasta względem Proсны wzgórkowate, mylnie więc najnowsi krajopisarze nasi twierdzą, iż Bolesławiec otoczony błotami, (3) ręka tu ludzka niepodjęła pracy dla ich osuszenia, lecz położenie samo z przyrody jest wzgórzyste. Proсна stanowi granicę z Szląskiem, płynie ona w nizinie tuż przy domach miasta za nią leżą grunta jego, jako to łąki, pastwiska, i uprawne role. Tę sposobem Proсна przezryna prawie w połowie obwód, (territorium) całego miasteczka, bowiem dwie z trzech części gruntów uprawnych i łąk do mieszkańców jego należących, położone są już w Szląsku, stanowiące tak zwaną *różnorodność*.

W Bolesławcu w roku 1848 było domów

- |             |      |      |
|-------------|------|------|
| a) z muru   | 2)   | 107, |
| b) z drzewa | 105) |      |

ocenionych w Towarzystwie ubezpieczeń na sumę  
rs. 27,380, a osiadłych przez

- |                   |      |      |
|-------------------|------|------|
| a) chrześcian     | 671) | 989. |
| b) starozakonnych | 318) |      |

Jeden z murowanych domów znacznie podniszczony jest własnością starozakonnego mieszkańca, drugi nowo wystawiony w roku 1848 jest pomieszkaniem proboszcza. Wzniósł go przy zasiłku z Rządu i ze składek parafian ks. kanonik Roch Dobrzelewski, dziekan zarazem Wieruszowski, gorliwy pleban miejscowy, przyłożywszy swego funduszu i trudu.

Rzemieślników w ogóle znajdowało się w roku 1848, 69, między tymi: bednarz 1, czapnik 1, kowali 2, kuśnierz 1, szklarz 1, powroźnik 1, stelmachów 2, mularzy 4, rymarzy 2, krawców 10, rzeźników 12, piekarzy 7, stolarzy 4, szewców 21. (4)

Prócz tych jest rolników 130.

Rękodzielni istnieje tu dziesięć, mianowicie wyrobów bawełnianych 1, płótna 3, garbarni 5, fabryka eykoryi 1.

Dochody miasta w r. 1847 wynosiły:

- |                             |     |      |     |
|-----------------------------|-----|------|-----|
| a) z czynszów r. s. . . . . | 10  | kop. | 5.  |
| b) z dzierżaw czasowych     | 301 | —    | 51. |
| c) konsensowe . . . . .     | 45. |      |     |
| d) z kanonów . . . . .      | 38. |      |     |
| e) składki administracyi.   | 20  | —    | 17. |

razem rs. 414 kop. 73.

Ulic jest trzynaście, jako to: Krakowska, Wieluńska, Mostowa, Kościelna, Prosta, Zamkowa, Kowalska, Szewcka, Krótka albo Młyńska, Ciemna, Zielona, Podzamecze, Wieruszowska. Z tych pięć pierwszych są pokryte brukiem. Rynek dość obszerny, podłużny w prostokąt, w połowie jest brukowany, w połowie trawą zarosły, wymówny dowód małego ruchu, i podupadłego stanu mieszkańców.

Wszakże każdego miasta życie uwydatnia się na rynku. Jest on w każdym grodzie sercem, najznacześnie i najznakomitsze budowle otaczają go.

Cheący wędrownik poznać dążność handlową gwar ruch, i życie miast naszych, przybywał na ich rynki. Pod zabudowaniami miejskimi gruntu, miary tegoczesnej jest włók 3, morgów 7, pola orne obejmują włók 55 morgów 8, łąk włók 12, ogrodów warzywnych włók 2, pod wodą morgów jest 22, pastwisk włók 1 morg. 7, nieużytki i błota zajmują włók 1 morg. 6. W ogóle miasto liczy włók 75 morgów 20 gruntów swoich, nieposiadając lasu, a tém samem własnego opału.

Przejdźmy następnie do poznania przywilejów Bolesławca, a te są:

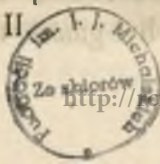
W aktach Magistratu miasta tego znajduje się w oryginale na papierze stepowym ceny jednego czerwonego złotego pisany przywilej Stanisława Augusta IV, z własnoręcznym podpisem, przyznający i zatwierdzający, poprzednie przywileje monarchów Au-



gusta III, i Zygmunta I, jakimi ci zatwierdzili przywilej dawniejszy króla Jana Alberta, pozwalający używać niektórych pól i łąk kupionych przez mieszczan Bolesławca od szlachty, i przez szlachtę im ustąpionych, oraz wolne rybołówstwo w Prośnie zapewniający. Swobody te odnoszą się do lat 1382, 1401, 1403, 1496, i 1543, słów w nich wiele, a rzeczy mało.

Prócz powyższego oryginału znajdują się w aktach rozmaite nadania, i potwierdzenia nabytych łąk i gruntów, uwolnienia mieszkańców od opłaty cel i t. d. w imieniu monarchy podpisane przez Okęckiego kanclerza. Są to dowody hojności królów polskich nie tylko miastu tutejszemu, lecz i wszelakim innym w kraju grodom, świadczonych. Wszystkie dążyły do zapewnienia pomyślności, i dobrego mienia mieszkańców. Istnieją także w aktach miejscowych nadania i ustawy cechowe przez królów Jana Alberta, Stefana, Zygmunta III, Władysława IX, Jana Kazimierza, i Jana III udzielone lub potwierdzone zgromadzeniom rzemieślniczym, kuśnierzom, szewcom, krawcom rzeźnikom, i innym, w których wyłożone są obowiązki cechu do służby Bożej, zarazem powinności wzajemne opłaty i kary. (5)

W tychże aktach miejskich znajduje się lustracya staroictwa Bolesławickiego z roku 1661, (lat temu 187) w słowach: „Tego staroictwa, (było bowiem niegrodowe) jest possessorem W. J. P. Gottard Bu-



telier, podkomorzy koronny osiadłych domów jest 79, pustych 10, na szpitalnym ogrodzie domów 2, na plebańskim 2, na chołyńskim chałup 10 szosu dorocznego mieszczanie płacą flor. 10 gr. 24, owsa trzy małdry, to jest ćwierci 36, piwa achteli 7. Od piekarek których jest 5, płacą po groszy 6, winiarek co palą gorzałkę 8 po groszy 24, szewcy po gr. 6, rzeźników 5, dają po kamieniu łoju, inni czynszu po groszy 6."

Następnie zamieszczonym jest w owój lustracyi opis przywilejów, o jakich dopiero mówiliśmy; w zakończeniu wyrażona summa dochodów z miasta i młyńska do zamku przynależnych w ilości złotych 1557 groszy 15.

Niegdy w czasach świetnych dla grodu tutejszego był, jego ozdobą i osłoną od zamachów gwałtownych, zamek; niemożna zaiste pominąć opisu warowni tej, wiele w minionych wiekach znaczącej.

Zamek najcelniejsza budowa w Bolesławcu, położony był w zachodniej części miasta tego, tuż zaraz za rzeką Prosną, od jakiej niewysoka dzieliła go grobla, i ledwie o pareset kroków od zabudowań miejskich był oddalony, (6) wznosił się na wzgórzu utworzonym ręką ludzką, (7) w miejscu zupełnie suchem, nad samem korytem Prozny, która nappełniała wodą przykopy, (fossy) powstałe z usypania wzgórza, w okół go otaczające. (8)

Tenże sam książę, który fundował miasto, jest téż założycielem w r. 1279 i zamku. Jakięj wielkości w czasach późniejszych był gmach ten okazuje lu-

stracya już przytaczana z r. 1661. Zaiste pierwiastkowy stan jego, dla braku dowodów i opisów jest niewiadomy, lubo wątpić niemożemy, iż Bolesław *po-bożny* wznosząc go, niezaniebtał warownym uczynić, myśl sama obrony wpływała na kształt jego budowy, i umocnienie.

Oto wypis lustracyi:

„*Zamek*. Ten stoi na kopcu, do koła murem otoczony, około którego na koło idzie rzeka Proсна nazwana. Do zamku wchodząc brama murowana, w niej wrót dwoje, izdebka murowana na górze, w której okien dwoje złych, piec i komin zły, drzwi na zawiasach. Z bramy idąc po prawej stronie sień drewniana, w której ani okien, ani drzwi niemasz. Z sieni izdebka murowana, w której piec, komin, stół, a okien niemasz. Na tejże stronie na dole stajnie pod murem. W pośrodku zamku wieża murowana wysoka, w niej na dole sklep jeden, na górze drugi dla schowania. Do budynków górnych idąc, które po prawej stronie zostawają, wchodów dwa, jeden niebardzo dobry. Sień, w której okien niemasz, drzwi na zawiasach. Z sieni izba stołowa, w niej okien 4, piec, komin, drzwi na zawiasach, stołów 2, służba ława pod oknem. Z tej izby jest izdebek dwie, w jednej po prawej stronie okien dwoje, piec, komin, stół, w drugiej izbie okien trzy, piec, komin, stół. Z tych izdebek idąc sień, w której okien 3 niedobrych, komin, drzwi dwoje. Z tej izdebki sień, w której schód na dół, drzwi na zawiasach.

Z sieni izdebka, okien 4, dwoje doskonale zabitych, piec, komin, stołów dwa. Z tych budynków idąc gankiem, któren niebardzo dobry, przed tymi budynkami zastawa jest baszta murowana, w której także na górze izdebka, w niej okien dwie, piec, komin, i drzwi. Z tych budynków idąc jest kaplica malowana, w niej okien dwoje, ławek 6, stół, drzwi, na tych wszystkich budynkach dachy niebardzo dobre. Exposito tych budynków jest ganek nad murem, dachem niebardzo dobrym pokryty. Przy tymże zamku mielcuch nowo wybudowany nad rzeką.”

Młyn ten dotąd istnieje.

Z zamku tego pozostała tylko wieża, i dwa obok stojące oddzielne kawały grubego muru. Jest ona nadzwyczaj mocnej budowy, cała z niepożytej czasem cegły, wysoka stóp 90, (45 łokci) wierzch niepokryty zapada w ruinę, kształt jej ośmiokątny, grubość murów u spodu wynosi stóp jedenaście, długość boku ośmiokąta stóp 12, a zatem w ogóle objętość, czyli bryłowatość jej zawiera 96 stóp, czyli 48 łokci. Wejście do niej od spodu dostępne; wewnątrz o łokci 6 do 7 mocno jest sklepienie, i w tém przedziale sprawia bezpieczne schronienie. W pośrodku wysokości wieży z obudwóch stron przeciwległych są dwa wejścia, do jakich zapewne zewnętrzne, prowadziły schody. Od tego wejścia wewnątrz wieży są jeszcze ślady wschodów i po tych drapia się chłopcy wykręcać gniazda wron i kawek tu najliczniej sadowiących się, a wielce szkodliwych dla mieszkańców Bolesławca, chodzących drzewa owocowe.

Obwód miejsca wskazuje, że zamek tutejszy nie był obszernym, z którego pozostały słabe reszty istnienia jego, wieża opustoszała stoi samotnie w samym środku. Są jeszcze poszlaki czterech bastionów, usypanych z ziemi, lecz miernych rozmiarów. Są także ślady kilku sadzawek, zasilanych wodą z Prosnicy, w których podobnie jak i w przekopach (fossach) wedle podań miejscowych, duo i boki miały być ciosem i cegłą wykładane, dziś atoli wszystko muł pokrył. Fundamentów zewnętrznych niedaje się spostrzegać, lecz z formy wzniesionych wzgórków domyślać się można ich kierunku, i bytności w ziemi. Tkliwe te szczątki starożytności, które ocalały w gruzach wieków, są dziś przedmiotem badań przedsięwziętych z troskliwością.

Zamek tutejszy ma historią swoją, którą pokrótce przytaczamy:

W wieku XIV opanowany od Czechów w czasie rządu ich króla Jana, rozszechającego pretensye do korony Polskiej, stał się przytułkiem dla swawolnego żołnierstwa, które wypadając zeń na drogi okoliczne, gwałty i rozboje ustawicznie popełniało. Niemożąc temu zapobiedz siłą w początkach panowania swego, Kazimierz W. poszedł drogą umowy. Za pośrednictwem więc Karola króla Węgierskiego stanęło w Wyszohradzie roku 1335, „iż powiat Bolesławski z zamkiem i wszelkimi do niego przyległościami należeć będzie do korony Polskiej, tak, jako z dawnych wieków należał. Król Czeski zburzyć ma to zameczy-

ska, na wstępie przyszłego roku, a król Polski obo-  
wiązał się nietylko żadnej w nim na potem nieczynić  
reperacyi, przez siebie, lub przez kogożkolwiek,  
lecz jeśliby kto chciał na tem, lub innem miejscu no-  
wą dźwignąć budowę, tedy wspólnie z Królem Cze-  
skim temu przedsięwzięciu zbrojną nawet mocą prze-  
szkodzić powinien będzie. (9)

Lecz zaszła wkrótce zmiana okoliczności politycz-  
nych, i zamek ów pozostał w całości. A nawet Ka-  
zimierz W. uważając istnienie jego w tém miejscu  
potrzebne, jako w punkcie wojskowym, przebudo-  
wał go w części, otaczając murem, i wałami. (10)

Po zejściu tegoż króla dostał się Bolesławiec w len-  
ność z innymi grodami ziemi Wieluńskiej Władysła-  
wowi księciu Opolskiemu, przez Ludwika króla Pol-  
skiego i Węgierskiego nadany. (11)

Władysław Jagiełło wyniesiony na tron Piastów,  
za lekce wzięcie władzy jego, odbierając nadane  
Opolczykowi dzierżawy w r. 1396, kazał też obledz  
i zamek Bolesławski. Lecz sztuką umocniony, i dla  
położenia swego nad rzeką Prosną, którą żywności  
załodze dostarczano, trudny był do zdobycia. (12)  
Oblężenie jego przeciągnęło się aż do lat siedmiu,  
znać przez starostów niedbale, i bez należytego przy-  
gotowania się przedsiębrane. Dopiero Agata wdowa  
po księciu Opolskim roku 1403 poddała go królowi.  
(13) i odtąd już ciągle należał do Polski, łącznie  
z miastem, i powiatem tejże nazwy.

W czasie napadu pierwszego Szwedów, pod wodzą

Karola Gustawa, który około roku 1655 szerzył po całej Polsce rujnę i pożogi, zamek Bolesławski zupełnie zburzony został. Podźwignął go z zwalisk, i do stanu przyzwoitego przywiódł starosta miejscowy Jan Radziejowski. Sejm w r. 1676 wyznaczył kommissarzów do obliczenia wyłożonych nań kosztów.

Była to zaiste graniczna warownia, zasłona napadów z Szląska sąsiedniego, częstokroć wynikających. Starano się przeto o utrzymanie w punkcie obrony tyle potrzebnej twierdzy.

Powtórny najazd Szwedzki, Karola XII zniszczył znowu ów zamek, i nikt już niepomyślał o dźwignieniu tej szanownej pamiątki z dawnych wieków.

Władysław Łubieński wydawca Jeografii powszechnej około r. 1736, już go w owym czasie za spustoszony poczytał. (14)

Mimo Szwedzkich zniszczeń były jeszcze wewnątrz zamku budowle boczne zdadne do mieszkania, małego poprawienia wymagające; lecz dziś niestety! ani śladu tego niema, co niegdy było użytecznem. i okazałem. Jeden z dzierżawców starostwa Bolesławickiego, przyłożył się najwięcej do rozebrania i zniweczenia murów zamkowych, z tych pobudował owczarnią, i inne ekonomiczne budynki. I łakomstwo mieszczan, dla osiągnięcia kilku cegieł do kominów kruszyło krzepkie mury, łożąc na to więcej czasu i pracy, niżeli warta była zdobycz. Dziś jeszcze widzieć można wehodząc pod sklepie-

nia wiczy, porysowane żelazem trwarsze od granitu mury. Wreszcie czas, ten niszczyciel powszechny na wszystkim kładzie swe piętno, nie się jego żelaznej nieoprze dłoni, człowiek, kamień, żelazo, słowem wszystko się zmienia, wszystko na tem zewnętrznem, widzianem zmysłami naszymi świecie odmienia się, przeistacza byt swój, ginie, odradza się i znowu ginie, a on jeden tylko ustawicznie krąży, aż nim go dłoń Wszechstwórcy na tej drodze niewstrzyma!

Bezwzględnie na spustoszenie zamku, jako rezydencyi posiadaczy starostwa, zawsze takowe rozmaitym osobom nadawane było dożywotnie lub czasowo.

Zarząd miasta tak niegdy jak i obecnie należał do burmistrzów, za czasów dawniej Polski przez starostów miejscowych, (15) a dziś przez Rząd krajowy stanowionych. Wyższemu zaś nadzorowi Naczelnika Powiatu Wieluńskiego podlega.

Prócz zamku istniał w Bolesławcu ratusz w środku rynku wybudowany, a zaraz przy jego ścianach, jak zwykle przyczepiano kramy i stragany dla przekupniów, a nawet jatki mięsne go otaczały. Obecnie nieznajdujemy ani śladu tej budowli; przed czterdziestu latami stało wśród rynku małe zabudowanie z drzewa, używane na areszt, być może, iż to była jakaś część dawnego ratusza. Na jednej z nominacyi burmistrza przez starostów wydawanych, dopisał własnoręcznie starosta Opaliński w r. 1749, (sto lat



temu) obowiązek utrzymywania skarboney dla składowania grzywien na reperacyą lub wybudowanie nowego ratuszu w Bolesławcu," co przekonywa, iż ratusz niegdy tu znajdował się.

Studni dawniej publicznych w tymże mieście było dwie, dziś są zawałone, rzeka Proсна dostarczając wody na potrzebę mieszkańców, zastępuje ich ubytek, prywatnych jednakże studni liczymy pięć.

Austerja wjezdna należąca do ekonomii jest jedna, a za granicą przy komorze Pruskiej dwa są domy zajezdne. Młyn na Prośnie przy mieście, i mosty przejście tej rzeki ułatwiają.

Sadów w mieście i za miastem jest przeszło 80, które ozdobę i pożytek miastu przynoszą.

Jarmarków dawniej bywało trzy, dziś odbywa się tu rocznie dziewięć, mianowicie, w dniu 3 Lutego, w poniedziałek po niedzieli głuchej, w trzeci poniedziałek po wielkiej nocy, w poniedziałek po św. Trójcy, na św. Małgorzatę, (d. 13 Lipca) w dniu 10 Sierpnia, w d. 21 września, w d. 2 listopada, i ostatni 13 grudnia.

Przystąpmy teraz do poważniejszego przedmiotu jakim są wspomnienia, o domach bożych, w tutejszym mieście istniejących.

Pierwszy najgłówniejszy kościół w Bolesławcu jest parafialny, poświęcony, ś. Trójcy.

Gdy takowy pierwotnej errekeyi nieposiada, z którejby przekonanie o czasie założenia jego powziąć;

można było, powstał tylko domysł, iż łącznie z zakładaniem miastem w r. 1269 przez Bolesława pobożnego, i kościół parafialny wybudowany został, bo sama tego konieczność wymagała. Za najdawniejszy dowód istnienia jego uważana jest wizyta w roku 1522 z rozporządzenia Jana z Łaska (czyli Łaskiego, Joannis de Lasco) arcybiskupa gnieźnieńskiego odbyta, a w aktach kościoła Bolesławskiego znajdujących się. Ta opisując kościół w Bolesławcu, znalazła go z drzewa, lecz w dobrym stanie, nadto dwa inne kościoły, a raczej kaplice filialne pod wezwaniem św. Małgorzaty, i św. Krzyża, w tymże grodzie fundowane.

Atoli kościół parafialny pod tytułem św. Trójcy wraz z miastem spłonął pożarem, a w miejsce jego Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda Krakowski, a starosta Bolesławski, (16) wymurował nowy około r. 1596, i przy nim umieścić kollegiatę zamyślał, lecz jej nieuposażywszy, ani budowy kościoła dokonawszy rozstał się z tém światem, a dopiero blisko w 200 lat, to jest w końcu zeszłego wieku naddzierżawca ekonomii Bolesławskiej Ignacy Kijeński, i proboszcz Jakób Chrzanowski doprowadzili do skutku budowę przez Zebrzydowskiego rozpoczętą, a to z funduszu dobrowolnych składek, i zapisu testamentowego niegdy ks. Filipa Szmuka, proboszcza parafii tutejszój.

Świątynie te zdobić miały dwie wieże, z tych już jedną do znacznej wysokości doprowadzono; lecz w czasie przedsiębranego kończenia budowy, wedle

planu nowego, obiedwie uchylone zostały, a w miejscu ich zrobiono facyatę z muru na łokieć 1 i cali 6 szerokiego, i tyleż nad dach kościoła wystającego; w tej umieszczono zegar z dzwonkiem nad dachem obsadzonym, w punkcie zaś oddzielania się części kapłańskiej wzniesiono kopułę okazałą łokei 15 wysoką, którą gałka z miedzi, a w tejże utkwiony krzyż żelazny kończą.

II. Kaplica pod wezwaniem św. Małgorzaty, niegdy kościół parafialny, najpierwszą miał być świątynią w Bolesławcu, o czem nas przytoczona wizyta z roku 1522 przekonywa, położona jest odlegle, od miasta; podanie ustne mieć chce, iż z obszernego domu Bożego przez pewną pobożną wdowę na mniejszy kościółek przebudowaną została, i z prywatnych ofiar i darów utrzymywana była. W roku 1838 zagrażała upadkiem zupełnym, lecz staraniem i nakładem urzędników niektórych miejscowych składką dobrowolną parafian, i pobożnych z okolic mieszkańców w latach 1839 i 1840 znowu odbudowana, i do stanu właściwego przywiedzioną została.

Okala kaplicę niniejszą cmentarz na wieczny spoczynek parafian tutejszych przeznaczony.

III. Kościółek szpitalny z drzewa pod tytułem S. Krzyża, przez mieszczan Bolesławskich wystawiony, i wedle erekcyi przez tychże w role na fundusz przeznaczone, zaopatrzony; o którym wizyta przywiedziona z roku 1522 wspomina w słowach:

„Hospitale oraculum tituli sanctae Crucis, nullos ap-

paratus pro divinis spectantes habet, nec aliquos proventus pro lectore vel praeposito, tantum pauperes nutriuntur ex elemosinis illis porectis.“ Później, to jest roku 1589 przez króla Zygmunta III lepiej uposażony został, i istniał tu wraz z dwoma domkami, z drzewa, z tych jeden był przeznaczony dla księdza przełożonego nad szpitalem i kościołkiem, a drugi dla ubogich, przy tymże zakładzie mieszczących się.

Obawa napadu Tatarów na Szląsk zrządziła, iż panny zakonne reguły świętego Norberta zamieszkałe w Czarnowąsie, za zezwoleniem ks. Macieja Łubieńskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego w d. 28 Lutego 1648 roku, (lat temu 201) przeniosły się do Bolesławca, i objęły ów kościółek szpitalny w swoje posiadanie, łącznie z przynależącemi doń domami, z tych zamieszkały przez ubogich posłużył im za mieszkanie, drugi zaś rządczy dotychczasowego szpitala przeznaczyły dla kapelana i spowiednika swego. Dopiero przywiedzioném dekretem arcybiskupa wszelakie dochody probostwa szpitalne włączone zostały do kościoła parafialnego, dla pomnożenia szczupłego jego uposażenia. Co się stało z ubogiem, i na jaki fundusz przeszli, o tem mileżą akta miejscowe. Podanie tylko niesie, iż wdowa po zmarłym staroście Opalińskim pozostała bezdzietna, przyjąwszy zakonną suknię reguły panien Norbertanek, oddała im w posiadanie wieś Chotynin, tuż przy mieście Bolesławcu położoną, którą były rząd pruski odjął tymże przeznaczywszy w miejsce wsi kompetencją pieniężną,

którą do r. 1811 pobierały, utrzymując panien 12 do 15 zgromadzenia swego, i dwóch księży, spowiednika, i ekonoma. W ostatnich latach liczba zakonnice ograniczała się do trzech, a kościół z zabudowaniami niszczyły, skutkiem czasu, i zaniedbania reperacyi i w czasie właściwym, z tego powodu postanowieniem króla saskiego, księcia Warszawskiego w dniu 27 Maja 1811 roku zapadłem przeniesione zostały do klasztoru swęj reguły w Strzelnie, w poznańskim istniejącego, a zebrać się mająca summa za sprzedaną pozostałość budowlaną po tychże zakonnicach w Bolesławcu, miała być obróconą na reperacyą klasztoru w Strzelnie. Gdy zaś sprzedaż kościołka i budowli do tegoż należących nastąpiła dopiero w roku 1824 dnia 29 Września, a tém czasem ów klasztor odpadł do Prus czyli do księstwa Poznańskiego należy, tedy fundusz wynikły z sprzedaży zabudowań po panieńskich na korzyść szpitala Bolesławskiego przeznaczony został, reskryptem kommissyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego z daty 14 Sierpnia 1823 roku.

IV. Już jak w opisie zamku wyraziłismy, w obwodzie jego znajdowała się kaplica, lecz jakiemu świętemu poświęcona wysledzić niemożna było. Z lustracyi w roku 1661 odbytej okazuje się, iż mniej obszerna, być mogła, i dwa ją okna oświecały, a jeden wchód dawał do niej przystęp.

V. Do kościoła parafialnego w Bolesławcu nale-

zały kaplice w Mieleszynie i Chroście wsiach pańien Cystersek z Ołoboku, (17) z dawna istniejące. Przytaczana wizyta z r. 1522 wspomina o nich. Staraniem zakonnice, dziedziczków miejsca oddzielna parafia w Mieleszynie ustanowiona została, i to wkrótce po wizycie wzmiankowanej, wedle bowiem akt przy kościele w Mieleszynie znajdujących się już w r. 1528 przez ksienią Ołobocką prezentowany, a przez biskupa krakowskiego Gamrata wprowadzony był tam pierwszy pleban.

Do parafii Bolesławskiej prócz miasta, należą wsie Chotynin, Kamionka i Piaski, do ekonomii rządowej Bolesławice należące, ludność całej parafii wynosiła w roku 1847 dusz 1282. (18)

Szkółka znajduje się w tutejszym mieście, niemająca jednak stałego funduszu, tylko składkę stowarzyszonych, wynoszącą r. s. 115.

Szpital zaś dla ubogich od roku 1823 nieistnieje, z powodu rozebrania go, jako grożącego upadkiem zupełnym, także funduszu pewnego nieposiadał, ubodzy raczej z jałmużn pobieranych utrzymywali się.

Wznawiając acz myślał istnienie zamku w Bolesławcu możemy wyrzec: iż duma, potęga, siła, męstwo wielkich rzeczy na świecie dokazały; lecz jeśli się co ocaliło, jeśli by co przetrwało wieki, to było dziełem wiary, pobożności. Wiele starożytnych narodów zniknęło tak, że ledwie ich pamięć nas doszła, a jeśli się co z nich utrzymało, na dowód że kiedyś istniały, to tylko pomniki, ich wiary. Grody,

zamki, warownie duzowieczne niedobyte z przyrody i sztuki, z wielu nakładami i pracą budowane, w kurzawę moc już czasu obróciła, jak równie i kości tych, co je tworzyli, a pamiątki religijne, acz uszkodzone w części, przeistoczone, zmienione, przecież są jeszcze ozdobą miejsc, w których pobożność ludów je wzniosła.

---

## PRZYPISY.

1. Proсна biorąc swój początek z bagien w Szlązku, niedaleko Buczyny, płynie mimo Bolesławca, Wieruszowa, Grabowa, Kalisza, Chocza i wpada w Wartę pod Pyzdrami.

Koryto téj rzeki, ciągnąc się doliną szerokich łągów i żyznych pastwisk, wystawia w wielu miejscach z odległych i wyniosłych swych zabrzeżów przepyszne widoki. Za jedném rzutem oka postrzega się tam najprzyjemniejsza barwa zielonych łąk, rozkrzewnione chaszczyki, liczne trzody, dalej nasiadłe wioski, obrosłe pagórki, uprawne pola, a środkiem snuje się poważnie w rozmaitych zakrętach strumień przezroczystej wody.

Dla płytkich brzegów, dla nierównego spadku, i dla licznych zawad tamujących spływ wody, rzeka ta niemożła dotąd być użyteczną, ani do żeglugi, ani do spławu drzewa. Wszystko jednak okazuje, że na poprawienie

tych wód wyłożone koszta, w krótkceby się wynagrodziły obywatelom przyległym i krajowi.

Jak wiele w minionych wiekach cenili sobie Polacy żeglugę i splaw na Prośnie, okazuje się jasnie z licznych urzędzeń i konstytucyi. Począwszy od r. 1447, i 1496 aż do ostatnich czasów, nigdy jej nieprzepominano, wszędzie ją kładziono między rzekami portowemi, wszędzie warowano na niej wszelką wolność od cła i zawaad dla kupców w górę i na dół płynących, z jakimkolwiek bądź towarem. Znać, że sami obywatele przylegli widzieli w tym wielkie swoje pożytki, ponieważ zawsze sami upraszali królów, o ponowianie urzędzeń zabraniających scieśnienia wolnej ich żeglugi.

Kraj i okolice przyległe Prośnie, wszędzie są bogate i żyzne; wyborne grunta wydają niezmierne zapasy zboża, a obszerne bory najpiękniejsze drzewo na odbyt.

Obszerniej mówi o Prośnie uczony Surowiecki, w dziele własnym: *O rzekach i splawach*, wydany w Warszawie 1811 w drukarni rządowej, od str. 65 do stronicy 73.

2. Rodowód księcia założyciela miasta Bolesławca, przyległego mu zamku jest następujący:

Władysław *Plwacz*, zwany także Odoniczem, syn Otona, czyli Odonajstarszego Mieczysława *starego* syna, księcia wielko-polski, z księżniczki Pomorskiej żony swojej, zostawił prócz córki Salomei, za księcia Głogowskiego wydanęj, dwóch synów:

a) Bolesława *pobożnego* (Pius) księżęcia na Kaliszu zmarłego r. 1278, który z Królowny Węgierskiej Jolenty małżonki swojej miał córki, z tych Jadwiga zaślubiona Władysławowi *Łokietkowi* później królowi Polskiemu, a Elżbieta Henrykowi *Otyłemu* księciu Lignickiemu.



b) Przemysława, księcia na Poznaniu i Gnieźnie zmarłego r. 1257.

Syn tegoż ostatniego, Przemysław *Pogrobowiec* narodzony r. 1257, księstwa Kaliskie i Wielkopolskie połączył r. 1278, a w r. 1295 przyjął koronę i królem Polskim stał się, a następnie w Rogoznie d. 6 Lutego 1296 zdradą znalazł zgon przedwczesny, panując tylko miesiąc 7, dni 20.

Wracając się do Bolesława *pobożnego*, córka tegoż Jadwiga wydała na świat w zamku warownym Kowalu r. 1310 d. 30 kwietnia, Kazimierza, któremu potomność słusznie przyznała przydomek *wielkiego*.

Klasztor żeński panien Franciszkanek w Gnieźnie założył i uposażył w skutek prośby swęj małżonki błogosławionęj Jolenty, Bolesław *pobożny*, ów książę Kaliski r. 1259, a Władysław *Łokietek* król Polski, zięć jego obdarzył tenże instytut miastem Kostrzynie z wsią Ubentowo r. 1293.

W kościele ks. Franciszkanów w Gnieźnie, który jest łącznym i dla panien tejże reguły, spoczywają zwłoki fundatora Bolesława *pobożnego*, i żony jego błogosławionęj Jolenty, córki Beli, króla Węgierskiego, ta po śmierci męża swego, w klasztorze tutejszym regułę tychże zakonnic przyjęła, i tu życia pełnego cnót dokonała.

3. W opisie starożytnęj Polski, w Warszawie r. 1843 nakładem Orgelbranda wyszłęj z druku. Tom I stronnica 244—245.

4. Wiadomość o tēm przedmiocie z akt Naczelnika powiatu Wieluńskiego udzielona została.

W wieku XVI Bolesławiec liczył do opłat królowi obowiązanych szewców 16, piekarzy 10, rzeźników 6, pała-

cych gorzałkę 8, wedle rewizyi województwa Kaliskiego, z roku 1564. *O upadku przemysłu i miast w Polsce*, p. Surowieckiego w Warszawie 1810 str. 177.

5. Przytoczmy niektóre szczegóły z tych urzędzeń, jako to : wkupujący się do cechu winien dać dla braci beczkę piwa, i 6 groszy na kollację. Brat niema bosy chodzić pod winą funta wosku, okrom słusznej wymówki, lub gdyby długą suknię miał. Brat krawiec noszący czapkę dwojój albo trojój farby płaci winy ćwierć kamienia wosku, także suknie, ani ubrania, różnej barwy i maści niema nosić, pod takowąż winą. Wdowiec lub młodzieniec który się w roku nieożeni, dawał beczkę piwa braciom. Piwo brackie niewolno było za próg schadzki wynosić, ani przez brata, ani przez żonę, ani przez dzieci, pod karą dwóch funtów wosku. Gdy bracia suchodzienne schadzki i inne potrzebne miewają, i o sprawach pilnych rozmowy odprawują, a ktoby słowem niepotrzebnym mowy ich przerwał, winy kamienia wosku, i beczki piwa podpada. Robienie kozuchów z marlic surowo zabroniono, i tём podobne urzędzenia znajdują się.

6. Andrzej Celary, (Cellarius) w dziele: *Regni Poloniae, magnique Ducatus Litvaniae, novissima descriptio*, wydaniem w Amsterdamie r. 1659, lat temu 190, na str. 233 tak opisał zamek Bolesławski:

„Boleslavecica, Bolesław, oppidulum, cum arce valida, ad fines Silesiae, aliquo intervallo, infra originem fluvii Prosnae.”

7. Najdawniejsze zamki stawiano w Polsce, albo na wzniosłych górach, albo w dolinach, przy wodach, między jeziorami i błotami. Jak nam podaje o tём wiadomość dziełko z tytułem: „*Krótką nauką budownictwa dworów, pałaców, zamków, podług nieba i zwyczaju Polskiego, w Krakowie r. 1509*, str. 4.

Nie szło to z nieumiejętności wybrania miejsca, lecz z koniecznej potrzeby. Zamek takowy murował możnowładzca, nietylko aby w nim mieszkał wygodnie, lecz zarazem, aby w napadach hordy jakiej mógł w nim bezpieczną znaleźć obronę. Na niedostępnej przeto górze, między wodami i błotami zdroistemi, jakich mróz najcięższy naszego klimatu, niezłodowacił, stawiał z wielkim nakładem gród warowny. Most na łańcuchach rzucony na przekopie spadał dla wjeżdżających, a podniesiony odchyłał przepaść broniącą przystępu do bramy, i samę zakrywał. Zamek czy na górze, czy wśród błot zbudowany, miał podziemne tajemne wychody, któremi wypadano albo na odważną wycieczkę, albo gdy go obronić niezdolano, uciekano przed natarczywością zdobywcy. Podwójne wały, prócz nich przekopy wodą zalane mocniły takowe warownie, których budowle wewnętrzne murem grubym i wzniosłem otaczano.

8 Mocne zamki, warownie, mury, lub wały, mówi uczony Surowiecki, zasłaniające mieszkańców od niebezpieczeństw zdobyły niegdy Wieliczkę, Zawichost, Olkusz, Wislicę, Bolesławiec.' *O upadku przemysłu i miast w Polsce z 1814 str. 197.*

9. Tak wyraża się Naruszewicz, w historii narodu polskiego, i t. d.

10. Dzieje królestwa Polskiego p. Jerzego Samuela Bandtkiego 1820 w Wrocławiu wyd. II. T. I str. 445.

11. Bolesławiec, zamek przy granicy szląskiej, przez Władysława ks. Opolskiego łącznie z Wieluniem prawem lennem od Ludwika króla polskiego nadanem, niegdy posiadany, świadczy Marcin Strykowski.

12. Mówi Bielski w kronice swej wydania Gałęzowskiego w Warszawie 1830 ks. II str. 200. „W wojnie przez Władysława Jagiellę z księciem Władysławem Opol-

skim w r. 1395 wiedzionej, wszystkie zamki przez tegoż księcia w Polsce posiadane. jako to: Krzepica, Wieluń Brzeznica, Ostrzeszów, Grabów, Bobolice, i Częstochowe odebrał, prócz Bolesławca, którego wojska polskie zdobyć niebyły wstanie, aż go kolejną starostowie przez siedm lat oblegali, (czyli wyrazem Bielskiego, aż kolejną koło niego siedm lat leżeli), bo był bardzo opatrzony żywnością, której rzeką Prosną nawożono.”

13. Dopiero przywiedzionego dzieła strona 201, i kroniki Marcina Strykowskiego str. 472.

14. A to na stronie 389 tegoż swego dzieła, pisząc: „Bolesławiec nad Prosną dzielącą miasto od Szląska, ma swego starostę bez jurysdykcyi, przed tém miało zamek murem opasany na błotach od Kazimierza W. wystawiony wstawiony oblężeniem siedmioletnim, żony Władysława, księcia Opolskiego, aż nakoniec głodem dobyt, i oddany Władysławowi Jagiellonowi. Zamek sam był erygowany roku 1269 od Bolesława *pobożnego* księcia kaliskiego, ale teraz zdezelowany. Na przedmieściu ma klasztor pański św. Norberta.”

15. Oto jest jedna z nominacyi Burmistrza, czyli całego Magistratu przez starostę Opalińskiego w roku 1765 wydana, z akt miejskich piszącemu udzielona.

Wojciech hrabia z Bnina, na Mińsku, Grodzisku, Opalenicy Opaliński, Bolesławski Starosta.

Wiadomo czynię sławetnemu Lęt-wójtowi (raczej być powinno Land-wójtowi) i całemu gminowi miasta Jego Król. Mości Bolesławca, iż na rok terażniejszy 1761 postanawiam na urząd burmistrzowski sław. Wojciecha Sobuńskiego, przydając mu za Rajcow sław. Mateusza Kozłowskiego, przeszlorocznego Burmistrza, i Błażeja Pętelskiego, na urząd zaś Lęt-wójtowski postanawiam Macieja Wilgockiego, przydając mu za ławników Piotra

Lorego, i Jana Widmana, którym to objema urzędom zalecam sprawiedliwe spraw sędzenie, bez względu na przyjaciół, krewnych, koligatów, bez zawziętości na nieprzyjaznych i niechętnych sobie. Zalecam przytem bogobożność, przestrzeganie obrazy Pana Boga, która jeśliby się pokazała, takich przykładnie karać, posłuszeństwo zamkowi, obserwacyą urzędów surowo przykazuję, pod winą trzydziestu grzywien. Reparacyą mostów, bez pustoszenia lasów, jako téż reparacyą dróg, bruków, studzien, i nowych wydobycia dla wygody miasta, i bezpieczeństwa od ognia, reperacyą kominów, sadzy chędożenie, drabin na domostwa zaciągnięcie, wodę przed domostwami w kłodach trzymanie, lnów, konopi w domach nissuszenie, i nietarcie, haków do rozrywania ognia porobienie; które u każdego gospodarza w domu znajdować się powinny. Bez latarni po nocach przy domu, po górach, i chlewach niechodzenie, stróżów nocnych dla obwoływania ostrożności od ognia trzymanie, kanału od młyna idącego chędożenie, rzeki, dołów, sadzawek, stawów niewylawianie, pod winą i karą w dawniejszych elekcyach wyrażonych. Szkody jeden drugiemu w zbożach, łąkach, ogrodach sadach, pod pokutą dziesięciu grzywien, szkody nadgrodzienia surowo przykazuję. A zatym dobrego zdrowia od Pana Boga życzę, jako wasz Pan Działo się w Warszawie d. 11 Februarii roku 1761 (podpisano) W. H. z B. Opaliński (M. P.)

16. Mikołaj Zębrzydowski, wojewoda krakowski, Florjana kasztelana Lubelskiego, z matki Dzikownej syn, urodził się w domu wyniesionym przez Andrzeja biskupa krakowskiego, połączonym z najpierwszemi imionami w Polsce, miał za żonę Jana Zamojskiego Kanclerza W. Koronnego ciotecznąsiostę Herbutownę. Jako pokrewny przypuszczony do przyjaźni tego wielkiego męża,

zyskał z czasem jego zaufanie, i powierzenie skrytych za myśłów; a w kierowaniu się dzielną, pomoc, która kołem szczęścia jego toczyła. Wkrótce starostwa, dostojęstwa najpiérwsze w kraju otrzymał Zebrzydowski, i te go przywiodły do najwyższej dumy, którą cokolwiek bądź obrażało.

Nie tu zaiste miejsce, sprawy jego roztrząsać, dość napomknąć, iż rokosz przez niego wzniecony pomnożył liczne klęski krajowe, a na niego wzgardę, naganę, i złorzeczenie spólczesnych sćiągnął. Zgryzota, owoc zbrodni, skutek hańby i nieszczęścia życie Zebrzydowskiemu skończyły. Umarł w r. 16620, przeżywszy lat 67. Imie Zebrzydowskiego, mówi Czacki, żyje w przeklęstwie wieków! Obszerniej o nim pisze Fr. Siarczyński, w *obrazie wieku panowania Zygmunta III*, w Lwowie r. 1828 wydaniem, T. II. str. 369 — 371.

17. Ołobok, wieś z klasztorem panien Cystersek o dwie mile od Kalisza odległa, nad rzeczką tegoż nazwiska wpadającą do Proсны.

Jest to dawna i bogata fundacya Władysława z r. 1213 *plwacza* księcia Kaliskiego. Klasztor za świadectwem Starowolskiego i Cellarego, precudnej był roboty, na kształt zamku wymurowany.

18. Szczegółowy opis domów Bożych w Bolesławcu istniejących, sporządzony przez piszącego niniejszą wiadomość o tymże mieście, zamieszczony zostanie w czasopiśmie religijno moralnym wychodzącym dotąd z druku.

# DWÓR I CHATA

POWIEŚĆ.

## I.

„Czego ty płaczesz,  
Czego narzekasz,  
    Dziewczyno moja!  
Jakże nie mam płakać  
Jak nie mam narzekać,  
    Nie będę twoja.“

Tak śpiewała hoża Marysia, ścinając sierpem ziele w rodzicielskim sadzie i składając pożęte w przywiązany do pasa biały fartuch. Słońce kryło się zwolna za las czerniejący w dali. Cisza głęboka panowała dokoła, przerywało ją tylko beczenie owiec, które biegły środkiem wsi, wznosząc za sobą tumany kurzu, i ryk krów, idących poważnie z pastwiska do obór.

Jeszcze ostatnie słowa Marysi piosenki drgały w powietrzu przesyconem wilgotną rosą wieczoru,

gdy głos mężki, czysty na też samą ozwał się nutę :

Będiesz ty moja,  
 Będiesz ty moja,  
     Będiesz dali Bóg!  
 Ludzie mi cię rają  
 I rodzice dają  
     I sam sędzia Bóg!

I w tej chwili dziarski parobczak w ciemnej krakowskiej sukmanie z długimi kędziorami włosów spływającymi na ramiona z pod czerwonej czapeczki zdobnej w pawie piórko, przyskoczył do Marysi mówiąc: mój mocny Boże! czemuż to na świecie inaczej jak w piosence?

— A!—to ty, Janku, rychło dziś wracasz do chaty;— zagadnęła Marysia.

— Ha! dorznęliśmy już owsa. Gospodarz z Wojtkiem zostali jeszcze w polu, układają mendle, — ja przywiózłem do stodoły resztę jęczmienia, wyprzęgłem wółki bo się nieboraki tego zmachały, i znów co duchu lecę w pole pomagać staremu Bartłomiejowi.

— „Lecę co duchu“— rzekła podrzeźniając Marysia — a stoisz tu nic-dobrego; — to mówiąc powstała z ziemi, lewą ręką przytrzymując róg fartuszka napełnionego świeżo zżętym zieleń, prawą zaś w sierp



uzbrojoną groziła Jankowi. Nie uląkł się wszakże parobczak srogiej postaci dziewczęcia, bo w ciemnym oku Marysi niebyło śladu gniewu, usta zaś w miejsce surowego wyrazu, na pół otworzone do uśmiechu, odkrywały dwa rzędy cudnej białości ząbków.

Janek złożył ręce jakby przed obrazkiem Boga Rodzicy, popatrzył chwilę w piękne oczy Marysi, objął okiem wiotką i kształtną kibić dziewczęcia.

— Bóg widzi, rzekł — że wiernie i pilnie służę gospodarzowi, że się nie lenię do pracy, że nie chcę darmo jeść chleba, — ale jak spojrzę na twoje oczka, moja śliczna Marysiu, to jakby mi nogi wrosły w ziemię; — i czemuż cię Pan Bóg taką gładką stworzył? Oj biednać to biedna moja dola! ty nie dla mnie Marysiu. — U starego Bartłomieja dostatek w stodole, — jedno zboże do drugiego leży, — u Bartłomieja dwie krówki w oborze, i dwie jałowice rosną na posag dla Marysi, — u Bartłomieja i grosiwa nie skąpo — a biedny Jonek niema nic, tylko te dwie ręce do pracy. Niech tam Bóg błogosławi waszemu dobytкови, ale bodajby go lepiej nie było! byłabyś moją Marysiu, a Bóg widzi, wyżywiłbym cię pracą rąk moich, — miałabyś kraśne chustki i gorsety, białe jak śnieg rańtuchy, miałabyś różnobarwne wstęgi, i Krakowskie korale, i stałoby na wszystko, bobym pracował z całej siły, a po dziennej pracy wracałbym ochoczo wieczorem do chaty, boby mnie śliczna gosposia czekała z wieczerzą. — O Boże! Boże! toć z tego nie

nie będzie boś ty bogata, a ja biedny sierota. Rodzie twój z litości mnie przygarnął gdyś jeszcze był mały, niech mu Bóg za to zapłaci.

To mówiąc spuścił głowę Janek na piersi, łzy zakręciły się w jasnym jego oku, Marysi żal się zrobiło parobezaka; — zbliżyła się do niego, rękę oparła mu na ramieniu:

— No nie frasujta się Jonku — rzekła, bądź-ta dobrej myśli. Stara Frąckowa moja chrzesna mówiła mi, że jak w niedziele gospodarze zeszli się do gospody, jak zasiadłszy za stołem poczęli radzić — stary Paweł zapytał tatula: czemu źle przyjął Sobka jak po wielkiej noey przychodził z wódką do chaty? Tatulo na to nie zrazu nieodpowiedzieli, ale po jednym i drugim półkwatku usta mu się rozwiązały. — „Mój kumie — mówił do Pawła, chcesz wiedzieć dla czego nie przyjąłem Sobka na męża dla Marysi, oto dlatego, że to człek ladao wypędził z chaty własną matkę, i nieboga musi się teraz poniewierać u obcych, a przecież wiecie, że kto ojca matki nie szanuje, temu Bóg nie błogosławi. Błogosławieństwo rodziców, niebieską rosę spuszcza na ziemię.

— Prawda, że Sobek ma się dobrze, że stodoła jego pełna zboża, że w obórce nielada dobytek ale wspomnijcie moje słowa: wszystko to wyjdzie na marne, ani się spostrzeżesz kiedy lichy weźmie całą chudobę. — Nie jeden rok człowiek żyje na świecie, widział już nie jedno; — mam ja dla Marysi — mówił dalej rodzic — co innego na oku, prawda że chłopak

ubogi, ale ma zdrowe ręce, a przy Boskiej pomocy to się reszta znajdzie. I ja nic nie miałem, jakem się żenił z nieboszką moją Małgosią, a jednakże Pan Bóg pobłogosławił. — Darmo się Paweł dopytywał tatula, kogo to ma na oku; — nie więcej nie chciał powiedzieć, tylko że po godach wszysej się o tém dowiedzą. Na te słowa skraśniały piękne lica Marysi, po chwili zaś dodała: mnie się wszystko widzi — mój Jonku — że to on o tobie zamyśla, bom ja już nieraz uważała żeś ty jakoś przypadł do serca rodzicowi.

— Moja Marysiu droga — odrzekł Janek — toć się zdaje, że człowiek już pokolana w niebie, kiedy słyszy takie słowa. To mówiąc, objął w pół giętką kibić Marysi, przycisnął ją mocno do piersi, usta zbliżył do gładkiego lica dziewczęcia; Marysia bronila się z razu, a gdy Jankowi znowu lzy w oczach stanęły, gdy wyrzekł żałośnie: „ty mnie nie kochasz Marysiu, — dziewczyna byłaby chętnie życie oddała dla niego. W tem turkot dał się słyszeć na drodze wiodącej przez wieś. Marysia i Janek spiesznie przyskoczyli do płota dzielącego ogródek od podwórka. Piękny pojazd spuszczonej, wybity żółtą materyą w deseń, toczył się środkiem drogi, unoszony przez parę dzielnych koni karęj maści; w głębi spoczywały dwie kobiety: jedna czterdziestoletnia, lecz piękna jeszcze a nade wszystko starannie i gustownie przybrana, druga chuda, wysoka i nie młoda. — Naprzeciwko nich siedziały dwie znacznie młodsze, zwłaszcza jedna siedmnaście lat zaledwie liczyć mogła, twarz jej nie zupełnie

piękna, nęciła wszakże pewną młodzieńczą krasą. Druga o kilka lat, starsza, z bladym i tęsknym obliczem w popielatą płócienkową przybraną suknię, rysy miała wydatne, pełne powagi i łagodności. — Spozostregłszy Marysię powitała ją uprzejmie skinieniem głowy, a zapłomieniona dziewczyna z wdzięcznym uśmiechem, ukłoniła się do ziemi. W tejże chwili młody przeszło dwudziesto-letni mężczyzna siedzący na koźle, zwrócił wzrok w stronę gdzie stała hoża Marysia; znać że piękne dziewczę wpadło mu w oko, bo wstrzymał nagle konie, otrząsnął popiół z cygara i pod pozorem, że zgasło, zawołał na dziewczynę aby przyniosła ognia. — Marysia podała mu rozżarzony węgiel — zapalił cygaro młody panicz, ale Jankowi ciężko się jakoś na sercu zrobiło. Zamiast iść w pole pomagać pospodarzowi, stał z spuszczoną głową, mierząc okiem ślady kół świeżo na drodze wyciśnięte. Marysia tymczasem zaniósła ziele do obórki, podała jeść krowom i doiła mleko w skopek drewniany, a głos jej miły, dźwięczny, rozlegał się daleko z rosą wieczorną, tylko że nuta jej piosnki smutniejszą była niż zwykle, — zamiast rażnego krakowiaka, śpiewała tęskną dumkę.

Stary Bartłomiej więcej pracą niż laty schyłony, wolnym krokiem powracał do chaty; obok niego szedł Wojtek syn jedynej, rokiem starszy od Marysi. — „Jonku! Jonku! — wołał Bartłomiej z daleka, miałeś wnet powrócić na pole a tu stoisz z założonemi rękoma; — oj! ty nic dobrego. To mówiąc, groził rę-

ką, lecz niebyło gniewu w jego słowach, a gdy Janek upokorzony ścisnął nogi gospodarza; stary poklepał go po ramieniu mówiąc: „no zostań synu, tylko pamiętaj żeby tego więcej nie bywało — Potem kiwnął głową i mruknął z eicha: „i jać nie byłem lepszy jakem miał lat dwadzieścia.”

Marysia téczasem wydoiwszy krowy, suty w izbie nałożyła ogień. Stary Bartłomiej przysunął ławę, zasiadł patrząc w płonące jasno łuczywo. Wojtek przystawił stół. Marysia nakryła go grubem lecz białem płótnem — odstawiła od ognia kipiący garnek mleka, wrzuciła weń miskę grubych żytnich klusek, w drugim garnku roztarła kartofle, okrasila usmarzoną w rynce słoniną, położyła nadto na stole wielki bochenek czarnego razowego chleba, krajanke białego sera, i wszysey razem pożywali smaczno, zapracowany dar Boży. Ogień tymczasem rzucał blask jaskrawy na białe jak śnieg ściany, — oświecał obrazy świętych rozwieszzone do koła izby, i świadczył o zamieszności chaty, odkrywając liczne i chędogie sprzęty rozstawione na drewnianych pułkach; — a gdy powóz o którym mówiliśmy przed chwilą wracał środkiem wsi do dworu, w chacie Bartłomieja zabierali się wszysey do spoczynku, i klęcząc z obliczem pochylonem w ziemię, pobożnie powtarzali słowa wieczornej modlitwy.

## II.

Na drugim końcu wsi w pośród zielonego gaju dzikich drzew, przekładanych w sztuczne angielskie klomby, na zieloném kobiercu z murawy, wznosił się wspaniały pałac, w włoskim guście z płaskim dachem. Dwa rzędy kolumn łączyły z obydwoh stron korpus z obszernemi officynami; — na pierwszy rzut oka znać, że pałac ten zamożny zbudował właściciel. — Jakoż rzeczywiście Hrabia Radosz, który w roku 1795 jak świadczy napis, wznosił gmach ów wspaniały, długi szereg antenatów liczył w swoim rodzie; przodkowie jego zasiadali niegdyś w senatorskiem kole, niekiedy nawet i biskupia infuła — i hetmańska buława, dostała się któremu z członków rodziny, mimo to wszakże, za panowania ostatniego Sasa, Radoszowie usunęli się od dworu. — Zbytki nadwerężyły znaczny niegdyś majątek, wojna dokonała reszty.

Stary Radosz Starosta, ojciec hrabiego, gorliwy stronnik Leszczyńskiego, nie opuszczał Króla do ostatniej chwili, dopiero po wyjeździe Stanisława do Francyi, powrócił z królewca, lecz nieprzychylny saskiemu dworowi, wolał raczej usunąć się na wieś i pierwszą rolę odgrywać pomiędzy okoliczną szlachtą, aniżeli zajmować podrzędne miejsce w stolicy. Słynął dom Starosty z uczt, biesiad, szlachta garnęła się do niego, bo Starosta mimo rodowej dumy, w wysokim stopniu posiadał starodawną cnotę gościnnos-

ści, a dawne Radoszów imię, niczem dotąd splamione nie było.

Starosta miał tylko jedynaka syna. Lubo sam dla siebie przekładał życie wiejskie nad zgiełk dworski, pragnął wszakże aby syn poprobował szczęścia na wielkim świecie. W pierwszych więc latach panowania króla Stanisława Augusta, oddał młodego Hieronima za pazia do królewskiego dworu. Pozy-skawszy łaskę monarchy, młody Radosz z pazia został wkrótce szambelanem, — niedługo potem zajął wyższy urząd u dworu, — a gdy sędziwy ojciec oddał Bogu ducha, z powszechnym żalem włościan i okolicznej szlachty, wówczas syn już zaszczycony tytułem hrabiego, znaczny zebrał majątek, a wpływ u dworu, i łaska monarchy, coraz świetniejsze roko-wały mu nadzieje. Młoda hrabina, małżonka jego, nie szczędziła skarbów które mąż gromadził kosztem pocziwego imienia. Jedna z najświetniejszych szarmantek swego czasu, błyszczała czas niejaki w pełni wdzięków i krasy, lecz wycieńczona nieustannym niewywczasem, tańcem i zabawą, w nader krótkim czasie zużyła cały zapas życia, i znikła pobu-jawszy swobodnie kilka pięknych wiosen. Po jej śmierci nieprędko hrabia Hieronim wstąpił w nowe związki. Wśród uciech życia, nie czuł potrzeby ściślejszych rodzinnych węzłów, i dopiero w pięćdziesiątym siódmym roku, czując zbliżającą się starość, przesycony światem, widząc z żalem że nie ma komu zostawić obszernego majątku, zapragnął odro-

dzić się w następcach, i pojął w małżeństwo piętnastoletnią Ludwikę Borzyską, ubogą panienkę. Sam zajął się jej wychowaniem, zawiózł ją do Wiednia, do Paryża, otoczył zbytkiem, a usiłowania jego tak pożądanym uwiecznione zostały skutkiem, że w przeciągu lat kilku skromna dziewczyna, zmieniła się w modną i wykwintną damę; lica jej niedawno świeże i rumiane oblały się zajmującą bladością, bicie serca, migrena, i mnóstwo cierpień nerwowych, zastąpiły miejsce czerstwego niegdyś zdrowia.

Młoda hrabina nie mogła znieść najmniejszego hałasu dla tego też, dwoje drobnych dzieci córeczka i młodszy o lat kilka synek, chowały się zdala od oka matki, pod dozorem bony francuzki.

Karolinka liczyła zaledwie lat dziesięć gdy umarł stary hrabia. Bolesnie uczuła dziewczynka tę stratę, gdyż nie kochana od matki, wyłącznie posiadała przywiązanie starego ojca. Juliusz zaś przeciwnie, ukochanem był matki dziecięciem, wszystko mu było wolno, — gdy przeciwnie za najmniejsze przewinienie, Karolinkę surowo karano.

Z każdym rokiem przybywało nowych powabów dziewczynie, i z każdym też rokiem wzrastała niechęć matki, przewidującej w córce współzawodniczkę niewieścich wdzięków, i żyjący dowód przeżytych lat, które hrabina z wielkiem staraniem ukryć usiłowała.



Karolinka w siedmnastym roku życia, krótkie jeszcze nosiła sukienki, włosy w górę zaczesane, mimo to piękny rumieniec dziewczęcia, gasił cokolwiek piękne jeszcze lice matki.

Karolina zupełnie podobną była do ojca; rysy jej piękne lecz cokolwiek surowe, nietylko że zdradzały wiek ukrywany, ale nadto starszą jej nadawały postać. Juliusz za to istnym był portretem matki. To też hrabina kochała go nad życie, kochała po swojemu, wszystko mu pozwalała z obawy aby kochany Julcio nie zachorował. Zepsuty chłopiec okazywał więc od samego dzieciństwa złe serce, i wielką skłonność do samolubstwa.

Zimę przepędzała zwykle hrabina w Warszawie, lato zaś w Polanówce. Dwaj guwernerowie Francuz i Anglik trudniący się wychowaniem Juliusza, poleceniem mieli wyraźnie, aby chłopca nie obciążać naukami. Korzystając więc z tego, posłuszni woli matki, tak wiernie spełniali jej życzenie, że w siedmnastym roku Juliusz umiał wprawdzie płynnie szczebiotać po angielsku i francuzku, o obecnych wypadkach świata lekkie miał wyobrażenie z ryto i drzeworytów porozkładanych na stolikach matki, których znaczenie tłumaczyli mu niekiedy grzeczni nauczyciele; lecz w wiadomościach jego najmniejszego nie było ładu, w głowie żadnego porządku, w sercu żadnego szlachetnego uczucia.

Na usilne żądanie opiekuna pana Kalinowskiego,  
OD. II TOM II. 8

dalekiego krewnego hrabiego, zmuszoną była hrabina przybrać na koniec nauczyciela Polaka. Daremnie wruszała ramionami, daremnie dowodziła że Juliusz aż nadto umie po polsku, rozmawiając mimo jej zakazu ze służącymi w przedpokoju; pan Kalinowski człowiek światły tyle wymową swoją dokazał, że hrabina skłoniła się na koniec do jego życzenia. Młody Stanisław... ukończywszy nauki w Dorpacie wszedł w obowiązki nauczyciela do domu hrabiny, lecz oprócz nauki dziejów języka, uwolnionym był od wszelkich innych względem ucznia swego powinności, a główny dozór pozostał i nadal w ręku Francuza. Młody Juliusz sypiał do dziesiątej, wychodził potem z wyzłem na polowanie, lub jeździł z chartami po polu, nie tyle z wrodzonego upodobania jak raczej dla mody —bo łowy to przecież pańska zabawa, a potem lekarze polecili mu aby jak najwięcej używał świeżego powietrza. Po obiedzie Juliusz brał lekcję dziejów lub literatury, a najczęściej zasypiał podczas, gdy pan Stanisław czytał mu głośno dla zachęcenia jaki piękny utwór autora Rusalek lub zamku Kaniowskiego.

## II.

Było to w końcu maja 1843 roku, hrabina Radoszowa spoczywała na miękkiej aksamitnej sofie,—

przed nią na palisandrowym stole leżało kilkanaście wielkich ksiąg, bogato oprawnych w safian i złoto. Księgi te zawierały piękne angielskie portrety bohaterów romansów: Walter-Scota, Balzaka, i George Sand; dzieje Napoleona z drzeworytami według Werneta, — wizerunki najznakomitszych artystów i artystek francuzkich, i inne tego rodzaju dzieła. Leżące obok tego ostatnie poszyty: *Illustration*, *petit Courier des dames*, — nakoniec kilka numerów: *Journal des Debats*, świadczyły wymownie, że hrabina lekając się zardzewieć na wsi, baczniem okiem śledziła postęp ucywilizowanej Europy. — W pięknej szafie palisandrowej za szkłem, poukładane były najświeższe romanse Balzaka, Eugeniusza Sue, Souliego i Dumasa; — na pysznym sekretarzu w gotyckim guście, w pośród mnóstwa pięknych i kosztownych gracików, leżały dwie bogato oprawne księgi, zapisane ręką hrabiny. Jedna z nich zawierała wyciągi z najnowszych francuzkich i angielskich dzieł, — druga zaś dziennik hrabiny po francuzku pisany. Wspaniałe draperye z niebieskiego adamaszku osłaniały okna i drzwi, ściany zaś zawieszane były najpiękniejszymi angielskimi rycinami. Wielki kobierzec w wschodnim guście, wyściełał posadzkę, mnóstwo najrzadszych kwiatów w wazonach rozmaitego kształtu, zdobiło okna i stoły. Bluszcz rozpięty sztucznie, tworzył w bliskości okna świeżą zieloną altankę. W pośród tego wszystkiego, spoczywała niedbale piękna jeszcze hrabina; — szlafroczek biały muślino-

wy, otaczał jakby obłokiem otyłą nieco kibić, włosy płowe w długich zwojach ocieniały okrągłe i świeże jeszcze lica. Ręka cudnej białości podparła czoło na którym znać było widoczny ślad gniewu. Po chwili namysłu ujęła ze stołu za dzwonek, i zadzwoniła z wyrazem zniecierpliwienia.

Na odgłos dzwonka wbiegł służący przybrany w piaskową barwę, zdobną pąsowemi wyłogami.

— Zawołać mi natychmiast pannę Karolinę! rzekła hrabina, zmarszczywszy nieco czoło.

Służący wyszedł spieszenie i niebawem we drzwiach pokoju ukazała się młoda jeszcze dziewczica. Ubiór jej staranny pomimo nadzwyczajnej skromności i prostoty, dziwnie odbijał przy stroju matki. Suknia lila płócienkowa pięknie odznaczała składny kształt spadzistych ramion, włosy skromnie zaczesane, nie zasłaniały gładkiego czoła ani skroni. Dziwny ogień tlił w głębi ciemnego oka, otoczonego czarną rzęsą i równie czarnym łukiem kształtnych brwi. Lica jej śniade zaledwie dostrzeżonym powleczone były rumieńcem, usta wydatne i pięknie odznaczone, pełne były wyrazu dobroci, kibić wzniosła nadawała jej pewien pozór dumy.

— Karolino,— rzekła surowo hrabina, spostrzegłszy córkę — odebrałam powtórny list od kasztelanowej, żąda stanowczej odpowiedzi.

— Nie cofnę słów swoich, matko, — odrzekła z powagą Karolina;— ja nie chcę i nie mogę być żoną Henryka.

— Niechce, nie mogę!? i odkądże to dzieci, ośmielają się zuchwale stawiać opór woli rodziców?— zawołała hrabina gniewnym głosem.

— Odtąd, jak rodzice dając stosowne ukształcenie dzieciom czynią je odpowiedzialnymi za dalszy los—odrzekła zimno Karolina; lecz z postawy jej można było wnosić, że nie wyrażała dokładnie swęj myśli, i że tylko przez uszanowanie przynależne matce nie dodała: „odtąd, jak rodzice przestali zasługiwać na szacunek i zaufanie dzieci.“

Czyli to matka odgadła tajemną myśl Karoliny, czyli téż rozgniewana oporem córki, szukała tylko sposobności wybuchnięcia, powstała nagle, jaskrawy rumieniec wystąpił na jęj lica.

— Czy ty myślisz niegodna dziewczyno — zawołała — że ja nie znam głównego powodu twęgo nieposłuszeństwa? — czy mniemasz że m niewidoma? — dawnom już dostrzegła miłostki twoje z tym włóczęgą, — zrazu nie śmiałam oczom własnym dać wiary, lecz wczoraj przekonałam się zupełnie. Powiedziałam mu dziś rano żeby się najspieszniej oddalił z mojego domu, w którego progi wniósł wstyd i hańbę.

— Matko! przerwała Karolina, — a lica jęj trupa oblały się bladością; mimo to nie uchyliła oka przed zagniewanym wzrokiem matki, — Matko! — znasz mnie dostatecznie, nie jestem już dzieckiem, mam lat dwadzieścia. Młodsza będąc nie popełniłam naj-

mniejszej lekkomyślności, zaręczam ci matko jestem niewinną.

— O tak, niewinną, według twego przekonania— odrzekła z szyderstwem matka, wszakże miłość nie jest występkiem; jest to uczucie mimowolne, któremu się serce kobiety oprzeć nie może, dodała z ironią. Gdyby żył twój ojciec,— tu matka wskazała ręką na wizerunek hrabiego zawieszony nad kanapą— umarłby powtórnie widząc hańbę swego imienia.

Na wspomnienie ojca w chwili tak gwałtownego podrażnienia, łzy potokiem spłynęły po licu Karoliny;— padła na kolana: — „Ojcie mój zawołała — czemuż cię już nie ma, tyś mnie kochał, na twoje łono wylałabym całą gorycz mego serca, tybyś mnie pojął bobyś mnie ojcowskiem osądził sercem.” I głośne łkanie stłumiło ostatnie słowa dziewicy.

Hrabina szybkim krokiem chodziła po pokoju zalamując ręce nie z żalu, lecz z oburzenia. Nakoniec padła na sofę w spazmatycznych poruszeniach i na cały głos wołała o ratunek. Zbliżyli się domownicy, przybył i Juliusz, zaprowadzono hrabinę do łóżka — Karolina zaś na wyraźny rozkaz matki oddaliła się do swego pokoju.

## IV.

Uplęło lat dwa. W Polanówce nie się na pozór nie zmieniło; na stoliku hrabiny Tajemnice Paryża zajęły miejsce innych dawniejszych utworów. Lica Hrabiny zawsze piękne, mały nosiły ślad dwóch lat strawionych w bezczynności; w Juliuszu za to większą nierównie widać było różnicę. Dwa lata spędzone w Paryżu, dały mu bezwątpienia wiele powierzchownego poloru, — rysy niedawno okrągłe i dziecinne zaostrzyły się nieco; płeć ciemniejszą przybrała barwę, — broda sztucznie przystrzyżona w guście średnich wieków, męzką nadawała mu postać. Matka tymczasem wielki ułożyła plan na przyszłość ukochanego syna.

O kilka mil od Polanówki mieszkał bogaty spekulant. W roku zeszłym umarł zostawiwszy jedynaczkę córkę. Żona nie żyła już od lat siedemnastu, od chwili urodzenia Amelii. Dalecy krewni opiekowali się sierotą. Przezorna Hrabina zaznajomiła się z niemi; nie szczędziła grzeczności, uprzedzeń; — sprowadziła syna z zagranicy pomimo, że nie upłynął jeszcze czas przeznaczony na pobyt jego w Paryżu. Postanowiła nawet wbrew przyjętemu z wyczajowi przepędzić zimę w Polanówce, nie chcąc spuszczać z oka bogatej dziedziczki.

Nie na rękę było młodemu Hrabiemu tak rychłe ożenienie, — posłuszny jednak woli matki pocieszał

się myślą, że zostanie panem milionowego posagu, w dodatku zaś dostanie młodą i przystojną żonę.

Już kilka tygodni temu, Hrabina oświadczyła syna. Krewni Amelii chętnie przystali na jej małżeństwo z Juliuszem, — ślub jednakże odłożono do następnej jesieni z powodu młodego wieku Hrabiego.

Imieniny Hrabiny wypadły właśnie trzeciego Września w dzień S. Izabelli. Zaproszono całe sąsiedztwo na obchód uroczystości, a więcej jeszcze dla tego, że Aniela po raz pierwszy przybyła z ciotką na dni kilka do Polanówki.

Nie będziemy napróżno opisywać zgromadzenia, pocóż serce ziębić przypatrując się niedorzecznemu i niezgrabnemu naśladownictwu obczyzny? tam nie własnego, nie rodzinnego; ani mowa, ani ubior, ani obyczaje; wymuszony uśmiech kryje nudę, powierzchowna grzeczność osłania chłodną obojętność i nieraz uśmiech szyderyczy; świetny ubior, sztuczną krasą, rzeczywistą ubarwia szpetność.

Jedna tylko Karolina wśród tylu postrojonych lalek nie zmieniła właściwej postaci. Na jej białej muslinowej sukni nie widać było żadnej ozdoby, — bogate uploty kruczonych włosów, okręzały kształtną jej głowę, — żadna złota błyskotka, nie świeciła w jej ubraniu, a jednakże piękną była Karolina, — piękna, rzeczywistą pięknnością kształtów, piękna siłą woli i ducha spoczywającą w głębi ciemnego jej oka. Niezwykła bladość lica, jakiś wyraz cichego smutku, świadczyły o tęsknocie dziewiczego jej serca. Ona



jedna pod pozorem słabego zdrowia niemieszała się w tańczących koło, to też nie jeden z gości szeptał coś do ucha sąsiadowi, spoglądając ukradkiem na zapadłe cokolwiek jęj lica — nie jedna z pań obecnych złośliwe czyniła uwagi wzruszając ramionami. — Wszakże nie udana dobroć Karoliny, uprzejmość płynąca z serca, rozbrajała wszystkich pomału, wszystkich oprócz matki. Ona tylko jedna nigdy i słowa współczucia nieznalazła dla jedynęj córki.

Nazajutrz rozjechali się goście, została tylko Amelia z ciotką. Był to właśnie dzień, od którego zaczęliśmy naszą powieść. Wróciwszy z przejazdu towarzystwo nasze, zastało nowego gościa, marszałka Kalinowskiego, opiekuna Juliusza.

— Pięknie bardzo marszałku, zapominać o moich imieninach — rzekła hrabina podając białą rękę, którą pan Kalinowski grzecznie pocałował.

— Znać żem nie zapomniał — odrzekł marszałek — kiedy dziś acani dobrodziejka widzisz u stóp swoich pokornego sługę.

— Miłe zawsze przybycie Pańskie, ale czemuż Marszałek dobrodziej wczoraj zjechać nie raczył, byłby się lepiej zabawiał, pełno było pięknych twarzy-czek, a marszałek to lubi, — i tu Hrabina z uśmiechem pogroziła zgrabnym paluszkiem; marszałek tymczasem witał do koła damy, Juliusza po dawnęj znajomości pocałował w głowę.

OD. II TOM II. — 9

— Moja mościa dobrodziejko, rzekł zwracając się znów do hrabiny, — minęły już te czasy, kiedy człowiek rad był pohulać z przyjaciółmi. Oj, oj! starość nie radość:

Schylam się ja do wieczora,

Już ja nie ten com był wczora.

— I zabawy też nie te same — rzekł z złośliwym uśmiechem Juliusz. Przeszła moda ochoczych kielichów, jakaż to szkoda marszałku, nieprawdaż?

Pan Kalinowski zmarszczył gęste brwi, pokręcił siwego wąsa, zmierzył okiem Juliusza.

— Oj, zaprawdę, szkoda, ale nie kielichów, rzekł z westchnieniem, — zasiadając w wygodnym salfianowem krześle, — większa szkoda naszych poczciwych starodawnych obyczajów, szkoda uszanowania młodzieży dla starszych.

Hrabina lękając się aby nie przyszło do jakiego przykrego słowa, rzekła:

— No przyznajże marszałku, że kielich należał także do obyczajów naszych ojców; trudno sobie wyobrazić dawnego kontuszowego polaka bez zarumienionego lica, bez kurzącej się czupryny, co prawda to nie grzech.

— Moja mościa dobrodziejko, rzekł marszałek, nie stawam ja w obronie dawnych pijatyk; — Bóg widzi, że nieraz ciężko boleję nad obłąkaniem ojców naszych, — ale pozwól sobie Acani dobrze powiedzieć że kielichy nie mają związku z rodziną naszą przeszłością — przyszły do nas od

Niemców, jak stroje, zbytki i powierzchowny polor przysły później od Francuzów, — jak splen, hipokondrya, nudy, przysły dziś od Anglików; — jak karty przysły diabeł wie zkąd, a zaprawdę z tych wszystkich obcych śmieci, kielich podobno najmniej sprawił złego.

Szczere i gościnne serca naszych ojców, wylewały się chętnie przy butelce w przyjacielskim kole; — widział że kto aby polak pił samotnie dla tego tylko aby się napić? — o! wiercie mi państwo w błędach naszej przyszłości była strona szlachetna... a teraz... tu marszałek kiwnął głową, machnął ręką z wyrazem niechęci.

W tém wygalowani lokaje wnieśli do salonu na tacach herbatę z ciastami i wędliną — każdy zajął się posiłkiem, i rozmowa przerwała się na chwilę.

— A propos, dawnych obyczajów — rzekł Juliusz wypuszczając z ust kłęb dymu — te przechowały się dotąd pomiędzy ludem. Wie mama co, oto dla odmiany wartoby wyprawić naszym włościanom jaką sielską biesiadę. Właśnie też teraz podobno pora dożynków, — panna Aniela chętnie zapewne będzie widzieć uciechę tych biedaków.

— Quelle idée — rzekła Hrabina, — popiją się, pobiją, narobią chałasu — ja się tak boję téj chołoty, — zresztą jeżeli chcesz koniecznie można im dać wódki i piwa do karczmy.

— Byłby cel chybiony — odrzekł obojętnie Juliusz — tu idzie właśnie o to: żebyśmy się cokolwiek

rozerwali, patrząc na ich pół-dziką zabawę, — ce sera quelque chose de nouveau.

Hrabina ruszyła ramionami. Karolina milczała. Ona głębokiem współczuciem ukochała poczciwy lud, radaby była z serca aby włościanie po ciężkiej pracy, użyli dostępnej dla nich zabawy, lecz bolała ją pogarda matki, bolała ją lekkomyślność brata. W jej oczach obyczaj ludu, nieskażony zabytek dawnych czasów miały pewien urok, świętość; — ona, wśród prostoty i nieokrzesańia dostrzegła prawdziwie piękną stronę, rokującą wielkie na przyszłość nadzieje. — Z czcią i poszanowaniem poglądała więc na lud prawy i poczciwy, i przykro jej było gdy ktokolwiek śmiał się zabawiać nieokrzesańią jego prostotą. — Milczała więc Karolina i gdyby jej zapytano o zdanie, chętnieby się przechyliła na stronę matki, aby wyprawić włościanom zdala od pałacu ucztę, lubo z innych niżeli matka pobudek.

Ułożono więc że hrabina zaprosi listownie bliższe sąsiedztwo na niedzielę i że w dniu tym włościanie miejscowi, jako też z przyległych wsi należących do Polanówki, zgromadzą się na dziedzińcu pałacowym. — Amelia cieszyła się jak dziecko klaszcząc w obiedwie ręce; Juliusz już układał w głowie rozmaite plany, — Marszałek nie należał do rady albowiem strudzony podróżą wcześniej udał się na spoczynek — i niebawem rozeszli się wszyscy, bo jedenaście godzina wybiła przed chwilą.

Lecz sen nie zsuwa powiek na żądanie. Karolina

zmęczona bezsennością powstała, otworzyła okno, popatrzyła w czyste niebo okryte gwiazdami. Brzemie smutku spadło na duszę dziewicy. Wspomniała takąż samą noc, gdy przed dwoma laty, po raz ostatni żegnała Stanisława. Dziś przestrzeń ogromna dzieliła ją od niego. Sam, opuszczony, pod innym niebem trawił nieszczęśliwy dzień w tęsknocie. O jakżeby rada opuścić wszystko, iść za popędem serca, stać się towarzyszką jedyną trudów i boleści ukochanego,— lecz trudno walczyć z niepodobieństwem. Karolina myślą przynajmniej ścigała przeszłość. Słowa jego głęboko w sercu przechowane, stały się dla niej prawidłem postępowania. Umysł bogaciła codziennie nauką, serce cnotą i poświęceniem; — koło jej wyobrażeń szerzyło się coraz dalej, myśl jej coraz wyżej sięgała, a pamięć jego, wspomnienie krótkich chwil szczęścia, mimowolna jakaś nadzieja przyszłości rozjaśniała tajemniczym światłem ciemny jej widnokrąg, i dodawała odwagi do życia.

Gdy serce cierpi, a nie ma przyjaznej dłoni która by chętnie otarła łzę z oka, utuliła niepokój duszy,— ucha, któreby z pobłażaniem przyjęło skargę wydzierającą się z piersi, miło natenczas wylać na papier nadmiar uczucia. — Karolina zapaliła świecę, a lubo nie pewna czyli słowa jej dojdą kiedykolwiek przeznaczonego celu, zaczęła jednak list, a w miarę jak myśl jej splotywała na papier, serce jej coraz było lżejsze, dusza coraz swobodniejsza.— „Stanisławie — pisała dziewica — dwa lata upłynęło od

chwili jak cię widziałam po raz ostatni, a Bóg jeden policzył lzy moje, Bóg jeden zmierzył głęboką boleść duszy mojej. A jednakże Stanisławie pamiętam słowa twoje wyrzeczone w dzień oddalenia: „Nie żałuję tego, mówiłeś żem duszę twą wyrwał z ciasnych ram światowych wyobrażeń.” — Codziennie odtąd wspominam owe słowa i wdzięczną ci jestem za nie; widzę żeś mnie już wtedy ocenił, a raczej odgadł, bo czemuże człowiek zanim go dotknie ręka nieszczęścia? owa ręka ciężka i nieprześlągana która gniecie istoty niedołężne, silniejsze zaś wznosi do szczytu ziemskiej doskonałości. — Gdy wspomnę na pierwsze lata mojej młodości, kiedy jakby sprzęt bezużyteczny zdobiłam salon mojej matki, nie pojmując, że jest w przeznaczeniu kobiety wyższy cel nad błyszczenie w świecie, wyższa rozkosz nad odbieranie pochwał i poklasków, nad stroje i zabawy — gdy wspomnę na siebie, ową Karolinę którą świat się bawił jak dziecię lalką — a gdy obok tego postawię się dzisiaj złamaną życiem i cierpieniem, z postacią zmienioną do niepoznania, z bólem i tęsknotą w sereu, o! zaprawdę nie żał mi owęj uroczej młodości, nie żał mi wcześniej styranych wdzięków, nie żał mi owęj nie znaczącej swobody. Dzięki ci Stanisławie żeś wyrwał mą duszę z nicości, żeś sprostował wyobraźnię moją skrzywioną przewrotnem wychowaniem — żeś mi wskazał skarb szczęścia i pokoju nie zależny od zewnętrznych wpływów w pracy, miłości i poświęceniu!

„Dziś wyzwoliwszy myśl moją z ciasnych więzów osobistości, jaśniej widzę do koła. Poznaje świat jakim jest, a wśród gruzów i spruchniałości, widzę piętno wyciśnięte ręką Boga, którego nie zetrą żadne wpływy, którego pielęgnowanie Bóg powierza wybranym. Dziś pojmuję że będąc pozbawioną wszelkiej nadziei osobistego szczęścia, oddalona, może na zawsze od tego który droższym mi jest nad życie, nie oceniona od nikogo, mogę jednakże być szczęśliwszą niżeli świat sądzi, bo błogo temu w czyjém sercu zamieszka Bóg i prawda.“

„W modlitwie, pracy i wspomnieniu o tobie, znajduję siłę do stawienia czoła nieszcześciu; — kształcąc umysł i serce, pragnę stać się godną ciebie, a jeżeli los nas dzieli, niech przynajmniej duch nasz jednoczy się w wspólnem pojęciu i dążeniu.“

„Co mnie nadewszystko boli, to skrzywienie wyobrażeń mego brata, — pobyt jego dwuletni za granicą bardziej jeszcze ostudził zimne jego serce. Pieczęty matki rzuciły w nie zdawna zaród egoizmu, złe towarzystwa dokonały reszty. Nieraz usiłuję odkryć w jego duszy szlachetniejszą stronę, która by jakkolwiek dźwięk wydać zdołała. Daremnie! na wszystko odpowiada ironią, wszystko okrywa barwą śmieszności. O! biada człowiekowi, biada ludom, dla których nie ma świętego. Szyderstwo wysusza uczucie, zabija wiarę, a bez wiary, bez uczucia, cóż się ostoi na świecie?!....“

Skreśliwszy te słowa, Karolina, zaspokojona nie-

co, schowała rozpoczęty list, zagasiła świecę, zasnęła — a marzenia scene, kołysząc jej duszę, błogą nadzieję wskazywały w oddaleniu.

## V

Nadeszła niedziela, goście z sąsiedztwa zjechali się na obiad do Polanówki. Dzień był piękny, a choć wrzesień na niebie, słońce paliło jakby wśród Lipca. Po obiedzie zgromadzone towarzystwo zasiadło przed pałacem, — tymczasem zbierała się zwolna liczna gromada włościan. — Starsi gospodarze pozasiadali ławy, młodszy parobcy pobrzękując podkówkami i kółeczkami u pasa, zdradzali niezmyśloną ochotę do tańca.

Tymczasem wytoczono beczki z wódką i piwem, wyniesiono kółacze pszenne, sér i sztuki pieczonego mięsiwa, i chojnie częstowano zgromadzonych włościan. Dziewuchy przybrane w różnobarwne spódniczki i gorsety, we wstęgi, korale i kwiaty, niosły w ręku wieńce uwite z rozmaitego zboża — przeplatane w bławatki i orzechy. Marysia jak gwiazda jaśniała w gronie dziewcząt. Biała jak śnieg spódnica w gęstych fałdach spływająca do stóp odkrywała drobne nóżki przybrane w Krakowskie trzewiki, obszyte czerwoną wstążeczką. Gorset niebieski zręcznie



odznaczał wiotką i udatną kibić; sześć sznurków koralu zdobiły jakby utoczoną szyję, krucze włosy przeplatane w różnobarwne wstęgi, spuszczały się na składne ramiona, — kwiaty zatknięte po nad czołomnie były świeższe jak lice dziewczęcia. Piękne ciemne oko długimi otoczone rzęsy, jaśniało pogodą. Usta drobne, rumiane jak koral, na pół otwarte do uśmiechu, odkrywały dwa rzędy białych i równych ząbków. Na palcach jej błyszczały złociste pierścienie, jeden zwłaszcza z niebieskim oczkiem, dar Janka, przywieziony niedawno z Krakowa, świetniej jaśniał nad inne. Jak przez czas żniwa w polu, tak i teraz przodowała dziewczętom, trzymając w ręku najpiękniejszy wieniec pszenny, a po wesołej przegrywce skrzypków, basetli i cymbałów, zaśpiewała czystym głosem stósowną do okoliczności piosnkę, którą wszystkie dziewczęta wraz z nią powtarzały. Każdy z obecnych znalazł dla siebie jakieś trafne przystosowanie, złożone na prędko pod wpływem obecnej chwili. Nie szczędziła w piosnce i skarg na ekonoma i karbowego, że weześnie zaganiają do pracy; i nazbyt długo trzymają w polu, — i przymówek do sąsiadów że się opóźniają ze żniwem, — i pochwał dla panicza, — i pani. Złożyła nakoniec wieniec w rękę Juliusza, jako młodego dziedzica; — hrabia parę sztuk złota wsunął za to w jej rękę. Skraśniały lica Marysi, radość rozjaśniła piękne jej oko — układała już w myśli jakie wstążki i pa-

ciorki kupi w Krakowie za otrzymane pieniądze. Pobiegła do Janka, okazała mu dar hrabiego. Janek zbladł, zmarszczył brwi, dziwna jakaś troska osiadła mu na czole, niepokój ścisnął serce. Muzyka temczasem brzmiała ochoczo. Juliusz wziął na samprzód do tańca jedną ze starszych gospodyń, Amelia swobodnie płaśała z młodemi parobkami. Karolina pod pozorem słabego zdrowia nie należała wcale do grona tańczących. Marysia w pierwszym tańcu dostała się Jankowi. Pięknie im było razem: on rosły jak dąb, silny, gibki i barezysty — ona wysmukła jak topola. Rozjaśniło się na chwilę oblicze Janka, lecz gdy później Juliusz nieustannie ścigał Marysię okiem, gdy wszystkie tańce z nią jedynie tańczył, zachmurzyło się jego czoło, usiadł za stołem obok starego Bartłomieja i milczał głęboko.

— No, cóż to Jonku, siedzisz kieby sowa — rzekł gospodarz — przecieżeś ty urodzony Krakowiak, a wszakżeto ojcowie nasi zwykli byli mawiać: „Krakowiaki dobre chłopcy, każdy z nich sześć dni pracuje, siódmego rad potańczyć.“

— A kiedy mnie noga boli, com ją siekięią skaleczył — odrzekł Janek, i to mówiąc skłonił się gospodarzowi.

— Ej nie gadałbyś, — jakem był taki młody, choćby obiedwie bolały tobym jeszcze rad tańczył, — Marysiu, Marysiu, Marysiu, chodźno tu, zawołał.

Ona w tój shwili stała na boku i spoczywała; — na głos ojca przybiegła co żywo zadyszana.

Janek zgadując wolę Bartłomieja, powstał z ławy, objął kibić Marysi, tymczasem muzyka zagrała Krakowiaka, basetla przywtarzała skrzypkom, cymbalista wybijał takt różno.— Obiegłszy koło stanął Janek z Marysią przed skrzypkami, i zanucił smutno stłumionym nieco głosem :

Wytryskuje woda z pod grubój topoli,  
Nikt nie wie, nie zgadnie, co mnie w sercu boli.

Ale taniec nie szedł ochoczo, i smutni byli oboje, i chmura zawisła na ich czole, i ciężkie przecucie zrodziło się w ich duszy. Janek nie tańczył już wcale. Marysia daremnie odmawiała naleganiom Juliusza, musiała tańczyć lubo niechętnie. Po północy rozeszli się wszyscy do domów — Marysia do białego dnia zasnąć nie mogła w komorze, — Janek zaś nie wrócił na noc do chaty — błąkał się po polu i lesie, ale dziwna jakaś tęsknota gonila za nim w ślady, i nigdzie nie dała spoczynku.

## VII.

Amelia wraz z ciotką wyjechały z Polanówki, Wrzesień tymczasem zbliżył się do końca. Reszty zboża zwożono już do stodoły. Juliusz swobodniejszy nieco od wyjazdu narzeczonej, nie spuszczał z oka Ma-

rysi. Hrabina śmiała się z niego: że raniiej wstaje, że więcej niż kiedykolwiek zajmuje się gospodarstwem, że sam pilnuje żniwiarzy. — Marysia tymczasem niechętnie przyjmowała załoty hrabiego i udawała że ich wcale nie rozumie.

Jedna z dziewcząt służących we dworze skaleczywszy sierpem rękę niezdolną była do roboty; trzeba było w jej miejscu postarać się o nową. Usłużny ekonom zwrócił oko na Marysię. Na pierwsze wezwanie, stary Bartosz odpowiedział: że woli widzieć córkę na marach aniżeli w dworskiej służbie.

Nazajutrz potem zajęto do dworu bydło gospodarza, gdy przypadkiem przestąpiło miedzę dzielącą jego rolę od pańskiego pola, i dopiero wypuszczono za wysoką opłatą. — Na drugi dzień gajowy zabrał w boru siekierę Jankowi gdy obcinał suche gałęzie na opał dla Bartłomieja; — trzeciego dnia Janek za harde słowo otrzymał chłostę. Nadeszła pora siewu, wysyłano raz wraz sprzężaj Bartłomieja z różnemi posyłkami, tak że stary gospodarz nie miał kiedy zaorać zawlec.

Marysia widząc o co rzecz idzie padła do nóg staremu ojcu:

— „Tatulu, tatulu, mówiła ja pójdę do dwora, mówiło dziewczę — niechże się już raz to wszystko skończy, — dosłużę do godów, a potem da Bóg doczekać powrócę do chaty.

— Niech cię ręka Boska broni, — odpowiedział stary Bartosz, — umarłaby drugi raz twoja matka,

choćby z grobu wstała żeby widziała, że noga twoja przestąpiła dworskie progi.

— Lecz gdy prześladowanie codziennie się powtarzało, gdy dobytek Bartosza widocznie marnieć począł, gdy ekonom zagroził że Marysię gwałtem do dworu sprowadzi, — gdy stary Bartosz pomyślał sobie: że to nie nowina, albowiem co rok działy się podobne rzeczy, — gdy Marysia ścisnęła nogi ojca mówiąc z płaczem: „przecież mnie znacie tatulu, wiecie żem nie skora do złego. — Pan Bóg mnie uchroni że się nie powalam w dworskim błocie, matula błagać za mnie Majestat Boski będzie; stary Bartosz zezwolił nakoniec na oddanie dobrowolnie Marysi, gdy ekonom wraz z karbowym przyszli do chaty wydrzeć mu jedyną córkę. Kiwał tylko głową stary powtarzając: „Panie, wielkie moje winy, kiedy mnie tak ciężko karzesz.” — Oko Janka pałało gniewem, pięść ścisnęła się mimowolnie jakoby grożąc zemstą. — Marysia płakała ciężko: „Biedna moja dola, mówiła nieboga. Boże zmiłuj się nademną.”

Lecz nie na tem koniec. Przewieziono Marysię na oddzielny folwark do Karczówki, pod pozorem że ma we wsi ojca, i co może wynosi ze dworu do rodzicielskiej chyta

Paniez, to pod pozorem polowania, to wreszcie bez żadnego pozoru, bo matka z pobłażaniem patrzyła na sprawki ukochanego syna — panicz mówię, codziennym bywał gościem w Karczówce. Tam-

tejsze gospodarstwo dziwnie mu przypadło do smaku. — Marysia płakała lica jój niedawno rumiane i boże oblekły się chorobliwą bladością, oczy wpadły i zapuchły od częstego płaczu. Przecież lubo Marysia mniej była piękną, panicz nie przestawał zalotów, bo go drażnił opór dziewczęcia.

Janek zrazu często zachodził do Karczówki, później coraz rzadszym bywał gościem. Niktby w nim nie poznał owego hożego młodziana z obliczem jasnym i wypogodzonym; wzrok ponury wlepił co chwila w ziemię, włosy w nieładzie pełne pierza i słomy, zasłaniały mu oczy i czoło.

— Oj Janku, Janku! — zawołała widząc go stara Fronckowa idąca do lasu po grzyby. — Marysia poczciwa dziewczyna, byłam ja onegdaj w Karczówce u kumy, widziałam jak nieboga ciężko płakała na swoją złą dolę. Tak mi się jój żal zrobiło, że aż się aż rozbeczała, choćem stara baba, i dawno zapomniałam o kochaniu. Ale jakże było nie płakać kiedy to tak wychudło niebożątko, że aż serce boli patrzeć, a toć to ja ją do chrztu podawałam. Oj! my z nieboszczką Małgorzatą a jój matką kochałyśmy się jak rodzone siostry, razem służyłyśmy we dworze, i jednego roku poszłyśmy za mąż. Ja też Marysię kocham jak własną córkę. Poszedłbyś Jonku do Karczówki, powiedziałbyś Marysi dobre słowo. Żyjąc nie jeden rok na świecie widziałam siła złego i dobrego, i powiadam ci: Marysia, Bogu duszę winna, choć złe języki Panie odpuść, co chcą plotą.

Janek skłonił się do nóg Fronckowej, bo to mądra niewiasta, — ona wie jak trawa rośnie, mówią i o niej sąsiedzi — rad, słuchał jej mowy, boć to każdego mile po sercu głaszcze jakie takie słowo pociechy. — Pracował dnia tego raźniej jak za zwyczaj, a po oprzęcie lotem ptaka poleciał do Karczówki. Już był pod samą wsią, gdy spostrzegł panieza jak na pięknym siwym wierzchowcu pędził drogą od Karczówki. — Czepeczka amarantowa aksamitna wyszywana złotem zdobita głowę Hrabiego, z pod niej wymykały się długie włosy płowe wijące się w kształtne pierścienie, — płaszczyk czarny, podbity amarantowym aksamitem zwieszony na jednem ramieniu uzupełniał malowniczą postać młodziana.

Janek spostrzegłszy go stanął jakby w ziemię wryty, wszystka krew zbiegła mu do piersi, zakipiała w żyłach. Paniecz przejeżdżając zmierzył go okiem z pogardą i popędził dalej. Stanął przed dworkiem pokrytym słomą i lekko zeskoczył z konia, — a Janek stał w miejscu jakby martwy. Nakoniec czoło zaciśnął w obie pięście, z ust jego wydarło się straszne przekleństwo, porwał się z miejsca i pobiegł do lasu. — Stary Bartłomiej próżno go czekał z wieczerzą. Janek dnia tego nie wrócił weale do chaty, nazajutrz z rana upił się w karczynie, późno poszedł na pańskie, i znów otrzymał chłostę.

Odtąd Janek coraz częściej zachodził do gospody, coraz bardziej leniwił do pracy. Stary Bartłomiej kiwał głową i powtarzał: „oj szkoda, wielka szkoda

chłopaka.” — I u Bartłomieja wszystko zmieniło się do niepoznania: chata zwykle czysto zewnątrz wybielona, pomalowana w różno-barwne wzory na znak, że w chacie znajduje się dziewcze na wydaniu, zabrudziła się od jesiennej słoty, a nie było komu poprawić. Stosy śmieci leżały u proga. Daremnie Bartosz łajał Wojtka, — biedny chłopak nie mógł wszystkiemu wydolać, musiał bowiem pracować za siebie, za Marysię, i za Janka.

I stary Bartosz zleniwiał jakoś do roboty, to też i bytło jego nie tak rażne jak dawniej bywało, i krówki nie chcą dawać mleka bo ich nie pielęgnuje baczna ręka Marysi, — i koniki pochudły, i w polu robota nie sporo idzie. — Siewu nie dokończył za pogody, potem nastąpiły deszcze i słoty, rzucił ziarno w błoto. Bogu wiadomo, jaki tam urodzaj pokaże się na przednówku. Kartofle zaledwie zdążył wykopać, i to przy pomocy sąsiadów.

— Czy wasz dom złe nawiedziło mój kumie — mówiła stara Fronkowa, a toć to dziś obiedwie krowy i kwaterki mleka nie dały. Poszukajcie no święconej kiedy, trzeba naznaczyć drzwi do obórki i snopek słomy zawiesić na drzwiach.

Bartłomiej kiwał głową; — „oj ciężka moja dola mówił nieborak, cóż robić, tak ci widać wola Pana Boga.”

Przyszedł nareszcie Listopad, w sam dzień wszystkich świętych, po żałobnych nieszpórach, Bartosz nieposzedł do gospody, aby jak dawniej pogawędzić



z kumami o dawnych czasach, o złej i dobrej doli, i o księdzu plebanie, i o dziedzicu: bo cierpienie jakby w żelazne kleszcze, scisnęło duszę starca, a człowiek nierad okazywać ludziom co go najbardziej boli. Stary gospodarz siedział więc na ławie przed ogniskiem, i smutnie głowę skłonił na piersi. Deszcz bił w okna izby, wicher świszczał jakto zwykle bywa w noc dnia zadusznego, w tém Janek pomieszany wszedł z cicha do izby, i stanął przy drzwiach w milczeniu.

— No! czego to chcesz Jonku, zapytał stary.— Janek objął nogi Bartłomieja, — „gospodarzu, wyście mi byli ojcem, rzekł ze łzami, wyście się mną opiekowali kiedym był drobnym sierotą, i teraz nie odmawiajcie mi waszjej łaski.

Przerwał na chwilę Janek—jakby mu głosu w piersiach zabrakło.

— Mów chłopcze, nie bój się niczego, — rzekł Bartosz.

— Oto widzita rzekł Janek ciszej nieco, a głos drżał w jego piersi, jabym się rad ożenił, boć to źle człowiekowi samemu na świecie; i tu zapłakał na głos.

— Bądźcie mi swatem ojcze, a Bóg wam zapłaci, dodał po chwili.

Ciężko do serca przypadła Bartłomiejowi mowa Janka, wspomniął na dawne swe widoki, od których wprawdzie odstąpił, widząc zmianę w jego postępo-

waniu. Miarkował wszakże rzeczywisty powód złego, ale miał w Bogu nadzieję, że to się jakoś ułoży. Nagłe postanowienie Jonka odebrało mu resztę ouchy.

— Mój synu — rzekł, kładąc rękę na ramieniu Jonka człek się żeni nie na rok, ani na dwa, ale na całe życie; — nie należy zatem bez zastanowienia przystępować do Pańskiego ołtarza, i bez uwagi zawiązać sobie świat na zawsze. A potem, wszakże to idzie noc zaduszna, nie pora synu myśleć o weselu. Lepiejbyś oto pomodlił się za dusze rodziców, a oni ci u Boga wyproszą może szczęśliwszą dolę.

Janek nie odpowiedział, płakał tylko rzewnie u nóg Bartłomieja.

— I czegoż płaczesz moje dziecko, rzekł stary, przecież ci nie odmawiam, daj tylko Panie Boże żebyś nie żałował, boć co nagle to po diable.— No i któraż to dziewczyna tak ci przypadła do serca?

Na te słowa Janek ciężko westchnął: — „Oj nie-do sercać, nie do serca — odrzekł — ale obiecałem Jadwidze Rochównie że się z nią jeszcze przed adwentem ożenię. Prawda że to było w karczmie przy kieliszku — dodał nieśmiało, aleć człek poczciwy powinien zawsze dotrzymać słowa.

— Zapewne mój Jonku, odrzekł Bartłomiej — a potem, Jadwiga dobra i potulna dziewczyna, i matka jej poczciwa kobiecisko, a to zawsze jabłko nie-

daleko od jabłoni pada; — nie mam ci nie przeciwko niej, jeśli już taka twoja wola. Pójdziemy we czwartek do chaty Rochowej.

## VII.

Nadszedł i czwartek. Bartosz wraz z drużyną zaprowadzili Jonka do chaty sąsiada. Stary Bartosz wszedł naprzód z dziewczosłębami. Jonek i družbowie pozostali za progiem, śpiewając zwykłą piosenkę.

Na wezwanie gospodyni weszli wszyscy do chaty. Jadwiga tymczasem przyrzadziła kubek, postawiła na stole, sama zaś więcej dla zwyczaju niżeli ze złej chęci uciekała za piec, z kąd ją wyciągnął Wojtek młody družba. Bartosz tymczasem dobył flaszę wódki; kubek pełen krążył do koła, tylko Jadwiga nie dotknęła go jeszcze usty. Wojtek nalał kubek do połowy, podał dziewczynie, ona cała zapłoniona odwróciwszy się cokolwiek wychyliła do dna, kosztując po trosze. Niedługo bawiła drużyna w chacie Rochowej. Stary Bartosz jakoś niedomagał i Jankowi ciężko było na sercu. Dziwno było Jadwidze, że się pan młody nie dopomina zwyczajnego przy obrzędzie pocałunku, nie wszakże nie mówiła, bo wstyd niewieści nie pozwalała; tylko gdy się położyła spać w komorze, gdy jakaś niepojęta tęsknota

zganiała sen z jej oczów, pomyślała sobie w duchu: „a gdybyć mnie nie kochał, któżby mu kazał żenić się ze mną, przecieżem nie bogata, nie dostanie posagu żeby się miał nań łąsić.”— I zasnęła nieboga, a nazajutrz obudziła się swobodnie bez śladu wczorajszej troski.

Inaczéj było z Jankiem. On chodził jak błędny, zaglądał niekiedy i do chaty Rochowéj, lecz prędzej jeszcze uciekał z przed oczu chożéj Jadwigi, a gdy zdala ujrzał siwego wierzchowca i wiatrem rozwiany płaszcz Juliusza, zaciskał pięście, zgrzytał zębami, i w dziwne jakieś wpadał szaleństwo.

Cóż się przez ten czas działo z biedną Marysią? O! zaprawdę ona najbiedniejsza ze wszystkich. Czula że jest niewinną, a jednak Bóg tylko jeden był świadkiem jej niewinności. Ludzie ją spotwarzyli, Jonek opuścił. Ojciec w niczem nie mógł dopomódz. We dnie chodziła jak obłąkana, w noey nie miała snu na oczach.

We czwartek rano dowiedziawszy się o zmównach Jonka płakała nieboga dzień cały; wieczorem zaś wybiegła niepostrzeżona. I biegła długo, długo, gdzie ją niosły oczy, a raczej serce. Sama nie wiedząc kiedy, stanęła w progu rodzicielskiej chaty, ale i w chacie nie było nikogo, w oknach ciemno, ogień nie płonął jak zwykle na obszernym kominie, drzwi zamknięte były na kołek. Załamała ręce nieboga, okiem rzuciła po wsi — w tém postrzegła jasne okna Rochowéj chaty.

Pobiegła czempredzej. Stała za okienkiem, zalała się łzami, — spostrzegła bowiem jak Bartłomiej złączywszy ręce narzeczonych błogosławił ich jako przybrany ojciec Jonka. — Ścisnęło się serce dziewczęcia, — stała długo martwa i nieporuszona, ktoś otworzył drzwi chaty, Marysia odskoczyła co żywo do okienka, bojąc się żeby jej niepoznano, i jak szalona pobiegła do Karczówki. Oko jej było obłąkane, usta spalone gorączką. Przybiegłszy do domu padła na łóżko, wszystka krew zbiegła jej do głowy. — Całą noc mówiła od rzeczy, śpiewała, zrywała się, i płakała na przemiany.

Nazajutrz stara Fronkowa zwyczajnie jak to kobieta ciekawa poszła do Karczówki. Dowiedziawszy się tam od kumy że Marysia bardzo chora, odwiedziła niebogą.

— Matulu, złota matulu, wołała Marysia, spostrzegłszy wchodzącą we drzwi niewiastę — oj! dziękuję wam żeście przyszli, bo wy nie wiecie może że to dziś waszej Marysi wesele. Uwijcie mnie matulku wianek z ruty i rozmarynu, i przypnijcie mi nad czołem, ale najprzód wyrwijcie mi to ciernie co mnie tu kole, ot tu, dodała wskazując na serce, i wychudłą ręką przyciskając do piersi szorstką ręką Fronkowej.

Stara kobieta zalęwała się łzami. Boże zmiłuj się nad nią, powtarzała co chwila. Tu w tém wszystkim musi być sprawa złego, trzeba czém prędzej odczynić urok.

I poczciwa Fronkowa poszła do komina na którym dopalało się ognisko, naląła wody w dużą miskę, i rachując uważnie puszczała na wodę rozrzarzone węgle. Ale węgle pływały po wierzchu, oczewiście nie ma w tém czartowskiej sprawy, ale choroba Marysi musiała być skutkiem innego powodu.

Okolo południa przyszedł Wojtek. Poznała go Marysia, bo na chwilę wracała jej przytomność. O! mój braciszku, o mój rodzony — mówiła do niego — nie gadaj do mnie, nie gadaj, bo mi serce pęknie od ciężkiego żalu.

Przed wieczorem przyjechał doktor po którego na rozkaz Juliusza posłano do miasta, upuścił wiele krwi, ale nie ręczył za nie, silne było albowiem uderzenie do mózgu.

Gdy doktor odjechał, Fronkowa pobiegła do Polanówki do starego Bartłomieja.

— Kumie, kumie źle się dzieje z waszą Marysią — rzekła — wehodząc w progi chaty, — biegnijcie no co żywo, bo może jutra nieboga nie doczeka. Byłci u niej doktor, ale coś strasznie głową kręcił, znać że choroba nic potém. — Oj Janku! Janku! nawarzyłeś piwa — dodała — zwracając się do osłupiałego parobczaka. A nie darmo ja mówiłam.

Janek niedosłyszał już ostatnich słów Fronkowej.

W téjże chwili już go nie było w chacie, wybiegł bez czapki, w letniej sukmanie choć wieher dał przeźliwie. Na dworze straszna zadymka, światu bożego nie widać, śnieg zawiął drogę, ale Janek o drogę

nie pyta. Biegnie wprost do Karczówki przez rowy, płoty, zagony. Już się zbliża, już dobiegł do krzyża na rozstajnej drodze. Za kołowrotem tuż Karczówka, a w Karczówce biedna Marysia, — może już jej nie zastanie żywą. W tém wśród ciemności nocy migło coś białego: — wicher dmie przeraźliwie, słychać jednak tętnienie końskich kopyt. Wszystkie krew zakipiała w piersi Jonka. — Ha! przyszła godzina zemsty, noc czarna, a on sam.

Hrabia dojeżdżał tymczasem do opłotków Jonek, zamknął śpiesznie kołowrot. Jedną ręką ściągnął jeźdca z konia, powalił na ziemię, drugą po dwakroć uderzył w piersi i czoło. Rozpacz dodała mu siły, pobiegł potem do dworku i w mgnieniu oka stanął przy łożu Marysi. Spoczywała bezsilna, po obfitém krwi upuszczeniu. Uspokoila się nieco, poznała Jonka od razu, wyciągnęła do niego wychudłą rękę

— Jonku, Jonku, jam niewinna, — Bóg widzi moją duszę — rzekła słabym głosem.

Jonek ścisnął jej rękę: „Marysiu, Marysiu ja ciebie nie opuszczę nigdy.

— A gdzie tatulo? zapytała Marysia cicho.

— Przyjdzie niezadługo; wychodzili razem ze mną z chaty, ale oni starzy, a noc ciemna. Pójdę na przeciw Bartłomieja. I wybiegł za próg strasznym miotany niepokojem. Ależ o Boże! co to jest? przed chwilą ciemno było do koła, a teraz czerwona łuna krwawi niebo i rozjaśnia drogę. Jonek pędzi w stronę Polanówki; — mija kołowrot, widzi przy drodze jeźdz-

ca powalonego na ziemię, a obok niego stoi koń siwy. Krew płynie z ust młodzieńca, ale oko jego zamknięte nie daje żadnej oznaki życia.

— Boże! zawołał z rozpaczą zacisnął czoło w obie dłonie, i popędził dalej ku Polanówce.

Już dobiega do wsi — pożar coraz się straszniej szerzy. Z łoskotem pękają rozpalone krokwie, — ogień bucha przez drzwi i okna pałacu. Szalony wichur miota płomieniem, roznosi iskry i głównie daleko. Przestraszeni i zamieszanie panują dookoła. Straszny okrzyk goryczy, ryk bydła, trzask ognia, jęk poranionych, wszystko to razem łączy się w jeden odgłos rozpaczony i przerażenia. Janek bez tchu biegnie ku wsi, już dobiega do płotu, w tym koło drogi w cieniu gęstych zarośli spostrzega ludzką postać. To Bartłomiej. — Luna w czerwonym blasku padała na oblicze starca, i zdradzała najmniejsze drgnienie mięśni twarzy, — wichur rozwiewał posiwiały włos, oko błyszczało, zemstą i rozpaczą. Szydersko wykrzywił usta. — W tym oczy obudwóch spotkały się. Wzdrygnął się stary Bartosz, podniósł rękę, wskazał na pałac w płomieniach. — Ale milczy, zda się głosu nie stało mu w piersi. Jonek drżący i bledy zaciśniętą pięścią wskazał na drogę wiodącą do Karczówki. Zrozumieli się obadwaj. Starzec skłonił głowę, Jonek popędził ku wsi.

W tym wybiegła kobieta w bieli, wichur rozwiewał jej szaty! — Gdzie mój syn, gdzie Juliusz, gdzie



moje dziecię—wołała przerażona i rwała włosy z rozpacz jakby tajemnym wiedziona przecuciem.

— Pan hrabia przed godziną wyjechał do Karczówki — rzekł na to karbowy z głębokim pokłonem, jużby tu powinien stanąć. Ja byłem na końcu wsi, skorom spostrzegł pożar dopadłem gospodarskiego, konia i przybiegłem tu boczną drogą.

— Juliuszu — synu mój drogi — wołała hrabina z podwojoną niespokojnością.

W tém nowa powstała wrzawa. „Nie żyje — nie żyje,” wołano na wszystkie strony. Słyszając to hrabina — rzuciła się ku bramie.

— Mój Juliusz moje dziecię zawołała z rozpaczą, i przy świetle pożaru spostrzegła Juliusza niesionego na sporządzonych na prędcie noszach. Ślady krwi widać było na ustach młodzieńca; otworzył błędne oko, nic nie wiedząc co się dzieje do koła niego.

Zaniesiono Juliusza do pierwszej chaty — złożono na pękach słomy, matka i siostra nie szczędziły starań. Przybył i lekarz. Po stosownym ratunku, młodzieniec odzyskał zmysły, ale daremne pytania—nic nie wiedział co się z nim stało, — opowiadał tylko że wyjechawszy z Karczówki wpadł raptem na kołowrot w mniemaniu że otwarty. Rzeczą zatem oczywista że koń musiał się potknąć, zrzucić jezdca, a hrabia głową i piersiami uderzył o kamień leżący na drodze.

Hrabina przeklinała Karczówkę, przeklinała Ma-

rysię jako główny powód nieszczęścia.—Wydała rozkaz aby czémprędzej odesłano dziewczynę do ojcowskiej chaty. Juliusz z wolna odzyskał siły, a doktor wreszcie zrobił nadzieję życia. Karolina jak anioł opiekuńczy nie opuszczała łoża brata. Matka oczekiwała tylko wyraźniejszego polepszenia, aby z chorym wyjechać do Warszawy.

## VIII.

Marysia wróciła do ojcowskiej chaty, słaba jeszcze nieboga, ale spokojna i szczęśliwa, a ze szczęściem i zdrowie niebawem wracało.

Stary Bartłomiej frasował się jak sobie poradzić z Jadwigą — co też to ludzie powiedzą. Minęła sobota, Jonek ani myśli o zaręczynach, nadeszła niedziela, a tu pleban nie zapowiada wesela z ambony. Janek jak może omija chatę Rochowej, i Bartłomiejowi jakoś markotno, boć to w prostszym stanie srom wielki niedotrzymać danego słowa.

Wojtek widząc kłopot rodzica, chciałby mu coś powiedzieć, ale się bał i wstydził, boć to młode chłopie, jeszcze mu 20 nie dobiegło latek.

— Moja złota Marysieńku — rzekł raz do siostry kiedy byli sami — mnie Jadwiga dziwnie jakoś przypadła do serca. Dziewczyna jak jagoda, ojciec się

turbuje jak tu sobie poradzić, — kiedyć taka wola Pana Boga, i Jonek ma się żenić z tobą — jabym to najlepiej zagodził ożeniłbym się z Jadwigą i wszystko byłoby po Bogu.

— Oj mój bracie kochany — śliczne słowa twoje, odrzekła Marysia — Jadwiga dobra i potulna, będziesz miał dziewczeczkę jak jagódkę, co ci dom napelni weselom. Idź do tatula, obejmij ich za nogi, jutro czwartek, pójdziecie po drugi raz do chaty Rochowój i wszystko dobrze będzie.

— A kiedy nie śmiem mówić tatulowi, rzekł Wojtek skrobiąc się po głowie, jakby tam szukał rady w ciężkim swoim kłopotcie.

— Ot wiesz co robić, rzekła Marysia, ruszaj żywo po Fronckowę, toćto mądra niewiasta. Ona rzeczy najlepiej ułoży i z tatulem pogada; a wiesz że tatulo radzi słuchają jej słowa.

I tak się stało. Wojtek pobiegł po Fronckowę, sprowadził ją do chaty, Marysia opowiedziała jej wszystko, stara kobieta rada że jej się nowe zdarzają swaty boć to niewieścia sprawa, tegoż samego dnia przy płonącym łuczywem nagadała się z Bartłomiejem. Nazajutrz poszli znów wszyscy do Rochowój, tylko zamiast Bartłomieja obrali innego swata. Jadwiga chętniej jeszcze podała kubek, wychyliła co do kropli, bo jej Wojtek przypomniał że ile kropel w kubku, tyle znajdzie z nim szczęśliwój doli. Już się Jadwiga nie dziwiła jak tamtego czwartku, bo ochoczy Woj-

tek serdecznie wyczałował rumiane jej lica. I wszyscy radzi i szczęśliwi spieszyli z całą drużyną do chaty Bartłomieja. Wypili do Marysi choć ona nieboga nie domagała jeszcze, ale nie można się było odciągać bo adwent za pasem, a wesele nie odbyłoby się aż w zapusty, a tu Jonek radby jednej godziny zaprowadzić do ołtarza kochaną Marysię.

Do północy cała drużyna bawiła w chacie Bartłomieja! — Już i rumieniec zakwitł na licu Marysi, oj! bo szczęście prędko leczy choćby z najcięższej niemocy. Stary Bartosz tylko smutnie niekiedy głowę skłonił na piersi. Choć wichur dmienna dworzu i zimno przeraźliwe, on raz po raz wyjdzie za próg spojrzy w stronę kędy niedawno okna pałacowe rześisto błyszczwały światłem. Dziś pusto i głucho. Niekiedy tylko gdy księżyc z po za chmury a jasny jego promień padnie na stos gruzów, stary skłoni głowę na piersi i bąknie cicho. „Panie ciężka Twa sprawiedliwość ale i wielkie miłosierdzie Twoje!

W następną niedzielę w kościele pleban nie jedno ale dwa małżeństwa zapowiedział z ambony. W chacie Bartłomieja wielkie widać przygotowania. Stara Fronkowa znosi co może boć obadwa wesela odbędą się razem, a podług wzajemnej umowy, Wojtek zamieszkać miał w Rochowej chacie, i objąć gospodarstwo po nieboszczyku Rochu. Ojczysko jak mógł dopomógł synowi na nowe osiedliny, — dał ci mu i bułanka i graniastę, i jarego zboża obiecał użyczyć do siewu, bo gospodarstwo Rochowej

zwyczajnie jak to u wdowy znacznie podupało od śmierci nieboszczyka.

Nadszedł nakoniec dzień Ś-tój Katarzyny 25 Listopada, a była to niedziela, dzień przeznaczony na podwójne weselne gody. Jeszcze Marysia spała w komorze kiedy przyszła do niej stara Fronkowa jako pierwsza swacha:

— A wstawajże Maryś póki słońko nie wstanie, boć to zła gosposia co śpi gdy kur pieje.

Marysia porwała się czém prędzej, już lica jój jakoby krew z mlekiem, nie znać na nich ani śladu cierpienia. Fronkowa poszła do izby tam czekał Janek z družbami.

— Jesteś już Bogu dzięki Jonku, Marysia ci przysyła pozdrowienie, wnet tu sama będzie, oj będzieszci miał dziewczkę nie lada; szczęście zamieszka twą zagrodę; tylko pamiętaj chłopcze żebyś się pocziwie sprawiał, a błogosławieństwo Boskie będzie z wami.

Wyszła Marysia z komory, świeża jakby kwiat, druchny tymczasem zeszły się do chaty i wiły wianki z ruty i rozmarynu. — Ujrawszy panną młodą pobiegły do komory, wyniosły wielką dzieżę, też samą w której Marysia chleb rozcyniać zwykła; postawiły ją na samym środku izby, i gwałtem posadziły na niej wzdragającą się dla zwyczaju pannę młodą, różnobarwne wstęgi zapletły w krucze jój włosy. Ale Marysia zapłakała nieboga, załamała ręce, wspomniała bowiem — spojrzawszy na ruciany

wianek, że nie ma matuli coby go jój przypięła po nad czołem.

Stara Fronckowa chętnie zastąpiła matkę, a przypominając wianek mówiła: — „oj nie płakałabyś Marysienko, nie doznasz ci ty złej doli, nie pójdziesz z rodzicielskiej chaty, nie pożegnasz własnych kątów świekra nie będzie ci doskwierać.

Druchny śpiewały złośliwie stojąc do koła Marysi:

Już teraz tylko jednemu,  
Poniesiesz wianek lubemu,  
Któremuś szlubiła,  
Byś mu wierną była.

Gdy témczasem po za okienkiem odezwały się skrzypki od ucha. Drużyna dowiedziawszy się od swachy że już Marysia gotowa weszła tłumnie do izby:

— Niech będzie pochwalony Jezus Crystus rzekł stary družba przestępując próg chaty.

— Na wieki wieków, odpowiedział stary Bartosz.

— A zabierajże się moja Maryś do ślubu—upadnijże do nóg tatulowi. — Panie ojczyce powstań z za stoła, pobłogosław swojemu dziecku.

Marysia wraz z Jankiem upadli razem do nóg rodzica, objęli jego kolana.

— A teraz pani matko pobłogosław córce do ślubu, rzekł znowu stary družba.

A jakże ja mam z grobu wstać,  
Błogosławieństwo córce dać.

Zanócił smutno głos w tłumie, a Marysia gorzko zapłakała.

W tém kute wozy zaturkotały na podwórku, skrzypki cięły od ucha rażnego krakowiaka. Na jednym wozie siedziała hoża Jadwiga otoczona druchnami — starsze gospodynie siedziały na przodzie, — grajkowie uczepili się z tyłu. Drugi wóz zaprzężony w konie Bartosza próżny był jeszcze. — Wyszła Marysia z chaty, siadła obok Fronckowej, druchny otoczyły ją w koło. Grajkowie zajęli pozostałe miejsca. Drużbowie jechali konno. — Rażno paraskały cisawe konie boć to one od dwóch tygodni goły jadły owies, — ruszyły wozy do kościoła.

Dzień był pogodny choć zimny, słońce świeciło blado — jak to zwyczajnie w Listopadzie. Drużbowie wykrzykiwali wesoło migocząc chorągiewkami. Muzyka grzmiała od ucha, a wśród radośnej wrzawy za ledwie można było dosłyszeć słowa ochoczój piosenki:

Przedewroty kwiatek złoty  
Lilia Lilia  
Prowadź że nas do kościoła  
Marya Marya.

Bartłomiej pozostał w chacie z starą Rochową, matka Jadwigi zwijała się jak mogła około przyrządzenia weselnej uczyty. Pomagały jej kumy; każda przyniosła co mogła, to kurę, to mąki, to połkwaterek

masła, a Bartosz rad przyjmował pomoc sąsiedzka, bo co z serca idzie, to jakoś wprost do serca wschodzi. Krzątają się w chacie ochoczo, zastawiają stoły, aby drużyna za powrotem z kościoła znalazła gotowy posiłek.

I niebawem znów kute wozy zaturkotały, na drodze ozwały się skrzypki, — szumno, gwarno wracały wesela z kościoła. Stary Bartosz i Rochowa wyszli z chlebem i z solą na przyjęcie państwa młodych.

— Wyglądacie mnie tatulu, a ja już nie wasza — rzekła Marysia, ściskając nogi rodzica. — I przestąpiła próg chaty prawą nogą, ażeby jej się szczęściło przy pomocy Boga. — Jadwiga uściskałszy nogi matki i świekra, weszła za Marysią. Fronkowa zaprowadziła obiedwie do komory gdzie im podała krupy jaglane z mlekiem, boć to taki obyczaj, a lud prosty tak rad czyni, jak czynili ojcowie.

Wesoła drużyna żwawo pożywała dar Boży. — Przy końcu uczty druchny wnieśli ogromną misę grochu. Każdy choć syty kosztował przecież ulubionej strawy, resztę oddano ubogim, boć groch, toć go Pan Bóg dał dla wszystkich, lada jaki skubnie go w polu, niechże się nim pożywi, i przy weselnéj uczcie. — Na ostatek przyniesiono rumiany kołacz upieczony ręką panny młodej, każdy jadł, chwalił i wróżył że z Marysi dobra będzie gospodyni; nareszcie drużyna powstała od stołu a podziękowawszy Pannę Jezusowi, Matce Najświętszej i gospodarstwu, przy odgłosie skrzypków ochocze rozpoczęły się tany.



Późno w noc trwała ochota; smolne łuczywo jasno płonęło na kominie. Około północy družki posadziły obiedwie panny młode na dzieżach i śpiwając żałośnie zdjęły, im z głów wianeczki z ruty i rozmarynu. Fronkowa włożyła Marysi czepek rąbkowy. Rochowa toż samo uczyniła Jadwidze. Gospodynie i kumy składały mniej więcej bogate dary. Marysia i Jadwiga dziękowały im z serca. Na chwilę przerwane tany rozpoczęły się znowu, i już kur zapiał po raz trzeci, kiedy družyna w towarzystwie skrzypków i basetli prowadziła Wojtka i Jadwigę do chaty Rochowej; Janek zaś i Marysia pozostali w chacie starego Bartłomieja.

## IX.

Upłynęło lat siedm. — Polanówka inną zupełnie przybrała postać. Młody hrabia otrzymawszy od krewnych Amelii list z przeproszeniem, że dla rozmaitych powodów małżeństwo nie może dojść do skutku, postanowił znów na lat parę wyjechać za granicę.

Juliusz i Karolina znaczny uszczerbek ponieśli w majątku, albowiem pożar pochłonął nietylko pałac, ale i stodoły napelnione zbożem jak to zwykle bywa w jesieni, — i wszystkie inne budynki, a wraz z nie-

mi liczne trzody bydła i owiec, stado koni, i cały niemal sprzęt gospodarski. Trudno było cokolwiek uratować gdyż pożar zajął równocześnie wszystkie prawie budowle a wicher dał straszliwy.

Juliusz nsamowolniony przed wyjazdem, wypuścił na lat kilka Polanówkę i pieniądze zaliczone z góry zabrał z sobą za granicę. — Nowy dzierżawca odbudował jako tako stodoły i obory lecz w miejscu gdzie był pałac nie poruszył bynajmiej stosu okopconych gruzów, sam zaś wraz z rodziną zamieszkał w nowo wyporządzonych czworakach. Hrabina wyjechała na zawsze do Warszawy; poranki trawiła stosownie do tego jak nakazywała moda: to w kościele, to w Saskim ogrodzie, to na odwiedzinach, — wieczory zaś, przy wiście lub preferansie, do którego zwłaszcza od czasu opuszczających coraz bardziej wdzięków, niewymowną czuła skłonność.

Karolina szczerze nieraz zatęskniła do Polanówki tam najszcześniejsze chwile życia spędziła. Nie wiele ukazywała się w salonie matki, mniej jeszcze w świecie zamknięta w swojej komnacie, zajęła się wyłącznie kształceniem umysłu; muzyką i rysunkiem wolniejsze zajmowała chwile. W niedzielę tylko z rana zwykła była chodzić do kościoła, ale gdziekolwiek nędza choroba lub uieszcześnie nawiedziły biedną jaką rodzinę, jak anioł opiekuńczy pojawiała się w progach niosąc wsparcie, posiłek, lub przynajmniej łzę współczucia i pociechy. Tysiące błogosławieństw wznosiło się za nią do nieba, to też i Bóg zesłał

jéj wreszcie długo oczekiwane dni szczęścia i pokoju.

Stanisław powrócił. Pan Kalinowski, który go kochał jak syna, widząc niepokonany niczem smutek szlachetnego młodzieńca postanowił nakoniec zbać gwałtem jego serce, i tyle dokazał, że mu Stanisław wyznał uczucie łączące go z dawną z Karoliną.

Pocziwy marszałek nie wiele mówiąc umyślił wszystkimi siłami doprowadzić do skutku przyszłe szczęście obojga. — Wyjechał w tym celu do Warszawy, a umówiwszy się naprzód z Karoliną przystąpił do trudniejszej z hrabiną sprawy. — Mniej wszakże doznał oporu niżeli się z razu spodziewał zwłaszcza gdy okazał testament mocą którego po swojej śmierci uczynił Stanisława dziedicem pięknie zagospodarowanej wioski.

Po odbytym ślubie Stanisław z żoną zamieszkali w Polanówce, która odtąd wraz z przyległemi wioskami przeszła w ich ręce, albowiem Juliusz wszystko już stracił, a Karolina posagiem swoim spłaciła długi brata, dobra zaś jego przejęła na własność. Chcąc okazać czynem raczej nie słowem jak szczerze oboje z mężem pragną ogólnego postępu, rozczynszowali rozległe włości; — zmniejszył się wprawdzie ich dochód w pierwszych zwłaszcza latach, ale polepszenie ogólnego bytu wynagrodziło im chojnie doznaną stratę.

W miejscu dawnego pałacu zbudowali nie wielki murowany dworek, i zaprawdę więcej w nim było

szczęścia niżeli w dawnym złoconym gmachu. Pan Kalinowski częstym bywał gościem w Polanówce, a siedząc z fajeczką przy kominku, jako stary wojak, mustrował dwóch maleńkich synów Karoliny.

Ależ zajrzyjmy jeszcze do chaty starego Bartłomieja. I tam równie jak i w całej wsi widać dobry byt i dostatek, ściany jak śnieg białe schludno w każdym zakątku, zgromadzone dziatki i czeladka chędogo przyodziane. Ale na obliczach wszystkich widny wyraz smutku, oczy zwłaszcza Marysi zapuchły od ciężkiego płaczu.

W komorze na obszerném i wygodném łożu spoczywał stary Bartłomiej, złamany wiekiem i trudem. Na wybladłym licu znać było ślad długiej i ciężkiej choroby. Oko przygasłe rozpoznawało przedmioty. Włos posiwiały wił się w nieładzie. Skinął starzec suchą i żyłastą ręką i wnet wszyscy umilkli głęboko.

„Dzieci moje! rzekł zwolna, a słowa z trudnością wydobywały się zgłębi zbolalej piersi — już ja z tego łoża nie powstanę. — Niech Jonek co żywo idzie po księdza plebana, trzeba się pojednać z Panem Bogiem bo ciężkie moje grzechy, ale i miłosierdzie pana nieskończone. Módlcie się dzieci, bo już nadeszła moja godzina.”

Uklękli wszyscy do koła. Marysia zanosila się od ciężkiego płaczu. Małe dzieciętki tuliły się do jej łona. Wojtek i Jadwiga płakali, klęcząc u stóp ojcowskiego łoża. W tém w progu chaty ukazała się Karolina. Skinął znów starzec, rozkazał wszystkim

aby ustąpili na chwilę z komory. Karolina zbliżyła się do łoża; starzec ujął jej rękę, przycisnął do ust, łza spadła z wychudłego oka.

— Pani, rzekł nakoniec — wielkie przestępstwo ciąży mi na sumieniu, nie skonam spokojnie jeżeli nie wyznam mojej ciężkiej winy, i nie usłyszę przebaczenia.

— Kto — wy Bartłomieju? przerwała zdziwiona Karolina, wy człowiek prawy i poczciwy, bodajby wszyscy byli wam podobni.

— Tak świat sądzi — rzekł Bartłomiej — wzruszając smutnie głowę. Bogu jednemu co innego wiadomo. Jam to spalił Polanówkę! — dodał po chwili, wyschłą dłonią zasłaniając oczy i umilkł.

— Skryte sądy Boskie, odrzekła na to Karolina, Bóg użył twojej ręki ojeze. Przebaczam ci z głębi serca, i nie wątpię że i ojciec niebieski równie ci przebaczy.

Starzec powtórnie przycisnął do ust rękę Karoliny. W tej chwili dał się słyszeć odgłos dzwonka. Pleban przybył z ostatnią religijną pociechą, zbliżył się do śmiertelnego łoża Bartłomieja. Karolina usunęła się z komory. Niebawem po skończonej spowiedzi powrócili wszyscy, poklękali znów do koła; — podano starcowi zapaloną gromnicę.

Rozjaśniło się oblicze umierającego Bartłomieja, usta jego milczały i tylko wyschłą ręką błogostawił zgromadzoną dziatwę. Opuścił nakoniec rękę, oko

stańło kołem, pierś poruszać się przestała. Pleban zbliżył się do łoża, zamknął powieki starca i wyrzekł uroczystym głosem: „Panie w nieskończonym miłosierdziu swoim, przyjm do Twój chwały duszę sługi Twego Bartłomieja.”

# POŚMIERTNE PAMIĘTNIKI

P. DE CHATEAUBRIAND.

Przełład p. Broglie. (\*)

Z wysokości francuzkiej trybuny wymierzoną została w ostatnich czasach podwójna przykładna sprawiedliwość. Nie dłużej jak w przeciągu dwóch dni, w jednej i tej samej rozprawie dwaj ludzie, którzy podarowali swoje listy polityce, usłyszeli w filipikach pełnych ognia i zapału, srogi zarzut uczyniony im w obec całego kraju, o gorszące i dziwnie nienaturalne sprzeczności i odwoływania wcześniejszych

---

(\*) W chwili gdy aż dwa mamy tłumaczenia powyższego dzieła, sądziemy że nieobojętnym będzie rozbiór tych pamiętników przez znakomitego pisarza francuzkiego.

wiar i myśli swoich. Jeden z nich już przeszło od roku doświadczył na sobie chociaż opóźnionej ale zawsze pewnej sprawiedliwości ludów; drugi, rywal daleko niższy tamtego, zaczyna również doświadczać jej goryczy. Wszyscy zauważyli to zbliżenie i ledwie nie tożsamość. Każdy pytał się samego siebie czy to los połączył tak, wady myśli i serca owych ludzi aby na nie padł wyrok potępienia. Czy w tém nie objawia się raczej skazówka jakiejś moralnej choroby, rozlanej w powietrzu, którem oddychamy, niezmiernie zaraźliwej, a która czepia się prędzej duszy poety, niż duszy, jakiego tam zwyczajnego człowieka. Kiedy tak owe zadanie mitrężyło zdziwionych słuchaczy, rzucano w tym samym czasie przed oczy publiczności w jednym z pism periodycznych ogłoszenie dosyć szczególne swą formą i treścią. Na miejscu [zajmowanem zwykle przez modnych a kupnych romansopisarzy, umieszczono spowiedź pisarza świętego, spowiedź ułożoną, prawda trochę na wrażenie, ale wcale nie krępowaną żadnymi umówionymi formułkami. Możemy tam wyczytać jeżeli nie wypadki jego żywota w całej ich prawdzie, to przynajmniej ruchy jego duszy w zupełnej ich nagości. Wydało się nam że badanie to uczynione z rozwagą i bezstronnością pomoże do rozwiązania zadań w obiegu teraz będących, przez dodanie do nich nowych a prawdziwych zjawisk.

Owoż człowiek, który w samej rzeczy stał w pierwszym rzędzie między ludźmi swojego czasu. Mało



mu było rządzić wyobraźnią przez siłę słowa. Obok tego moralnego wszechwładztwa, które żeby prawdę powiedzieć nie zawsze zadawałniam dumę gorzką i materialną serca ludzkiego, danem mu było to, że połączył w sobie rząd i wielkiego państwa i wielkiego stronnictwa. Poeta — a był ministrem; pisarz słynny po całej Europie, słyszał z wysokości trybuny nieopowiedzianej słodyczy, szmer pochwały i grzmo-ty oklasków, wyszedł z tej próby w sam czas, aby mąż stanu nietylko zaszkodził, ale owszem podparł człowieka talentu. Jego życie polityczne ma na pozór jakąś jedność szczęśliwą, która zdaleka imponowała publiczności. Lubiono dosyć patrzeć na niego, jak zaczynał swój zawód polityczny oporem odważnym przeciwko krwawemu aktowi władzy, którą uważał jako przywłaszczoną, a skończył usunięty aktem dziwacznym tej samej władzy, której bronił jako prawej. Ta podwójna katastrofa stawiała go w niezmiernie szczęśliwej perspektywie, i powinien był umieć w niej się utrzymać. Oprócz tego lubiliśmy wszyscy i wszystko w nim, bo on czarował nam naszą młodość. Ale i jemu udało się zakosztować za życia owego upajającego a świetnego uroku, jakim zwykle poezya otacza, ale najczęściej umarłych. Mała tylko liczba, a i to przez wzgląd na wielką chwałę nie śpieszyła się z wyjawieniem, wiedziała i opowiadała sobie po cichu, ile to dzieciennych słabości zaćmiło blask jego dojrzałego wieku, ile goryczy

starości uczepliło się, i strawiło w cichej godności jego lat ostatnich. Tę to smutną tajemnicę postanowił on z najzimniejszą krwią odkryć całemu światu. On to sam uznał za stosowne, aby nam pokazać jakie to burze małej i drobiazgowej próżności, zakłócały nieraz głębokości melancholicznej duszy René'go, on to sam wziął na siebie ogłoszenie światu, że był naprzód emigrantem bez przekonania, to jest że podniósł broń przeciwko swojemu krajowi, nie mając na wymówkę nawet rycerskiej wiary w królewskość, bo jej bronił, ale zawsze z jakimś szacunkiem skeptycznym, i przewidywaniem obojętnem rzeczypospolitej. On to sam zwykle i aż do zapamiętania surowy w sądzie, ukrywając zawziętość nienawiści pod zmyśloną pogardą, pokazuje jak małe chryścianizm zostawił ślady w duszy jego tłumacza i obrońcy. Słowem świetny aktor, wziął się na to, aby obedrzeć widzów z wszelkiego złudzenia, i dla tego to mówi nam o sobie samym, i tylko o sobie samym na stronicach 10 tomów. Dziwne obłąkanie próżności! pomnik na zawsze przykry niedołęztwa każdej osobowości. Czy nie powiedziałaby kto, że to jest ów mnich średnich wieków, co to umarł uważany i uczczony za świętego, a który w pośród nabożeństwa żalobnego za swoją duszę, podnosi z trumny głos do swoich braci i opowiada im ukryte słabości swojego życia.

Bóg jest nam świadkiem że z żalem piszemy te wyrazy wystawiając się jeszcze na to, że nam mo-

gą zarzucić, że nie umiemy dosyć szanować dwóch rzeczy, godnych nienaruszonego prawa szacunku na świecie — sławy i śmierci. Dużo to nas kosztuje że musimy mówić słowa prawdy nad grobem, i ubieźdz sąd potomności. Tyleż co każdy a może więcej nawet czuliśmy owego pociągu ku p. Chateaubriand co porywa ku niemu wszystkich tych co marzyli, kochali, i cierpieli. Za życia jeszcze p. Chateaubriand zebrał dużo pochwał. Zasłużył na sławę i używał jęj, rzadki i szczęśliwy wyjątek w czasach zamętu i niewdzięczności. Owóż gdyby szło tylko o niego samego, udalibyśmy że nie widzimy tego co on sam tak oczewistem chce mieć. Chcielibyśmy mieć nadzieję, aby ostatnia jego wola uważana była za słabość podeszłego wieku; a wtedy oczekując zapomnienia zaczęlibyśmy od milczenia; ależ właściwością wybitną górujących ludzi jest to, że wyobrażają w ich przymiotach świetnych i wadach słabości i enoty generaeyi, w pośród których się zjawiają. Nie ma tu nic nie obojętnego, cokolwiek z nich się wydziela. Są to organizmy o wiele czulsze i delikatniejsze, są to lepsze przewodniki elektryczności ukrytej w otaczającym ich powietrzu, zbierają ją oni u siebie, aby ją potem silniej i szerzej z siebie wyłonić. Są to mistrze i typy zarazem, wciągające w siebie natchnienie ogółu i wylewające je znowu na ogół. Warunki te do nikogo bardziej się nie stósują jak do pana Chateaubriand. Nikt lepiej od niego nie umiał wyrazić i miarkować ducha całej generacyi. Wszy-

stkie jego dzieła noszą na sobie cechę swego wieku, ale też i wiek ten ma na sobie znamię jego ręką wyciśnięte. Był on dzieckiem swego czasu i oddziaływał też silnie na swoje czasy. Nie będzie to więc daremna i odosobniona praca zacząć badanie od *René*, przyjść do *Ducha chrystyanizmu*, potem do gwałtownych polemik restauracyi, i dojść do tych piramid nowego rodzaju, wzniesionych dumą umierającego, a które się nazywają *Pamiętniki pośmiertne*. Jakim sposobem chorobliwa melancholia, stawiona w cieniu religii nieoznaczonej i chwiejącej się, może wydać z siebie nienawiść straszną stronnictwa, a potem stopić się w dytyramb dumy osobisty; przez jakie drogi po niesmaku ku wszystkiemu, następuje czechenie wyłączne samego siebie: jest to anatomia moralna nie bez zajęcia. Iluż to widzieliśmy za dni naszych takich, którzy zaczęli od tego że wszystko im obmierzło, a skończyli na tem że się bez niczego obejść nie mogli! Prawie wszyscy owi ludzie zmęczyli społeczność obrazami swoich cierpień wewnętrznych, a w końcu dobili ją wybuchem swęj miłości własnej. I jeżeli owa społeczność przyjmowała to, jeżeli naginała się ku ich słabościom, jeżeli zamiast ostręj krytyki, patrzała okiem pobłażania na wszystkie owe dziwactwa i zgorszenie; jeżeli zamiast pozwolić działać zasadom smaku i moralności, pozwałała na obłąkanie i poniżenie się najpiękniejszych geniuszów, mimo to, nie pozbawiła się prawa obrażania się tem co widzi, pod tym jednak warun-

kiem że obejrzałość na nas samych będzie towarzyszyć naszemu oburzeniu, i że owe badanie smutne będzie nam służyć zaraz na naukę w przyszłości.

Z tego to bolesnego stanowiska zamierzamy badać ostatnie stronnice p. Chateaubriand. Inni wykażą ich literacką wartość co podług mnie jest jeszcze przykrzejszém, niż wszystko inne. Nie znam smutniejszego zajęcia, jak w zmarszczkach stariej twarzy, śledzić rysów młodego wieku. Prawda, można natrafić w *Pośmiertnych pamiętnikach* kilka ustępów, stronnice, nawet i opisów całych, w których pióro autora René, daje się czuć jeszcze, ale największy wdzięk piękności moralnej poezyi i piękności fizycznej młodości, harmonia, zginęła. Przenośnie przesadzone, ułomności dawniej nie widziane, a dziś rażące, tony niezgodne co chwila drażnią, odpychają myśl, która zmęczona wstrząśnieniami zewnętrznego świata, szuka teraz wypoczynku w świecie idealnym który jej literatura podsuwa. Ten umarły jest jeszcze za bardzo żyjący, ten kiedyś człowiek za bardzo do nas podobny, ten starzec za wiele jeszcze zachował z naszych namiętności i błędów. Stanowisko czysto literackie nie przypada do niego, ma go już wprawdzie, ale nie wsiąkł on jeszcze zupełnie w krainy nieśmiertelności.

Owoż na posadzie moralnej opierać będziemy nasz rozbiór *Pośmiertnych pamiętników*, a jednak formę zewnętrzną przybierzemy najzupełniej literacką.

Opowiadanie zaczyna się, jak to są zwyczajnie dzieje od długich i drobiazgowych szczegółów o dzieciństwie, o pierwszych wrażeniach autora. Zaczawszy od Russa jest to już prawem rodzajowem. Pod tym względem są już wytknięte drogi, są już poprzedniki, podania sceniczne i kulisowe jak w teatrze. Jak kiedyś wyjaśnienie trajedyi klassycznych nie mogło się obejść bez snu lub burzy, tak samo wyznania wielkich pisarzy mają swoje malutkie prawidełka, prawie konieczne, i stary zamek ze starymi wieżami, z kąd widać wieś, pola i słychać wiatr szumiący, stara ciotka śpiewająca stare pieśni z których kilka tylko wyrazów pamiętamy, przygody szkolne w których objawia się dziwaczna energia charakteru, wszystko to jest konieczne, bo ma w sobie jakiś wdzięk prawdy, bo w tém wszystkim każdy chociażby nie był naznaczony na wielkiego poetę, widzi coś ze swoich lat młodości. Ale u pana Chateaubriand jak i u innych naśladowców Russa, owe małe szczegóły nie na los wcale były nam dane, przez samą miłość ku wrażeniom dzieciństwa, ale sądząc i słusznie że jesteśmy ciekawi maluje nam z zamiarem okolice, niebo i osoby w pośród których istnieć zaczął, abyśmy się dowiedzieli jak się jego geniusz rozwijał, abyśmy mogli odszukać w opowiadaniu jego życia, początek zmyśleń poetycznych co nas tak zachwycaly. René, Amelia, zamek ojezysty i równiny Boetanii, owóz rzeczywistość owych marzeń. Tak Rousseau opowiada o swoich wycieczkach do brzegów jeziora w którego wody potem ma wsko-

czyé Julia, tak samo P. Lamartine przystępując do tej analizy z dokładnością pamięciową notaryusza, w nowym swem wydaniu, rozpowie nam zapewne wszystkie certyfikaty prowincjonalne każdy z jego medytacyi poetycznych.

Nie mamy może prawa spierać się z tak wielkimi znawcami, ale trwamy w naszym zdaniu, że nic bardziej nie sprzeciwia się prawdziwemu uczuciu sztuki i jej pomnikom, jak owa pośmiertna ich rozkładnia. Jest w tém, sam nie wiem jakieś pogwałcenie pewnego rodzaju wstydlivości poetycznej, które instynktownie dokucza, a z kąd ono pochodzi to bez trudu wykazuje rozwaga.

W samej rzeczy owe utwory cudowne, któremi poeta zachwyca naszą wyobraźnię, nie mogą na żaden sposób być jego osobistą własnością, którąby mógł dowolnie rozrządzać. Jest to mienie wspólne jemu i nam. Dla tego tylko i wtedy dopiero zajęły one miejsce w poezyi, kiedy się oderwały od swej kolebki i uleciały na swych niebiańskich skrzydłach wysoko, po nad rzeczywiste życie. Chcieć sprowadzić je tam na powrót, a potem stawiać siebie na ich miejsce, jest to świętokradztwo samolubne i próżne. Według nas owe mniemane wyjaśnienia utworów poetycznych przez codzienne życie i uczucia osobowe ich tworecy, są najzupełniej nieloiczne i pod pozorem prawdy naturalnej najfałszywsze. Prawda i to że w przeszłości życia swego i we wrażeniach, które wtedy duszę jego kolysały, poeta szuka pierwszych natchnień swo-

ich, ale jest to materyał gruby, surowy, nieoczyszczony, z którego dopiero ogniem wewnętrznym wylapia się szczytna poezya. Jest to właśnie talent artystyczny poety, kiedy umie oderwać od swych osobistych wrażeń to wszystko, co może istnieć poza nim, i obudza w innych współczucie i zajęcie, kiedy umie ominąć to wszystko, co za bardzo ściśle z jego osobowością związane, nie ma dla innych żadnego zajęcia ani znaczenia.

Przypatrzcie się tylko! w wieku mocnych namiętności bardzo rzadko dają się usłyszeć poetyczne dźwięki, pierwsza młodość czująca tak żywo wy daje zwykle słabe i monotonne utwory; rozkosze żywe i cierpienia bolesne nie wydały nigdy prawie pieśni coby ludową się stała. Dopiero żal po ubiegłym szczęściu, boleść ukołysana nieco przez czas i przeobrażona w melancholią, chwila przejścia od młodości ku dojrzałemu wiekowi, są prawdziwemi źródłami natchnień poetycznych. Wszystkie owe utwory należą, do téj drugiej epoki życia. Dla czego? Oto dla tego, że pierwsze wstrząśnienia namiętności są tak silne, tak wyłączone, tak osobowe, żeby wszystko od razu powiedzieć, że dusza, cała w sobie ześrodkowana, ani słyszy nawet o zewnętrznym świecie. Jeżeli odezwała się wtedy to mówiła o sobie samej, i to z wylaniem serdecznem pochodzącem i z natłoku myśli i nadzwyczaj przyspieszonego bicia serca. Przeciwnie, kiedy żywość namiętności przygaśnie, wtedy rozlewa się w duszy artysty spokój



wielki, ale jest to spokój natury w czasie letniego wieczora, kiedy rosa spada na ciepłą jeszcze ziemię, kiedy mgła podnosząca się stwarza na horyzoncie tysiące obrazów fantastycznych. Owa chwila pełności kiedy czułość żywa jeszcze zachowuje wspomnienie dawnych wzruszeń, ale posiada się już dosyć, przestaje za bardzo sama sobą się zajmować, co chce wydać się na zewnątrz w słowie silném i podniosłem, owa chwila jest czasem dojrzałości talentu. Wtedy to człowiek geniuszu, kombinując to co pamięta, tem co wymyśla wyobraźnią z pamięcią, tworzy owe porywające utwory, które my poezją nazywamy. Jaskrawy cień Beatoiki, Lucyna owa matrona niepokalana jak by jaka dziewica, łzy zazdrości Alusta, czułość ogarniająca serce Bereniki lub Moniny czyż to są wspomnienia lub marzenia — rzeczywistość czy zmyślenie? Nie wiemy tego, nie wie i sam wielki poeta — jest to jedno i drugie. Jeżeli wie niech nam tego nie powiada, niech nam nie odkrywa ile w jego utworach życie codzienne dodało wdzięku poezyi i na odwrót, ile poezya upiększyła życie codzienne, niech go Bóg broni aby nam miał wypowiadać, to czułem sam, to doświadczyłem, to wymarzyłem.

Ta sucha jeometrya odbiera urok najpiękniejszym gmachom. I cóż byś nam mógł powiedzieć więcej o poeto! nad to co powiedziałaś! nie więcej jedno tylko to coś ukrył chcąc nie chcąc wtedy kiedyś tworzył, jedno tylko ową słabą stronę co szpeci najwznioślej-

sze powołania, jedno tylko ową pospolitość lichą, którą w głębi najszlachetniejszych serc mięsza nęcza tajemnicza natury ludzkiej, z najsilniejszym wyrażeniem się namiętności? Daleś nam w twoich czynach najpiękniejszą część teoryi istoty, i nieczego więcej nie żądamy. To co chcesz nam teraz opowiadać nie zajmuje nas wcale, a zaszkodzić może tobie samemu. Wypowiedziałeś nam już ideał samego siebie, dla czegoż tak bardzo upierasz się przy tém, aby nam dać twoje wyznania do skontrolowania owego ideału. Twoje dzieciństwo mitrężone i krępowane surową twarzą twego rodzica, czuła i jedyna przyjaźń twej duszy, wszystko to opowiedział nam już René w cudownym obrazie pełnym wyrazistych i silnych rysów, które na zawsze pozostaną w naszych sercach. Kiedy teraz pól tomu nudnego wypowiada nam, żeś obok ojca surowego miał matkę gniewliwą, czyż nam się może na co przydać to dopełnienie? Lepiej było daleko pozostawić ją nieznaną dla nas i żalowaną, jak to zrobił René, niż malować ją żyjącą, gniewliwą, jak to teraz zrobiłeś! Cóż zyskałeś na tem żeś przemienił ową Amelią napiętnowaną fatalnem znamieniem namiętności w kapryśną Lucillę nieszczęśliwie poślubioną, twardą, dla przeciwnego człowieka i poety, który ją szczerze kochał? Jeżeli Lucilla na szczęście dla niej i dla rodzicielskiego dachu nie była zupełną Amelią, dla czegoż zmieniać i brudzić twój własny utwór? A ty sam czyż dużo na tem zyskasz, że nam opowiesz twoje położenie co trąci śmiesznością, że nam oka-

żesz jako człowiek żonaty naprzód a potem opuszczający prawą małżonkę, że pozwoliłeś umrzeć innej kobiecie strawionej miłością dla ciebie, a ty aniś się domyślał nawet choroby co ją wpychała do grobu? Widzimy to dobrze żeś zapomniał swęj powinności, ale nie wiemy z pewnością czyś to zrobił przez nowe a silne uczucie. Sam gnięwam się na siebie że muszę sądzić ten ustęp, jakby jaki moralista mieszczkański, ale dla czegoż René Europejczyk, dla czegoż Chaktas syn Utalisy zawzięli się na to aby się pokazać pod postacią pierwszego sekretarza Francuzkiej ambasady w Rzymie, który nam baję o wszelkich szczegółach swego urodzenia i małżeńskich związków.

A czyż wiecie jaki rezultat w końcu pokaże się z tych zwierzeń niekiedy tak drażliwych, że słuchając ich wydaje się wam na chwilę, że popełniacie jakąś nieprzyzwoitość wdzierając się w nie. Oto zabija się na świecie wszelką sympatią czytelnika. Tyle samolubstwa oburza moje samolubstwo i wytrąca mi z rąk książkę. W pewnym ustępie nie bez zalet, w pośród szczegółowego opisanja zamku Combourg, p. Chateaubriand sam sobie przerywa i mówi: „Zmuszony byłem zatrzymać się tutaj, moje serce biło tak mocno, że odepchnęło stół na którym pisałem. Wspomnienia budzące się w męj pamięci gniotą mię mnogością i siłą swoją a jednak czemu są one dla reszty świata?“ Niestety ma wielką słuszność! Nawet to bolesne przerwanie pamiętników nic nas nie

wzrusza, a owe silne bicie serca, co aż stół ruszyło nie przyspieszają nic, a nie, bicia serca naszego, a jednak umieliśmy na pamięć te wyrzeczenia których melodia czarowała nas wtedy jeszcze kiedy wspomnienia nie mieszejają się ze smętkiem. „... kiedy oglądam lasy, w których przeżyłem jedyną szczęśliwą chwilę mojego życia, nie mogę łez powstrzymać. Zasłoniwszy na chwilę oczy chustką wchodzi pod dach mych przodków. Przebiegam komnaty puste, gdzie tylko kroki moje słyhać. Wszędzie sale były odarte z dawnéj świetności, a pająki snuły przędzę w opuszczoném siedlisku. Szybko wybiegłem ztamtąd, uciekałem nie śmiejąc obejrzyć się po za siebie. Jak słodkie ale jak krótkie są owe chwile kiedy bracia i siostry żyją młodo pod skrzydłem starych rodziców. Dąb widzi jak żołądź sieją się około niego... nie tak się dzieje z dziećmi człowieka!“ Dziwna rzecz! historyk nie wzrusza, a romansopisarz rozczuła nas; prawda osusza lzy które sztuka wycisnęła. To prawda czysta to osoba sama, a co gorsza to autor, to jest próżność sama. Sztuka przeciwnie jest to wzniosła strona uczucia wspólnego śmiertelnych, jest to wspólność individuum i ludzkości w człowieku, które ulatuje zaraz pośród owych zimnych rozkładni. Bądźmy jednak sprawiedliwi dla *Pośmiertnych pamiętników* — może potrafimy wyrozumować dla nich jeszcze smutniejszą kombinacyą. Owóż kiedy autor co tak pościął i poszarpał najpiękniejsze swoje natchnienia,

nietylko się zestarzał, ale się i zwichnął, kiedy stracił nietylko uczucie pięknę ale nawet uczucie dobrego, kiedy szczególne towarzystwa poruszające się tam na spodzie społeczeństwa napełniły jego wyobraźnię ideami rażącemi, wtedy nie przestając na tém że opisuje drobiazgowo; poniża nawet prawdę. Na miejsce Elwiry swojej młodości postawi materyalną pedantkę niepokojącą się więcej o swe zdrowie, niż o wstyd i cnotę, dla tego że taki był przepis doktora. Jakież odczarowanie! Jakaż odraza!

Nie bylibyśmy tak długo zatrzymywali się nad temi uwagami, ale odkrywały nam one na pierwszych zaraz stronnicach brudne rysy całej książki, a co gorsza osoby całej i pokazywały nam przewagę samolubstwa nad wszystkiemi innemi względami. Gdyby był pan Chateaubriand we własnych oczach i we własnem sercu mniej się cenił, nie byłby nigdy i siebie samego i wszystkich przedmiotów swojego przywiązania umieścił w tak niekorzystném świetle. Najmniej głębokie i bezinteresowne uczucie miałoby więcej wstydlivości. To usposobienie rzucające tak mocne światło na jego prywatne stosunki, znajdziemy jeszcze w opowiadaniu pierwszych politycznych czynności, p. Chateaubriand. Od początku zaraz widzimy u niego ową taktykę, która tak boleśnie raniła jego stronnictwo, która ciągle poświęcała opinie dla sławy i przyjaciół politycznych dla osobistej roli.

Gdyby *Pośmiertne pamiętniki* były pisane przez człowieka otwartego stronnictwa, pewnie byłby na nie przypadł szczęśliwy i niespodziewany los. Spi-sywane w czasie triumfu tój samej sprawy, przeciw której tak długo walczył — triumfu nietylko siłą ale i opinią zdobytego i utwierdzonego latami powodzenia, miały te wielkie szczęście że się pokazały właśnie tego samego dnia, kiedy owa sprawa runęła w przepaść. Nowy Simeon p. Chateaubriand wiedział przed śmiercią jeżeli nie wyniesienie tego co kochał (a cóż on kochał?) to przynajmniej upadek tego co tak szczerze nienawidził. Była to dla serca takiego, jak je nam maluje, największa pociecha, ale zamiast zaspokojenia prostego nienawiści, wypadek taki mógł być podnieść niezmiernie jego, sławę. Przypuścić, że w Lutym, w pośród straszliwych zadań rodzących się w umysłach, kiedy widmo rewolucyjne z 93 zagnała wywołane chwyciło sobą wyobraźnię wszystkich, przypuścić, że bohater prawej monarchii, nieprzyjaciel rewolucyjnego pierwiastku podnosi się i opowiada swoje życie i tłómaczy swe opinie, jakież to wzniosłe milczenie zaległoby obok niego, gdyby głos jego miał siłę wewnętrznego przekonania! Rok 1848 stawiał w zadanie nietylko rok 1830 ale i 1789. Proces rewolucyi zapozwany został nagle przed nową instancją, owoż głos należał się z prawa najwymowniejszemu jój przeciwnikowi. Z naszój strony wy-

znajemy otwarcie, że chociaż zawsze wątpiliśmy o prawności pretensyi p. Chateaubriand, do filozofii historyi, otwieraliśmy jednak *Pośmiertne pamiętniki* z zajęciem wielkiem, i myśleliśmy sobie, że człowiek takiej głowy, który służył w armii Kondeusza, potrafi przecież nauczyć czegoś nowe generacye.

Prosimy nie zapominać że pan Chateaubriand emigrował i że każdy czytelnik wiedział o tém, naprzód przystępując do czytania jego pamiętników. Nie spodziewamy się tedy znaleźć tam owego instynktu silniejszego od wszelkiej rozwagi, który potępił we Francyi pierwszego zaraz dnia emigracyą z r. 1789 i przeciw któremu sumienie publiczne nie przypuszczało nigdy żadnej appellacyi. Indywidualnie rzeczy biorąc, uważamy owe wyroki instynktowe za jedynie prawdziwe, i nie przypuszczamy żadnej przeciwnośći nim opozycyi loiki, bo jesteśmy największymi czcicielami zmysłu moralnego, ale pan Chateaubriand nie był wcale zmuszony do podzielania owęj opinii — przeciwnie. Czyż więc nie mógł znaleźć w swoim położeniu kilku słów, chociażby najbłahszych na korzyść pierwszego samowolnego, aktu swęj młodości? Czyż nie było na to żadnego środka, aby go wystawić jako nieroztropną protestacyą, ale nie bez szlachetności przeciwko stanowisku cokolwiek materialnemu, z jakiego prawo publiczne uważało wtedy ojczyznę? Czyż zastanowiliście się dosyć nad tém, mógł był nam powiedzieć

z powagą którą mieć był powinien kiedyście ogłosili bez wszelakiego ograniczenia, bez wszelakiego wyróżnienia, że ziemia rodzinna sama sobą, ktokolwiek by ją posiadał, wyobraża i ściąga wszelki porządek ideów i uczuć, jakie sam wyraz ojczyzna wzbudza? Ta teoria pchnięta aż do ostatecznych następności, czyż nie zawiera w sobie koniecznego usprawiedliwienia wszystkich niemoralnych kapitulacji sumienia, których wstydzą się czasy rewolucyjne. Jakąż to pokutę obudza ta nauka otwarcie głoszona w ludziach dumy i losu, bo gdyby oni kiedy, nie wiem jakim fatalnym zrzędzeniem pochwycili oznaki zewnętrzne i materialne władzy, owoż przez to jedno tylko, przez ten fakt gruby i zmysłowy byłoby już odziani w świetne wyobrażenie ojczyzny, i posiadliby nietylko władzę ale i prawo rozkazywania, i mogliby słusznie zmuszać nas dla siebie. Ojczyznę więc byłby pierwszy lepszy co przemawia w jej imieniu, chociażby naród cały skrył się przerażony, albo młżał zniechęca podchwycony. I przypuścić że nadają jeszcze więcej giętkości owęj definicyi ojczyzny, która ją stawia wyżej wszelkich form i zasad, a nawet zbrodniczości rządu, przypuścić że się dojdzie aż do tego twierdzenia, że aby dobrze służyć takięj ojczyźnie, koniecznem jest mieć lub posiadać urząd publiczny z pensją oznaczoną, a zobaczycie jakie to korzyści zapewnia taki polityczny katechizm. Pomyślcie teraz że jaka rewolucya postąpi o krok dalej, że napadnie nietylko na stare



principia prawa publicznego w które oddawna idea ojezyny wcielila się, ale nawet na owo idee zasadnicze na których opiera się sumienie ludzkie, nawet na owe święte związki, których nie można zerwać bez poszarpania w kawałki sere naszych, czyż wtedy powiecie że trzeba jej służyć, cokolwiek by wynikło? Czyż poznacie ojezynę we własności i familii, której one są najszczytniejszym wyrażeniem się? Czyż może być ojezyna na złość etymologii i znaczeniu wyrazów tam, gdzie nie ma ojcowskiego ducha? Owoż przez jakie potężne rozumowania P. Chateaubriand mógł być waleczyć owe wyroki surowe nowej społeczności. Nie twierdzą dla tego, żeby ta ostatnia uważała się za zwyciężoną owemi argumentacyami i żeby nie miała znaleźć dobrych odpornych dowodów, ale w willią 93 roku i przy zaczęciu wojny europejskiej, myślę-że taka mowa dałaby wszystkim co do myślenia a przynajmniej byłaby nas uczyniła więcej pobbłażającemi dla owych Francuzów z tamtego wieku, którzy nie chcieli poznać francuzkiej ziemi ukrytej pod kawałkami trupów.

Wpadł był na chwilę P. Chateaubriand na ten porządek ideów kiedy nam opowiada swoją rozmowę z P. Malesherbes, który mu doradził aby emigrował. „Każdy rząd mówił mu ten filozof który nie tylko nie zabezpiecza praw zasadniczych społeczności, ale je sam gwałci, znosi się sam i zwraca człowieka do stanu natury.“ Te poważne wyrazy mędrca, który

sam pozostał w pośród szalonej i zwichnionej społeczności, ten człowiek poczciwy który szuka po nad zaburzoną ojczyzną świata moralnych pojęć jako ojczyzny czystych dusz, ta rozmowa znakomitego starca z człowiekiem młodym jeszcze, ale przeznaczonym do chwały, opowiadana z jakim takim zapalem, byłaby utworzyła obraz niezmiernie porywający. Rozbierali oni między sobą ważne zadanie, czy oburzenie moralne może kiedy wziąć górę nad poświęceniem patryotycznym, czyli inaczej, czy sumienie stoi wyżej niż ojczyzna, owoż czyż nie powinniśmy się byli spodziewać że z ust ostatniego Lamignon usłyszymy coś coby nam duszę starego Horacego lub Sertoriusa przypominała. Dla czegoż kwiat téj rozmowy nie doleciał do nas? Oto dla tego że P. Chateaubriand uważał za dobre zabić jej urok i znaczenie (nazwijmy rzeczy ich imieniem) nieporównanem błaznowaniem w jej opowiedzeniu. „Wracałem powiada na pogrzeb rewolucyi bo myślałem, że się to wszystko w dwóch lub trzech miesiącach skończy.... Czuję doskonale, że emigracya była szaleństwem i głupstwem.... Mało miałem pociągu ku nieograniczonej monarchii i nie wahałem się wcale czego się mam chwycić.” Owoż trzy lub cztery takie zdania odrazu nas odczarują. Niepodobieństwem jest czuć najmniejszy pociąg ku postępowaniu, które tak samo o sobie powiada. I dla czegoż P. Chateaubriand tak błaho służy własnej sprawie. Może błądzimy ale zdaje się nam że wiemy przyczynę, a to taką; spr-

wa jego została zwyciężoną i to nawet dosyć smutnie zwyciężoną, zdawało się że sąd boży zapadł ostatecznie na nią w chwili kiedy się pisały *pośmiertne pamiętniki*: owoż bystrość autorska w przewidywaniu, nie mogła na chwile znieść spokojnie swojej tak grubej pomyłki. Chce się bardzo być na stronie słabszego, — to wspaniałomyślnie — ale nie chce się być jednego z nim zdania, to byłby błąd, brak rozsądku i loiki. Chce się być sercem ze zwyciężonemi, ale umysłem ze zwycięzcami jako rycerz poświęcać się dla przeszłości a jako filozof pojmować przyszłość i tym sposobem przez pojętność zdradza się swą sprawę, której się bronią służyło.

Ale nie! nie! nie ma tam wcale tego u P. Chateaub. Umysł nic tam nie przewidywał, tylko serce nic nie czuło. Wszystkie te wyrachowania kokieteryi osobistej które aż do końca spotykamy a szczególnie widoczne w opowiadaniu jego zawodu politycznego, wszystkie te zwroty chybiają celu. Nie wielka to zasługa w 1820 lub 1830 roku rzucić kilka zdań dosyć pospolitych o niewinnych szaleństwach starej szlachty z *czepkiem nocnym na głowie pod trójrogowym kapeluszem* która myślała, że jak tylko zabrzęczy starą tradycyjną szablą to rewolucya zaraz ucieknie i przypadnie, zimne owe dowcipki nie dowodzą wiele że P. Chateaubriand zawczasu przewidywał wielki wypadek przeciwko, któremu tak słabe miały walczyć środki. Jeżeli nastrój tak niestosowny nie podpira wcale tęgości rozumowań filozoficznych, to w starcu odzywającym

się tak o towarzyszach swej młodości w stronniku nieszczęśliwej sprawy, opowiadającym jej losy jest to nieczułość straszliwa, która aż odpycha od siebie. Kiedy Beranger widzi przechodzącego margrabiego de Carabas zmusza nas do śmiechu bo się sam śmieje. Chateaubriand stroi miuki i niepodoba się. Walter-Skotowi protestantowi przywiązanemu do monarchii z 1688 wystarczyło jedno technienie na ostygle popioły Sztuartów, do wywołania tysiąca obrazów miłutkich i wzruszających: a szlachcie francuzki, który nam wszystko o swoim szlacheństwie wypowiada, który dowody pergaminowe rodu swego na pamięć umiał, chociaż ich nigdy nie czytał, aby uczuć ostatnie dni lojalności arystokratycznej, nie mógł znaleźć nic lepszego nad kilkastrofk rewolucyjnych pieśniarzy. Więc pomiędzy ową młodzieżą ochotną, wesołą i mężną nie było ani jakiego Ewandala wstrząsającego w obec kobiet swemi pięknymi włosami, ani jakiego Klawerhuza, któryby dowodził wojskiem ze stałością dumną niezmiernie, ale i grzeczną zarazem. Kiedy owe pułki defilowały, czyż nie było tam jakiej Flory, Mak Iwoi coby usuwała firanki okna, i powiewała chustką na znak wierności i stałości. Czyż żaden podobny typ nie uderzył nigdzie młodego emigranta — zapewne żaden, kiedy ani jeden nie odżył pod piorem starego historyka. Przypominam sobie jednak żem kiedyś przebywał małą dolinę w Bretanii zarumienioną krwią ofiar pod Quiberon i gdzie wznosi się pomnik no-

szący na sobie ich nazwiska. Nie zapomnę nigdy jak okropnie ścisnęło mi się serce, kiedyś czytałem spis owej wyborowej hekatombi. Cała owa tragedia niby żywa i krwią zbryzgana stanęła mi przed oczyma. Zdawało mi się że widziałem owych młodych ludzi co się tyle śmieli, tyle kochali, tak się dobrze bili, umierających naraz jakby od morowej zarazy! Rozważałem nad owymi nieszczęśliwymi kolegami Francji, które zmusiły generała Hoche'a do dziesiątkowania tylu dzielnych mężów godnych jego samego, a Bonapartego do zguby rodu Konduszów, i spoglądając na ściśniony i melancholiczny widnokrąg owej doliny, w dniu jesiennym myślałem co chwila, że natura nawet rozczuła się i że *plynął łzy z rzeczy* jak mówił łaciński poeta. Żaden z tych wzruszeń ani *kropla z tego deszczu* jak mówił René, nie skropiło stronnic *pośmiertnych pamiętników*. — Nie są też wcale ani wesołe ani pocieszające, mało znamy przykrzejszych do czytania książek, jest to zgryźliwość, smętność starca przeciw życiu, a nie uroczyście bolesć człowieka, który widział upadek tego co kochał, płacze on dla tego że się zestarzał, a nie dla tego że przeżył siebie i innych, jest tam więcej gniewliwego niepokoju niż boleści. Jedna myśl zdaje się zajmować pisarza: sprzeciwienie jego powołania dawnego żołnierskiego, z powołaniem późniejszym poety. Prawda sprzeciwienie jest wielkie, ale najlepszy na to byłby sposób śpiewać jako poeta to co się widziało, i robić jako wojak.

Po emigracyi przychodzi konsulat, a zową epoką odrodzenia przychodzi także pierwszy promyk ogromnej głośności P. Chateaubriand. Szczęsny to człowiek którego imie nieodłącznem zostanie na zawsze od zmartwychwstania Francyi, szczęsny on, to obok rosnącej swej sławy widział wzrastającą chwałę swęj ziemi i niedługo czuł przeciwieństwo wewnętrznej młodości z rozpadającą się i próchniejącą społecznością! Chociaż wczesnie zaczął p. Chateaub. nie ufać rządowi Cesarstwa, mimo to nie mógł oprzeć się pierwszemu pociągowi, który ciągnął ku sobie całą Francją. Była chwila kiedy pierwszy konsul wydawał się wszystkim jakby obrazem Francyi podnoszącej się z grobu, i nagle oświeconej. W pośród owej ogólnej radości, kiedy chwała prawie z brzegów występowała, przybył p. Chateaubriand domagać się jęj części i otrzymał ją. Przybył pomagać owej reakcyi, która go natchnęła, ale nie przybył w owych nieszczęśliwych czasach apatii.

On la rame inutile

Fatigue vainement une mer immobile.

*Duch christianizma* (Genie du christianizme) wychodząc z portu natrafił na pogodny czas i wiatr pomyślny, owóz mógł roztoczyć wszystkie swoje świetne kolory. Przez wspomnienie na owe tak wielkie dni przebaczymy chętnie pisarzowi pośmiertnych pamiętników pewne objawy, trochę może za żywe, dumy, która tak wszędzie gdzieindziej razi. Musi to być nieopowiedziana rozkosz, kiedy człowiek prawdziwój zasługi widzi taje.

mnice swego geniuszu tak długo ukrywaną w głębi duszy rzutną, wybuchającą na zewnątrz, i podawaną z ust do ust niby iskrą elektryczną. Ileż to niepewności, ileż przemian uniesienia, zniechęcenia musiało poprzedzić owę stanowczą chwilę, kiedy sąd publiczności potwierdził podszepty niespokojne miłości własnej i sumienia! Owe spojrzenia podziwu skierowane na człowieka wczoraj jeszcze nieznanego, a dziś już słynnego, wpadły zapewne płomieniem do duszy jego. Dodajcie do sławy autora Atali powrót z wygnania, towarzystwa nowe a wyborowe, niezapominajcie nadewszystko owego szczególnego faktu, że między pierwszymi wielbicielami jego była jeżeli tak można powiedzieć wdzięczna religia za blask którym ją odział, i że Bóg sam nawet był na jego stronie, a pojmiecie łatwo że przychodząc do téj epoki jego życia, byliśmy naprzód usposobieni do pozostawienia przestronnego miejsca uniesieniom pozwolonej słusznie dumy.

W pierwszej nawet chwili (taka jest prostota prawdziwego uczucia) mniemaliśmy że nas oszukano. Powodzenie Atali, René i Ducha Christianizmu wydało się nam za skromnie opowiedziane. Co się tyczy bezpośredniego skutku, jak wywarł ów zwrót potężny który ująwszy wespół filozofią XVIII wieku z korzeniem ją wyrwał, wszystko to co pan Chateaubriand nam rozpowiada jest prawdziwem, i bardzo w jego ustach przyzwoicie stósownem. Jestto najzupełniej-

szą prawdą że: „kierunek (le heurt) (\*) nadany umysłom przez Genie du Christianisme wyrwał 18 wiek z jego dawnej kolei, i rzucił go na zawsze na inną zupełnie drogę. „Wnet powiemy o owej drodze na którą wpełznął 19 wiek, ale kierunek nowy jest niezaprzeczony i świadczy o silnej ręce, która go spowodowała. Pojął zapewne autor że wielkie wypadki obejmą się niewielu wyrazami, tak jak krótkie napisy tkwią na wielkich pomnikach. Obraz społeczności w. pośród którą wpadło powołanie niespodziane owej oryginalnej książki, zrówną prawdą jest namalowany. Portreta małej liczby przyjaciół, gromadzących się ze czcią około autora są najzupełniej oddane, i chociaż mało mamy pociągu ku ogłaszaniu korespondencyi, chociaż owe otwarte dla publiczności sekretarki wcale nie zastrzają naszój ciekawości, jednak listy pani de Beaumont mają dziwnie wzruszającą prostotę, która sprawia to, że trzeba lubić tego kogo ona kochała. Owa połowa tomu jest może jedyną częścią *pamiętników pośmiertnych* najzupełniej przyjemną. Godzimy się znowu z pisarzem, bo miał tu znowu tyle dobrego smaku, że zapominał o sobie, — niestety nie długo!

Słyszeliśmy jak wiele osób pytało się co ma zna-

---

(\*) Tak nazwał P. Chateaubriand wpływ swojego Genie du Christianisme. Nowy wyraz znaczy tyle co *le choc*, ale jakoś silniejszy i stosowniejszy.



czyć we środku pamiętników, pana Chateaubrianda wymowna historia Cesarstwa i Cesarza. Konieczność obznajomienia czytelnika ze sprawami politycznymi w chwili kiedy autor wszedł na drogę polityczną nie wydaje się nam wystarczającym pozorem do usprawiedliwienia owego zбочenia. Czyż to nie jest śmieszem kiedy życie Bonapartego podał nam autor po prostu, jako środek do wytłomaczenia zatargów z prassą lub parlamentem. Nikt nie chciał przypuścić żeby P. Chateaubriand mógł tak bardzo zgrzeszyć przeciw dobremu smakowi. Może też historyk chciał korzystać ze sposobności aby oddać sprawiedliwość wielkiemu człowiekowi, którego jako naczelnik stronnictwa zeszkalał? Może też chciał jako autor głośnej napaści, która stać będzie pomiędzy pomnikami starożytnej wymowy, i pomiędzy pomnikami niesprawiedliwości współczesnej, poprawić przez zdrowsze i rozsądniejsze zdanie sądu przyszłości o osobie? A może też chciał popisać się z wymową wcale innego nastroju, niż owa której przez całe życie używał. Jako retor przede wszystkim jak wszyscy ci co namiętnie umiłowali formy, wyczerpawszy z oburzenia i nienawiści wszystkie możliwe autorskie wrażenia, że czuł może żal, że nie spróbował ogólników jakie mówcy poddaje uwielbienie i chwala; i wystrzelił owym dytyrambem. Wszystkie te powody mogły zniewolić pana Chateaubriand do przebieżenia w swoim opowiadaniu wszystkich miejsc europejskich wojen i bitew, mimo to tru-

dno nam jest nie przypuścić innego jeszcze więcej bezpośredniego, więcej osobistego. Podług nas przebija się on wszędzie pod rozmaitemi formami mniej więcej bojaźliwemi lub wstydzącemi się, ale zawsze tak wyraźnemi, że niepodobna na nich się omylić.

Zbliżcie tylko owe ustępy, które zdają się być pisane drżącą od skrywanej namiętności ręką. Naprzód opowiadanie jego widzenia się z pierwszym konsulem, który go mianował sekretarzem Ambasady w Rzymie w skutku ogłoszonego jego *Génie du Chrystianisme*.. „Byłem w galeryi kiedy Napoleon wszedł — spostrzegł mnie i poznał, *nie wiem po czém*. Kiedy szedł ku mnie nikt nie wiedział kogo szukał, szeregi rozstępowały się ciągle; każdy myślał, że konsul przy nim się zatrzyma — widać było że go niecierpliwiły owe zawody, skryłem się za moich sąsiadów. W tém Bonaparte zawołał głośno: Panie Chateaubriand! i zaraz ujrzałem się sam przed nim. Z prostotą zaczął mówić do mnie, bez żadnych grzeczności, bez nadaremnych pytań, bez żadnych wstępów, jak gdybym był mu najlepiej znajomy, i jak gdyby to był dalszy ciąg zaczętej dawnej rozmowy.”

Powraca potem z Rzymu mianowany przez szczególną łaskę i mimo dosyć dziecinnego dyplomatycznego postępowania ministrem w Valais, przedstawia się w Tuilleries w wilią skazania na śmierć księcia d'Enghien.... „w miarę mówi on przybliżania się do mnie Bonapartego uważałem jak jego rysy zmieniły się widocznie, jego policzki były blade i zapadnięte, oczy przykre i ostre, fizyonomia ponura i straszliwa.

Pociąg co mię pchał dawniej ku mnie ustał. Rzucił na mnie kilka razy spojrzeniem, jakby mnie chciał poznać, postąpił kilka kroków ku mnie, potem nagle odwrócił się i oddalił. Czyż zjawiłem mu się jako przestroga?”

Nakoniec zbrodnię spełniono, a pan Chateaubriand aktem wielkiej odwagi z której się słusznie chlępi podaje się do dymissy, bo niechce służyć mordercy, mającemu zamiar uczynić się nieprawnym władcą. Ale słuchajcie dalej.... „Ośmieliwszy się opuścić Bonapartego, *stanąłem z nim na równi*. — Znienawidził mnie całą swoją burzliwością, jak ja nienawidziłem go całą moją otwartą szczerością. Aż do upadku swego trzymał nad moją głową miecz zawieszony, zwracał się niekiedy ku mnie przez naturalny popęd i chciał utopić mię w swoich fatalnych pomyślnościach, i ja też niekiedy nakłaniałem się ku niemu przez podziw jaki we mnie sprawiał, przez myśl że jestem obecny wielkiemu przekształceniu społeczności, a nie prostej zmianie dynastji, ale natury nasze sprzeczne z sobą w wielu względach zawsze się wykazywały, i jak on bardzo chętnie kazałby mię rozstrzelać, tak i ja zabijając go nie był bym czuł najmniejszej zgryzoty....”

Zdanie to ostatnie jednym tylko sposobem da się wytłomaczyć, ale nawet дума pisarza zmitrężyła się nim bo zwróciła się zaraz w tajemniczy frazes.

„...Śmierć albo robi albo zabija wielkiego człowieka, zatrzymuje go ona albo na kroku ku spadaniu, albo na stopniu ku wyniesieniu, jest to przeznaczenie

dokonane albo chybione. W pierwszym razie badamy go takim jakim był, w drugim, jakimby mógł być.”

Czy też potrzeba tu jakich naciąganych rozumowań aby zrozumieć to wszystko, co podług nas nie jest wcale wątpliwem? Owóż, myśl jaką p. Chateaubriand postawił nam do wysledzenia. Mądrzej głowie, dość na słowie. Wiek 19-ty widział dwóch ludzi *stojących na równi*: Bonaparte i Chateaubriand. Dwaj ci ludzie szukali się, odpychali, przyciągali, radzili przez cały czas ich istnienia. Kiedy przypadkiem o-czy ich spotkały się z sobą, uczuwali pociąg i wstret magnetyczny. Wiadomo czem jeden był, wiadomo czem drugi mógł być, gdyby jeszcze równy nie był mu stał na zawadzie. Życie jednego objaśnia i dopełnia życie drugiego, i owóż dla czego, aby obraz był zupełny, trzeba ich kłaść obok, trzeba ich porównać.

Jak różnie jedne i te same fakta nderzają różne umysły. Właśnie kiedy pan Chateaubriand tak stanowczo stawiał się na równi i twarz w twarz z mo-carzem świata, przyszła nam do głowy myśl, której się pozbyć nie możemy. Opowiadanie o owych aktach opozycyi przeciw władzy cesarza, chociaż koniecznie zmuszają nas do szanowania tak wielkiej odwagi, podsuwają nam jednak pytanie, którego zrazu nie mogliśmy rozwiązać. W tej chwili go wypowiemy: Cesarz nie lubił by mu się sprze-ciwiano, a jeszcze więcej żeby go publicznie na-pastowano, miał do tego jakieś powody. Autorka

książki o *Niemcach* wiedziała o tém na wygnaniu i dosyć jasno to wypowiedziała, wtedy kiedy pan Lainin ośmielił się na czele ciała prawodawczego oświadczyć, że wojna w Rossyi jest za ciężka i że życzą sobie pokoju. A jednak ani *Niemcy*, ani mowa z roku 1813 nie miały w sobie ani przymówek tak obraźliwych, ani prawd tak twardych, jakimi wypełnił pan Chateaubriand swój głośny artykuł w *Mercurym* r. 1807 i mowę którą miał czytać ale nie czytał w akademii. Nigdy pani Stael nie wymawiała patrząc do góry imienia Tyberiusza, ani nazwiska Tacyta patrząc na siebie, nigdy p. Lainé nie żądał nawet dla ciała prawodawczego, wolności słowa i rozprawiania jakiej p. Chateaubriand domagał się dla akademii. Nikt między niemi nie odważył się nadewszystko budzić echa w Vincennes i drażnić tym sposobem najdelikatniejszy nerw władcy. To też pod względem śmiałości pan Chateaubriand zaszedł dalej niż każdy inny chociaż rzadki przeciwnik cesarza, a dla czegóż lepiej się z nim obchodzono niż z każdym innym? Zkądże to pochodzi, że chociaż igrał tak nierozważnie z gniewem lwa, nie udało mu się nigdy rozjątrzyć go aż do żywego, a raz tylko zniecierpliwiał go. Wiemy o tém od niego samego. Dymissya w skutku śmierci księcia d'Enghien przyjęta była dwoma suchemi wyrazami: „To dobrze!“ Dwa zagrożenia za bardzo gwałtowne aby miały być prawdziwe, odpowiedziały na jego dwa pokuszenia się do liberalnych ogło-

szeń. Nie było nawet mowy o ich wykonaniu chyba że będziecie chcieli uważać za jakąś wielką niełaskę i zemstę, miejsce inspektora głównego wszystkich bibliotek które w dwa miesiące potem obrażony dawał obrażającemu. Co się tyczy prześladowania nie widzimy nic wielkiego, mała podróż do Dieppe przedsięwzięta na słowny rozkaz prefekta policyi o czém wiemy przez świadectwo niezmiernie wiarogodne, i tutaj właściwe. Nie można wreszcie rozpoznać zawziętego samowładcy w anegdotce którą nam p. Chateaubriand opowiada o portrecie wiszącym w sali, a który zdjęto żeby się cesarz nań nie patrzył, „gdzie jest pytał się Bonaparte, portret Chateaubrianda?” Wiedział że tamże powinien być. Wydobyto potępieńca z jego kryjówki, Bonaparte któremu wspaniałomyślność rubaszna często się wyrwała rzekł: „On ma mnie spiskowego, który wlaży kominem.”

Owoż dowiedzioném jest że Chateaubriand wszystkich starań dokładał aby rozgniewać do żywego cesarza, i że cesarz bardzo mało się gniewał. Tak tłumaczymy sobie zadanie nie myśląc wcale o owych tajemnych i magnetycznych związkach dwóch organizmów, nie bardzo wzruszone owem mistyczném tłumaczeniem Napoleona, w prześladowaniach politycznych nie lubiał nadmiaru, i jeżeli nie można powiedzieć że się zawsze ograniczał na konieczności, to przynajmniej na pożyteczności. Ci co go bliżej znali poddawali zawsze w wątplenie szczerść jego wiel-

kich niby gniewów. Można było łatwo go zmitrężyć, zniepokoić. Gniwał się i unosił chorobliwie, ale zawsze stósownie. Cokolwiek mogło szkodzić jego władzy i drogo okupionemu porządkowi we Francyi zabijał bez litości. Nigdy nie widzieliśmy, aby był bardzo zazdrośnym lub gniéwliwym o to co się go osobiście tyczyło. Wielcy ludzie, ale ciałem o postaci ludzkiej mają sobie to właściwością że ich miłość własna jest większa od ich zdolności. Miłość własna Napoleona ginęła w niezmierności jego władzy i geniuszu. Taki, jakim go znamy, uzbrojony cenzurą wszechmogącą prawie, mało sobie zapewnie robił z zaczepk p. Chateaubrianda bo był pewnym, że potrafi je kiedy będzie trzeba, powstrzymać. Natura a bardziej wiara jego opinii podobała mu się. Dla cesarstwa Francuzkiego religijność Genie du Christianisme była mu na rękę i wystarczała mu.

Napoleon przedewszystkiém wierzył, że przeznaczeniem jego było to, aby zakończył rewolucyą francuzką; powiedzmy raczój że wierzył, że on sam jest tym zakończeniem. Myślał że zebrał w sobie i zaspokoił wszystkie jój wymagania, nienawidził jój namiętności i bał się jój doktryn. Uważał on rok 1793 za muzeum już, to téż przyjmował do rady stanu królobójców zdaleko większą pogardą niż bojaźnią, ale cień 1789 roku kiedy mu się pokazywał bez owéj krwawéj sukni terroryzmu, mimowolnie sprawadzał bladość na jego rysy. Ztąd to pocho-

działa owa systematyczna nieprzyjaźń dla tych, co zachowali wrazenie i pamięć owych czasów. Czyż miał słuszość w swęj nienawiści bez różnicy rzu-  
 canęj! Nie, ja zapewne odpowiem na to stanowczo. Bardzo byłby śmiałym ten, coby chciał w pośród otaczających nas ciemności wydawać na złą lub dobrą stronę o ostatecznym rezultacie rewolucyi francuzkiej. Od sześćdziesięciu lat obiega ona świat, ciągnąc za sobą złe i dobre, nie potrzebuje dla tego żadnych tłumaczów, może sama się wytłumaczyć. *Ma już pewien wiek to zapytajcie się jęj, a ona wam odpowie.* To tęż pan Chateaubriand zrobił wielką przysługę Cesarzowi, niezapomnianą prawie, że pi-smami swojemi oderwał umysły od 1789 roku. Na miejscu typu wolności i równości urojonej jaki sobie ośmnasty wiek wymarzył, postawił on nowy typ, który się za bardzo dawny uważał i to właś-nie było jeszcze większą jego zasługę. Na miej-sce Rzymian teatralnych ukrywających sztylet pod suknią, i którzy tak ładnie wyskakiwali oknem 18 brumaire, postawił chrześcian i rycerzy, którzy lepiej jakoś wyglądali przy ołtarzu w Nôtre-Dame i przy cesarskim tronie. Przemawiał szecerze to tęż zro-bił wyobraźnią i poezją współniczkami w sprawie odradzania społecznego, do którego Napoleon przy-wiązał swoje imię; i które chciał przekazać swęj dy-nastyi. Owoż Napoleon nie pogardzał ani wyobra-źnią ani poezją, za często miał zniemi do czynie-nia, — wiedział on jaki wpływ wywierają dwa te ru-



chliwe bóstwa w owych najwyższych rodach, a które rozstrzygają losy państw i narodów. Widział jak przelatywały nad jego namiotem w Egipcie, pod Arkoll i Marengo; chciał pozostać ich ulubieńcem.

Taką to usługę nie wiedząc może o tém wyświadczył p. Chateaubriand Napoleonowi. Na złość nieprzyjaźni jaką czuł ku nowemu władcy Francyi był mimowiedzy robotnikiem w jego pracowni. Śpiewał, kiedy tamten działał. W oczach polityki cesarskiej warto to było więcej niż najlepsze grzeczności, to też puszczała mimo wszelkie gwałtowności. Była mu wdzięczna za to co zrobił a może i za to że nie więcej nie zrobił. Oczewistem jest że byłaby zawsze przywróciła chrystianizm do dawnego stopnia, jako instytucją konserwatywną, ale nie gniewała się o to że moda więcej i uczucie a nie silne wewnętrzne przekonanie wywołało to podźwignienie. Wiadomo bowiem i tysiąc razy to już powtórzono, że *Genie du Christianisme* nie jest wcale obroną religii. Dowód ogranicza się na tém i pod względem natchnienia poetycznego biblia warta tyle co iliada, i że podania chrześcijańskie mają tyle wdzięku, co Homero-we podania. P. Chateaubriand nadał christianizmowi wymiary mitologii świetnej i pełnej najzdrowszej moralności. Ale nie znajdziecie w owém piśmie pana Chateaubriand nic z owój prostoty surowej, nic z dogmatów, nic z owego żywotnego ducha co je wypełnia, nic z owych bezpośrednich i naciskają-

cych odezww, któremi krępują indywidualne popędy, nie z owych rysów wyrazisto boskich, które w pośród zepsucia Rzymskiego świata, tchnęły i wstrząsnęły tyle dusz pogańskich. Wiem dobrze że nie miał do tego pretensyi, bo nie był kaznodzieją, bo nie był ani świętym Augustynem, ani świętym Hieronimem, ani Bossuetem, i dla tego właśnie że nie miał nic wspólnego z jakim ojcem kościoła, — cesarz tak dobrze go przyjął. Niech cię wielkiego autora konkordatu przebaczy nam, wiemy dobrze że on rozumiał przez ducha, ów majestat świętej religii naszych przodków, ale wątpimy czy byłaby przypadła mu do smaku, gdyby mu się była pokazała w całej swęj surowości moralnej. W głębi ewangelicznej nauki znajdował za wiele filozofii. On co nie mógł znieść rozdziału władzy z najłagodniejszym papieżem, nie byłby zapewne długo wyżył w ściślej przyjaźni z jakim wielkim chrześcijańskim duchem, w całym znaczeniu tego wyrazu. Byłby tam spotkał jakieś stosunki równości, którychby nie mógł znieść. Gdyby taki antagonizm znalazł się był na jego drodze, gdyby za jego czasów stanął był jaki Anastazy lub św. Bernard, widzielibyśmy wtedy jedną z największych walk. Czy czasem p. Chateaubriand nie myślał że nam wyprawia takie widowisko? Czy czasem nie myślał że ześrodkował w sobie porządek moralny, a Napoleon porządek materialny? Byłby się bardzo omylił. Jego religia, poetyczna przypadła doskonale do religii politycznej cesarza. Mo-

carz opierał na niej swą rękę i górował nad nią o całą głowę. Świetna ta zewnętrzna, religia zabezpieczająca wszelkie interesa, a pozostawiająca mu najzupełniej sumienie wszystkich, taka właśnie religia była mu na rękę. Byłby to żywioł dla zapalonych głów młodych, i poręka do utrzymania społecznego porządku. Dla tego posłał autora *Genie du christianisme* jako sekretarza ambasady do Rzymu. Było to dopełnienie konkordatu, krok ten grzeczności odpowiadał najzupełniej aktowi rozumnego rządu.

Ale dzieło cesarza, osadzone na zdrowym rozsądku, ugruntowało się przez czas, a dzieło p. Chateaubriand powierzone wyobraźni obłąkało się przy takim przewodniku. Kościół katolicki, materialnie podźwigniony przez konkordat; rozszerzył i utrwalił swe panowanie. Reakcja religijna wywołana przez *Genie du Christianisme* ponieważ nie bardzo głęboko wkorzeniła się, i wprzód wydała kwiat, nim się rozrosnąć mogła, wnet się wykrzywiła. Była z początku za lekkomyślną, stała się też wkrótce świętokradzką. P. Chateaubriand wyrwał poezję z christianizmu, to też poezja stała się jego panią i obchodziła się z nim jak ze swoją własnością. Dodawała do niego co jej się żywnie podobało, rozszerzała go, usypiała, i rozmiękczała. Porobiła dziwne porównania, które zrównoważyły wdzięk prawdy i błędu, i zamieniły się w zamęt i gmatwaninę. Powystawiał on w *Martyrs* ołtarze i Bogu chrześcijańskiemu i bóstwom Homera, i ubrał jak pierwsze i drugie tak pię-

knie, że mimowolnie wahał się między niemi chociaż są dosyć wyraźne, żeby się na nich omylić można. Jego następcy przeprowadzali wszystko w nieładzie do tego panteonu gdzie Bóg i czart, dobre i złe, prawda i fałsz, namiętność i cnota, też same odbierają kadzidła i słyszą też same hymny. Nie ma nikogo teraz, coby na to nie chorował. Profanacya rzeczy świętych jest chorobą powszechną literatury i społeczności. Spadnie na nie potępienie na ostatecznym sądzie na mocy drugiego przykazania: „Nie będziesz brał imienia pana Boga twego nadaremno.” Przeszłe generacye igrały z christianizmem, terażniejsze za nie go mają. Świętokradztwo przyszło po niedowiarstwie. Byłoby niesprawiedliwością narzucać aż na *Genie du christianisme* solidarność takich bolesnych zwichnień. Ani mowa, ani duch pana Chateaubrianda nie nakłaniał się ku owym obłąkaniom. Zdrowy rozsądek i jasne zawsze słowo wyróżniały go ciągle od dwóznaczego panteizmu jego szkoły. Mimo to zawsze jest pewnem że podźwignienie christianizmu więcej jako piękna niż prawdy, więcej ze stanowiska sztuki niż dogmatu, było początkiem owego poufałego i bluźnierskiego obchodzenia się z nim, jakie dziś we zwyczaju i że pierwszy co wyrzekł, że Bóg jest wielkim poetą, upoważnił innych do myślenia jeżeli jeszcze sami nie myśleli, że jako współbracia, wszyscy poeci są małemi bogami.

Ale powróćmy do p. Chat. i nienawiść jaką ciągle

okazywał potężnemu cesarzowi, tę mu przynajmniej zapewniła korzyść że go uprawniła do podobnego napadania na niego bez żadnych już względów wtedy, kiedy już nie był panem świata, a po prostu obrońcą francuzkiej ziemi, przypartym do murów stolicy przez pięć zwyciężkich armii, które jego tylko ramię wstrzymywało i mitrężyło. Opowiada nam p. Chateaubriand że w małym lasku Vallee-aux-Loups przy odgłosie armat związkowych, pisał pierwsze myśli które potem miały stanowić broszurę *Bonaparte i Burbony*. W nawiasie, wydaje się nam to wątpliwem aby w chwili wskazanej przez p. Chateaubrianda to jest w grudniu 1813 r. mógł być słyszeć huk armat nieprzyjacielskich w Valée - aux-Loups, którzy wtedy byli jeszcze o 50 mil od Paryża, i dobrze nam z tem że wątpimy. Ow obraz patrioty siedzącego w małym domku wiejskim z głową spokojnie pochyloną, piszącego pamflet na dowódcę wojsk francuzkich, przy szczęku nieprzyjacielskiego oręża, nich co chcą mówią, ale nie może na żaden sposób się podobać, można było oszczędzić nam ten drażliwy szczegół, tem więcej że nie jest prawdziwy. To też nie będziemy wiele wyrzucać p. Chateaubriandowej goryczy w jego napaści na zwyciężonego. Okazał on dowodnie że w owym dniu nie mógł uniknąć nieszczęśliwej, zwykłej we Francyi choroby, szkolenia upadłej władzy zaraz po jej upadku. Unosząc się przeciw cesarzowi robił to, co robiło wielu jego wezorajszych przyjaciół. Wskazując oczom Francyi

pogńbionych Burbonów, żadnej im nie uczynił przysługi a zwałił na nich ogromny ciężar. Burbony powrócili w skutek żądania obcych, doznali téż fatalności ich położenia. Niestety ztąd spadło na nich, a korzyść na Francją, bo ich powrót uwolnił ją od obcych. p. Chateaubriand wykazuje to z wielką prawdą i szlachetnością, poświadczamy z rozkoszą tę wspaniałomyślną obronę. W tém miejscu chce się być na jego stronie, chce się bronić sprawy jego. Jest to rozkosz jaką nie często p. Chateaubriand nam sprawia w ciągu opowiadania swojego politycznego zawodu.

Od roku 1814 do r. 1848, przez 30 lat usiłowała Francja zaprowadzić u siebie najlepszy możliwie rząd reprezentacyjny. Trzy nieszczęsne przyczyny spowodowały dwa razy tak smutny koniec owym usiłowaniom, duch opozycyi powszechny i systematyczny, nadmiar roszezeń wszelakich, żywość osobistych zawziętości. Te trzy rysy narodowego charakteru wspólnego wszystkim prawie Francuzkim mężom stanu, uczyniły prawie niepodobną formę rządu z Instytucjami tak liberalnemi że ośmielają opór, podniecają ambicyą, i otwierają pole do zawziętości i zemsty. Nie przypominamy sobie abyśmy widzieli kiedy wyraziściej namalowane owe rysy jak w Pamiętnikach pośmiertnych p. Chateaubrianda. Człowiek publiczny przez 15 lat wmieszany z własnej woli i chęci do polityki, kiedy przestał nim być, stanął zaraz w opozycyi każdej władzy; miał pretensyą

do wszystkiego, a skończył na tém, że wszystko i wszyscy mu obmierzli. Kąsania jego ciągłej opozycji, zgryźliwość z zawiedzionej i obrażonej próżności, żółć jego wszystkiej nienawiści zachowanej w sercu, owoż co zapełnia ostatnie cztery tomy jego *Pamiętników pośmiertnych*.

Wielu z czytelników przystępując do téj części dzieła, uczuje jak my zupełnie inakże wrażenie, niż to, które ją natchnęło. Pan Chateaubriand zawziął się na wszystkie stronnictwa ludzi będących po kolei u władzy. Przeciwnie, opowiadanie o owych pięknych latach wolności i pokoju, budzi w nas wdzięczność, które się rozciąga aż do imion z niemi powiązanych. Usiłowania dwóch konstytucyjnych monarchii przedsiębrane w tak różnych czasach i okolicznościach, jakikolwiek byłby ich skutek są podług nas najpiękniejszym ich znamieniem. Pogodzić zasady władzy królewskiej z zapewnieniem wolności ogólnej — stawiać na gruncie wstrząśnionego przez rewolucyą francuzką, nowy gmach społeczny, któryby mógł stać sam o sobie, jedynie siłą rozumu i zdrowego rozsądku, nie żądając od nikogo najmniejszego poświęcenia, z prawem się należących, nie przyznając innych przywilejów, jedno tylko nierówność intelligencyi — wziąć na siebie obronę wszystkich, i pozwolić napadać na siebie pierwszemu lepszemu, owoż zadanie jakie dla dobra Francyi starały się dwa monarchiczne rządy rozwiązać w ciągu 35 lat. Nie mówimy nic o tem

przez wzgląd na nas samych co Francya dla nich uczyniła. Myślimy że historia będzie sprawiedliwą i odda słusność wszystkim którzy do owego dzieła rękę przykładali, jakiegokolwiek byłoby ich imię i początek, zkażdkolwiekby przyszli, i o jakąkolwiek skałę by się rozbili. Historia będzie sprawiedliwsza, niż oni sami dla siebie. Nieubłagana dla owego ducha burzliwości i nieładu, który zaraził wszystkie podstawy społecznego porządku, porachuje im i ofiary dla ujęcia sobie, i usiłowania do pogwałcenia owego ducha, wyrzuci im, i drogo kaze opłacić zmyśloną jednych popularność i pomści się za niepopularność drugich zyskaną na usługach swemu krajowi. Słowem będzie pobłażającą dla rządów, a surową dla opozycji. Tym sposobem wymierzy sprawiedliwość na wszystkie strony, bo nie ma nikogo, coby od 30 lat nie grał owęj podwójnej roli.

Pod tym względem będzie ona bardzo surowa dla pana Chateaubrianda, bo opozycya powtarzamy, była pierwiastkiem najwybitniejszym jego życia. W piętnastu latach trwania rządu jego wyboru, 12 lat był na stronie opozycji, i to nie na stronie opozycji umiarkowanej, ale namiętnej, żółciowej wybuchającej od czasu do czasu broszurami w których wyczerpał cały stosunek krwawych napaści. Przez 3 lata tylko p. Chateaubriand był cichym i spokojnym, bo był wtedy albo posłem albo ministrem, ale i tu uczynił nas w swoich pamiętnikach że chociaż przyzwoitość stanu zmuszała go do milezenia, jednak zły duch



opozycyi siedział w nim ciągle. Będąc posłem pisał do ministrów depesze wyrównywające satyrze, będąc ministrem milezenia nawet swego używał, jako opozycyi przeciw swym kolegom, a było to milczenie niezmiernie znaczące, bo coż wyrzuciło z brzegów roztropności i grzeczności niecierpliwego pana de Villèle. Gdyby przynajmniej owa opozycya szła ciągle po jednej drodze, byłby miał prawo jak to uczynił wydawać się za Kassandrę prorokującą upadek Troi, jeżeli jej ostrzeżeń nie posłuchają, — rola niezmiernie wygodna, bo pozwala pracować z całego serca nad sprowadzeniem klęsk, które się przepowiada, i ochrania w każdym wypadku i sumienie i próżność przepowiadającego. Ale sam pan Chateaubriand, powiada że owa droga po której szedł, nagle się w jednym punkcie skrzyła, i było to w czasie jego wyjścia z ministerstwa. Jego pierwsza i druga opozycya niepodobna do siebie, poszły wprost przeciwnie, jak to sam o sobie powiada. Te dwie opozycye przypadają zupełnie do dwóch systematów rządowych jakich restauracya chwyciła się, bo innych możliwych nie miała. Umieszczona między dwoma stronnictwami, które chciała pogodzić, między dwoma porządkami ideów, które chciała obok siebie utrzymywać, nie miała innego środka, jak tylko powierzyć władzę jednemu stronnictwu, i zalecić mu, aby o ile będzie mogło naginało się ku drugiemu stronnictwu. Trzeba było, albo oddać władzę ludziom

rewolucyi, usiłując przy tém uczynić ich monarchistami, i ten system głośno wyznawał pan Decazes, albo oddać ją zupełnie w ręce monarchistów par excellence z tym warunkiem że się zastosują do opinii konstytucyonistów, a tego zdania był pan Villèle.— Pan Chateaubriand należał kilka dni do tego stronnictwa. Byłaby zyskała niezmiernie na tém Francya, gdyby którykolwiek z tych systematów znalazł był przeciwników, nie tyle zapędzonych do zwalczania go, jak usiłujących utrzymać go, przywieść do punktu równowagi, do którego we wszystkiém i wszędzie każda forma rządu zmusza. Gdyby p. Chateaubriand jak twierdził był liberalistą monarchicznym, byłby mógł odegrać ową właśnie rolę moderatora opozycyi, której nigdy dotąd jeszcze we Francyi nie było, ale on właśnie wprost przeciwną odegrał, dodał ognia do nieprzyjaźni, i rozbił tamy namiętności i zniewagi. Nazywał on pana Decazes mordercą, a p. Villèle kupcem dusz i sumienia — nadawał on swoim rozmaitym opiniom taki właśnie charakter, że zdawały się jeszcze niebezpieczniejszymi, jeszcze więcej zabójczemi dla tych, z którymi się on nie zgadzał. On to w pierwszej swjej opozycyi nauczył stronnictwo religijne i monarchiczne pożyczania formy zapędnej, i języka nałogów od radykalnej prasy. Czytaj w *Conservatoire*. Jest to ton anarchii wezwany na usługę Boga, religii katolickiej i monarchii. Bolesna mięszanina, której wynalezienie niezaprzeczenie należy się panu Chateaubriand, która zna-

laźła wielu naśladowców przez 18 lat, a od której przecie uwolniła nas rewolucya lutowa. Nawzajem gdziekolwiek była choć odrobiną uczuć i zasad stronnictwa czysto liberalnego, to ono zaraz przemawiało chytrze językiem monarchizmu, aby go tém pewniej zwalić, dla tego druga opozycya pana Chateaubriand niezmiernie jęj była na rękę. Tak to po kolei nadawał pan Chateaubriand stronnictwu monarchicznemu barwę rewolucyjną, a dążeniem rewolucyjnym namaszczenie monarchiczne. Z niewiannością dziecinną, wierzy on, że szczegóły dosyć prawda bolesne jego niełaski, upoważniły go do odmienienia frontu, i chce wszystko pokryć owemi kilku wyrazami napisanemi wielkimi literami na czele jednego rozdziału *zmieniam się publicznie*. A czyż zmienił tak samo i przekonanie wewnętrzne?

Dotąd mamy tylko słońce, co zmienia stanowisko, nie zmieniając miejsca, które idzie bez wahania i zatrzymania się ciągle ze wschodu na zachód. Czyż są i między umysłami takie gwiazdy stałe, około których kręcą się niby drugiego i niższego rzędu satelity i idee, i rządy, i narody?

Pan Chateaubriand chełpi się dużo z rozgłosu jaki sprawiło wyjście jego z ministerium i przejście z jednej opozycyi do drugiej. Wrażenie było prawda wielkie, na wielu umysłach zrobiło wpływ stanowczy. Ciasna ale szczerza pojętność Karola X uczuła zapewne więcej niż gmin, kiedy człowiek namiętności z 1815 roku, minister wojny hiszpańskiej zaraz

nazajutrz po swej niełase, przeszedł do armii liberalistów. Odstępstwo to mówcy i poety rycerskiego prawej strony, podsunęło mu jeden jeszcze dowód, że instytucye liberalne nie przypadają do charakteru Francuzów. Z drugiej strony, publiczność mocno wtedy liberalna zachwycona gwałtownem wyrażeniem się gniewu pana Chateaubriand, który nastąpiwszy po długiej i ścisłej przyjaźni miał cały wdzięk nowości rzeczy, utwierdziła się w tém zdaniu, że nie można żyć, nawet na stopniu grzeczności, ze stronnictwem i ludźmi, u których przyjaźń tak nagle się zmienia. To też oboje i publiczność i władza jeszcze bardziej uparli się przy swych dążnościach naturalnych, i przyszedł w końcu dzień że monarcha chciał uwolnić się od ustawy, a naród skorzystał z tego i uwolnił się od króla.

Owoż taką to usługę wyrządził pan Chateaubriand owemu pogardzeniu na zawsze żaloszemu stariej monarchii z nową Francją, a dla którego jak utrzymywał poświęcił swoje życie. Cóż to znaczy że chciał pogodzić swoje dwie opozycye dowodząc, że w dwóch epokach różnych, bronił zawsze wolności prassy, i tego co potem przewali rządem reprezentacyjnym? Nie środki ale duch ogólny, uczucie panujące ciągle i ton stanowią wartość opozycyi. Niech kto chce pozna w panu Chateaubriand przyjaciela namiętnego prawej monarchii jeżeli nie w pamfletach jego, to chociaż w tych rozdziałach, gdzie z zimną krwią opowiada ostatnią swoją polityczną kampanię. Przy-

jaciel, chociażby był obrażony, opiera się, ale nie obraża: po ostrym i kásającym słowie poznasz odrazu nieprzyjaźń zasmuconą, albo osobistość rozjątrzoną, której zemsta nawet ukołysać nie mogła. Odczytajcie tylko jego mowę w izbie parów nazajutrz po rewolucyi lipcowej; miał nawet tyle odwagi że ją przedrukował! Odwołuję się do wszystkich serc szlachetnych, czyż jest co bardziej rozdzierającego serce i czulszego, jak iść szukać i podać w nieścieściu rękę przyjacielowi, który nas obraził. Jest to próba ognia i wody dla uczucia. Jeden wyraz, jeden ruch, jedno nagięcie głosu, wszystko ma wtedy niezwyčajną cenę. Co powiedzieć o poufałym stronniku i przyjacielu, który nie mógł znaleźć na pożegnanie dla wygnanej rodziny innego wyrażenia, tylko takie że wypędzoną została.

Może kto powie że wyrzekł się swej godności dla owej rodziny, ale przez Boga porzucmy już te ciągle sprzeczności. Nie wiem jak tam załatwiają się niektóre sprawy między monarchami i ich poddanymi; ale między ludźmi światowemi, przyjaciel któryby nastęrczał się w tym tonie ze swoją ofiarą, narażałby się za bardzo na to, żebyśmy mu rzucili w samą twarz, i jego worek i jego dary.

Ta ostatnia mowa jaką powiedział, bo podawał się do dymissyi jako par Francyi, jest także arcydziełem swojego rodzaju. Umieszczona przy samém zetknięciu się dwóch rządów, ma w sobie nie mało obrażających rzeczy, i dla upadłej już i dla dźwigającej

się władzy. W niej także widać już jakieś schlebienie dla rzeczypospolitej, jakieś słodziutkie słówka do przyszłej demokracji które dziwnie zakończają opowiadanie tego monarchicznego życia. Omijam obok wielu innych przyczyn przez samą odrazę trivialność, z jaką pan Chateaubriand opowiada dość nieprawdziwie, o rewolucyi lipcowej. Nie dziwię się że ją mógł napisać człowiek stronnictwa, ale dziwię się jak ją mógł odczytać człowiek smaku. Ale nie mam wcale zamiaru wdawać się w rozprawy polityczne, chciałem tylko wartość moralną Pamiętników pośmiertnych okazać. Co więcej, są na świecie jeszcze i inne upadłe wielkości, któreby w swém pełnem godności usunięciu się, nie pozwoliły aby ich tak niezgrabnie i niewłaściwie broniono. Nie nadeszła jeszcze chwila, kiedy potomność bezstronna powie, że ciężka odpowiedzialność za rewolucyę nie leży na tych co ją kończyli, ale na tych co ją wywołali. Nieuprzedzajmy jej sądu! W owych dniach rewolucyi kiedy ulice Paryża drżały i paliły się pod jej stopami, kiedy pan Chateaubriand znajdował pomiędzy swojemi przyjaciółmi samych krzywoprzysięzców i tehorzy, kiedy każdy jak mógł chciał utrzymać porządek, ten przez zachowanie tronu starego młodemu królowi, tamten przez ugruntowanie nowej monarchii, cóż robił wtedy pan Chateaubriand. Oto gdzieś tam na rogu odegrywał awanturę ludową która mu silnie na zawsze pozostawiła wrażenie. Uczniowie porwali go na ręce i nieśli w triumfie do izby parów

gdzie wykrzykiwali głośno wszystkie życzenia pana Chateaubriand. Ci co go tam widzieli, powiadali że miał minę natchnionego proroka i że mu się wyrwało dziwne słowo: „Niech zburzą monarchią a ja w ośmiu dniach odbudowałbym ją przy wolności prassy.” Miał odtąd jakieś przeczucia i nadzieję rzeczywolitéj co widać nawet w listach do księstwa Berri, a mało brakowało do tego żeby się nie uważał za męczennika nowéj społeczności i republikanizmu, kiedy go zatrzymano pod aresztem w salonie pana Gisquet który więzieniem nazywa. Siła trudów zadaje sobie aby nowa Francya nie brała go czasem, jak mówi: *za mamkę płaczną przywiązaną ciągle do pieluch i kołébki króléwskiej od Henryka IV aż do Henryka V.* Przyznacie że niezmiernie to dalekie od *życia i śmierci księcia Berri.* Pod względem odwoływania wiary i przekonania, nikt w tém niedorównał panu Chateaubriand. Jest tam jakaś mieszanina złego humoru i pochlebiania, jest tam usiłowanie pogłaskania i przekłęcia nowéj społeczności, przywiązuje się niby do jéj nadziei, ale powiada że rewolucya idzie w tył, głosi że jest republikaninem, ale nie wykazuje wcale że rojalizm jestto bezsens. Czyż to nie jest widoczném że w tych wszystkich chwianiach się śmiesznych, pan Chateaubriand miał jeden cel, a to pogodzić sławę stałości politycznej, z pojętnością nakazującą uznawać rozwój ludowy, wypadek tego usiłowania poddaje nam trochę za pospolite porównanie, ale że pan Chateaubriand

użył go także, jesteŝmy więc w prawie. Powiedzia-  
noby moŝe o nim ŝe to jest stara kobieta narzekają-  
ca na rozwiąŝłość obyczajów nowėj generacyi, ale  
mimo to, spoglądająca przez przyzwyczajenia na  
młodych chłopców.

Co więcėj wybitnym rysem charakteru, w p. Cha-  
teaubriand, jest pretensya do wszelkiego znawstwa i  
wiedzy. Opatrzność zepsuła go, niby siła na nie-  
go zastawiła, jak to z wielu innemi się przytrafiło.  
Jego pisarski talent złudził go, bo na złość wszy-  
stkim jego roszezeniom do człowieka stanu, do hi-  
storyka, i myśliciela, jest i będzie przede wszystkim  
wielkim pisarzem poetycznym. Wyjąwszy małe błę-  
dy stylu, które nie leżały w naturze. Pan Chateau-  
briand był to pisarz wielkiej szkoły, w której jasność  
i świetność stylu były najgłówniejszą zasługą, w któ-  
rzej nie wolno było pisać inaczej, tylko z tym wa-  
runkiem ŝe się siebie rozumieć i ŝe się umie dać sie-  
bie innym rozumieć. Styl tedy p. Chateaubriand  
jest wyrazisty chociaŝ błyszczący, wtedy nawet kie-  
dy głębia idei jest niepewna, wyrobione zdanie jest  
zawsze dokładne. Każda rzecz jest tam na swoim  
miejscu, każdy wyraz ma swoje znaczenie, połącze-  
nia ich są moŝe czasem naciągnięte, ale nigdy na los  
nierzucone. Kiedy pan Chateaubriand zaczął pisać  
o polityce, to jego sposób wyrażenia się zrobił silne  
i niespodziwiane wrażenie. To zdanie niby wyro-  
bione, ten zwrot wyrazisty, często a zawsze stó-  
sownie podniesiony do świetnej przenośni, użyty na



obronę stronnictwa zachwyciły publiczność łakomą głośności. Ten głos świetny miał w sobie nie wiem coś zgrzytającego, co mu niezmiernie wiele echa dodawało. Nic więcéj nad to nie potrzebował pan Chateaubriand aby się za męża stanu, a raczéj jak się z przyjemnością źle ukrytą pod maską obojętności o sobie wyraża, za człowieka czynu i praktyki. Pisał on w saméj rzeczy bardzo dobrze o sprawach politycznych, ale ich nigdy dobrze nie wykazywał. Widać to wyraźnie z pism jego. Na piérwszy rzut oka, widzisz tam idee roztropne żywo wyrażone — spojrzysz zbliska, ileż tam niestósowności, ileż dziecinnych antitezów. Rozsądek i rozum są niby pożyczone na wierzchu, chimera i niekonsekwentność w głębi. Powiedziałby kto, że wyrazy dobrze ułożone wzrosły w idee zdrowe. Macie ten sam wypadek w depeszach z Werony, jest to tylko akcent powiedziałbym nuta muzyczna spraw — postawcie je obok listów pana de Villèle, będzie to cień obok osoby. Nikt się na nich nie omylił. Wielu z jego wysokich korespondentów (których depesze wszystkie ogłosił) pokazuje owe wrażenie przez ironiczne pochlebstwo, przez niodostrzeżony uśmiech kącików warg, a czego pan Chateaubriand widać nie dostrzegł. Jego chytry kolega wcale nie dał się takimi rzeczami uwieść, i nie lubił żeby się kto inny dał uwodzić. Ale pan Chateaubriand stał się najzupełniej ofiarą własnych swoich frazesów, i w dobrej wierze sądząc

że jest największym w świecie dyplomatem, ministrem, nie mógł pojąć czego mu brakuje, i co ściągnęło na niego głośną niełaskę.

To też myśląc, że ma wszelkiego rodzaju zasługi, miał tyle prostoty, że ubiegał się o wszystkie zaszczyty, i warto widzieć jaka to naturalna i bez ogródki była owa jego próżność. Jest tam jeden rozdział pod tytułem: *Presomption* obok którego błędną wszystkie te rady markizów Moliera. Trzeba wiedzieć jaką to dziecinną radość sprawiają mu najmniejsze zewnętrzne oznaki przywiązane do godności któremi był obsypany — liczba jego domowników, liberya jego służących, świetność jego bałłów i obiadów, dom napełniony modnym światem, i pierś ubrana w różne ordery. Rozumię się wszystko to opowiedzianém jest z największą obojętnością, ale która nie przeszkadzała mu wcale zauważyć, porachować i opowiedzieć wszystko. Jest to ogólne prawidło dla *Pamiętników pośmiertnych* ile razy autor ubiegał się o co, mówi o tém zawsze z obojętnością, do pogardy posuniętą. Tracimy liczbę nawet, tyle jest tam takich rzeczy o których bardzo myślał, a o które niby nie a nie się nie troszczył. Ten sposób mówienia zamienił się w nałóg, cóż naprzykład pomyślicie o zdaniu następującym: „Królowie ziemi, schowajcie sobie wasze korony, a nadewszystko mnie ich nie dajcie, bo ja ich nie chce,” albo dalej: „Mógł bym odezwać się do monarchów, ponieważ straciłem wszystko dla

ich koron, byłoby słuszuem aby mię żywili, ale ta myśl chociaż powinna była przyjść nie przychodzi im wcale, a mnie jeszcze mniej. Wolałbym na nowo rozpocząć moje posłannictwo. Ponieważ ta myśl nikomu nie przyszła do głowy, pytamy się, skąd się tu wzięła.

Te wybuchy miłości własnej byłyby mało znaczącymi śmiesznościami, gdyby próżność nie miała odwrotniej strony medalu, i gdyby owo wielkie trzymanie o sobie, nie rodziło fałszywych myśli o innych. Jest wyrażenie w filozofii: *że, nie ja, jest granicą dla ja*. Zdaje się że pan Chateaubriand boleśnie czuł tę prawdę, i owo *ja* które tak wiele miejsca zajmowało, serdecznie gniewało się na wszystko to, co mu było ograniczeniem. Nie mamy więc odwagi śmieszkowania tutaj, bo nikt nie śmieje się serdecznie w obliczu śmierci; dotykamy się wady moralnej, tak wielkiej wagi, że żart nie byłby już na swoim miejscu, to też służyć nam ona będzie za wymówkę, zarazem i granicę surowości naszego sądu.

Pan Chateaubriand nie czekał śmierci w zamku swoim, znalazł ją spokojnie w salonie kobiety pełnej wdzięku i dobroci, u której żadna nienawiść ucześcić się nie mogła. Pod cieniem tej anielskiej opieki zgromadzili się obok niego wszystkich stronniectw ludzie, bo zapominali tylolicznych rozjątrzeń aby otoczyć czcią i szacunkiem starość ostatniego wielkiego pisarza Francyl. Mógł tam widzieć aż do

ostatniej chwili dawnych swych przeciwników, następców, i rywali. Najmniejsze oznaki nienawiści nie dawały się spostrzegać ani w wyrazie na twarzy, ani w nagięciu ich głosu, i namiętności polityczne zamilkły przed schyłkiem uroczystym gieniuszu.

Pan Chateaubriand nie pisał w skrytości swoich pamiętników, nie dla potomności. Oprócz obecnego ogłoszenia używano już dawniej najrozmaitszych środków, aby je dać poznać. Prywatnie bardzo wielu o nich wiedziało, niedyskrecya prassy była cierpianą jeżeli nie wywołaną. Przez jakiś pośpiech bezprzykładny, przez zdradę popełnioną względem praw śmierci. Pan Chateaubriand zrealizował i zużył powodzenie i korzyści pośmiertnego swego dzieła. Wiedział on doskonale w pośród jakiej to społeczności znajdzie się to dzieło oczekiwane, wysławiane i zapłacone. Mógł po imieniu wymienić wszystkich swych czytelników, i zmierzyć ważność każdego swego zdania.

A jednak kiedy owa książka tyle zapowiadana wydaną wreszcie została naszej prawnej ciekawości, znalazło się w niej całemi tomami takich rzeczy o jakich najpoufalsi nawet nie wiedzieli. Są to ciągle osobiste diatryby, uderzające na prawo i na lewo, na przyjaciół i nieprzyjaciół, na kolegów i przeciwników, na mężczyzn i kobiety, na żyjących i umarłych, i to bez oszczędzenia prawdziwości faktów i zacności charakteru. Elegia czy epeopea pierwszych tomów wszystkim była czytana, ale zgryźliwa miłość

własna pokazała się na ostatnich kartach zdziwionej publiczności, a kiedy te szkicowania zaprawione trucizną dotknęły niezagojonych jeszcze ran, kiedy starzy przybywali pośpiesznie żądać zadosyć uczy-nienia za znieważenie ich honoru, przez rewolucye na-wet szanowanego, kiedy synowie przychodzili bro-nić obrażonej pamięci swych ojców, wtedy ani pra-wna obrona, ani miłość synowska nie miały u kogo o to się upomnieć, bo to umarły wyszedł z grobu, i zeszkalował i zniknął nie czekając dnia bożego.

Niezmiernie byłoby nam przykro, gdyby ktoś po-sądzał nas o przesadzenie, albo o nienawiść ku panu Chateaubriand za wszystkie jego napady w Pośmier-tnych Pamiętnikach na osoby i rzeczy, które są nam drogie; przypuszczam więc, że nie się nie winno swoim przeciwnikom politycznym ani prawdy, ani sprawiedliwości nawet, przypuszczam że żal potém czém się było, i boleść że się już tém nie jest, uspra-wiedliwia prawnie nawet jeżeli chcecie głębokość za-wziętości i gorycz słowa, przypuszczam, że rząd ostatni osadzony na samym rozumie, a odrzucający wszelkie podania przeszłości i chimery przyszłości, nie przemawiał nic a nic do wyobraźni artysty, i od-daje też ową epokę wolną i szczęśliwą gwałtowno-ściom jęj nieprzyjaciela i sprawiedliwości wewnętrz-niej, jaką jęj każdy oddaje. Przebaczam panu Cha-teaubriand wszystko kiedy się posługuje swoją zgry-żliwością jako przeciwnik; ale kiedy zdradza przyja-ciół; kiedy wyłącza swoją miłość własną od soli-

darności ze zwyciężoną stroną, kiedy wprowadza nas w sam środek klęski i wygnania po to, aby nam opowiedzieć że on jeden tylko był roztropny, on jeden odważny w pośród niedołęztwa i spodlenia ogólnego, wtedy czuje jak gniew mój powraca i sędzę że jest tém prawniejszy, bo jak tutaj najzupełniej bezinteressowany. Gdyby to byli nieprzyjaciele, ciało stanu w którym się zasiadało, dwór wygnany co łączył godność stopnia z godnością nieszczęścia, i gdzież tu powód, gdzie tu pozór, nawet do rozwijania przed oczami współczesnych ich przekrzywionych portretów, ich boleści tajemnych, ich słabości złośliwie opowiedzianych? Pomiedzy tylu wyjawieniami, jakie nam pan Chateaubriand podaje o owem monarchicznem stronnictwie, na łonie którego sam żył, jest wiele takich o których nie wiedzieliśmy, a którym nie uwierzemy, i wiele takich o których wiedzieliśmy i nie potrzebowaliśmy aby je nam powtarzano. Nie uwierzemy naprzykład żeby pomiedzy tylu sługami starego króla co się rzucili w 1830 pomiedzy niego i zapędność ludową, nie znalazło się ani jedno odważne i szczere serce. Nie jest to w mocy pana Chateaubrianda zniszczyć fakta oczywiste, ani oczernić szlachetną i bezinteressowną pamięć owego pośrednika który z niebezpieczeństwem życia przybył z Saint-Cloud, i rzucił się sam w środek rozhułkanego ludu. A czyż nauczył nas czego nowego przez to że opowiada po szczególe, o czem wszyscy wiedzą, że kiedy królowie są tak nieszczęśliwi, że dwór

ich miesza się do ich spraw politycznych; to nawet wygnanie nie uwalnia ich od intryg? Ale poprawdzie czyż po to się idzie między zdetronizowane królewskie głowy, aby opowiadać szczegóły o ich małych wadach i nędzach? Owa podróż samotna w Czechach, ów dziennik posępny pisany w oberży, owoż co ma najpiękniejszą melancholiczną barwę w całych 10 tomach. Poznaje się tam aż do głębi ową zbitą nieszczęściem duszę. Duma zgięta wiekiem błąka się po nad temi ruinami, w których przebija się czasem obrazy prawie nieprzyzwoite, powszednich ulubień młodego człowieka. Potem wchodzimy do tego starego pałacu, gdzie uczucia autora wydają się nam tak zimne jak mury, które on opisuje. Jest tam i książę co dowodził wojskami Francuzkami, który spodziewał się tronu, a którego milcząca boleść stawioną została jako śmieszne niedołęztwo. Jest tam i sługa stary, *któremu humory religijne uderzają na mózg*, jest tam i wielki pan *lubownik sztuk bez imaginacyi*, *libertin na zimno* który pochował monarchią w Hartwell, w Gandawie, w Edynburgu i Pradze, zawsze czuwający przy *śmiertelnych resztkach umarłych władców*, jak owi mieszkańcy nadbrzeżni, którzy zbierają resztki wyrzucone przez morze. Owoż co pisał umierający o wierznych towarzyszach nieszczęścia.

Jakże tu pocznie sobie z tak szczególnym pomnikiem krytyka wielbiąca talent, ale równie, a zapewne więcej jeszcze szanująca zasady moralności?

Pan Chateaubriand nie wie już, że pamięć i przykłady jego żyją. I my żyjemy także aby się ich zapytać, i wyciągnąć z nich dla obecnego czasu pożyteczną naukę. Nie obawiamy się okazać ją.

Pan Chateaubriand wyjawiał nam tajemnicę o sobie, był on szczytnym samolubem, myślał zawsze o sobie samym, żył i umarł z tą myślą. Po nad jego uczuciami familijnemi, po nad jego uniesieniami miłosnemi, po nad poświęceniem się politycznem widać zawsze jego osobę. Widać ją wszędzie pożeraną ogniem wewnętrznym ambicyi, i niezadowolnioną ze wszystkich pokrywających ją godności, jako za małych dla niej, i w dobrej wierze myślącej, że dodaje blasku każdemu stronnictwu przy którym stanie. Jego egoizm nie był wcale szarlatanizmem wyrachowanem, ale namiętnością ogromną i szczerą. Jak wszystkie namiętności prawdziwe; egoizm ten wydał z siebie i wielkie okazy odwagi, i wielkie poświęcenia. Tak mu nieraz wypadło poświęcić interes swój dla chwały, i miejsce swoje dla swojej roli, ale na ołtarzu, na którym poświęcał się, był zarazem bóstwem i ofiarą.

Choroba która wypalała do reszty siły żywotne starości pana Chateaubrianda, wznosi spustoszenie na około nas, scena polityczna dostała się w ręce samolubcom bez miary, którym udaje się na chwilę poruszyć i zebrać w sobie za kilka dni, życie całego narodu, ale którzy wnet oddalają się aby schnąć na opuszczonej niwie od wszystkich porzuconej. Cho-



roba owa szczególnie napada na tych, co od nauk przechodzą do spraw publicznych. Drażliwa próżność poetyczna zawsze świetna dotąd, stała się teraz prawdziwym biczem społecznym. Dawniej kiedy człowiek obdarzony od natury, uczył w sobie pierwsze bodźce talentu, widział zaraz przed sobą instytucje ustalone, godności dziedziczne, i różne wielkości, które go zadziwiały, czuł że cięży na nim społeczność foremna, mająca swoje podania i wiary, a ta waga ciążąca nad nim, podwajała elastyczność jego geniuszu. Dzisiaj na gruncie naszym najzupełniej nagim, każdy który się nieco podniesie, odrazu chce być wyższym nad wszystkich, odrazu chce wszystkich czoła skłonić przed sobą. Ztąd to owe rozwijanie się monstrualne próżności, które cudzoziemcy zauważyli między nami, jako fenomena moralne, bardzo ciekawe. Brakuje wszędzie ciśnienia atmosferycznego na około nas, a dusza poetów, złożona z pierwiastków więcej dobrych niż każda inna, najpierwsza też wyprowadza na widok te cudactwa dobrowolnego obłąkania.”

Jeszcze za życia słynnego autora Atalii i Ducha Chrystianizmu, mówiono bardzo wiele o Pamiętnikach jego spisanych, o osobach i wypadkach wpośród których żył, i w których sam miał udział i to nie mały udział. Wszyscy spodziewali się znaleźć tam i bardzo wiele filozofii, i dużo poezyi i niemniej znajomości świata i jego historii, a w dodatku wiele zaj-

mujących szczegółów o ludziach co zakończyli wiek 18 i zaczęli 19-ty. Epoka ta nie uboga była w znamienitości wszelkiego rodzaju, a i wypadki historyczne z owych czasów liczą się do zdarzeń, ledwie co kilka lub kilkanaście wieków przechodzących. Nie mogło tedy braknąć materyałów, i nie brakło, skoro aż dziesięć tomów zebrało się owych Pamiętników, pośmiertnych, męża stanu i pióra. Jak tylko zawarł się grób nad głośnym emigrantem, poetą, ministrem wnet na wyścigi francuzkie pisma drukowały owe: „Memoires d'outre Tombe” które Francyi i Europie cuda przyrzekały, dopóki jeszcze leżały w tece|wice-hrabi Chateaubrianda. Na wiarę dzienników francuzkich i na wiarę imienia, które i u nas znajomem było, ale, żeby prawdę powiedzieć, więcej pod względem literackim niż politycznym, rzucono się i u nas na te Pamiętniki i rzecz niesłychana, w jednym i tym samym czasie wyszły na dwa tłumaczenia w języku polskim.

Niepodobna było nikomu z nas odezwać się cokolwiek o tej spowiedzi człowieka, którego życie pełne było tylu, i tak różnorodnych wypadków, prac, i zajęć. Czekaliśmy, co też krytyka francuzka wyrzecze o swym ziomku, poecie, i ministrze. Z prawa do nięj to należało, i nie dała też długa na siebie czekać; nie jeden głos, nie jedno pióro rozbięrało Pośmiertne Pamiętniki, a niezmierna większość krytyków nie bardzo je chwaliła.

Z pomiędzy wielu rozbiorów wybraliśmy artykuł

pana Broglie umieszczony w Revue de deux mondes, bo nam się wydał najsumienniejszym, i najpracowiciej obrobionym. Podajemy go naszym czytelnikom w tłumaczeniu, jako dopełnienie dwóch tłumaczeń samych Pamiętników, jako sąd, powszechnie prawie przyjęty we Francyi o Chateaubriandzie.

# ZYWOŃ W KROTKIM RYSIE

ś. P. KSIĘDZA KSAWEREGO

# SZANIAWSKIEGO

PRAŁATA, ADMINISTRATORA ARCHIDECYZJI WARSZAWSKIĘJ

przez

*Wincentego Hipolita Gawareckiego.*

Non omnis moriar.  
*Horat.*

Smutny i oplakany byłby los zasłużonego człowieka, gdyby wraz z nim, i jego pamięć znikła.

Sława, ta ogłosicielka dzieł znakomitych ludzi, w wieczne czasy czyni drogę ich wspomnienie, i ona im umrzeć niedozwala.

Ona wskrzesza spełnione w drodze ziemskiej pielgrzymki, przez nich sprawy. Ona im naznacza stanowisko, jakie w społeczności ludzkiej zajmowali.

I ona zostawia przykład dla dalszych pokoleń, jak żyć, jak czuć, i działać powinni, by osiągnąć wieńiec z tego, co jest *dobrem* i *cnotliwym*, uwity. Któż słuszniesze może mieć prawo do niego, jeżeli nie ten który ciąg życia swego poświęcał dobrej sprawie, i który żył nie dla siebie, lecz dla współbliźnich?

Już jego popioły dawno ziemia pochłonęła, i wiatry rozwiały mogiłę, lecz pamięć cnotliwego jego życia trwa dotąd!

Oto jest rys spraw i prac Jego, który mniej udolnie, lecz rzetelnie niegdy uczeń, i wielbiciel dozgonnie cnót rozlicznych Jego, pamiętny względności dla siebie, skreśla.

Ksawery Szaniawski urodził się dnia 1 grudnia r. 1768, (lat temu 80) we wsi *Riazownicy*, pod miastem Joroslawiem, w *Galicyi* położonej, z rodziców religii katolickiej, i szlacheckiego domu. Ojciec jego Józef, był Wicerejentem *Łukowskim*, jak świadczy metryka chrztu Ksawerego (1), Oddany w pierwszych latach młodości swojej do szkół w Kielcach, odbył z pożytkiem tamże wykładane nauki, po tych ukończeniu, wstąpił do seminarium miejscowego. Już roku 1784, (a zatem w 16 roku życia), wliczony został w poczet tak zwanych *komunistów* (*Clericorum saecularium in communi viventium*).

---

(1) Pamiętnik umiejętności moraln. i literat. 1830 zeszyt IX str. 332.

Po kilkoletnim pobycie, wysłany był do akademii Krakowskiej na słuchanie nauk w wydziałach, moralnym i fizycznym, po dwórocznym biegu tychże, jako kandydat do stanu nauczycielskiego, powołany, złożył aż dwa publiczne popisy.

Przeznaczony professorem w Kielcach przez lat trzy w szkołach, a przez lat dwa w seminarium uczył, obok tego obowiązki wikaryusza przy kolegiacie tamecznej pełniąc, słowo Boże przez cały ten czas z kazalnicy ludowi ogłaszał.

Dla tém większego doskonalenia się w naukach, poświęcił się pracom wychowania dzieci w szanownym domu Feliksa i Tekli z Bielińskich hrabiów Łubieńskich. Podróżował do Wielunia roku 1801, a za powrotem z grodu tego starożytnego, otrzymał kanonię honorowa Kielecką w r. 1802, a po odbyciu popisu konkursowego do stopnia plebana w dyecezyi Krakowskiej, osiągnął w roku 1803 probostwo w Wiskitkach, w powiecie Sochaczewskim leżącym, a do rodziny Łubieńskich należącym mieście. Tu obok obowiązków pasterza poruczonej sobie trzody Chrystusowej, w wolniejszych chwilach pozostałych od prac właściwych trudnił się rymopistwem; przelewał z francuzkich pisarzy wiersze, lecz parę tylko utworów tego rodzaju ogłosił drukiem. (1) Z Wiski-

---

(1) Z tych są bajka Demoustiera umieszczona w pamiętniku Warszawskim z roku 1805, w zeszytcie za Maj, stronica 251.

tek przeniósł się ksiądz Szaniawski do Grodziska, roku 1807.

Towarzystwo b. królewsko-Warszawskie przyjaciół nauk, wezwało go do dzielenia z nim prac umysłowych, znajdując w osobie jego znakomite usposobienie, i zapas rozlicznych wiadomości. W pierwszym swoim wstępie, do grona jego czytał mowę pochwalną Bartłomieja Szuleckiego, niegdy profesora szkół akademickich Warszawskich, (1) a sekretarza Towarzystwa. W tej krótko, lecz dobitnie okazał zasługi kommissyi edukacyjnej, wszechnicy Krakowskiej, i samego Szuleckiego, a zamknął swój głos słowy, które pojęcia i zachowania każdego są godne:

„Pamiętka Bartłomieja Szuleckiego, rzekł ks. Szaniawski, niech u nas ożywia przywiązanie do nauk, bądźmy ich przyjaciółmi, pracujmy dla ich rozszerzenia. Nagradzajmy dojmujące sercu naszemu straty uczonych i szacownych mężów, dopełniając gorliwie jednomyślnych ich życzeń, które w życiu swoim okazywali jednostajnie, przez szczere poświęcenie najusilniejszych starań swoich, prawdzie i enocie.”

W tymże samym roku (1807) przełożył ks. Szaniawski kodex cywilny Francuzki (code de Napoleon) na język polski. Praca znaczna połączona z zasadną

---

(1) Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk. Warszawa. T. VII str. 152.

znajomością obu języków, i umiejętnością prawa, odniosła chlubną dla tłumacza nagrodą, gdy sędzia, obrońca, i kraj cały wyrazami jego pisali, i przemawiali.

Przekład czysty, jasny, acz nie we wszystkiem od pomyłek wolny, sam wzgląd atoli na pośpiech, z jakim, tak ważne dzieło wydane być miało, usprawiedliwia poniekąd takowe.

Wyjście ła widok publiczny wówczas zbioru praw w obcym krajowi nadanych języku, przelanego na ojczysty, ściągnęło pochwałę na tłumacza, gdy ten ogłaszając swój przekład trzykrotnie, nie zamierzył w nim prawego nawet zysku, lecz jedynie dogodzenie potrzebie powszechnej miał na celu. (1) Czyn ten chwalebny, zasługujący aby był naśladowany obecnie, zwrócił uwagę rządu b. księstwa Warszawskiego na wydawcę, i gdy staraniem Feliksa hr. Łubieńskiego, ówczasowego ministra sprawiedliwości w roku 1808 szkoła prawa ustanowioną została, téjże professorem, i nadto członkiem kommissyi przygotowującej projekta do ustaw był mianowany.

W miesiącu maju tegoż roku podniósł znowu głos na pamiątkę Krzysztofa Wilhelma Chlebowskiego, generał-majora wojsk Pruskich, członka towarzystwa

---

(1) Pamiętnik umiejętności rok 1820 zeszyt IX stronica 332.



Warszawskiego przyjaciół nauk. Skreśliwszy bieg życia jego, wystawił oraz mówca, jakim każdy wojskowy być ma:

„Męztwo mówi Szaniawski, istotnym jest przymiotem wojskowego stanu. Postać marsowa, roztropnością Minerwy kierowana, czułe serce dobroczynnością zajęte, są to cenniejsze rysy, które postrzeżać można, w przyjemnym obrazie szanownego obrońcy kraju, przyjaciela ludzi. Rozum i cnota zniwalażą serca wszystkich, są to najpiękniejsze ozdoby człowieka, i na rzeczywisty szacunek zasługują” (1)

W roku 1809 napisał ks. Szaniawski pokrótce o *Sądach pokoju*. Skreśliwszy początek i postęp sądownictwa w ogólności, i wyprowadziwszy niejako z związku towarzyskiego potrzebę *sądów polubownych*, dodaje: „że, prawa polskie chlubnym są w tej mierze świadectwem charakteru narodowego. Jeszcze w dawnym *Statucie Litewskim* sądy polubowne, czyli kompromisy ustanowione były, moc ich i szacunek w koronie obwarowały konstytucyje z r. 1720, i inne późniejsze.

Niemożna bez przyjemnego wzruszenia czytać uniwersału o kompromissach z daty 7 kwietnia 1786 roku wydanego przez Stanisława Augusta.”

O samych zaś sądach pokoju mówi:

---

(1) Rocznik Towarzystwa Warszaw. przyjaciół nauk VII 339—349.

„Jest to środek między urzędem nakazującym, a powagą wzruszającą serca; zwierzchność pierwszych wieków, którą zaufanie przeznaczyło enocie. Nakazuje ona przykładem, przekonaniem wstrzymuje. Jest to ołtarz jedności, przy nim szczerłość, otwartość, dobra wiara, rzetelność, czułość na nieszczęścia, litość nad obłąkaniem, uśmierza niechęci, goi rany, przyjazne związki wśród rodziny wprowadza. Sędzia pokoju przyjacielem jest stron obudwóch, który je równie kochać pragnie. Oby tak szacowne ustanowienie coraz więcej doskonałone, i we wszystkich krajach zaprowadzone być mogło.” (1).

Drugą rozprawą ks. Szaniawskiego z tegoż samego roku była rzecz o *obywatelstwie*. Wydawca przedstawia w niej rozmaite względy, pod jakimi ludzie w narodzie, i w świecie uważani być mają; wykrywa różnicę między prawami politycznymi i cywilnymi. (2).

Mianowany kanonikiem katedralnym Warszawskim r. 1809, usprawiedliwiał się ksiądz Szaniawski przed publicznością z przekładu kodexu Francuzkie-

---

(1) Pamiętnik Warszawski 1809 r. T. I stron. 103—112.

W następstwie pisma tego Wincenty Hipolit Gawarecki, wypracował dziełko w tymże samym przedmiocie, pod tytułem: *Wiadomość o sędzie pokoju*, wydane w r. 1816 w Warszawie, drukiem ks. Pijarów.

(2) Pamiętnik Warszawski 1809 roku, tom I stronnica 226—233.

go na język ojczysty. (1) Mówił o odcieniach języka prawniczego, o trudności wystąpienia się dla wszystkich zrozumiałego, bo w każdym czasie, i narodzie, język prawniczy temu tylko jasnym być może, kto naukę prawa posiada.

W końcu przytacza wyrazy, i w dawnym, prawie Polskiem, nauki i objaśnienia wymagające.

Dnia 30 kwietnia 1810 roku odczytał ks. Szaniawski na publicznem posiedzeniu b. Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie: *Rys życia Karóla Kortuma*, członka tegoż zgromadzenia, urodzonego w Bielsku Szląskiem mieście, trudniącego się po większej części fizyką i historią naturalną, i z innymi umiejętnościami oswojonego. Umieścił mówca ten, wielkie prawdy.

„Jest związek między przyrodzonymi skutkami; jest związek we wszelkich wiadomościach ludzkich. Jedne usposabiają drugich, wynalazki przedzielane wiekami, zawisłe są od siebie, i łączą się ściśle. Niekażda prawda ludzka użyteczna sama z siebie, użyteczna natychmiast, użyteczna widocznie, ale dopomaga do wydobywania niezliczonych wniosków, bliższych sprawujących dla nas pożytek. Liczne odnosimy korzyści z doświadczeń Greków i Rzymian. Dalekie pokolenia żyjące po nas, w przyszłości może znajdą obfite użytki dla siebie z odkryć w naszym

---

(1) Tegoż tom IV str. 52–69.

czasie wykonanych, z których my wszystkich przystosowań, i następnych wywodów jeszcze niewiemy z dokładnością” (1).

Wyjechał potem Szaniawski do Paryża dla rozszerzenia wiadomości swoich, odbył tę podróż z korzyścią dla siebie, której udzielał ziomkom. Zdarzoną sposobnością nauka prawa zajmowała go najwięcej, w niej pracował ciągle, i za zmarłymi członkami b. Towarzystwa przyjaciół nauk, na posiedzeniach publicznych głosy uwielbienia podnosząc.

Między temi wspomnieć należy: *O rysie życia Józefa Filipeckiego*, czytany w dniu 11 stycznia 1815 r. „Wiadomości, mówi Szaniawski, których przez młode lata w szkołach pospolicie nabywamy, są to jak małe ognia iskierki, można je rozżarzyć z łatwością, i ożywny płomień ciągle utrzymywać, dodając bezprzesłanne pastwy dobrej, lecz gasną natychmiast, jeżeli stosowny żywiol dostarczony im niebędzie. Przez całe życie zasilać potrzeba przyzwoitem pokarmem, równie umysł jak ciało, aby utrzymywać zawsze wielkie siły człowieka.” (2).

Mówiąc o szkole prawa i administracyi Warszawskiego zakładu w dniu 2 października 1815 r. niepo-

---

(1) Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk. Warszawa. IX 4—17.

(2) Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk. Warszawa. X t. str. 352—360.

chwalił się czcigodny Szaniawski, że ta najszezególniej byt swój jemu była winna (1).

On to podał myśl pierwszą chwalebłą hr. Łubieńskiemu, ministrowi wówczas sprawiedliwości, do założenia w r. 1808 téjże szkoły, i do jej urzędzenia był dzielną pomocą.

„Szkoła ta, wyraża mówca, na wydział uniwersytecki później zamieniona, tudzież egzamina, od owego czasu w linii sądowej wymagane, ważną w sądownictwie, i prawnictwie kraju stanowią epokę.” (2).

W roku 1815 otrzymał ksiądz Szaniawski stopień akademicki w Krakowie, doktora obojga praw, i zaszczyt należenia do tamecznego towarzystwa naukowego. To dało mu pochoop wypracowania rozprawy: *o zaszczytnych stopniach naukowych osobliwie w doktoracie*, i czytał takową na publiczném posiedzeniu d. 1 października 1816 r.

Wystawił w niej poszanowanie, w jakim zostawały nauki u wszystkich niemal narodów, i stopnie jakimi się odznaczeni uczeni w różnych krajach, pod nazwiskiem *magów, mędrców, rabbich, juriskon-sultów, doktorów kościelnych* i t. d.

Opisuje znaczenie wyrazów *Baccalaureus*, *Licentiatius*, *Magister*, *Doctor*, i namieniwszy, że najzna-

(1) Pamiętnik umiejętności 1830 IX 131—132.

(2) Pamiętnik Warszawski 1815 III 406—412.

komitsze osoby, a nawet ukoronowane głowy starały się o takowe akademickie stopnie, i te chętnie przyjmowały, dalej opisuje obrzęda przy ich nadawaniu zachodzące. (1).

Roku 1818 d. 15 stycznia czytał Szaniawski na publiczném posiedzeniu b. Towarzystwa przyjaciół nauk rozprawę o *Rzeczpospolitej Babińskiej*, wyjętą z dzieł Sarnickiego, Chwałkowskiego, i Harstknocha, tudzież z rękopismu puławskiego, obejmującego część aktów, czyli protokulów tejże rzeczpospolitej.

„Świetne u nas panowanie Zygmunta Augusta, mówi, znakomite przymioty przodków naszych, z wielolicznych względów, chwalebnie odkrywa. Nie same tylko zwyciężkie walki z licznyim nieprzyjacielem pogranicznym, nie same narady wymowne na publicznych zjazdach zajmowały wtenczas Polaków, poświęcali się i pięknym naukom, trudnili się dowcipną zabawą, która oświecając umysły, i wzruszając przyjemnie serca, może skuteczniej poprawiała wady ludzkości, niżeli suche częstokroć filozoficzne szkoły. (2).

Znany jest układ i cel *rzeczpospolitej Babińskiej*,

---

(1) Przytaczając niektóre z wierszy, które Piron w języku francuzkim pod tytułem: „Biret doktorski” napisał, a z tych niektóre przełożył Feliks Jarocki.

(2) Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk. Warsz. tom XII 140—161 i Pamiątnik Warsz. 1815 marzec 307—330.

podobne zjednoczenia, jak pisze Szaniawski, roztropną i przyjemną żartobliwością ożywione, słodkiem są zatrudnieniem dla osób, ukształcone nadobnie siły duszy mających, najprzyzwoitszy sprawują odpoczynek po pracach nudnych częstokroć, bez których życie nasze nie może się obejść, i w postaci przyjemnej zabawy doskonalili człowieka.”

Dnia 30 kwietnia 1821 r. odczytał ks. Szaniawski rys życia ks. *Frańciszka Czajkowskiego* archidyakona Łowickiego, członka b. Towarzystwa przyjaciół nauk.

Dowiadujemy się z niego o pracach naukowych ks. Czajkowskiego, prócz skróconego przekładu historyi Wincentego Kadłubka, zostawił mąż ten światły, trzy obszerne własnej pracy rękopisma, o Skitach, ludach pierwiastkowych, z których się utworzył naród Sławiański, i później Polski, i o pierwszej epoce narodu Sławiańskiego. Zakończył Szaniawski ten życiopis następującemi wyrazami: „Krótkie życie człowieka na ziemi, lecz roztropnie prowadzone, wiele użytku dla towarzystwa ludzkiego sprawić może. Zgromadza w nim człowiek drogi skarb szanownych zasług, do nieśmiertelnej chwały.” (1).

Znane są pisma Szaniawskiego, o *hipotekach r. 1809*, o *urzędnikach r. 1810*. *Wiadomości poczt-*

---

(1) Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk. Warszawa t. XV 78—86.

*kowe o nauce prawa r. 1817. Statyka prawa rok 1819. Uwagi o zabezpieczeniu, i o skutecznieniu odpowiedzialności na dłużnikach dla wierzycieli 1820. Prócz tych trzy tomy kazań od roku 1819, i sześć kazań od ewangelii r. 1812 wydanych w Warszawie.*

We wszystkich tych dziełach przebijają się obfite wiadomości, a szczególnie dotyczące nauki prawa, czyste wystowienie, i wzorowe przymioty duszy.

Od stopnia postępując do stopnia w hierarchii duchownej zasługami, został w r. 1810 scholastykiem, prałatem, archikatedry Warszawskiej, potem oficyałem jeneralnym, a po zejściu arcybiskupa Skarszewskiego, administratorem tejże archidiecezyi mianowany został.

Obok obowiązków nauczyciela publicznego w uniwersytecie b. Aleksandrowskim Warszawskim, podejmował chętnie wiele prac innych, a wszystkie z największą wykonywał pilnością. Jako odznaczający się członek kommissyi najwyższej egzaminacyjnej, ozdobiony był orderem św. Stanisława klasy II z gwiazdą, łaską najjaśniejszego monarchy. Czei godny ten mąż, równie zaszczytnie dał się poznać światu, tak w zawodzie duchownym, jak i w zawodzie naukowym. Niezmordowany w pracy, jak w winnicy *pańskiej*, tak i w katedrze szkolnej, zostawił po sobie chlubną pamięć; w obydwu oddziałach był niezaprzeczoną ozdobą, i wzorem dla współpracowników.



Przyjacielski i szczerzy, otwarty dla wszystkich, wielu z nich zjednał sobie przychylność, i uniknął zazdrości, jaka zwykle znakomite talenta umysłu i serca ściga. Ojciec młodzieży, tę wspierał niemylną radą, i z jej dobrego w dalszym życiu powodzenia pocieszał się.

Niechciwy zbiorów, niewielkie swoje mienie, na rzecz Towarzystwa dobroczynności w Warszawie, którego był członkiem, zapisał, pragnąc i po zejściu być jeszcze użytecznym społeczności.

Przeżywszy lat 62 niespełna, w miesiącu wrześniu 1830 roku umarł w Warszawie, (1) ze spokojem mędrca, który dobrze przepędzone życie wraca stwórcy swemu.!

Reszty jego ziemskie, grobowiec na smętarzu Powązkowskim pokrywa, skropiony łzami spółtowarzyszów, i przywiązanych uczniów do mistrza swego.

---

(1) Wzrost jego był mierny, twarz okrągła, oczy przenikliwe niebieskie, włosy ciemne, kształt figury acz szczupłej, składny, i pełen ruchu; oznaczał człowieka czynnego i żywego. W braniu pokarmów i napojów był wielce skromny. Cały swój dochód przeznaczał zwykle na nabycie ksiąg w rozmaitych przedmiotach, szczególnie w języku francuzkim, posiadany przez siebie doskonale. Noce po większej części poświęcał czuwaniu, i na pracach naukowych, któremi bezustannie był zajęty, przepędzał. Mimo podeszłego wieku i spracowanego umysłu, wyglądał czerstwo.

Nic ku pochwale jego przydać niemożna, bo jedna łza bardziej jest wymowna, niż najpiękniejsze słowa!

Zaiste sam sobie uplotł wieniec nieśmiertelnéj sławy; był on z tych ludzi, którzy pielgrzymki swojej po téj ziemi, zostawili niezatarte ślady!

# BIBLIOGRAFJA.

## 1622.

*Pisma Wojciecha Gostkowskiego (1).*

Złote i srebrne góry.  
Detectio accessy skarbu.

---

### I.

Sposób jakim góry złote, srebrne w przeznaczym Królestwie Polskim zepsowane naprawić, do uważania podany, przez Wojciecha Gostkowskiego, wydany roku Pańskiego 1622 b. m.

*Dedykacya JW. Mikołajowi Daniłowiczowi z Żurawa, Podskarbiemu Koronnemu etc. herbu Sas.*

Kończy się temi słowy:

*Dan w Boguszyńie dzierżawy mój, dnia ostatniego miesiąca lutego roku pan. MDCXXII.*

*WM. mego MP. powolny, wszego dobra życzliwy służebnik.*

*Wojciech Gostkowski.*

---

(1) Exemplarze pism tego pisarza są nadzwyczaj rzadkie gdyż kupcy i mieszczenie współcześni, jak świadczy broszura owego wieku p. n. *Okulary* etc., wykupywali je i palili, obawiając się aby naród, to jest szlachta pełnych oszczędności rad Gostkowskiego słuchając, nowych środków ucisku przez niego na miasta i mieszczań wymyślanych niepozwałała, i takowe zasady w księgę praw nie wciskały się.

## BIBLIOTEKA

*Dedykacyi wraz z wyobrażeniem herbu Sas, kartek 3. Przemowy generalnej kartek 4.*

*Summarius książki stronnic 3 na 4-ój frontyispis razem kart. 2. Samój książki stronnic liczbowych 136, na ostatniej epigramma in Zoilum. Format w 4-ce druk gotski.*

## PRZEMOWA GENERALNA

DO ŁASKAWEGO RYCERSKIEGO CZYTELNIKA.

---

Nie ani człowiekowi większego, ani Pan Bóg człowiekowi godniejszego dać nie może nad mądrość. Insze dobra, nie dla siebie, ale dla niedostatków ludzkich z opatrności swój wiecznej wymyślone, Bóg człowiekowi daje. Mądrość zaś ludziom, jako własnego dobra swego udziela. Albowiem ani złoto, i srebro błogosławieństwa, ani pioruny i łyskawice mocy Bogu nie przydają; ale z niewypowiedzianej mądrości, wieczną chwałę swoje i moc mesie. Co gdy tak jest, zaprawdę ludzie o takie dobra mają się starać, które mając, swoje doskonałość wszystkie na sobie poniosą. Nie dla tego bowiem człowiek

jest szczęśliwym, iż dostatek złota ma: ale iż mądrości i dobroci własnych darów Bożych, uczestnikiem będąc, blisko przystępuje do własności Boskiej. Prawdziwą zaprawdę filozofią, to jest mądrość, nazwana jest obrazem Bożym, jasnością rozumu, wodzem żywota, porządkiem życia, obyczajów źródłem, duszą praw, światłością ludzką, umiejętnością wszystkich rzeczy; iż kto ją ma, wszystko z nią ma, co człowiekowi, aby właśnie człowiekiem był, mieć potrzeba. Wiedzieć złe, nie jest złe, ale wiedziawszy złe czynić, jedni bowiem są co z niewiedomością grzeszą, zwłaszcza że czynili staranie wielkie aby wiedzieli, jeśli to złe co uczynili niezasłużyli karania; zaś którzy wiedząc co złe, a przecie źle czynią, bez wszelakiej folgi karania godni, jako ci którzy z szczerą swoją złością grzeszą. Nie źle czynią żeglarze, wywiadując się o niebezpiecznych skałach i miejscach na morzu, aby w nich okręta, albo nie rozbili, albo nie zawięźli. Nie źle czynią dialecticowicze, którzy fałszywe i zdradliwe dowody wypisują, nie iżby mieli podejść kogo nimi, ale aby się ich sami łatwo ustrzegali i drugich uchronić się nauczyli. Nie źle czynią doktorowie, którzy między pożytecznymi do leczenia zioły, ukazują niepożyteczne, trucizn i jady w sobie mające: nie dlatego aby mieli truć ludzi, ale aby z niewiedomości swojej, co się takiego niedopuszcili, coby miasto uleczenia otruć i zepsować chorego miało. Albowiem, kto chce złe zniszczyć nie może tego dokazać prędzej,

ażby je dobrze poznał; kto chce zdradliwe i obciążliwe zwać, potrzeba aby naprzód wiedział z których przyczyn szerzy się i gruntuje ta moc. Nie bez przyczyny na świat wypuszczam tę xiążeczkę, którym dał tytuł:

Złote i srebrne góry w przezacnym królestwie Polskim, ukazując modum reformandae rei monetariae. W niej się pokażę prudentia i złość ludzka, zaczym aby złość prudentiej człowieczej ustąpiła, najdziesz porządnie na swych miejscach, zkad złość, nierząd i confusia najpierwsza in Re monetaria wszczęła się. Zatym, przez co ta confusia im dalej, tym większą górę wzięła, i jeszcze bierze. Potem diskurs na różne obiecta i jako naprawić tę confusią. Tamże, pokąd nie będzie zniesiona wysoka cena grubych pieniędzy, ani zawarcie ziemie nie pomoże, ani precia rerum nie ustaną. To jest im droższe złoto i twarda gruba moneta Imperialna, tym moneta minuta, aut braccata musi być podlejszą. Zaczym mennica, za grubą twardą monetą postępować musi, drogość rzeczy wszystkich.

Druga ratia. Że precia rerum żadnym sposobem nie mogą stanąć, pokąd reforma minutae monetae nie nastąpi na fundamencie porządnym, a dobrze ziemię do gruntu wybrawszy, najpotężniejsze maszyny, zamki i domy stawiać może. Inaczéj, koszt daremny na wszystko, a co większa; z gospodarza cachinatio et risus. Są i insze rzeczy na ostatku téj książki położone, aby wiedział pospolity człowiek

jako kupowano w obcych państwach materye od jedwabiu, szkarłaty, granaty, i insze towary, i przedawano na ten czas, gdy czerwony złoty płacił 54, 58 groszy, które i teraz za te pieniądze kupują, ale iż tracą kupcy na pieniądzech, biorąc je od nas wysoko, muszą swego dochodzić drogiem przedawaniem. Nie jest ci to prawo com ja tu napisał, ani też nie zabraniam nikomu pożytków przywodzić, jednak co korau służy słusznie według kondycyi każdego, gdyż Aristoteles w *Oeconomice* ksiąg swych, *libro primo, capite sexto* ukazuje sposób każdemu, stanowi tak *genera eorum quae rem domesticem disponsant, sunt septem*. Gospodarstwo siedm rzeczy gruntują, które wkrótce wyliczę i opiszę. Pierwsza przez gospodarstwo. przez kupiectwo, przez robotę najemną, przez rzemiosło. przez przeważny przemysł, przez lichwę, przez mennicę. O każdej z osobna jak najkrócej.

Przez gospodarstwo nabywamy pieniędzy, i jako z gruntow, żyto, drzewo spuszczając, kruszee kopiąc, z domu, z winnice, z pasiek, z krów, z stada, z owiec, z stawów, młyny budując, z jezior, z myślistwa ułowione i taki sposób jest z przyrodzenia, bo jest z przyrodzonych rzeczy nadany, a ten należy właśnie, królom, książętom, biskupom, wojewodom i rycerstwu wszystkiemu, bo jest najprzystojniejszy i najsprawiedliwszy.

Przez kupiectwo nabywamy pieniędzy, kiedy pieniądze obracamy w towary rozmaite, a towary zaś



abo kupcom w pieniądze, taki sposób trojaki jest, jedno wielkie i prawe kupiectwo z dalekich krain z za morza, a całkiem je zaś przedawamy; drugie jest kramarstwo, gdy od tych wielkich kupców kupi dostajemy, a zaś łokciem, funtem, kwartą rozprzedawamy; trzecie drzekupiectwo, gdy jedne rzeczy kupujemy na przedaj dla gości, którzy nie zawzdy na targ trafiają.

Przez robotę najemną nabywamy, kiedy kto na robotę najmuje się, bądź robota jest ręczna, bądź duszna. Ręczna jako kopanie, rąbanie i insze; duszna jako uczyć kogo, leczyć chorego, radzić komu, jako są juristowie, taki sposób przystojny i sprawiedliwy, tym sposobem żywią się najmitowie, mixtatnicy, kucharze, kucharki, kursorowie, żołnierze etc.

Przez rzemiosło nabywamy, kiedy jakim rzemiosłem bawimy się, a z niego mamy pożytek, jak są cieśle, kowale, złotnicy, doktorowie, medici. Bo choć pierwszy koniec każdego doktora jest nauka, wszakże wtóry może być z nauki zysk; abo robotę słusznie przedajemy, tak też rzeczy przez rzemiosło uczynione, słusznie możemy przedawać, i z nich pożytek mieć.

Przez przemysł przeważny nabywamy, kiedy upatrujemy fortele przeważne ludzkie. Naprzykład Tales Milesius obaczywszy z astrologii, to że na drugi rok miał być nieurodzaj oliwy, nakupił jej wiele,

a kiedy jój było skapo, sam drogo przedawał. Toż czynił w Egipcie Józef, gdy drogie lata przeczuł. Tu przynależy rozmaitych kruszców wielu nakładanie, okrętów budowanie, alchemia etc. Ten sposób jest przystojny, bo nam dany od sprawce wszystkich rzeczy, od którego nie pochodzi żaden błąd i pomyłka.

Przez lichwę nabywamy, gdy pożyczanemi pieniędzmi zysku jakiego dostajemy. Od sta złotych bierzemy pięć, albo dziesięć, to też rozumniej kiedy nad główną summę pożyczaną, bierzemy jaką rzecz, jako postaw sukna, adamaszku na szatę. Bo acz adamaszek i sukno, nie są pieniądze, wszakże je może spieniężyć.

Lichwa tedy jest, własny pożytek pieniędzy nie udanych na żadne towary abo kupie, jako na rolę, na winnicę, na kupiectwo etc. Lichwa nie przystojna i przeciw przyrodzeniu, bo to jest przeciwko przyrodzeniu, aby grosz, grosz urodził. To zaś jest według przyrodzenia, gdy rzeczy od przyrodzenia, na użytek ludzki danych z rzeczy przez rzemiosło udzielanych, z pracy naszej własnej, pieniądze nabywamy, ale z pieniędzy pieniędzy nie godzi się nabywać opak.

Przez mennicę pieniędzy nabywamy, gdzie pieniądze, bądź złote, bądź srebrne, które w inszym państwie mniej wazą, do którego mamy drogę; takiego sposobu publicznego nie masz u nas; we Włoszech w przedniejszych miastach, banków jest dość takich,

z których przez odmianę, wielki ztąd przywodzą pożytek. Ten sposób potrzeba sama wynalazła, gdyż rozmaita znajduje się moneta i różnej wagi. Bo szacunek bywa pieniędzy w każdym państwie, według uchwały królewskiej, a często się to trafia, iż więcej waży moneta tam gdzie ją kupują, niżli w obcej krainie. Naprzykład, cekin, złoty, grosz wenecki, w Wenecyi (gdy nastąpi reforma) ważyć więcej będzie niż u nas. Waży tam groszy 64, czasem 72, jako uchwałą, a u nas groszy 60. Czerwony złoty węgierski, u nas będzie ważył 58 groszy, a tam groszy 60 pod czas więcej; tedy było potrzeba wynalezienia odmiany pieniędzy, aby każdy mógł łatwo własną monetą, w tej której jest krainie, potrzeby swoje odprawić. Drugi sposób przez list, co zowią po niemiecku na wexel. Mam z wielkimi pieniędzmi jechać do Francyi abo do Niemiec, a boję się żeby mię z nich na drodze nie rozbito, wnet chcąc bezpieczeń byź, zmówię się z mencarzem, albo z głównym kupcem, który tam ma sprawy swoje, aby mi tam oddano pieniądze, za listem jego, wszakże od dziesięci czerwonych pół czerwonego zraziwszy. Takowy sposób jest przystojny i potrzebny, gdyż ten, który odmieniane pieniądze sprzedaje taniej, ale swoje przespieczeństwo kupuje za małe pieniądze, czego by nie potrzeba było, kiedyby wszystek świat miał jednego pana, i gdyby złość ludzka wydzierać pieniądze nie ważyła

się, oprócz téj odmiany insze wszystkie, niesłuszne, nieprzystojne.

Są te rzeczy łaskawy czytelniku, nietylko każdemu człowiekowi wielką ozdobą, ale i największą ku dobrej sławie, i przyjemności u ludzi przyczyną. Lecz zasie, jeden to w sobie zamykając, a nikomu mających darów nie udzielając, tak wiele pożytku przynosi, jako miesiąc z słońcem, abo słońce z miesiącem zaćmione. Gdyż człowiek nie sam sobie gwoli żyć ma, ale naprzód gwoli najwyższego Boga, którego rąk jest naczyniem, potem kwoli swój, a nakoniec i kwoli bliźniemu swemu, w jednakowych pracach z nim postanowionemu. Przeto mądrze ono rzeczone: *Homo-homine vivit* aby jeden któremu matka natura i natchnienie niebieskie więcej dało, drugiemu w czym inszym obfitującemu i mniej umiejętnemu udzielał daru swego, abo też i pochop podał mędrszemu ku grzeczniejszemu wypolerowaniu rzeczy, od niego wznieconych, żeby za początkiem jednego, a za przydaniem następującym drugiego, tak każda nauka i umiejętność im dalej tém większy wzrost biorąc, do doskonałości przychodziła, jako za czasem z małego początku podłych chałupiek, szerokie i bogate miasta rosna, zkąd między inszemi zdaniem ludzkim, niemal najsubtelniejszy filozof Aristoteles, żadną miarą nie mogąc pierwszych początków sposobów, dowcipem swym doścignąć, po wielu szerokich *de mundo* rozbiéraniach, do tego się naostatek z strwożoną myślą uciec musiał. Neces-

sario inquit, omnium istorum primum mobile consistere, summum Eus, to potym na świat, i z tych przyczyn nie darmo ona przypowieść u filosofów urosła: omne principium grave, które i samym doświadczeniem nietylko w ważnych naukach prawie najtrudniejsze bywa, ale zaiste w tym przedsięwzięciu moim, jakimkolwiek nazwanym, zkaąd zacząć, a jako o nim wywieść z początku przynależnie i doskonale mam, gdy pomyślam, dowcipu ledwo dostawa, nie mając przed sobą materyi naszym Polskim językiem żadnego opisania. Bowiem tak siła w sobie godnych i zacnych zamyka części, że je piórem wyrazić, nie w tym nie biegłemu zda się przytrudniejsza, wszakże ośmieliwszy się nieco, zwłaszcza, za usiłowaniem i prośbą przyjacielską, wkroczyć w to, ważyć się muszę, prosząc przy tym gdybym komukolwiek dosyć w czym, podjąwszy się nie uczynił, niech łaskawie przyjmie i odpuści i za złe nie ma. A na owo pomni: etiam doctus dormitat Homerus; cóż ja prostak, gdyż ja, co niektórzy za tajemnice u siebie nie małe zachowują, na jaśnią, odemnie daremnym i wdzięcznym mógł być uczestnikiem.

## Summarius.

Ta książka na pięć traktatów jest rozdzielona.

I. To w sobie zamyka. Nierząd i confusią in re monetaria, paragrafami rozpisana. Tamże in marinibus co który paragraf w sobie zamyka, o czym się discuruje z dowodami rozmaitemi i sententiami. W tymże traktacie zkąd dalsza confusia górę wzięła i jeszcze bierze.

II. To w sobie zamyka. Jakie ma Polska Korona złote i srebrne góry, i w nich co za szkoda, z takimiż dodatkami jako i w pierwszym traktacie.

III. Sposób naprawy Rei monetariae, z rozmaitemi dokładami i wywodami.

IV. Leges koronne od św. pamięci królów Polskich, Kazimierza, Jana, Olbrachta, Alexandra, Zygmuta Augusta i Stefana, króla Jana III dzisiejszego, z statutów i constitucyi, na czerwone złote, monetę drobną, talary dla informacyi czytelnika wyjęte a w ten traktat inrisowane. Tamże statuta Regni, Constitutiae na precia rerum, na legum sumptuariam ordinatio rerum vendbilium, korce, miary, wagi, o exequcie ustaw wojewodzych. Aż ad annum 1621 jedne de integro z statutów, constitucyi wyjęte, drugich tylko capita inserowane, tamże in marinibus, rok i królowie położeni, za których te prawa stanowią, przy nich dowody na swych miejscach.

V. O zawarciu ziemię na kupce koronne, aby towarów nie wywozili, o składach koronnych, tak statutów, constitucyi koronnych, jako téż historyków i pisarzy autentycznych, którzy dzieje Polski pisali, że królowie Polscy zawsze o tym usiłowali aby jarmarki i składy w koronie były dla dobra Rzeczypospolitėj w małej i wielkiej Polsce.

Tamże in marinibus dokłady na swych miejscach obaczysz; jedwabne towary i insze jako kupują, i jakowym sposobem robić, farbować, kupcy koronni każą.

W tymże traktacie, rząd dobry, na czym się funduje, i co za cnót do niego potrzeba, i co go przeciwnym sposobem psuje, luxus jako jest szkodliwy, a przez kogo najszkodliwszy inszemi okolicznościami, czym czytelnik niech się kontentuje, a uważa to wszystko, co się w téj książce pisało.

Veritatem qui cunque non credunt, et ob hoc non intelligunt, oppugnare possunt, sed expugnare non possunt.

W traktacie I-ém. Uskarżając się na przebijanie monety na potrojne czechy i orciki, wymienia iż od r. 1595; „ludzie chytry Raysnerowie, Rutgierowie, Breslowie, Rudolfowie, którzy mieli mennice w Lublinie, w Poznaniu, w Schowie, w Bydgoszczy, po nich Bremerowie, po nich najchytrzejszy Hollendrowie którzy i dzisiejszych czasów mieszkają z nami.”

Na marginesie pisze: „Rayzner utracił, Rutgier w Bydgoszczy zdechł, Bresel Brenim w Poznaniu zdechł, Bremer 300,000 zebrał, zdechł wiedzą ludzie, kalwinowie wszyscy, nie kalwinia to; najchytrzejszy Hollendrowie, constat o tym wszystkim.”

W traktacie 2-m. Rozwodzi się nad tém, iż za płody Polskie droga moneta przychodzi, a ztąd intrata mniejsza, bo obce towary drożej przypadają. Przywodzi że zboża i inszych rzeczy Polska w porcie Gdańskim i Elbląskim do 13 millionów, a innemi drogami lądem do 5 millionów uprzedaje. Między wyprowadzanemi rodzajami wylicza i woły i bydło rozmaite, wosk, łój, wełnę, miód, smołę, ołów, miedź, saletrę, siarkę, galemon, pierze, potaż, popiół, klepki, maszty, skóry, juchty, skórki i t. d. kończąc: a to nie przepyszne ausi et argenti fodinae?

W traktacie 3-cim. Radzi reformacyą monety zrobić, i niedopuszczać jej spodlenia, gdyż za dobrą monetę kupcy taniej towary dawać będą.

W traktacie 4-ém. Przywodzi prawa Kazimiérza Jagiellończyka z roku 1447 i 1451 fol. 289 de braccata moneta. Jana Olbrachta szacunek dukata, 30 groszy z r. 1496 fol. 23. Alexandra szacunek dukata za 32 gr. r. 1505 fol. 23. Zygmunta III o mienicy tak domowój, jako postronnój 1598 fol. 3 gdzie stanowi czerwony złoty po 58 groszy talar po 36 groszy; z r. 1611 fol. 15 czerwonych złotych; z r.



1620 fol. 11 o czerwonych złotych, talarach i ortach t. j. moneta.

Zygmunta I wywołanie monety Swidnickiej a fałszywa nie ma być kowana roku 1527. Zygmunta Augusta zobacz wywożenia monety z kraju z r. 1550 fol. 372, z r. 1567 fol. 75 już talary nie ważne, brane być nie mają; z r. 1567 fol. 75. iż kowanie monety pewnym osobom poruczone być ma, Stefana r. 1578 f. 192 o monecie swojej, o wywołaniu obcej. Zygmunta III 1588 fol. 43 moneta nieważna do korony wnoszona być nie ma; 1616 fol. 5, prawo na dobrą menicę. Dalej twierdzi że precia rerum (leges sumptuarie) bez reformacyi nic innego nie jest, jedno na piecu groch siać, ubogich ludzi kupieckich w Polsce w niwecz obrócenie i zniszczenie. Przywodzi prawa na pretia rerum: Statut Kazimierz a Jagiellończyka z r. 1447 fol. 311; 1454 fol. 312. Władisłai Jagello z 1420 fol. 180 fraternitates tolluntur. Johannes Albertus, a 1496 fol. 23 pretia et mensurae rebus venalibus. Alexandra 1505 f. 313. Zyg. I z r. 1507 fol. 313, a z r. 1510 fol. 313 1523 fol. 314 i 1538 fol. 314 wreszcie 1543 fol. 315. Zygmunta Augusta z roku 1562 fol. 16 i 1565 fol. 51 o powinnościach wojewodów i starostów. Stefana z r. 1578, 192 i 1581 fol. 215, Zygmunta III 1607 fol. 36 o ustawach wojewodzych, a tegoż roku fol. 81 o rzemieślnikach pomiastrach mazowieckich, z r. 1613 fol. 24, 25 i 28. Lex Sumptuaria i pretia rerum.

Z r. 1616 fol. 10 o korcach, miarach i wagach, fol. 14 o exequutiej ustaw wojewodzych, wreszcie z r. 1620 pretia rerum.

W traktacie 5-ém. Radzi zamknięcie granic i przypomina prawa o składach i jarmarkach. Przywodzi statuta z r. 1527 fol. 515, 1538 fol. 516 i 1543 fol. 513, 1565 fol. 48, 1524 fol. 305 o jarmarkach. Wymienia tu jarmarki w kraju i dnie w których przypadają. Bardzo jest ciekawy spis towarów, których najwięcej używamy na zbytki i stroje” wylicza tu bowiem wszelkie materye, których na suknie używano, a in margine pisze że wszystkich towarów, nie wypisuje, bo nie ma nakładu na druk.

Traktat ten następnie zawiera uwagi: o urzędnikach i urzędach rozmaitych, i radzi częstą zmianę urzędników, aby zapobiedz zbytnej chciwości, czei i potężności, a ztąd niezgodom o dostąpienie urzędów, zuchwalstwu i pysze urzędników, i aby ciż nie szukali z urzędu zysku — nareszcie uwagami o dobrych obyczajach, szanowaniu religii, mądrości praw, sprawiedliwości, zgodzie, karności, niedopuszczaniu odmian, szczerości i czujności urzędów, niezgód między szlachtą, umorzeniu, zachowaniu dawnych familii, dochodów według proporceyi, postanowieniu, skromności i mierności, o liczby jawnem składaniu (rachunków składanie przez urzędników) i skarbu pospolitego całość. W końcu gani zbytki i swawolę, radzi strój skromny a niezbytni, i o tém pamiętać że monarchie upadają, i że jeszcze nie

koniec, bo Turczyn z pola nie zjachał -- Vae Regno ubi cuncti quicquid libet affectant, quicquid affectant assequuntur; quid quid malum est cogitant, quicquid cogitant, dicant, quicquid dicunt, possunt, quicquid possunt audent, facto aggrediuntur, ac tum ne unus quidem bonus est, qui resistat. Hujus Regni tam infortunati, aut populi tam infelicis caveat quisque nec civis sit. Brevi enim illi vel ira deorum, vel hominem furor ingruet, ut aut bonis viris plane privetur, aut a tyranis occupetur.

Całą książkę zakończa epigramma in Zoilum z 6-u wierszy łacińskich.

## II.

*Detectio accessy skarbu Króla J. Mości i Rptéj.  
O czym radzić in publico.*

*Rycerstwu koronnemu do uwazania podana.*

*Respublica gubernatur tribus concurrentibus,*

*Cura custodiae, urbis et aedium; cura aerarii.*

*Cura rerum necessarium, ut hac sunt in copia.*

*Przez szlacheica Polskiego domu Junosza, za  
powodem zacnych osób wydana.*

*Bene faelix patria in qua plurimi praesunt  
sapientes.*

*bez miéjsca i roku wydania.*

*4-o druk gotski. Tytułu kartka przedmowy „do  
łaskawego rycerskiego czytelnika” kartek trzy, wiąz-  
ki saméj textu kartek nie liczbowanych 45.*

Xiążeczka Gostkowskiego: *Detectio accessy Skarbu króla J. Mości* to jest: *wykrycie przybytku dochodów skarbowych* za Zygmunta III około r. 1620 wydana przechodzi wszystkie ówczesne źródła dochodów skarbowych, i sposoby onych powiększania. Dzieli się na dwie części czyli traktaty, w pierwszym mówi o dochodach mających źródło w poborach miejskich jako to: szosie, czopowem miejskiem, podatkach od rzemioł, handlów, szynków wina, o zmniejszeniu zbytków w ubiorze i życiu, wreszcie o ormianach, żydach i szotach czyli kupcach cudzoziemskich, w drugiej części czyli drugim traktacie mówi: o wszelkich innych dochodach skarbowych z dóbr ziemskich, żup królewskich, starostw, mennic, ceł, kar sądowych, urzędów.

Dla lepszego wyobrażenia o treści tej książki przytaczają się nadpisy materyi, które autor w niej przechodzi, z niektórymi wypisami.

*Traktat pierwszy. Pobór dla gwałtownych potrzeb RP. za spólną namową i zgodą wszystkich stanów koronnych uchwalony bywa na sejmie walnym; a to dlatego, żeby temu wszyscy podlegali, ponieważ też nie o jednego, ale o wszystkę RP. idzie. Pruskie miasta, szose, o czopowym, rzemieślnicy w Prusiech, Toruń, Gdańsk. Poborcowie w Pruskiej ziemi, — miasta koronne we wszystkim królestwie in genere — szose w miastach, o rze-*

*mieślnikach, różne są rzemiosła, tu wylicza: Złotnika, krawca, szewca, tych co szafianem, kordybanem robią, kuśnierza, co ma bogaty towar, tych co od złota robią, jedwabiem, kosmate towary bogate mają, stelmaszy co karety, lektyki robią, aptekarze, kramarze, sukiennicy którzy sukna krają na łokieć, szarłaty, granaty włoskie, sukna, falendysze. Mniejszych kupców sukiennych zowie krojerzami, materyalistowie którzy trans marina przywożą i t. d. ten ustęp kończy uwagami, iż kupców gubią: żydzi którzy im faktorują, półniski czyli wystawne życie, stroje żon i córek, wreszcie synowie, którzy po nocach bankietując chodzą z pany, tak się stroją jak szlachcie, sobole, kuny, delije z podszewkami kosztowne, kurty sukienne złotogłowie podszyte, szafian co dzień,— a przodkowie waszy sprawiwszy kabat, pludry sajowe, miał do śmierci. Córce miętwiszową suknią albo czamlotową z wodą, u której było fałdów 20, u której każdą kostkę namacał, nie skrył się nikt pod suknią, a teraz pod portugalem nie jednego wprowadzi i wyprowadzi, aż pani matka nie obaczy. Synka też nie ubierał w baczmagi szafianowe, ani w delie, bosó chodził i bez sukniej do lat 10 etc.” *Bractwa* w mieściech wielkich jest siła fraternitates, jako są: krojerze, kramarze, mularze, cieśle, śledziarze, karczmarze, browarze. *W miastach wielkich*: „wehoda płacenia poborów, potrażni, tragarze, ładarze, drażni.” *Hultaje, przekupniowe, przekupki* — tu tłumaczy*

eo przez to rozumieć — „także około tych jest nie mała dismembracya, te tak rozumieć potrzeba, którzy zajeżdżają dla miodów, wosków, pierza, skór, wełny, lnu i inszych rzeczy na jarmarczki małe, abo też podczas do Węgier, Śląska, po orzechy, po ryby i po insze rzeczy, które kupują, przedawają causa lueri etc.” Przekupki zaś te są które siadają na treciech, z masłem, gomółkami, kurami, gęsiami, kaczkami, makami, siemionami, wieńcami, kapustami i inszemi rzeczami, które u nich się nie rodzą, a z swego gospodarstwa nie mogą mieć tego dostatek.” — *Komornicy* to jest w miejscu na komornem u mieszczan siedzący. — *Mycmacherowie w mieściech wielkich* „to jest ci, którzy białogłowskie czapki rozmaite robią” — *Elucidując artykuł o przekupkach*, tak ich opisuje: „Wszystkie to są przekupki, które w mieściech wielkich siadają na smatruzach, około ratusza w budkach, z płótnem rozmaitym, cwelichem, szyderzem, z robotą białą męzką, z niciami, z papierami, z lalkami norymberskiemi, i inszą robotą cudzoziemską.” *Elucidując artykuł o bractwach*, wyjaśnia, iż karczmarz robi w domu piwo i one szynkuje, abo na szynkarki rozdaje. Browarze są w mieściech wielkich, ile tam gdzie kilkadziesiąt beczek zawarzają, jako w Krakowie, w Poznaniu, w Lublinie, w Toruniu, w Gdańsku. *Szynkarowie* szynkarze winni wielkie umieją sztuki około wina, morawskie za węgierskie sprzedać, ufarbować je, ochrzcić wodą, sarkami przy-

kurzyć, plastrami, ściągnąć fus na lager małmazowy albo inszy przetoczyć, z francuzkiego węgierskie uczynić, kanarem podsycić, z jednego statku trzykroć dać kosztować, a powieźć że insze, w kieliszku coraz inszego szkła przynieść: „*Mówiło się o kupcach, kramarzach, krojerzach, rzemieślnikach, o czeladce też ich niewadzi co napisać.*” Na to potrzeba legem sumptuariam, bo ci że się nie starają, coby jedli i pili, czymby żonę, dzieci przyodziali, których jeszcze nie mają, taki w nich jest luksus że nieznać w niedzielę, w święto gdy go w kościele albo na gospodzie pod wiechą, abo też przez rynek ulicą idącego potrącis, jeśli szlachcie abo rzemieślnik, szafian świeży, delia pułgranatna z pelticami abo guzami złocistemi, szmelcem, ba i z turkusami, z perłami, adamaszek, battas pod nią, kurtka szkarłatna, sznurek około niej po groszy 5. Nadrogi wysmukłe srebrnemi haftakami i szabla chędogo oprawna, pas jedwabny, magierka przednie cudna, i tak się wiele ludzi myśli, że im deferują jako szlachcicowi: ot pod wieczór, zszedłszy się ich kilka, dadzą sobie imiona szlacheckie, a jeśli jeszcze wiedzą, że który szlachcie rad trochę z brzegów wyléwa, tedy na jego karb zabijają, usieką, dziewczkę gwałtem wezmą, z sukienki z czapeczki odraect. *A niewiasty ich i córki jako mają zostawać.* Na tych trzeba hamulca wielkiego bo niektórym mężowie nie radzą, zaczym urząd, aby z nimi ostro poczynał. Powieźć tedy muszę, że one są zgubą



mężów swoich. A to z tój miary. By mąż nie miał mieć i szeląga w kalecie, by mu na kamienicę, dom, przyszło się zadłużyć, tedy pani to przewidzi, jeśli widziała u której miłościwej pani suknią nowym krojem, zawicie nowe, pas jaki foremny, czapkę, płaszczyk, szubkę, płaszcz podszyty gronostajami, bobra wyśmienitego, łańcuch robotą nową, tkankę perłową nową robotą, i insze rzeczy, to jēj wszystko mieć. A jeśli mąż nie chce sprawić, to się dąsą, sapa, z mężem nie sypia do kilku niedziel, chorą się czyniąc, abo jeśli jaka nierządna, dostawszy z babą jaką towarzystwa, przystanie do jakiego pana młodego, a co noc będzie inszy, i tak zdobędzie się na ubiór: a spyta jēj mąż, gdzie to wzięła? Od pani matki, abom tēz sobie zdawna grosz do grosza stulała. Niechże kto jedzie do wielkiego miasta, nie rachując radzieckich żon, ani kupieckich, ujrzysz bednarke, szewcowę, krawcowę, kołodziejkę i insze małego stanu ludzie abo ich córki, w sobolach, w łańcuchach, w manelach, w sukniach adamaszkowych, kitajkowych, w portugale, w pasach, w perłowych tkankach, koronach dziwnie robionych, a nie o jednej sukni, abo łańcuchu, ale co święto, co wesele, to odmiana. Jakoż temu zapobiedz? odpowiedź: Takbymś rozumiał już sobie suknią sprawi, abo co kosztownego, żeby się opowiadały do urzędu, a przyniosły z sobą szacunek onego klejnotu i suknie. A urząd obejrzawszy, i obrachowawszy, dobrze, że-

by na rzeczpospolitą do skarbu K. J. M. zaraz połowicę onęj taxy odebrał, sine ulla misericordia. A jeśliby która uparta była, żeby się urzędowi nie prezentowała, tedy gdy w owym nowym pójdzie ubiorze, bądź na wesele, bądź do kościoła, żeby ją publice z onego ubioru, aż do koszule zewleczono a to pobrano na rzplitą.

Rzeczce kto: sromota wielka, gdyby tak miało bydź; odpowiedź: sromota wynosić się nad swój stan (bo się tym Pan Bóg obraża). Dobrej mieszczce: muchajer turecki, czamlet, muchajer czwornitny, miętwiszowa suknia z fałdami, płaszczyk z profaskami, czapka z bobrem za sześć złotych, szubka czamletowa z wodą, abo kożuszek pstry staroświecki, bo go się dostanie i prawnukom — miasto łańcucha, pereł, korale na szyi ze srebrnymi paciorkami, a choć też i gientemi ezerwonemi złotemi, chudy pacholek pożywi się, po jednym może odginać, nie tak wielka szkoda, jako kiedyby łańcuch zginął. Rady te życzy stósować zarówno do prostych mieszczek jak i na rynkowe mieszczki, i na radzieckie i kupieckie córki. *Mówiliśmy o strojach, trzeba też i o półmiskach* mówi tu przeciw zbytkom w jedzeniu radząc nałożenie od nich podatku; tam potem mówi: „na solenitates tak się masz zachować po staroświecku: mięso na misę, na nie ozor, wędłęgo mięsa szrót masz włożyć; na drugą misę: kapłuna całkiem, kurczął dwoje, ptaszki, kuropatwę, szrót cieleciny. Na trzecią misę: pieczenia wołowa, cie-

łęca, gęś, kapłuna, ptaszki, na czwartą: groch z słoniną, jagłami abo ryżem podsypać. A z juchą to nie nie będzie; odpowiedź: trudno wiele juch na jedną misę kłaść, musiałyby bydź misa z fachami, które iż są niezdrowe, jako czarne juchy i żółte, w które zbyt korzenia wchodzi rozmaitego, lepiej ich zaniechać, obrus gdy się poleje juchą, na mydło siła wynijdzie. Jarzyny też nie położono? Odpowiedź: Miły bracie, najedz się jój każdy doma, nie trzeba mu jój w gościnie dawać. A jużże nie płacić od tego? odpowiedź: zapłacić, ale nie tak wiele, od każdój misy, co ich dasz na stół, dać tylko po gr. 6 rzeczypospolitej. A o wino jako? Na każdego gościa półkwarty, wolność wziąć nie dając nic. Taką rzeczą przyjdzie zaniechać bankietów? Odpowiedź: Lepiej bracie miły, bo tego nie masz pożytku, jedno ten, wino, piwo wypiją, byś najwięcej nagotował, zjedzą. Jeśli gładką żonę masz, dziewczkę, tedyć ją, ale etc. ścianę oplugawią, oszezą, schód poplują, ciebie samego sfluką, a naostatek obmówią cię za to żeś ich nakarmił i напоił. *Powiem ci prawdę dla czego ten traktat o półmi-skach napisał. Kupcy cudzoziemcy. Lagierowie, kupcy cudzoziemscy, którzy rok od roku leżą w koronie. Kupecykowie, czeladź cechowa. Aptekarska, krojerzów sukiennych, złotnicza, krawczycy, kuśmierczycy, szewcycy i inszy wszyscy. O czopowym możelitez czopowe do większej aukcyi w uniwer-*

*sale przewieść? Fortele i oszukania, bywasz też jakie przez piwowary?*

*Czopowe żeby żadnej przeszkody nie miało, w mieściech wielkich. O miodach pitych. Gorzalka, wina Endeburskie, Morawskie, Rakuskie, Ryńskie etc. małmazye, wina Hiszpańskie, Francuzkie, Ryńskie. Sąli też jakie impedimenta, w składnym, wiernym, małmazycznym.*

*Ormianie, żydzi, szoci, o każdym z tych trzech osób, przyjdzie osobno traktować. Ormianie wilczym prawem do Lwowa weszli, z tej przyczyny, zrazu czynili się potulnemi, gdy byli łażęgami i przekupniami drobnemi, a teraz jako ich Lwowianie mają skaszel i tak im są ciężej, że Polaki wypychają z miasta na przedmieście, swoją rzeczpospolitę mają cichą, sami się z sobą żenią, erarium publicum swoje mają, swoją wiarę mają, sami się między sobą sądzą. Obyczajów swoich Polskimi odmienić nie chcą. Do wielkich panów w łaskę się wkradają, Polaki urodzone gdzie mogą niszczą. Żydzi koronni. Ten naród śmierdzący, nieprzyjaciele Chrystusowi, świętych Bożych, ludzi chrześcijańskich skazcy, na to swe szkoły mają, tego się uczą, jako oszukać chrześcianina. Kupcy żydowscy. — Machlarze żydowscy. Machlarze handel zwodzą, między postronnemi, jako też koronnemi a swemi żydami. Lichwiarze żydowscy, celnicy żydzi, słudzy żydowscy chrześcianie, szolowie i ich fortete. U tego narodu jest prawo takie, że primogenitus, zostaje*

się przy dobrach ojezystych i macierzyńskich, a jakkolwiek się po nim urodzi braci, ci gdy przyjdą do lat, mają bydź od niego exdotati, i na woli ich jest, abo w państwie swym zostać, abo téż na peregrynencyą iść, i nabywać bogactw. Ci to ludzie nie mają sposobniejszego państwa, jako nasze królestwo Polskie i t. d.

„A gdy się w którymkolwiek mieście z bogaci, i do pieniędzy przyjdzie, drugiemu szotowi one majątność przeda, sam jedzie do Szkocyi i t. d. Rozumie tedy wiele ludzi, żeby przychodniowie, którzy obyczaje insze mają, a w Polskie ich odmienić nie chcą, sami się z sobą żenią, wiary różnej są rzeczypospolitej swoje i nervum mają, sekreta korony Polskiej do Turek i do inszych państw wynoszą, prowenta celne i rzeczypospolitą oszukiwają, ludzie narodu Polskiego niszczą, handle im i kupiectwa z reku i pożywienia wydzierają. Bando na nie wydać z Polski wydać, bona ich konfiskować, bo to wszystko zbiór z Polaków i w Polsce, żaden nie nie przyniósł do Polski, ani na koniu przyjechał, ani się wozem przywiózł; słuszną téż aby tam gdzie gardło nabrał, tam je zostawił.

*Traktat włory, o accessiey skarbu króla J. Mości i rzeczypospolitej niżej opisaných rzeczy. O starych summach. Nowe summy. Wielkie więstwo Litewskie, te artykuły mówię otwarcie: Lenna, pobory koronne, poborcowie. Sposób wybierania poborów, lanowego czwartý grosz, ten przy ele pograni-*

cznym, wtenczas kiedy pobory uchwalają, wybić rany bywa. *Czopowe w mieściech koronnych. Pobór wodny. Składy winne. Cła koronne K. J. M. Kupcy niektórzy z szlachtą porozumiewszy się, impedimenta czynią. Sąż impedimenta jakie celne. Jestże więcej impedimentów, abo szkód celnych. O naprawie pomówić nie wadzi. Periuria pograniczne na woły zimowane, powołowczyzną. Mają to, sobie niektórzy stanu szlacheckiego za dworstwo, kiedy skarb K. J. M. i rzeczypospolitej uszkodzi. Celnika abo jego pisarza tym oszuka, że stawia na pogranicznej komorze, chłopa nazwawszy go Kijakowskim Wojtkowskim, Bartkowskim etc. ubierze go w szaty pacholika swego, a czasem i swego kopeniaka, albo deliej, czapki, botów da mu, za sześć groszy kwartę gorzałki kupi, i każe mu przysiąc że to są woły zimowane abo powołowszczyzna, abo téż z własnej obory jego uchowane. Przez co nie mało ludzi do piekła wtrącają, a sami śmiertelnie grzeszą i t. d.*

*Periurium na cłach wodnych. Periurium* u nas w Polsce choćbyśmy próżni byli wszystkich innych grzechów, tedy dla krzywoprzysięstwa, które już jest tak pospolite, że rzadki szlachcic, któryby krzywoprzysiędz nie miał, abo sąsiada swego, żeby do tego nie przywiódł sługi, poddanego, dla pożytków swoich.

*Zupy in genere.* Botyrum czytając napadłem na descryptią jego, kędy pisze de viribus et opibus Re-

gni Polonia. Tamże zaraz intratę, prowent roczny Króla Jego Mości z nich wspomina: Reditus enim Regni, qui ex minoris salis et argenti percipiuntur, accedunt ad sexcenta aureorum millia quotannis. Piękna i wielka summa, kiedyby tak miało bydź, quod est impossibile. Sławę ma król J. M. tylko, ale pożytku mało. O tych rzeczach mało piszę, bom ich nie świadom, wszakże jako od ludzi wiadomych słycham, że wczasem do tego przyjdzie, że ten thesaurus Regni zaginie złym gospodarstwem, arendarzów, zupowych, których po te lata K. J. M. barzo mały pożytek ma. A jako wielka szkoda się dzieje w górach by chcieli dożywotni urzędnicy prawdę powiedzieć, doićby tego skarb mógł. Ten tedy prowent solny, psuje się solą zamorską, z której R. P. ani K. J. M. żadnego nie mają, jedno miasto Pruskie i t. d. *Olbora w Olkuszu kruszczowa*. To ma swój dawny zwyczaj oddawania kruszczów, ale i w to trzebaby wejrzeć, ut augeatur, bo w niej jako od ludzi słycham, nie szczerze się górnicy obchodzą z olbornikiem. Ołowów tych co każdy rok siła do Węgier, Niemiec, Gdańska wywożą, od którego cło królewskie bardzo małe i t. d. Najlepszaby to była, żeby go na miejscu oszacował, tak żeby bez szkody górnikowej mogło bydź i t. d. Miedź *Annus gratiae potrzebny w koronie*. — *Annaxy*. — *Starostwa*. — *Mennica potrzebna w koronie*. — *Assekuracya kupców cudzoziemskich to jest potrzebna*. — *Delator potrzebny skarbu króla J. Mości*. — *Forum kupieckie*, który ma

sądzić kupce cudzoziemskie, kiedy mu kupiec koronny, żyd, omieszka w zapłacie i innych rzeczach? Radzi sąd miejski z sądem podwojewódzým połączony.

*O bannitach. O retentach poborowych.* Cytuje konstytucyą z r. 1611. *O Ruśnicach* także konstytucyą z r. 1611 przytacza. *Potrzebne extendowanie exekucyi. Homicidae*, żeby dali do skarbu jako za głowę ręczną bronią z ruśnice ubitą.

*Altercatores alias zwadźcy* na których są rany obwiedzione, żeby tak wiele dali jako ranę podług statutu, constitucyi płacić powinien vulnerato, do skarbu K. J. M. i Rplitej.

*Pixidiarii*, co rusznie używają i z nimi chodzą w sądy, w mieściech, na jarmarkach, w targi, do kościoła, na zjazd rozmaity possessionatus 200 grzywien toties quoties, a imopossessionatus żeby był na gardle karany, bona jego mobilia aby były konfiskowane do skarbu K. J. M. i rzeczypospolitej. *Raptors, invasores, violatores domorum nobilium ex civitatum, aliorumque hominum* proponuje aby grzywnom ulegali. *Debitores, obligatorii, grassarii. Judices tribunalis.* Ktoby deputatem został, mając akcją swoją na trybunale, w którymkolwiek województwie, aby dał do skarbu K. J. M. i rzeczpospolitej 500 grzywien. *Nuntii terrarum*, ktoby się wdziérał w poselstwo na sejm nie będący legitime obrany, aby dał sto grzywien. *Sądy o pobory.* — *Symbolum na przedce zebrane na zapłacenie zoldu panom konfederacyi*



tom wszyscy ichmość panowie duchowni, połowinę intraty swęj żeby dali do skarbu K. J. M. i rzeczpospolitéj, ich mość panowie dzierżawcy żeby dali trzy części. *Z dóbr ziemskich*: Panowie także i szlachta, nie turbujący chłopów, od każdej kopy urodzaju ich własnego, ozimego i jarego sub fide et conscientia po groszu jednemu i t. p. proponuje, podobnież opłaty celne i inne w miastach na raz jeden. *W miściach (postronnych) przejmowanie do jurisdiccyj miejskiej*. *W miściach porządek*. Gdy tedy kogo urząd in album civium przyjmuje, powinien się stawić, jako mąż wojenny na ratusz, swym własnym orężem niepożyczanym, a z takim jakiego korona Polska używa, to jest, z szablą, z muszkietem we zbroi, zarękawiu pancierzowym, szyszak na głowie, ładownica przez ramię, w którąby się włożyło puł sta ładunków, siekiera węgierska, prochownica z kluszcem w którejby cztery funty prochu było: kul przy niej sto w worku, knotu dobrego łokei sześć strzelić z muszkietu żeby umiał, i na dwa set kroków tarczą żeby z ręki wybił: barwę hajducką karazyową żeby na jednego pacholka sprawił. A przyszedłszy w tym na ratusz, przysięgę miastu in publico theatro oddawał, którą odprawiwszy, urząd każdy aby mu rękę swą ściągnął, napomnienie dał, i dopiero żeby go in album wpisał; te wszystkie rzeczy żeby zaraz na ratuszu zostały w sequestrze miejskim. Co do rejestru ma być wpisano

i dobrze chowano. Wszędyż to ma być w miastach głównych? W Krakowie, Poznaniu, w Lublinie we Lwowie w Kaliszu, i tam gdzie miasta dostatnie. A w mniejszych mniejsze rynsztunki.

Jest rota ubogich w miastach wielkich co miejskie przyjmują, każdy to powinien. Co się do wielkiego miasta garnie, nie tam po motłochu, niechaj do małych się drudzy garną. Miasta wielkie bogatemi ludźmi stroją i czasu oblężenia długo trwać mogą, a motłoch musi być wypędzen. To też potrzebna, aby w mieściech wielkich, każdemu cechowi rozdane były baszty, które żeby każdy cech swą zawiadował, nakrywał, w prochy, w kule, w strzelbę, w żywność, żeby się sposobiał, w mąki, w połcie i insze rzeczy powoli, namniej na jeden rok, czego żeby rewizorowie doglądali skarbowi każdego roku. Miasta wielkie, trzeba żeby rok od roku miały żywność wszelaką na śpiechlerzach, dla wielu przyczyn. Prochów, aby na każdy rok, kul żelaznych do dział, hakownic, muszkietów, i inszej strzelby, żeby przyczyniali. Na co żeby była ostra rewizya, bo niektóre mają prowenta nie małe, z których się sami bogacą, a rzeczpospolitą niszczą, sami między sobą rozerwą, i tak jeden drugiemu nic nie rzecze, milez ty, będę ja też milezał etc.

---

Respublica periret, imo mundus,  
Nisi per religionem staret et Justitiam.

## DO CZYTELNIKA CO CZEDŁ.

Mały dyskurs, a racya prosta, słowa niewydworne, miałkość dowcipu, niewczas mój dzienny i nocny, nie wiem jakoć je podobał czytelniku łaskawy, jednak w czymem wziął experineyą, com widział, czegom się ręką dotykał, co inszych mierzało, i urażać nie przestawa, w czymby naprawę; pohamowanie, całość rzeczy wszystkich radzi widzieli, krótkimi słowy opisać mi przyszło. Nie przepuściłem sam sobie, z inszemi zaprządz się chcę. Coć nie zda dobrze przyjni, sądz z baczeniem, choć prawda czegobyś nie przymował, nie gań. Pomni co mówi filozof: *veritas habet multos inimicos, paucos amicos*, zem prawdę wyraził, mniej cię obrażać do mnie może, chwalić, raić nie powinienem etc.

## Psalm 95.

*Judicabit Dominus orbem terrae in aequitate, et populos in veritate sua.*

---

## NOCNA PIOSENKA.

---

„O! jakże chłodno w przestrzeni bez końca,  
Nigdy promyczka nie dostrzeżesz słońca,  
A jabym skrzeplą pierś mą ogrzać chciała.”  
Tęszno śpiewała sobie gwiazdka mała.

„Czemuż o! czemuż inne twory Boże,  
W złoto błękitnym bujają przestworze,  
Dla nich dzień biały, dla nich twarz słoneczna,  
Dla mnie noc tylko, noc straszna, i wieczna.

„Ja tylko sama, przez mgliste obłoki,  
Zapuszczam łzawe oko w świat szeroki,  
Widzę gwiazd innych w niebo polot chyży  
Lecz żadnaż nigdy do mnie się nie zbliży?

„Wiecznież mam, wiecznie otulona w bieli,  
Na z chmur wilgotnej spoczywać pościeli,  
I wołać w niebo piersią osuszoną,  
By drobna łozka zrosiła me łono?”

„Wiecznież pieśń moja, samotna i głucha  
Brzmieć ma, śmiertelnych nie trącając ucha?  
Wiecznież z cichego gdy wypłynie łona,  
Niedosłyszana wśród przestrzeni skona?”

„O! lepiej lepiej w półsenném marzeniu,  
W nieznanym słońca utonąć promieniu,  
Niż wiecznie drogą przebiegać tajemną,  
Czarną, bezbarwną, i pustą, i ciemną!”

---

W tém wietrzyk lekko bujając w obłoku,  
Dosłyszał pieśni, i dostrzegł łzę w oku:  
„Niebaczna rzecz, łajesz sądy Boże,  
Że ci blask słońca zaświecić nie może?”

„Różne, o różne, wyższej woli siła,  
Na twory swoje przeznaczenie zsyła,  
Kiedy noc ziemię otacza do koła,  
Ty masz jęć świecić, blaskiem twego czoła.

„A gdy świat Boży, w głębokiem uśpieniu,  
Ty masz po jasnym spuszczać się promieniu,  
Blaskiem proroczym rozproszyć mrok szary,  
Szeptać piosenkę miłości, i wiary.

„Rzuć więc tęsknotę, i niewczesne żale,  
Płyn jasna gwiazdka przez powietrzne fale,  
Świeć łona twego jasnością tajemną,  
Mniejsza choć tobie, i chłodno, i ciemno.”

**Seweryna Z. P.**

---

**DJAK.**

Obrazek.

Okolica równa, cicha i smętna, czarnym sosnowym posępnie szumiącym opasana lasem, a jednak wioska w te czarne ramy lasu objęta, dość miły i wdzięczny widok przedstawia; bo jakkolwiek jęj chaty czarne i pochylone, stulone do siebie, nie wabią oko symetryą, kształtem, i czystością, to jednak zdala wieniec lip i owocowych drzew gromadki, cerkiewka z blaszaną kopułką i podobnąż dzwonnicią, liczne krzyże przy głównej ulicy, wszystko to wystając ponad szaremi i równemi prawie dachy chat i stodółek, zdala przyuajmniej tworzy dość rozmaita, i przyjemną całość. Nadto jeziorko czyste z piaszczystem wybrzeżem, z dużym koszem na ryby na pół zato-

pionym, ciche, spokojne, odbijając w swęj wodzie nierówne całej wioski kształty, tém więcęj dodaje świeżości i barwy temu pospolitemu, wszakże nie bez wdzięku widokowi, Podlaskięj Ruskięj wioski. Skrzywi się może nie jeden, który się napatrzył zagranicą na czarowne Szwajcaryi widoki, który z wierzchołków Alp poił oko panoramą najcudniejszych dolin, miast, wiosek, domków, katarakt, glecerów i t. p.; że my tu tak śmiało okolice *nasze*, i jeszcze do tego okolice Podlasia, zachwalać chcemy; jednakże czemużbyśmy ich chwalić nie mieli właśnie choćby dla tego że są *nasze*, zwłaszcza, że i w podobnych jak naszęj wioski widokach, bez uprzedzenia się, znajdziem wiele a wiele uroku, a nawet poezyi; lecz chciejmy tylko na nie popatrzeć okiem podobném jak patrzyli Salvator Rosa, lub Ruisdał, na okolice które mieli przenieść na płótno.... Powracając do naszęj wioski, dodajmy do jęj nieruchomego i plastycznego jak powyżęj widoku: życie, ruch, harmonią, które go do koła wraz powietrzem otaczają; spojrzjmy na tę wioskę w czasie letniego zachodu słońca, które swą tarczę za czarne bory już skrywa. Wtedy gałęzie okolicznych sosen, lip i drzew we wsi, szumią lekko, jak gdyby modlitwą wieczorną głośne, i harmonijne tony cerkiewnych dzwonoów na Anioł Pański, wraz z powiewem chłodnego wiatru i z wonią świeżęj rosy rozechodzą się po powietrzu, a ten lekki, i głuchy szum drzewny, żabek w jeziorze chór smętny, i brzęk komarów co



się słupami na pogodę wznoszą po nad wodą, to jakby prym, jakby tło tej cudownej harmonii, na której czasem smętna ruska piosnka przed chatą, fujarka z żalospnemi tony, i gwar wiejski chwilowo zapanują i milkną, a ona brzmi ciągle...

Pośrodku wsi, w cieniu odwiecznych rosochatych lip, które letnią porą kwiatem obfitym ubielone, cudowną do koła woń rozsięwały, nęcąc do siebie roje brzęczących pszczołek, otoczona starym zemszałym parkanem, stała cerkiewka, zwyczajnej w tamtych stronach struktury. Dach jej gontami pokryty, od wejścia zniżonym wystawał kątem, następnie wznosił się, służąc za podstawę blaszanej z dzwonkiem i dużym promienistym krzyżem kopułce; w końcu w miejscu po nad głównym ołtarzem podobnie zniżonym, z krzyżem zakończał się kątem. Ściany jej proste, drewniane, na ceglanem podmurowaniu, opatrzone były bliżej dachu kilkoma dużemi oknami o drobnych poczerniałych szybkach, w które ciekawa kalina czerwonemi zaglądała koralami, wraz z jasnymi bzu kitami. Dzwonnica podobnejże barwy drzewa, z podobną blaszaną kopułą w powyrzynanych u góry oknach, dawała widzieć dzwony różnej wielkości, czarne, stare, rozbite, które już nie jednemu swą harmonią towarzyszyły na miejsce wiecznego spoczynku, na mogiłki, zdaleka na polu koło gościńca pod lasem bielejące krzyżami.

Pomimo starości cerkiewki, dzwonnicy, i parkanu

wybitnie nacechowanej czarnością drzewa z mchem gdzieniegdzie zielonym, rdzą na kopułach i krzyżkach, skrzywieniem, spaczeniem miejscami krokwi i dranic, pomimo to wszystko znać było wielką staranność w utrzymaniu, tak tych zabudowań jako i smętarza, bowiem ścieżka wiodąca od bramy równo wyrżnięta, często znać gracowaną była, bzy i inne krzaki bujnie na smętarzu rosnące, widocznie przyszczyżone, ażeby nie zaciemniały okien i dla przechodniów swobodnego nie tamowały przejścia— a gdzieniegdzie gont świeży na dachu, białością odbijał od innych, i zdala wydając się jak biały gołąb; dzwonnica z tyłu podparta balami, przy głównych drzwiach cerkwi świeżo wymurowane schodki, świadczyły że przy prostocie i starości tych zabudowań, ciąglą toczono walkę z niszczącym je czasem. Tuż za parkanem dwa stogi siana należące do księdza lub djaka, nie bez celu były tak blisko do cmentarza przyparte, bo wiedziano, że im bliżej poświęcanego miejsca, tém mniej świętokradzka ręka odważy się targnąć na ich tajemne uszkodzenie.

Kilka krzyżów prostych z przewiązanymi płachtami stało na smętarzu, czerwono pomalowanych na których wypisane były te błagalne pieśni naszej słowa: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie!” W dniu powszednie, lub po ukończeniu świątecznego nabożeństwa, poważna cisza zalegała to ustronne miejsce, przerywały ją tylko głosy szczebioczącego pośród gałęzi drzew ptastwa, brzęk skrzę-

tnych pszczołek i słabszy lub mocniejszy szum lip, drzewek kaliny, i bzu wonnych krzaków, dopiero przebywszy wązkę między dwoma chrościanami płotami uliczkę, łączącą się z główną ulicą wioski, zwyczajny gwar i życie siola dawało się słyszeć.

Przy końcu téj uliczki, po prawej stronie, frontem do głównej drogi, stała plebania; było dworek drewniany, różniący się od chat wieśniaczych dachem dranicami krytym, dużym murowanym kominem i ganeczkiem, na którego froncie zatknięty krzyżyk żelazny, i wymalowane oko opatrności Boskiej, od razu dawały odgadnąć jego przeznaczenie. Dziedzieńczyk otoczony sztachetkami, spichlerzyk stary, pochyły, gołębnik i loszek; z tyłu ogród zasadzony śliwkami, wiśniami i gruszami; na prost po drugiej stronie ulicy, stodółki obszerniejsze od włościańskich, kilka stogów siana zeszłorocznego, i stertka żyta, składały tę skromną zagródkę.

Pomiędzy ogrodem plebanii a cerkiewką, na uboczu, stała samotna i mizerna chatka, lichotą chyba różniąca się od wiejskich, z dachem słomą pokrytym i mchem porośłym z kominem murowanym, lecz z tynku i cegieł nawet opadłym, o ścianach szarych, niepobielonych, spaczonych, o okienkach małych i drzwiach niskich. Chatka ta była ogrodzona chróścianym płotem, który tworzył niby dziedzieńczyk, lecz oprócz niej żadnego innego do niej należącego zabudowania nie było. Położoną ona była w równej od cerkwi i plebanii odległości, i od jej niskich

spaczonych i skrzypiących drzwi, zarówno mocno udeptane w te dwa miejsca prowadziły ścieżki; nadto stała ona w innym kierunku od chat wieśniaczych, symetrycznie mniej więcej bokami do głównej ulicy obróconych, stała, jak gdyby w dowolnej postawie, ukosem, jednym bokiem do cerkwi, drugim do plebanii zwrócona. Kilka grusz starych, obłamanych i pochylonych, dodawały jej cienia, i urozmaicały niejako jej samotność.

Była to chata djaka cerkiewnego.

We wsi djak cerkiewny obrządku grecko-unickiego, jest tém samém czém organista przy naszym kościele, z tą różnicą, że pierwszy oprócz wtórowania z mszałów swym głosem księdzu przy mszy śpiewanej (organy bowiem są bardzo rzadkie w podobnych cerkiewkach), usługiwania do mszy czytanej, pełni pospolicie inne obowiązki poślednie, do jakich zwykle u nas używają żaków lub dziadów kościelnych; on dba o czystość cerkiewki i smętarza, on dzwoni na anioł Pański, ubiera księdza do mszy, zapala świece, kadzidło i t. p. i jakkolwiek życie codzienne, zatrudnienia prywatne, krom kościelnych i język, w ničem się nie różnią od prostych wieśniaków, z których zwykle sam pochodzi, jednakże uważanym bywa we wsi, za osobę wyższą nad prostego chłopą, więcej ukształconą, i na wpółduchowną; najwięcej się téż i ubiorem od nich odróżniać stara.

W naszej wiosce, w chatce którąśmy widzieli, mieszkał djak zwany powszechnie *djak Semen*. Sta-

ry bo 70-letni prawie, wysoki, dość jeszcze prosto się trzymający, głowę tylko naprzód miał nieco podaną. Twarz jego ogorzala, zmarszczkami poorana, jakkolwiek w swych grubych i dość pospolitych rysach zdradzała typ tamtostronnego wieśniaczego rodu, wszakże nie była pozbawioną wyrazu; zdrowy rozsądek chłopski, malował się w burych choć starością już zmatowanych oczach, i w otwartém łysym czole, nieco bielszém od reszty twarzy; a w zmarszczkach koło ust spodnią wargą wystających, krótkimi, czarniawemi wąsikami nastrzępionych, przebijała poczciwość. Kosmy swych włosów zebranych z boku głowy, około uszu zakręcone, spadały w nieładzie na kołnierz wytartej długiej kapoty, z grubego szarego sukna taśmami białemi na plecach wyszytej; pas czerwony wełniany, przepasywał mu biodra, a buty grube z długimi cholewami kryjącemi się pod połami kapoty, uzupełniały zwyczajne jego ubranie.

Stary *Semen* od niepamiętnych czasów pełnił w tej wiosce obowiązek djaka, a pełnił go z gorliwością. On się prawie zestarzał z tą cerkiewką w której z zamiłowaniem swą służbę wypełniał, którą codziennie uprzątał i jak mógł przystrajał; o której ściany co święto obijał się śpiew jego moeny i donośny. On się zestarzał z temi dzwonami rozbitemi i chropawemi, z których zwykle jeden największy własną poruszał ręką; on się z temi lipami które szumem swych tęgich, rozłożystych konarów, jakby wtorując modli-

twom i pieśniom cerkiewnym, i dzwonom sąsiednim, wraz z niemi uczestniczyć chciały w służbie i chwale Bożej. On przesadzał te kaliny, te bzy, które teraz wyżej nad niego wzrosły, i swe korale i kity ciekawie w okna cerkwi wtykały... — Kochał więc i wzwyżsział się do cerkwi, do lip, do dzwonów, kochał swoje zajęcia, swój stan i swoją chatkę w której sam jeden mieszkał, — jednakże najwięcej najmocniej był przywiązany do proboszcza, któremu w służbie Bożej dopomagał, z którym posiwał w tej ustronnej wiosce przy tych zajęciach, za którym poszedłby w ogień, a którego był zarówno pomocnikiem w cerkwi, lokajem, furmanem, ekonomem, a razem przyjacielem w plebanii.

Trzeźwy, nikt go jeszcze pijanym nie widział, choć nieraz w niedzielę nie gardził kilka godzin przepędzić w karczmie z chłopkami, albo u kumów przyjacielsko gawędząc tamtejszym językiem dając rady, ciesząc się z wesółmi, smucąc i pocieszając ze strapionemi, i przytaczając często naukę jaką moralną wprost z mszałów wyjętą. Wieśniacy szanowali i kochali djaka Semena; on przykładem swego życia, swą mniemaną religijną nauką, jako więcej do ołtarza i księdza zbliżony, miał u nich nieraz głos stanowczy, który godził spory, dawał rady w potrzebie, groził, i napominał. W rozmowie wesolej, światowej, swobodnej, używał często wyrażenia: „*a bodaj tebe*” a skierowane pospolicie do tego do którego swą mowę obracał i w żartobliwym zwykle wymawiane to-

nie budziło śmiechy w słuchających,—lecz w groźbie napomnieniu, to, *bodaj tebe*, skierowane na winowajcę było straszném i ze zgrozą niejako wymawiane, jakby początek przekłęstwa....

Znał wszystkich we wsi djak Semen, znał wszystkie wypadki, dzieje smutne i radośne każdej niemal chaoty, bo sam bywał świadkiem każdej ważniejszej epoki życia chłopków tój wioski; był przy chrzcie każdego nowonarodzonego dziecka, przy ślubie parobków i młodych, i przy ostatnich chwilach umierającego, którego zwłoki później z proboszczem na mogiłki odprowadzał.

Jakkolwiek po za obrębem cerkwi, w pożyciu z kumami i znajomymi, był zupełnie z nimi na równi, poufaląc się bez najmniejszego cienia dumy i wyższości; jakkolwiek nieraz zaproszony na *ochotę*, rozweselony wyśpiéwywał światowe pieśni, a nawet w tany dawniej się puszczał, w cerkwi, w czasie służby, był zupełnie innym względem nich z uroczystą powagą. Krzątając się, groźnie upominał do uwagi, do porządku, i z zarówno skwapliwością usługiwał bogatszym jak uboższym więcej i mniej znajomym. Pod względem służby cerkiewnej był niez mordowanym. Latem sypiał w przedsionku cerkwi na tapczanie słomą popruszonym, za drzwiami, obok żałobnych chorągwi, mając po nad głową trumnę pustą w czasie exekwi używaną, i nieraz gdy go pytali, czy się nie boi spać tak sam jeden, odpo-

wiadał z uśmiechem: „*a bodaj tebe*, a i czego mnie się bać w świętym miejscu.”

Co święto i niedziela brzmiał jego głos donośny przyśpiewujący z bocznej ławki, z grubych w skórę oprawnych mszałów; co święto dzwon wielki jego ręką rozbujały, górował nad harmonią mniejszych, i wprawnie kołysany, taktowne swe dźwięki, daleko po okolicznych lasach roznosił. Szara kapota Semena na prawem kolanie była wytarta i świecąca, bo Semen z pokorą, a razem powagą, krzątając się po cerkwi, *nie zabył*, za każdą razą przykleknąć, przechodząc wprost wielkiego ołtarza. On śpiewał najgłośniej ze wszystkich w czasie *suplikacyi Akapistu* i t. p. a w czasie processyi, lub w polu, gdy z umarłym szedł orszak pogrzebowy głos jego zawsze po nad innymi górował, i zdaleka już był słyszany.

Semen był wdowcem, żona mu oddawna umarła, a chociaż był bardzo do niej przywiązany, chociaż sam głosem silnym lecz przez boleść drżącym, towarzyszył jej zwłokom na mogiłki, zniósł to jednak mężnie zgadzając się jak mówił z wolą Bożą. Pozostał mu syn *Pilipko*, którego koniecznie na djaka chciał kierować, a którego proboszcz swoim kosztem w szkółce miejskiej, na coś wyższego miał nadzieję wykształcić.

Lecz za nim o Pilipku mówić będziem, potrzeba nam wspomnieć o proboszczu, o plebanii, do których Semen był tak przywiązany.



Stary, podobnego co djak wieku, ksiądz *Ławry-siewicz* od lat dawnych był proboszczem znajomój nam wioski. Cichy, pobożny, łagodny, z wykształceniem odpowiedniem do swego stanu, w całym znaczeniu odpowiadał powołaniu, był kapłanem, z powołania. Punktualnie, godnie, i gorliwie, wypełniał obowiązki ołtarza, słowem prostym zastosowanem do pojęcia chłopków, przemawiać do nich, ze skwapliwością, nieść pomoc sakramentalną potrzebującym, wspierać ubogich swych włościan, to były jego najgłówniejsze zajęcia. Szczupłe gospodarstwo którego poczęści zarząd powierzył Semenowi, było u niego rzeczą podrzędną, dodatkową w obliczu obowiązków które pojmował. Jego twarz pełna łagodności, biała i delikatna, głowa naprzód podana i siwym włosem pokryta, suknia czarna długa, czysta choć nieco wytarta, już na pozór dobre o nim dawały świadectwo.

Owdowiał oddawna i bezdzietny, (\*) oprócz gorliwie spełnianych obowiązków kapłana, poświęcający się i ludzki, czuł się obowiązany bliższym swym krewnym potrzebującym, nieść pomoc i opiekę; jakoż mając siostrzenicę młodą, osieroconą, wziął ją do siebie wraz ze swą rodzoną siostrą, podobnego pra-

---

(\*) Wiadomo że Księża obrządku Greko-Unickiego świątcy wchodzą w śluby małżeńskie.

wie co on wieku, podobnież cichą, pobożną, i godną staruszkę; — obsypał sierotę pieczołowitością i staraniem jak ojciec, i postanowił wszystkie dochody i zasoby jakie mu szczupłe gospodarstwo i probostwo przynosiło, po swój śmierci siostrzenicy przeznaczyć.

Natalcia więc dzieckiem jeszcze pod jego wzięta opiekę, utraciwszy rodziców zbyt weześnie, widziała w nim ojca, w siostrze jego matkę, i kochała ich nie mniej pewnie od rodziców, których obraz w niewyraźnych rysach malował się w jej pamięci. Tutaj więc, w tej skromnej plebanii, przy tym czcigodnym ukochanym stryjasku i ciotce, wzrastała, tutaj wdzięki jej rozwijać się zaczynały, a umysł oświecać, serce czuć, w modłach i przy ofiarach stryjaska w cerkwi, dusza jej czysta wznosić się do nieba, a w tych prostych choć miłych, dziewięcych widokach przyrody uczyła się dumać, serce przepęłniać wdzięcznością dla tego który to wszystko tak pięknem stworzył, który jej podobnego jak stryjasek zesał opiekuna. I Natalcia w tej cichej ustroni, w tej niepozornej wiosce, jak fiołek skryty wśród dzikiego chwastu, jaśniała blaskiem wdzięków, któreby gdzieindziej na otwartym świecie, nie uszły od rozgłosu i uwielbienia.

Lecz nietylko kształtne formy ciała, rumieniec na twarzy i oczy duże, jasne, malujące dobroć i słodycz, nietylko cała jej powierzchowność była piękną, serce i umysł poprawną stryjaska i ciotki

kierowane ręką, były podobnie, zdrowiem, uczuciem i słodyczą nacechowane; ale bo też cnotliwe życie stryjaska, jego nauki czynem poparte, zasób wiadomości, wszystko to wprost trafiając do serca i umysłu Natalki, wybitnie wpływały na ich ukształcenie.

Pani Mateuszowa siostra proboszcza jak już mówiliśmy staruszka cicha, pobożna, łagodna, starała się Natalce zastąpić matkę, bratu, w kobiecych okolicy domu zatrudnieniach, żonę ukochaną, przedwcześnie utraconą.

Te więc trzy osoby składały mieszkańców plebanii, wiodły życie ciche, pełne wzajemnych uczuć, pełne pociech jakie im czyste sumienie i obcowanie z przyrodą nastrecały.

Do tego grona i djak Semen był niejako włączonym, i stanowił czwartą jakoby familijną osobę. Kochał on starego proboszcza, kochał Natalkę bo była siostrzenicą proboszcza, kochał panią Mateuszową bo była siostrą dobrodzieja, a oprócz syna Pilipka to szczupłe grono osób, stanowiło jego główny cel życia, jego jedyne przywiązanie do ziemi.

Wyjąwszy chwile na cerkiewną służbę przeznaczone, djak Semen nie odstępował prawie plebanii, gdzie im usługiwał, uprzedzać się zdawał wszelkie, drobne ich chęci, gawędził z nimi o dawnych czasach, i krzątał się około ich gospodarstwa z sumiennością. Umieli i oni ocenić nieustającą czynność i przywiązanie Semena; to też łagodnym a nawet po-

ufałem z nim nieraz obcowaniem, odwdzięczać mu się za to starali. Nieraz Semen, w święta szczególnie zapraszany był do ich stołu, śmieli się z nim, rozprawiali; djak Semen wszakże nie nadużył nigdy tego pozwolenia poufałości, i tój tak wielkiej dla niego łaski zbliżenia się do nich, bo wiedział że proboszcz był osobą duchowną i *dobrodziejem*. *Wielmożna panienka*, jak nazywał, siostrzenicą, a *pani starsza* siostrą proboszcza. I nieraz gdy w rozmowie z niemi zapominał się powtarzając do którego z nich swoje żartobliwe *a bodaj tebe*, uderzał się zaraz po ustach, i zaraz to złe naprawiał nazwaniem: *wielmożny dobrodzieju, wielmożna panienko*, lub *pani*, a jeżeli na czas się spostrzegł, to tylko same *a bodaj...* z ust mu się nieposłuszne wymykało.

Pilipko syn jedyny Semena, urodził się w tój stariej, znajomej nam chatce; ochrzcił go proboszcz przyniesionego do cerkwi, i sam ojciec usługiwał do tego obrzędu z powagą i uroczystością; potem po śmierci matki, kiedy już chodzić potrafił, ojciec przeznaczył go koniecznie do pasienia gęsi i owiec proboszcza; jednakże niezwyčajny spryt, pojętność, ochota do pracy z młodych lat Pilipka, zwróciły uwagę czeigodnego proboszcza, który postanowił swoim kosztem oddać go do szkół, do powiatowego miasteczka.

— Szkoda, żeby się twój Pilipko tak marnował na pasaniu owiec i gęsi — mówił on raz do Semena;

widzę w nim wielką pojętność, zdrowy nad wiek rozsądek, i ochotę niezwykłą do pracy.”

— A bodaj... wielmożny dobrodzieju, ja taki nie chcę nie więcej *tylo ono*, aby on był djakiem jak ja, aby służył u dobrodzieja, i mnie pomagał — odpowiadał z uśmiechem Semen.

— Trzeba go posyłać do szkoły, może wyjść na człowieka bardziej użytecznego społeczeństwu.

— He! — mówił machając ręką z niedowierzaniem djak — do szkoły! do szkoły! do szkoły! dobrodzieju, to jemu się tak w głowie *naprzykład* przewróci, że potem wstydzić się będzie swego ojca djaka; niech siedzi doma dobrodzieju, niech pasie gęsi i owce, dali-Bóg że jemu nie panem być, a najwięcej djakiem takim jak ja.

— To też im więcej będzie wykształconym tém bardziej nie będzie się ciebie wstydzil, — zresztą zostaw mi go, ja go posyłać będę do szkoły, bo widzę to koniecznem.

— A bodaj tebe!... i uderzył się po twarzy — mój dobrodzieju *wielmożnyj* — mówił rozczulony djak, całując rękę proboszcza — kiedy dobrodziej mówi że to *konieczne*, i kiedy jego sam będzie posyłać, to taki to dobre być musi; — bo djak słowom proboszcza wierzył jak wyroczeni.

Pilipko więc, jak już mówiliśmy, kosztem proboszcza pobiérał nauki w miasteczku.

Nie będziemy tu przechodzić szczegółowo kształcenia się, rozwijania się umysłu Pilipka, to tylko po-

wiemy, że się czcigodny proboszcz nie zawiódł w swych celach i nadziejach, i że Semen przestał się obawiać, ażeby w skutku nauk, jak mówił, głowa mu się przewróciła, ażeby się miał wstydzić szarój ojca kapoty.

Po kilkunastu więc latach Pilipko wyrosły, wysumkły, przystojny, z porządnym zasobem wiadomości, z sercem pełnym miłości synowskiej, pełnym wdzięczności i szacunku dla proboszcza, powrócił do rodzinnego siola. Proboszcz wyrobił mu natychmiast posadę pisarza prowentowego w sąsiedztwie, u majątnego i godnego obywatela.

Jakkolwiek ubiór jego był wytworniejszym od sukman chłopskich, jakkolwiek obowiązek przez niego pełniony nadawał mu sposobność do życia mniej twardego, więcej wygodnego od życia chłopków, to jednak nie wstydził się, i nie zapięrał zwać się synem djaka Semena, byź dla ojca z największym synowskim uszanowaniem,—chętnie dzielić zabawy, i bratać się z prostymi *batka* kumami i przyjaciółmi, zasilać ojca częścią swój płacy, i starać się jego twarde życie małemi chociaż uprzyjemniać wygodkami. Stary Semen odmawiał wszystkiego, a nawet wyburczał gdy Pilipko w miejsce starych i prostych sprzętów w djakowej chatce, chciał nowe wygodniejsze i wytworniejsze zaprowadzić, gdy inną jak szarą i grubą, ojcu chciał sprawić kapotę. Czuł, pojmował Pilipko że swój byt terazniejszy, swe rozjaśnienie umysłu winien był proboszczowi, dla tego też

proboszcz po ojcu był przedmiotem najwyższej wdzięczności, przywiązania, i szacunku. Jakkolwiek obejściem się pełnem godności, przytęm postawą i ubiorem, i wyższem niejako ułożeniem, sprawił to, że mieszkańcy plebanii, bez względu na jego pochodzenie, przyjmowali go i uważali tak jak na to zasługiwał, Pilipko jednak dla ojca, a szczególnie dla nich, był zawsze nieśmiałym, pełnym bojaźni i uszanowania, stojący w pokorze przed nimi, nie śmiejąc piérwszy wszezać rozmowy, w drobnych usługach przynajmniej starając się okazywać, jak wiele czuł dla tych, którzy go na tym postawili stopniu.

Wioska gdzie pełnił obowiązek pisarza leżała tylko o milę od naszój. Pilipko więc prawie codziennie konno odwiedzał ojca i plebanię, a za każdą razą gdy przybył, całował czarną żyłastą rękę ojca z pokorą, proboszcza w ramie, a Natalei, i pani Mateuszowej grzecznie się skłonił, i patrzył na te osoby nieśmiałemi oczyma, w których wyczytać było można cześć, uwielbienie, chęć poświęcenia się dla nich bez granic, i badać się zdawał, odgadywać usiłował ich chęci i życzenia drobne, które z dziwnym taktem, delikatności i zręcznością uprzedzał.

Ta nieśmiałość i skromność przy mieszkańcach plebanii, które stary Semen w duchu pochwalał i cieszył się, nie mniej ujęły księdza Ławrysiewicza, który nieraz nawet łagodnemi i żartobliwemi słowy, zarzucał mu ich zbytek, a przyjazném i poufałém obco-

waniem, starał go się ośmielać. — Pilipko jednak zdawał się być wiernym dawniej nauce ojca : że potrzeba kochać i uważać proboszcza jako osobę duchowną i dobrodzieja, pannę Natalię jako siostrzenicę, a panią Mateuszową jako siostrę proboszcza.

Lecz podobno nietylko to przekonanie było przyczyną zbytniej jego nieśmiałości, było nią niestety także, a może najważniejsze uczucie, które pomimo woli wzrosło w jego młodocianem i nieskażonem sercu, i powiększało się do coraz wyższej potęgi, a które on w swém przekonaniu uważał za tak śmiałe, bezczelne, tak świętością przedmiotu siebie niegodne, tak wreszcie niepodobne, że nietylko z niem przed kim się zdradzić, ale sam w sobie je stłumić jakby myśl zbrodniczą, usiłował. On kochał Natalkę.

Bo chociaż się urodził chłopem w ciemnej i dusznej djakowej chatce, choćby nawet nie był tak wykształconym jak jest teraz, miał jednakże jako człowiek serce takie jakie my mamy, a mając serce, czyliż rozum pomimo wszelkich usiłowań był w stanie tak nad niem zapanować, ażeby je zupełnie zależnym od jego woli uczynić?

To też Pilipko po ukończeniu nauk, gdy ujrzał Natalkę pełną wdzięków i dobroci, gdy poznał duszę jej czystą, piękną, i tkliwą, cóż dziwnego że ją pokochał?

Jakże bolesnym wszakże dla niego było pojęcie tego uczucia, które usiłując tłumić, tém więcej podsycał, w którym im więcej rozważał ogrom przedziału i śmiałość na którą się targnął, im więcej poznawał



niepodobieństwo pragnień i nadziei, tém więcéj ono zdawało się jakby na przekór rozwijać, i tém głębiéj w umysł i serce zapuszczać korzenie.

O gdyby o tych uczuciach wiedział stary Semen, pewnieby go potępił, przestraszyłby się i zafrasował; możeby to uważał za ublżenie godności tych ukochanych osób, możeby patrzył na szaleńca, jak na tego który się naparł księżyca dostać do ręki.

O nie, nikt wiedziéć nie będzie, ani ojciec, ani *ona*, ani tembardziej proboszcz, i jego siostra, i naciskał ręką Pilipko bijące serce jak gdyby przez to, swe uczucie chciał stłumić, i głębiéj zataić.

Kiedy nieraz przyjechawszy konno wieczorem do plebanii, uwiązawszy konia do sztachetek koło ganeczku, z|uszanowaniem i bojaźnią, z mocno bijącym od wzruszenia sercem przestępował jéj progi,—przyjmowano go uprzejmie, przemawiano doń paufale. Natałka z uśmiechem go witała, patrzyła nań z takim zajęciem swemi dużemi oczyma, nie raz żartowała z jego nieśmiałości, zmieszanej postawy;—głos jéj tak mile brzmiący, drżącym głębokiem echem w jego odbijał się duszy, a oczy jego gdy nań patrzyła, nie śmiały obejmować, i pieścić cudownych jéj ciała kształtów.

Nikt się jednakże niedomyślał stanu jego duszy, nikt sobie dostatecznie nietłumaczył jego zbytniéj skromności, bojaźni i pomieszania przy nich, a témbardziej stary Semen. Natałka tą przenikliwością

kobiecą może na jaśniejsze, prawdziwsze wpadała domysły, może odgadywała jego uczucia, tego nie wiemy, i nieraz po jego odjeździe rozmawiała o nim z Semenem :

— Powiedźcie mi mój Semenie, co wasz syn taki zawsze nie śmiały, smutny, tak się boi do nas zbliżyć?

— A bodaj... wielmożna panienko, bo jemu tak być powinno, *choć* on niby *naprzykład* jest wyższy od prostego, odemnie nawet jako pisarz, to taki wie dobrze że on chłop, że wielmożnyj dobrodziej któremu to wszystko winien, to dobrodziej, a pannulka, i wielmożna *starsza* pani, to jego pany, bo on taki zawsze syn djaka Semen, a państwo, — państwo.

— Jemu jakiś smutek ciąży na sercu nie uważaliście Semenie? tak nam smutno odpowiada, nie śmieje się z nami, choćbyśmy nieraz tego chcieli.

— Ej *ni* — wielmożna panienko — czego on ma być smutny, czego jemu być smutnym kiedy państwo łaskawe na niego, tak się z nim obchodzą jak z *panem*, *choć* on i nie wart tego.

— Wart tego Semenie, bo choć wyższe nad stan ma wykształcenie, ciebie się przecież nie wstydzi, — prawda?

— To prawda pannulku!

— Dla mego stryjaszka jest pełen wdzięczności i uszanowania?

— Oj to i to prawda pannulku, on za wszystkich dałby się zabić.

— A widzisz Semenku, to i czemuż nie ma być wart żeby się z nim dobrze obchodzić!

Stary Semen wznosił oczy do nieba, ręce żylaste złożył i wyrzekł wzruszony.

— Boh dast wam wszystko dobre, że tak o biednych ludziach pamiętacie! — i łza zabłysła mu w starych oczach; — a ta łza i to błogosławieństwo mieściły w sobie całe przywiązanie, całą życzliwość, i wdzięczność starego djaka.

I życie mieszkańców plebanii ciągle jednostajnym płynęło trybem. Zwyczajne stanu obowiązki, nabożeństwa zwyczajne w cerkwi, zatrudniały proboszcza i djaka, nabożeństwa brzmiące ich pieśniami rozlegającymi się w cerkiewce, w polu w czasie procesyi, lub gdy umarłego grzebali, brzmiące starami dzwonami, których harmonią wiatr daleko roznosił, nabożeństwa proste, nie okazałe, lecz pełne gorącej modlitwy, pełne wzniesienia ducha do stwórcy!

A Pilipko poczeiwy?

Pilipko z nieopisaną tęsknotą w sercu, sam ze swém głębokiem a tajemném uczuciem, smutniał, mizerniał, toczył walkę ze swoim sercem, trawił się i gryzł sam w sobie. Dla niego, te śpiewy cerkiewne, te dzwony, te lipy szumiące dawniej tak radośną, tak wesołą harmonią brzmiące, teraz na ton smutny, tęschny, grobowy nastrojone były; — i imbardziej czas ubiegał, imbardziej obcował z ple-

banią, tém więcej smutniał i tęschnił, tém więcej oczy jego chorowitym, nienaturalnym połyskiwały blaskiem, a lica niedawno zdrowiem, młodością tchnące, teraz chudły, ścigały się; policzki wpadały, i żółkły.

Spostrzegli tę w nim odmianę mieszkańcy plebanii, spostrzegał wreszcie i stary Semen, lecz na zapytanie ojca — „*a bodaj tebe szczo sia tobi zrobyło, słaby cy szczo?*” — Pilipko odpowiadał: — „nie, nie mój bałku, to nie, wam się tak zdaje.” — Zapytany podobnież łagodnie od proboszcza, odpowiadał z uszanowaniem: — „Nie mi nie jest dobrodzieju, czyżem godzien być na mnie swą uwagę zwracali?” — a na częste prósy pół-żartobliwie, pół-seryo Natałki, o wyjawienie powodu swego smutku, twarz jego obléwała się rumieńcem, oczy spuszczał, serce mu drżało, i z gorzkim uśmiechem, cichem odpowiadał głosem: — „To nie pani.”

Stan jego duszy w tej ciągłej walce rozsądku z sercem był dlań okropnym; — uczucie które tłumić usiłował, wzrastało na przekor coraz głębsze; pragnienia jego serca, marzenia które zwykle wysnuwają kochankowie, szczęście z posiadania kiedyś lubego przedmiotu, były tak niepodobne, tak bezcelne, — tak śmiałe, wreszcie tajenie ich w samym sobie i strzeżenie nie wydania się ze swemi *zamkami na lodzie*, wprawiały go w rodzaj obłąkania, melancholii.

I nieraz już postanawiał opuścić te miejsca, tyle

dlań tęschne i smutne, opuścić te osoby tak mu drogie, którym tyle był winien, i uciec gdzieś daleko w świat, zamknąć się samotnie, i w czasie, szukać lekarza, na tę tak dotkliwą chorobę. Lecz jakież dać powód swego oddalenia, jak opuszczać starego ojca i proboszcza, którym nieraz stać się w czem można pomocą? wreszcie gdzie uciekać? co począć? — może tajemnie opuścić te miejsca; cóż oni znów sobie pomyslą... a więc zostać, zostać, chociaż każda chwila z nimi spędzana, coraz nowe bóle, coraz nową przynosi tęschnotę....

Pewnego wieczoru gdy do plebanii przyjechał, zastał w niej samego tylko proboszcza, zajętego czytaniem religijnego jakiegoś dzieła; — Natalka z panią Mateuszową poszły na spacer na wieś, djak dzwonić na anioł pański. Uprzejmie powitał go proboszcz, on go w rękę z uszanowaniem pocałował, a widząc większą jeszcze bladość na twarzy Pilipka, kazał mu usiąść przy sobie, i po chwili przemówił.

— Uważałem mój Filipie, i twój ojciec gubi się w domysłach, że musisz mieć tajemną troskę która ci dolega, — powiedz, powiedz, bądź szczerym, wyjaw mi ją otwarcie, może ci na to lekarstwo podam skuteczne.

Pilipko zadrzał, i odpowiedział jak zwykle: „To nic dobrodzieju, doprawdy nic.”

Proboszcz łagodnie nalegał, prosił, i tak wreszcie ośmielił że Pilipko odrzekł:

— Dobroczyńco mój, jeżeli tak chcesz i każesz,

tobie tylko jednemu ją wyjawię, lecz dobroczyńco mój, przyrzecz mi, że się mną brzydzić nie będziesz, nie potępisz mnie, nie będziesz mnie miał za niewdzięcznika.... Ta troska którą noszę w mej duszy, ona nie z mojej przyczyny, Bóg świadkiem, że pomimo woli obraz osoby, na którą mnie synowi djaka spojrzeć zaledwo wypada, że obraz ten wpoił się w moją duszę, w serce, w głowę, w całe moje jestestwo, — żem pokochał osobę która nie dla mnie, choć pokochał miłością czystą i świętą, czystą jak to dzisiejsze niebo, świętą jak twoje życie mój dobroczyńco!... pokochałem pannę Natalię — dodał ciszej; lecz śmiałość, bezcelność tego uczucia, usiłowania przytłumienia go, niepodobieństwo spełnienia mych dziwnych zechceń, marzeń, wprawiają mnie w stan okropny, stan w którym życie staje się prawie ciężarem...

Proboszcz który coś ważniejszego usłyszeć się zapewne spodziewał, odetchnął, i gdy Pilipko zakrywszy twarz rękami, jak gdyby wstydząc się swego wyznania zamilkł: Proboszcz łagodnym, spokojnym bez zadziwienia tonem przemówił:

— Czy tylko to Filipie? toć nie zbrodnia moja duszo, i jeżeli tylko zyskasz wzajemność swych uczuć ze strony Natalki, to bynajmniej przeszkodą nie będę, ażeby twoje marzenia i nadzieje nie miały dojść do skutku.

— Jakto, ja syn prostego djaka? zawołał i spoj-

rzał obłąkanym wzrokiem na księdza, jak gdyby nie dowierzał czy prawdę słyszy.

— Tak jest, ty syn prostego djaka, odpowiedział z łagodnością i powagą proboszcz, bo każdy uczeiwy i wykształcony jak ty człowiek, bez różnicy pochodzenia, ma prawo do ręki mojej siostrzenicy.

Tu podziwienie, szczęście, wdzięczność Pilipka, były nie do opisania, ukląkł przed proboszczem, i jakby w przystępie szaleństwa, płacząc i śmiejąc się całował nogi i ręce ezcigodnego starca.

— To tylko co do mnie, a Natałka? chyba jesteś już przekonany że ci sprzyja?!

Tą uwagą zadumał się trochę Pilipko i w pierwszym wzruszeniu nieco uspokoił.

— Prawda, to najgłówniejszy warunek mój dobroczyńco! przemówił.

— To już do ciebie należy, z méj strony już ci mówiłem.

— O dzięki wam za to, niech Bóg wam za to stokroć nadgrodzi.

I niedługo potem niezobaczywszy się z ojcem ani Natałką, powracał Pilipko do domu, a drzewa i pola i łąki wydawały mu się piękniejsze, harmonia wieczoru, więcej radosną, szum drzew weselszy; wszakże niezupełnie zaspokojony, nie zrzuciwszy jeszcze zupełnie kamienia z serca, zostawało to wielkie pytanie: czy ona mnie kocha? czy kochać będzie?

Djak Semen o niczém nie wiedział, — proboszcz dnia tego przed nikim o tém nie wspomniał.

Nazajutrz przed południem w sypialni proboszcza, przy drzwiach zamkniętych od bawialnej izby w której djak Semen sprzęty okurzał, proboszcz z siostrzenicą, tajemniczą i długą prowadzili konferencyą, po której Natałka wybiegła z weselszém jeszcze okiem, i z bardziej zaczerwienionemi policzkami, a zatrzymawszy się w izbie, spojrzała z uczuciem na zajętego pracą i niewidzącego jej djaka, i pobięła na ganek świeżem odetchnąć powietrzem, po tak znać miłej, rozkosznej, lecz trochę żenującej rozmowie. Treści tej rozmowy przytaczać nie będziem, to tylko powiemy, że gdy Pilipko wieczorem do plebanii przyjechał, zastał na ganku siedzącego proboszcza, który mu szepnął: „wygrałeś Pilipku, pobłogosławię wam, ona cię kocha” — i drżącego, od zmysłów prawie odchodzącego poprowadził do izby, gdzie siedziała z robotką Natałka.

— Zbliźcie się moje dzieci, niech was pobłogosławię nim was Bóg na zawsze połączy — rzekł proboszcz; i gdy Pilipko klęczący przed Natałką ze łzami całował białą rączkę kochanki, która ze spuszczoneń okiem i żywym rumieńcem mu jej nie broniła, ksiądz zrobił krzyż ręką nad niemi i szeptał cichą modlitwę.

W ową chwilę we drzwiach ukazał się djak.

Nie jestem w stanie opisać fizynomii i całej postawy djaka w owej chwili, jego zadziwienia, trwogi



zgrozy nawet na ten widok; cały przechylony na przód z szyją wyciągniętą, z oczami wytrzeszczonymi, nozdrzami rozdętymi, rękami podniesionymi, długi czas zostawał tak w nieruchomej postawie, potem powtarzając urywane i groźne: „a bodaj” — posuwając się co krok, i co krok stając w tej samej postawie, trząść się zaczął całym ciałem, bełkotać coś niezrozumiale, wreszcie zatoczył się i upadł...

Widok tak niespodziewany, myślą nawet nie przypuszczalny, zbyt wielkim szczęściem, później odjął mu na chwilę zmysły.

Biedny Semen dostał gorączki, maligny, starania jednakże mieszkańców plebanii i syna, wkrótce mu przytomność, a potem i zdrowie powróciły, a najpierw zapłakał rzewnie, i drżącymi ustami całował ręce proboszcza i Natalki, i dziwował się i chwalił Boga, dziękował, że mu takiego szczęścia doznać dozwolił...

A w parę miesięcy po zapowiedziach po południu w cerkiewce naszej, pozapalawszy wszystkie na głównym oltarzu świece, djak Semen ze łzami w oczach usługiwał proboszczowi, który w paradnym ornacie, w obliczu Boga, wiązał przysięgą dozgonnej miłości, dwa serca czyste młodej i szczęśliwej pary.

Na prośby syna i synowej, którzy o milkę od naszej wioski w gustownym zamieszkali dworku, odwiedzając często proboszcza, na przedstawienia i rady księdza Ławrysiewicza, djakowi żeby na starość

wypoczął, i siedząc spokojnie przy dzieciach, zaniechał swego nużącego zawodu, djak Semen ani chciał słyszeć o najmniejszej swego życia odmianie, i z upodobaniem powtarzał: „mnie już djakiem umrzeć, i póki sił stanie służyć Bogu, i wielmożnemu księdzu dobrodziejowi do śmierci.”

Starość znacznie pochyliła jego postać, odbierała siły i dawną sprężystość ciała i umysłu, i jakkolwiek suwał już z coraz większą trudnością nogami, drżącą ręką i niezgrabnie zapalał świece, i dzwonił w dzwon wielki z trudnością, jakkolwiek cichszym i chrypliwszym z kaszlem głosem z mszałów księdzu wtórował, wszakże nikomu się w tém wyręczać nie pozwolił, i gniwał się nawet gdy mu nie jeden z kumów chciał w czem pomagać.

Filip i Natałka prawie codziennie odwiedzali plebanię, lub też zapraszali proboszcza i ojca Semena do siebie, gdzie ich przyjmowali z synowską miłością i uszanowaniem, wszakże nigdy djak długo u nich wysiedzieć nie chciał, wymawiając się robotą która go w cerkwi lub plebanii oczekiwała.

W kilka lat potém bolesny cios dotknął młodą parę, i starego Semena śmiercią czcigodnego proboszcza, i też same stare i rozbite dzwony cerkwi zajęczały, zmieszaly się z płaczem liczne gromy wieśniaków miejscowych i sąsiednich, i ze stłumionym już i płaczem przerywanym głosem starego djaka, który do tego smutnego obrzędu należał; a gdy przebrzmiały pogrzebowe pieśni, i wiatr rozwiał smutne dzwonów

tony, gdy wieśniacy z prawdziwym, niekłamanym żalem, tą najpiękniejszą ozdobą wystawności pogrzebu, na swych ramionach zwłoki prawdziwego ich ojca na mogiłki zanieśli i pogrzebali, djak Semen drżący i chwiejący, na wpół płacząc i modląc się za duszę zmarłego, kilka tylko godzin przeżył swego ukochanego dobrodzieja.

A od owęj chwili, od czasu dwóch tych pogrzebów, plebania i chatka djakowa zostały puste i zamknięte, cerkiewka opieczętowana, parafia do pobliskiej wsi przeniesiona, oczekując zanominowania proboszcza. Głucha cisza zalega teraz smętarz i cerkiewkę, lipy tylko stare szumią posepnie, roje pszczołek brzęczą latem do koła, dzwony milczą, wiatr tylko czasem przebiegając pośród nich, wydobywa z nich dźwięk słaby, przelotny, jakby echo właściwej ich harmonii; bramka smętarza odwalona, bzy i kalina bujniej się tylko rozkrzewiły, i nieprzystrzyżone zaciemniają cerkiewne okna; na smętarzu ulica trawą i chwastem porosła...

Znać że już nie ma djaka Semen!!...

## PODRÓŻ RZEMIENNYM DYSZLÉM.

Gawęda ciotuni.

---

— Chwalcie tam sobie jak chcecie tę waszą kolęj żelazną, a ja wam powiadam że to wymysł szatański, mówiła zażywając tabaczkę z srebrnej tabakierki, podeszła pani Wojska, wdowa od lat kilku po znacnym i szanowanym powszechnie obywatelu.

— Ależ droga ciotuniu, nieuprzedzaj się zbyt, zastanów się tylko, ile ztąd wypływa korzyści, ludzie zbliżają się mimo woli do siebie, ztąd wzajemna miłość, braterstwo!

— Miłość, braterstwo, odparła wstrząsając głową pani Wojska — piękne to słowa za prawdę, ale

dziś czeze i puste, jakoby kłos bujny a bez ziarna. Śmiać by mi się szczerze chciało, gdyby tu raczej niebyło nad czém zapłakać. A któż dziś nie kocha siebie najlepiej, a drugich o tyle tylko, o ile mu są potrzebni?

— Podobno to tak zawsze bywało ciotuniu, a ci którzy inaczej postępowali, wyjątkami byli tylko. Ale wszakże i dziś, nie brak nam podobnych wyjątków, a gdybyśmy chcieli sumiennie obliczyć, liczba ich, okazałaby się może większą niż dawniej!

— Gadasz sam niewiesz co mój kochany, rozum dzisiejszy, niemiecki, zajechał ci w głowę, a wszystko co dawne, nie ma u ciebie waloru. Nowe sitko na kołek a stare pod ławę, dobreć to przysłowie! Gdyby z grobu powstali pradziadowie twoi, umarli by powtórnie z żalu i zgryzoty, że tak poniewierasz przeszłością.

— Szanuję ja przeszłość, Bóg mi świadkiem, czuję i wielbię całą poezją jaką w sobie mieści, ale obok tego widzę o ile świat dąży naprzód.

— Radabym tylko wiedzieć, jak daleko zajedziecie z waszym postępem.

— Juściż przyznaj ciotunia, że kto jedzie koleją, dalej się posuwa od tego, co się wybiera w drogę obładowanym wozem, po błotnistej drodze: wiek nasz pędzi koleją, przeszły włókł się na kołach.

— Tak, ale jak kółko u maszyny pęknie, to długo trzeba stać w miejscu i czekać.

— Ależ to jak się naprawi, to jedna chwila nagrodzi czas strocony.

Pani Wojska zamiast odpowiedzi, zażyła tabaczkę, skinęła tylko głową z powątpiewaniem, i białymi, pulchnymi jeszcze paluszkami, otrząsała z piersi pozostałe proszki.

— Alboż i co do czasu, ciągnął dalej Karól, ileż go się to dawniej bezużytecznie straciło. My na przykład do Wólki, potrzebowaliśmy jechać przynajmniej trzy dni, gdy tym czasem dziś, wyjechawszy rano z Warszawy, staniemy na południe.

— Czas o tyle ma ceny, o ile go człowiek pożytecznie użyć umie, odparła ciotka, rada że znalazła przekonywający argument, na zabicie upartego bratanka; a i cóż waszmości z tego przyjdzie, że sobie oszczędzisz dwa dni czasu, chyba to że uszczujesz chartami z parę zajęcy, albo też że ziewając pod piecem, wypalisz z tuzin cygar. Myślał by kto że zamierza budować wieżę Babel, tak mu idzie o to, żeby dwóch dni czasu niezmarnował. I rozśmiała się starowina złośliwie, pokazując dwa ostatnie na przodzie zęby.

Karol tymczasem wypuścił z ust tuman dymu, niemając snąć co odpowiedzieć.

— A mileż to były te noclegi ciotuniu, rzekł wreszcie, zwłaszcza zimną po żydowskich karczmach, zimno, dymno, brudno, aż dreszcz przejmuje pomyśleć.

— Oj boście też strasznie waszmoście po delika-

tnieli, dawniej lada baba miała więcej energii i wytrwałości, niż dzisiejsi panicze, nieprzymierzając jak i wasze panie Karolu.

Karol skrzywił się nieco, starowina rozśmiała się i zażyła tabaczki.

— A potem myśli wasze dodała, że to się tylko po karczmach nocowało — co nie to nie, dawniej mości panie, szanowano parentele, a wszyscy niemal w powiecie byli z sobą zkoligowani: — coby to było żeby komu przejechać pod nosem a nie wstąpić, ba! czasem się i dwie i trzy mile składało na bok z drogi, i to się nazywało jeździć rzemiennym dyszlem.

— Winszuję, ale nie zazdroszczę, odparł Karol — wycierać przez kilka dni cudze kąty, to mi dopiero przyjemność.

— Nie zazdrościsz! odparła ciotka skłaniając smutną głowę. Aj źle mój kochany, bardzo źle, a byłoby czego pozazdrościć! Ależ wasze żal się Boże i mówić o tém jak dawniej bywało, wy tego nawet pojąć niepotraficie. Chcąc wiele rzeczy zrozumieć nie dosyć mieć rozum, trzeba mieć i serce, a u was serce przewędrowało do głowy — wszystko obliczacie samolubnie, i porównywacie co wam więcej przynosi korzyści. Jużciż ja sama wiem, że wygodniej wypaść się na swoim łóżku, aniżeli w gościnie, gdzie wiązka słomy lub siana nieraz zastępowała materac i poduszkę; — ale gdy cię przyjęto z otwartym objęciem, gospodarstwo wyszło oboje przed sień na twoje przybycie, z rozradowaną twarzą; gdyś

w poufalej gawędce wygadał wszystko co ci ciężyło na duszy, toś i o wszystkim zapomniał, a tylko Pana Boga chwalił za to że stworzył zacnych i poczciwych ludzi. Oj pamiętam ja dobrze jak my to raz, rzemiennym dyszlem jechały z Warszawy z nieboszczką ciotką, Panie daj jej niebo, (podkomorzyną Widawską) to mi to była uciecha; ale co tam waści o tém gadać, — to tak, jakby groch na ścianę rzucał, ty tego nawet i nierozumiesz.

— O już zrozumieć, zrozumieć ciotuniu jedyna, tylko powiedz mi jakże to było, rzekł Karol biorąc niuch tabaki z cioteczynęj tabakierki, gdyż to był najpewniejszy sposób, wprowadzenia jej w dobry humor.

— No toć ci i powiem, ale teraz już czas nie po temu, kolej nadejdzie niezadługo, a co jadąc to żal się Boże jeno piersi zrywać daremnie.

Rozmowa ta toczyła się u wagonu na stacyi Skierniewickiej w oczekiwaniu dalszej drogi. Podróżni powysiadali wszyscy, została tylko podeszła ciotka z siostrzeńcem.

Tymczasem przyczepiono lokomotywę świeżo zasiłoną w drzewo i wodę, podróżni wsiadali śpiesznie do wagonu, maszynista z świstem wypuścił parę, i pociąg posunął lotem orlim ku Łowiczowi.

— Bywałam ci ja tu na zabawach u nieboszczyka księcia Prymasa Ostrowskiego, rzekła ciotka wskazując ręką na piękny pałac wychylający się z po za zielonych kłębów.



— Jakto? tak daleko, zapytał Karol zdziwiony, wiem przecie że ciotunia mieszkałaś zawsze w Kujawach.

— Tak, ale przez trzy miesiące byłam tu na kuracyi u nieboszczyka Twardochlebowicza, zacny to był człowiek, lekarz zawołany, to téż zjeżdżało się do niego obywatelstwa z całego niemal kraju jak na odpust. Oj wesoło to było i gwarno w Skierniewicach, a ksiązę prymas sute wyprawiał gale, ba! i niemal co niedziela wszystkich do siebie zapraszał, i kapela rżnęła tego, a my tańcowaliśmy do upadłego.

— Dobra to była choroba, rzekł z uśmiechem Karol, kiedy ją można było takim lekarstwem zbywać. Totéż Twardochlebowicz niewiele sobie złamał głowy, i pewno prymasowskie gale więcéj pomagały niżeli wszystkie uczone recepty sławnego Eskulapa. Oj prawda ciotuniu lepiej przed tém bywało.

Ciotunia zażyła tabaczki i odkrząkła: — Nie słyszę co waszmoś gadasz, bo tu hałas i tartas jak na sądzie ostatecznym, próżno sobie waszmoś nie drzyj gardła.

Milczeli chwilę oboje, parochód pędził szybko, zostawując za sobą szeroki ślad czarnego dymu. Na lewo w oddaleniu ukazała się powabna Arkadja.

— I tu podobno dobrze się bawiono twego czasu, rzekł Karol. Nieprawdaż ciotuniu, oj co lepiej, to lepiej przed tém bywało.

— Mój kochany rzekła ciotka, skłaniając głowę, zawsze podobno bywał kąkol pomiędzy zbożem.

— Nie przecze kochana ciotuniu, i teraz ci go nie brakuje, przyznaję chętnie, ale trudnoż przecie przypuścić, żeby i dziś nie było już nic dobrego.

— Przedtem bywał gdzie niegdzie kąkol między z bożem, teraz zostało tylko gdzieniegdzie ziarnko zboża pomiędzy kąkolem i chwastem, — przerwała ciotka.

— Dobrze i to, wystarczy przynajmniej na zasiew, rzekł z uśmiechem Karol.

— Tak jeżeli zielsko nie zagłuszy go do reszty.

W téj chwili okazały się wieże Łowickiej kollegiaty, parochód zwolnił bieg, zaświstał, i zatrzymał się przed dworcem.

Pani Wojska wysiadła ostrożnie wspierając się na ramieniu siostrzeńca, weszła do sali gdzie żydzi rzempolili na skrzypkach i basetli, arją z napoju miłosnego:— usiadła pod oknem, Karol tymczasem zajął się odebraniem pakunków.

W pół godziny potem, posiliwszy y się nieco, ciotka siedziała obok siostrzeńca w małym koczyku, zaprzężonym w cztery fornalskie konie, i jechali spiesznie bitą drogą ku Kutnu.

— A cóż kochana ciotuniu jakże to było, kiedyś jechała z nieboszczką podkomorzyną, rzemiennym dyszlem do Warszawy.

— No proszę jaki on ciekawy, a wiesz wasze, że

ciekawość pierwszy gradus do piekła, tak mawiali ojcowie nasi.

— A my mawiamy że ciekawość pierwszy stopień do doskonałości, i mamy podobno słuszność.

— Oj co nie, to nie, gdyby nie ciekawość pierwszej naszej matki, lepiej by nam dziś było w raju, niżeli oto tłuc się po drogach żelaznych aż kości trzeszczą człowiekowi. Waszćć zwłaszcza niegniwał byś się pewno, żebyś sobie całe dnie leżał na miękkiej murawie pod gołym niebem, a same gołąbki, leciały by jeno do gąbki.

— Chyba figi i pomarańcze kochana ciotuniu, boć przecie wtenczas, pradziadowie nasi nie jadaliby je-szcze mięsa.

Pani Wojska w miejsce odpowiedzi dobytej tabakierki — sięgnął do niej Karol.

— No i jakże to było ciotuniu jedyna.

— Wyciągasz mnie wasze już na słowa, ażeby sobie potem drwinki stroić ze stariej. Oj starość nie radość. Na pochyłe drzewo to i kozy skaczą.

— Oj że nie, to nie, droga ciotciu radbym tylko wiedzieć jak też to bywało, bo że jedno było lepiej, trudno temu zaprzeczyć.

— Ha przyszła koza do woza, — rzekła ciotka z rozjaśnionem obliczem, wyciągając do siostrzeńca otwartą tabakierkę.

Karol sięgnął do niej, pocałował ciotkę w rękę, — ona oddała mu pocałunek w czoło.

— Owóż powiadam waszmości, miałam na ówczas lat szesnaście, i dobre to były czasy, w głowie jeszcze świtało, za tańcem, za muzyką, poleciałoby się było i w piekło, a tu jakby na złość, nie często zdarzyła się gratka po temu. Nieboszczka matka, owdowiała rychło bo jeszcze byłam w pieluchach, kiedy Pan Bóg powołał nieboszczyka ojca do swój chwały. Smutno więc było w rodzicielskim domu. Matczysko, krzątało się jak mogło około gospodarstwa, zabiegało wszystkiemu. Bracia byli w szkołach u księży Pijarów w Łowiczu, mnie jeno co matka odebrała z klasztoru panien Cystersek Ołobockich, gdzie nieboszczka babka była przełożoną. Owóż choć to jak ludzie mówią wszędzie dobrze, a w domu najlepiej, ja przecież ledwie ze skóry nie wyskoczyła, kiedy jak dziś pamiętam w tydzień po Nowym roku przyjechała do nas nieboszczka ciotka, podkomorzyna Widawska, i napałała się koniecznie żeby mnie matka pozwoliła jechać z nią na całe zapusty do Rudnik. Moja pani siostró, mówiła nieboszczka ciotka, dobrze wasani mówić pacierze od rana do wieczora, czego ja wcale nie ganię — aleć to młode, potrzebuje się trochę wyskakać, i obejrzyć po świecie, skwasisz jeno dziewezynie młode lata, a te już niewrócą tak jak i woda wstecz nie popłynie.

— Co jój to potém, mówiła nieboszczka matka — albo to ona stworzona na wielką panię. Jeżeli Bóg pobłogosławi to się i tak mąż trafi choć głowy z za pieca nie wytknie. A jak zakosztuje świata to po-

tém nie będzie się chciało rano wstać do krów, i dojrzyć kur, i gęsi.

— Ej niegadałabyś na próżno pani sestro, przypomnij jeno sobie asińdzka młode lata, bywało się tu i owdzie, a przecież nie zaspalaś gruszek w popiele; a kiedy Pan Bóg zesłał nieszczęście, toś się dźwignęła na nogi, i niesiesz krzyż swój jak możesz.

— Oj nieszczęśliwa moja dola, odparła matka rozrzewniona słowy ciotki, niech ręka bozka broni ją od takiego, oto dzień i noc majestat bozki błagam.

— Cóż robić; Bóg daje, Bóg bierze, trzeba go chwalić za wszystko, rzekła ciotka, tandem, pozwól że wasani jechać dziewczynie do Rudnik.

— Moja pani sestro, kiedy to u jejmości, sami panowie bywają, chudo-pacholek ani zajrzy — dziewczynie się jeno głowa czém niepotrzebném nabije, a potem będzie bieda.

— Gadasz asińdzka, gadasz, przerwała ciotka już ja jej strzedz będę jak oka w głowie, a może też Pan Bóg dopomoże, i stręczy jakiego ucziwego człowieka. No namyśl się jeno asani — i niebroń dziewczynie jechać — bo inaczej daję słowo, noga moja nie postanie więcej w asińdzki domu. A trzeba wiedzieć waszeci ciągnęła pani Wojska, że nieboszczka ciotka była u matki w wielkiej estymie. Bo też ona skoliğacona była z pierwszemi w kraju domami, przez nieboszezyka swego męża podkomorzego Widawskiego, człowieka zacnego, i wielce uczonego. Matka

więc niemogła się dłużej opierać jej woli, na takie zwłaszcza zapowiedzenie. Ja w czasie całej tej rozmowy siedziałam jak trusia, założywszy ręce w młdrzyk, i smutno patrzałam w ziemię, oczekując na którą się też stronę szala przeważy, ależ jak matka pozwoliła nakoniec po długich korowodach, skraśniałam jak wiśnia, pociemniało mi w oczach od wielkiej radości, choć się odezwać ani ruszyć nie śmiała, dopiero gdy ciotka rzekła do mnie, no podziękujże matce Anusiu, padłam jej do nóg jak długa, i rozplakałam się z ukontentowania.

— Pamiętaj jeno dziewczyno, żeby ci się w głowie nie przewróciło, żebyś mi nie nabrała jakiegoś tam fumów i ceregieli, ale żebyś mi zawsze była równie potulna i posłuszna jak teraz.

Przyrzekłam wszystko święcie, ale gdy mi matka kazała iść zebrać swoje manatki, zaledwiem przestąpiła próg pokoju, latałam jak szalona, niewiedząc sama od czego zacząć przygotowanie do podróży.

I w kilka dni potem jechałam z ciotką do Rudnik poszóstną karetą. Ciotka odmawiała pacierze przesuwając w palcach kokosowy różaniec, który dziad jej nieboszezyk przywiózł przed laty z Rzymu, mnie zaś w głowie uwijały się cudowne rzeczy, coby tego na wołowej skórze nie spisał.

Tegóż samego dnia wieczorem, ściągnęliśmy na noc do Rudnik, aż tu nowa radość. Ciotka zastała listy z Warszawy dotyczące się processu, który się od dawnych lat toczył o znaczną sukcesją, po kasztela-

nie Gdańskim. Podkomorzy siedział za nim w Warszawie od pół roku, aż tu pokazało się, że potrzeba było ciotycznego podpisu. Mąż wzywał ją żeby niezwłocznie przyjechała do niego. Zadrżałam z razu, mniemając, że jak niepyszna powrócę do domu, gdy tymczasem ciotka zawołała mnie do siebie.

— Pojedziesz waspanna zemną Anusiu, rzekła, głaszcząc mnie pod brodę, zabierz z sobą co masz najlepszego, mówiłam też pannie Krynickiej, żeby waspannie dała z mojej garderoby salopkę grodeturówką w kwiaty z królikami, i spódnicę błękitną z takąż jubką, obszytą brabanckimi koronkami, boć bym się niecheiała powstydzić za waspannę a może wypadnie z powrotem zawadzić, i tu i owdzie do krewnych.

Rzuciłam się do nóg ciotki, i całowałam serdecznie jej stopy i kolana.

— No idź teraz waspanna spać, a jutro skoro świt trzeba już być gotową do drogi.

Położyłam się uradowana, ale sen ani powstał mi na oczach. Jak żyję na świecie, niebyłam jeszcze w Warszawie, a potem toćto w młodych inaczéj wówczas krew krążyła niż teraz, dziś panie odpuść, nie was ani bardzo ucieszy, ani zasmuci, żyjecie sobie ot tak jako żółwie albo ślimaki.

— Oj ciociu! ciociu! nie taki djabeł straszny jak go wystawiasz, i dziś krew nie woda, gra jeszcze w młodém sercu.

— Jest-ci gdzie niegdzie ziarnko między kąkolom jak mówiłam, odparła ciotka i dobyła tabakierkę, zażyła sama, i podała Karolowi.

— Owóż mówiłam waszeci, że ledwie niewyskoczyła ze skóry dowiedziawszy się że jadę do Warszawy, istnie jakby mnie kto ukropem oparzył. Nad rankiem zasnęłam dopiero, a gdy mi się w najlepsze śniły jakieś dziwy, którychby i nie spisał, pokojówka weszła do mojej komnatki ze świecą w ręku, pociągnęła mnie za rękaw, i oznajmiła, że już ciocia wstała, i że karete i sanki zatoczono. Porwałam się z łóżka piorunem, i w mguieniu oka byłam gotowa do drogi.

— Oj pamiętam jak dziś wyjechałyśmy o świcie, ciotka, ja, i panna służebna jechałyśmy w karecie na saniach zaprzężonej w sześć koni. Strzelec Jędrzej siedział na koźle, za nami w saneczkach jechał stary kredencierz, i kuchta. Sanna była wyśmienita, śnieg upadł właśnie w nocy jakby umyślnie dla nas, nad rankiem przymarzło nieco, ruszyliśmy więc jak strzała, coby nas i waszą koleją żelazną nieprześcignął. Ciotka zaczęła śpiewać cieniem głosem: „Kto się w opiekę poda panu swemu” ja z panną Kunegundą wtórzyliśmy jej obiedwie. O! taki to był zwyczaj mospanie, że wyjeżdżając w drogę każdy musiał od Pana Boga zaczynać. I dobrze było zaprawdę, to też i Pan Bóg błogosławił. Kto z Bogiem, Bóg z nim mówi stare przysłowie.

— Toście musieli państwo przerwał Karol, tego



samego dnia zjechać do Warszawy, kiedyście tak prędko jechali jakby koleją żelazną.

— Pleciesz wasze, sam niewiesz co, teraz tobyście może tak i zrobili, bo dziś to się wszystko u was w głowach pomieści, ale wtenczas, to powiadam waści, było wyrozumienie i nad ludźmi i bydłety. Mój nieboszczyk dziadek panie daj mu niebo, nim gościa przywitał w domu, zawsze wprzód wydał rozkaz żeby koniom jego dać gołego owsa i świeżego siana, taka to była gościnność mospanie, a nie odsyłał koni do karczmy, jak dzisiaj niemieckim obyczajem, oj lepiej bywało za prawdę.

— No ale na czém że ja to stanęłam — zapytała starowina Karola, zażywszy znowu tabaki.

— Na modlitwie kochana ciociu.

— A prawda. Owóz jakeśmy skończyli pieśń pobożną, Ciotka wyjęła okulary z kieszeni, dobyła ołtarzyk złoty z woreczka, otworzyła w założonem miejscu.

— No zmówcie ze mną litanie do Boskiej opatrności rzekła do nas, żeby Pan Bóg pobłogosławił w sprawie, i żeby ta droga z łaski jego najświętszej nie poszła na marne.

— Niech ciotunia dobrodziejka nietrudzi sobie oczów, to ja ją wyręcę, rzekłam nieśmiało.

— I owszem moja panno — odparła.

Drżałam cała żeby się nie pomylić, ale jakoś Pan Bóg dopomógł, zmówiłam bowiem w duchu przed

zaczęciem, krótką modlitewkę do Ducha Świętego, i łaska jego znać sprawiła że do końca poszło gładziuchno, jakby chleb z masłem.

— Bardzo dobrze moja panno, rzekła ciotka głaszcząc mnie po twarzy, ja pocałowałam ją w rękę w milczeniu.

— Za ledwie skończyliśmy litanią i godzinki, wjechaliśmy do Kutna. Licha to była wówczas miejscina, domy drewniane, ulice niebrukowane, karczma brudna, pełno w niej dymu, żydźt, i śmieci. Pietrek woźnica, stósownie do poprzedniego rozkazu, złożył konie na bok, i wjechaliśmy do owęj karczmy. Kuchta zajął się czempredzėj przyrządzeniem objadu, zgrzał spory garnek piwa, dobył z faski dobrą misę bigosu, odgrzał, aż zapach buchnął na całą izbę. A żydzi aż zatykali nosy aby ich nie stryfić. Sporzadził nadto przysmarzanie z pieczonėj jendyczki i miskę klusek ze słoniną, posililiśmy się więc należycie, i ruszyliśmy w dalszą drogę.

— Jak się dowiē wojewoda Godowski żeśmy mu przejechali pod nosem, rzekła ciotka, będą śmiertelne gniēwy, ależ trudno było wstępować, raz że wiem choćby go i świętymi słowami prosić nie wypuściłby z domu, a tu czas nagli, a potēm mąż pisał żeby broń Boże nigdzie się nie zatrzymywać, a wszystkie wstępy zostawić na powrót. Może się tēż i waspannie uda gdzie przesakać, dodała ciotka spoglądając na mnie.

Skrasniałam cała jak malina, a serce biło mi jak młotkiem od wielkiej radości.

Już dobrze zmierzchno kiedyśmy ściągęli na noc do Chruslewa do nieboszczyków cześnikowstwa Zabielskich, wieś ich leżała na samej drodze, niepodobna było pominąć, a potem i konie zmęczone domagały się spoczynku. Państwo cześnikowstwo, Pannie daj im niebo, przyjęli nas gościnnie, zapowiedzieli z góry że nas nazajutrz nie wypuszczą, ale jak ciotka jeła prosić i molestować, jak przyrzekła na słowo uczciwości, że zjedzie do nich z powrotem, nie sprzeciwiali jej się dłużej. Nazajutrz dobrze przed świtem, puściliśmy się więc w dalszą drogę, nie za grzawszy nawet miejsca w domu cześnikowstwa. Gospodarstwo oboje wstali przede dniem, uczestowali nas wyborną kawą, pobłogostawili na drogę, żeby Pan Bóg poszczęścił w sprawie, i bronił od wszelkiej przygody. Tylko cośmy wyjechali za wieś, aż tu jak zacznie sypać z nieba, to i Bożego światu trudno było dopatrzeć, śnieg zawiął drogę ze szczętem, pola, rowy, zagony, i płoty nawet zrównały się, jednako śnieg jakby puch biały, rozścielał się na wszystkiem. Piotr zgubił tor drogi, toru ani oko, strach na nas okrutny, ja w płacz niewiele myśląc.

— Wstydź się waspanna płakać, rzekła ciotka, lepiej oto pomodlić się do Najświętszej, panny i nie tracić otuchy że ta opiekunka nasza, wstawi się za nami do Pana Jezusa, i nic nam się złego nie stanie, za-

częliśmy więc śpiewać: „Pod Twoją obronę” i jakby cudownym sposobem zaledwośmy skończyły, zaczęliśmy pierwszy wiersz godzinek.

„Zacznijcie wargi moje chwalić pannę świętą.” Wnet Pietrek wpadł na tór, i śmiało zaciął konie drogą ku lasowi, zatrzymywaliśmy się jednak co moment, bo sanki w których jechał kredencierz i kuchta wywróciły się kilka razy, kury, gęsi i kaczki pobite, oraz naczynia kuchenne tonęły w śniegu i nie obyło się też bez szkody, ale cóż robić, Panu Bogu dziękować że się i co gorszego nie stało, a nawet jak zobaczysz waszmość, opatrzność święta wszystko na dobre obróciła.

— Owóz jechaliśmy przez las ze dwie godziny, ciągnęła dalej ciotka, zażywszy tabaczki, jużesmy skończyły i godzinki i litanie i różaniec, aż tu nie ma i nie ma końca boru, nowy strach, a do tego zima, wilki się wabić zaczynają, jedziemy wprawdzie drogą znać to wycięciem drzew, ale gdzie i dokąd ta droga prowadzi, Panu Bogu samemu wiadomo. Oj jego to święta ręka prowadziła nas za prawdę, ale potem o tem, będzie czas na wszystko.

Okolo południa mosanie, wyjeżdżamy nareszcie z boru, śnieg sypie coraz większy, wiecher dmie w same oczy koniskom, strzelec Jakób i biedny Piotr biją jeno ręką o rękę, aż litość brała nad biednymi ludziskami, a tu ani karczmy, ani domostwa, tylko biało, i biało. Ciotka kazała stanąć, panna służebna na jej rozkaz dobyteła anyżówki, pokrzepili się

wszyscy i rozgrzeli. Zaczęliśmy znowu godzinki do świętego Antoniego, którego opiece matka mnie jeszcze w dzieciństwie ofiarowała, bo i nawet co rok dwie świece na moją intencją posyłała do Łagiewnika, w tém jakby za świętą jego sprawą wjechaliśmy szczęśliwie do wsi porządnie zabudowanej, obsadzonej wierzbina.

— Co to za wieś? zapytał Piotr idącego chłopka.

— A dyć to Wierzbowo, odparł zagadniony.

— A toć nas chyba złe tu przyniesło, odparł zafrasowany woźnica.

— Panu Bogu dziękować rzekła ciotka, że jakakolwiek wioskę nadarzył. Znam ci ja dobrze państwo Żupnikowstwo co tu mieszkają, poczciwi z kośćciami ludziska, a zajechać tam Piotru do domu.

Piotr skręcił w opłotki i niebawem byliśmy przed dworem. Żupnik usłyszawszy zajeżdżających gości wyszedł przed ganek, za nim wybiegła żwawo Żupnikowa i dwie Żupnikówny dziewczęta jakby łanie.

— Bóg nam nadarzył przybycie jejmości dobrodziejki, rzekł Żupnik wysadzając ciotkę z karety, no nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło, żeby nie taka zawierucha, pewnobyśmy się jój nie doczekali do sądneho dnia w naszym domu.

— Żupnikówny wzięły mnie pod swoją opiekę, rozebrały mnie z różnych podróżnych tabołów, zaprowadziły do swojej izdebki, przygładziły włosy po nad czołem, żebym przecież podobnie do ludzi wy-

glądała, niech tam za to Pan Jezus świeci ich duszy, a widać że to już tak ręka boska wszystko jakby umyślnie zrządziła, żeby spełniła to, co napisanem było w księdze odwiecznych wyroków. Otóż mówię waszmości, że mi serce odrazu przylgnęło jak wosk roztopiony do tych zaenych panienek, bo też były to istne anioły. Starsza zwłaszcza Marysia dochowała mi serdeczną życzliwość do grobowej deski, młodszą Kasię Bóg zawczasu powołał do swój chwały. Kiedyśmy wszystkie trzy weszły do alkierza gdzie przy obszernym kapiastym kominie siedzieli Żupnikowstwo z ciotką, zastałyśmy tam dwóch urodziwych młodzianów. Byli to synowie gospodarstwa, starszy z nich nadewszystko pan Wojciech dziwnie mi przypadł do oka, zdawało mi się że go już znam od niepamiętnych czasów, a jednak nieśmiałam sobie przypomnieć kiedybym go widziała. W klasztorze niezobaczyłabym mężczyzny ani na lekarstwo, strzegli się tego jak ognia. W domu matki nie bywał nikt z gości, ja też dotąd nie wytknęłam głowy na świat. Daremnie smarzyłam sobie mózg gdzie ja to widziałam pana Wojciecha, a widziałam go gdzieś jak słońce na niebie; gdy w tém myśl nagła oświeciła mnie; przypomniałam sobie, że tegóż samego roku w Wigilię świętego Andrzeja gdy w najlepsze zasnęła na kamieniu, śniło mi się oto, słuchaj wasze, że go widzę w takim samym kontuszynie jak oto teraz siedział pod oknem. Serce uderzyło mi jakby młotkiem, spojrzałam na niego

z pod oka nieśmiało, i skraśniałam cała jak wiśnia, bom spotkała jego oko wlepione we mnie, jakby w święcony obrazek. Oj niezapomnę ja tego dnia, póki żyć będę na świecie, ale cóż wasze na to powiesz, wieczorem kiedyśmy siedziały sobie wszystkie trzy w kąciku bośmy już tego dnia nie ruszyły w dalszą drogę, dla sypiącego nieustannie śniegu, owoż Marysia szepnęła mi do ucha, a wiesz też panna Anna dla czego Wosio tak ci się przy objedzie przypatrywał.

— A skądże ja mam wiedzieć, odpartam zapłonią.

— Oto śniłaś mu się w wigilię świętej Katarzyny.

— Wolne żarty pannie Maryannie, odrzekłam zmieszana drżąc jak listek osiny.

— Oj co nie żarty to nie żarty, nie darmo was ręka boska przyprowadziła do nas, kto wie co się z tego wyświęci.

— Żupnikowstwo radzi nam byli serdecznie, częstowali czém mogli, byliby sobie wszystko z pod serca wyjęli, żeby nas tylko uraczyć. Kasia usmarzyła chruściku i pączków. Wieczorem, po wieczery Marysia usiadła do szpineciku zabrzdąkała mazura, pan Wojciech podał mi rękę, młodszy brat Antoni wziął Kasię — i tańcowaliśmy we dwie pary do upadłego, o dziesiątej ciotka powstała, zawołała mnie. Serce ścisnęło mi się okrutnie, i jakiś ciężar spadł na nie kamieniem. Uściskałam serdecznie

Żupnikowny, dygnęłam panu Wojciechowi i Antoniemu, pocałowałam w rękę Żupnikową i poszłam za ciotką. Ale w nocy sen ani mi powstał na oczach, a gdym zasnęła nad ranem, już mi się nie śniło o Warszawie ale mi brzmiał w uszach ów mazur Marysi, i zdało mi się, że trzymam za rękę pana Wojciecha, i że ochoczo płasam obok niego.

Nazajutrz przed świtem wyjechaliśmy z Wierzbowa po serdeczném pożegnaniu z poczciwem gospodarstwem. Snieg pruszył jeszcze nieco, Żupnik kazał parobkowi jechać z latarką przed powozem, dla przeprowadzenia nas do traktu Warszawskiego, od któregośmy niemało zbczyli. Na zakręcie drogi koło krzyża wychyliłam głowę, i w tém serce uderzyło mi na gwałt, bo wiész waszeć kogom zobaczyła, oto pana Wojciecha, który jechał przed powozem na siwój klaczy w miejscu parobka, i światło latarki padło mu na twarz, i odbiło się w pięknem jego oku, niepowiedziałam ciotce ani słówka o tém, ale gdy się nieco rozwidniło, a mnie ciotka kazała jak wczoraj czytać głośno modlitwy, głos mi drżał w piersi, i omyliłam się nawet kilkakrotnie.

— Oj Anusiu Anusiu, mówiła ciotka waspannie coś w głowę wczorajszy mazur zajechał, i pogroziła mi lekko na nosie.

— Zapłoniłam się cała jak karmazyn, w tém dojechaliśmy do traktu, — Pan Wojciech uklonił nam się



grzecznie czapeczką, i popędził jak strzała drogą ku domowi.

— A to mi grzeczny młodzieniec, otóż to aż miło rzekła ciotka, oj niedalekoć to pada jabłko od jabłoni. Żupnik sam zaenry człowiek, ona jedyna kobieta jakich mało, to też i dzieciska, dobre i pocziwe. Mój Boże byłabym mu przynajmniej podziękowała, a on mi znikł jak kanfora.

Co się wtenczas działo we mnie, tego waszności niepowiem, to wiem tylko żebym za nie w świecie nie odważyła się wyjrzyć oknem za panem Wojciechem, choć miałam do tego serdeczną ochotę.

Z wielką biedą ściągnęliśmy na noc do Sochaczewa, a nazajutrz o zmroku wjechaliśmy do Warszawy. Ale co miasto to mi się tak bardzo i niepodobowało, wystawiałam sobie coś daleko większego, i wspanialszego. A potem mamże powieścić, oto mi się ciągle plątał po głowie ów sen nieszczęśliwy, a z nim i obraz pana Wojciecha, ja do kościoła on tuż, ja do sklepów z ciotką on trop w trop goni za mną w ślady. Już myślałam że mnie złe nawiedziło, i spoczynku mi jakoś nie daje. Modliłam się też gorąco przed świętym Antonim w kościele Bernardyńskim, i lżej mi się jakoś na sercu zrobiło, ale jednak ów urok niecałkiem się rozproszył.

Zastaliśmy podkomorzego w złotym humorze, bo sprawa najlepszy obrót wzięła, obwoził nas po mieście, pokazał nam królewskie Łazienki, ale cóż

kiedy zimową porą, niewydawały się w całej piękności, widziałam nawet króla nieboszczyka jak z zamku jechał przez krakowską bramę. Podkomorzy odebrawszy sumnę, którą już poniekąd uważał za przepadłą, hojnie sypnął złotem, zaczął naprzód od Boga, i sprawił bogate srebrne lichtarze do kaplicy Pana Jezusa do Fary, oraz zapewnił fundusz wieczysty na dwie msze w tygodniu u św. Krzyża. Potem dał żonie sto czerwonych złotych, na jej potrzeby. Mnie nawet na dopomnienie się ciotki, dał dziesięć dukatów do ręki. Jak żyję na świecie, tyle razem nie miałam pieniędzy. Zdało mi się zrazu że za nie całą Warszawę zakupię, jakoż oporządziłam się weale. Sprawiałam sobie białą sukienkę linową, obszywaną różowemi wstążkami, i drugą skromniejszą z zielonego kamlotu, z takąż jubką, po kupowałam nadto różne kobiece fatałaszkę, a przedewszystkiem ładny kornecik z piórem dla nieboszczki matki w upominku. Byłam nawet z podkomorstwem na reducie, ale tam miałam więcej strachu niż zabawy, dziwne mi się wydawały owe przestraszne maskary, a jak się która zbliżyła to mnie, aż dreszcz przechodził od stóp do głowy. Myślisz waszmość, ciągnęła dalej starowina zażywszy tabaczki, i poczęstowawszy nią Karola, że mi było markotno, jak podkomorzy zapowiedział ciotce że nazajutrz wyjedziemy z Warszawy? otóż weale nie, wiedziałam dobrze, że teraz oto pojedziemy rzemiennym dyszlem, i cieszyłam się na to, jak na lato.

Były to właśnie zapusty, jeszcze dwie niedziele brakło do ostatków, myślałam sobie że z jaki tydzień przynajmniej zejdzie w drodze, w ostatki zaś podkomorzy powiedział że wyprawi sutą gałę, in gracjam wygranęj sprawy. Było się więc zaprawdę na co cieszyć, może i pan Wojciech i Żupnikowstwo przyjadą do Woli pomyślałam, ale że nikomu nie rzekło się ani słowa.

Wyjechaliśmy z Warszawy w dzień mroźny, i jasny śnieg aż skrzypiał pod nogami koniom, a słońce odbijało się w drobnych pyłkach, błyszczących jakby djamenty. Podkomorzy siedział obok ciotki w karecie, i rozmawiał z nią o wygranęj sprawie, układając rozliczne projekta, panna służąca spała jak zabita otuliwszy się w kąciku, ja zaś siedziałam jak trusia, ale w głowie snuły mi się niestworzone rzeczy.

Zajechaliśmy na noc do Sosnowa do cześnikowstwa Wieluńskich, dalekich krewnych podkomorzego, ale ona sama leżała w łóżku od pół roku, jak niewstawała już z tęg choroby, i w kwartał potem skonała nieboga. Smutno więc było w ich domu. Bawiliśmy jednak cały dzień następny. Wyjechaliśmy z Sosnowa, ściągnęliśmy do Wólki, ot do tęg samej Wólki, gdzie teraz z waszmością jadę. Ale ho! ho! inna to Wólka była przed laty, mieszkała tam na ówczas pani starościna Malborska wielka familiantka, skoligacona przez matkę z królewskim domem. Wdowa i bezdzietna, prowadziła dwór na wielką skalę,

a jak w niedzielę lub święto zajechała przed kościół do Kiernozi poszustną karetą, którą poprzedzał zawsze koniuszy i huzar konno, jak zasiadła w pierwszej ławce z panną podczaszanką, bawiącą na respekcie, jak ją otoczył w koło liczny szereg dworzan to było mospanie na co patrzeć. Znać pana po cholewach mówi przysłowie, to też i starościny z czoła patrzyło państwo, aż strach mimowolny przejmował tego, na kim spoczęło jej oko. Przyjechaliśmy więc po południu, ciotka weszła do bawialnego pokoju, a ja za nią. Starościna siedziała w obszernym fotelu, przed krośnami, i haftowała na aksamicie ornat do kościoła, złotemi jedwabiami. Powstała ujrwszy ciotkę, postąpiła kilka kroków wolno, z powagą, ciotka pocałowała ją w białą i pulchną rękę, której starościna bynajmniej nie bronila, bo już taki był zwyczaj że ją wszystkie panie bez wyjątku w rękę całowały.

— Któż to jest ta panienska, zapytała starościna wskazując na mnie.

— To moja bratanka, odparła ciotka, córka nieboszczyka mego brata Jerzego.

— Znałam go dobrze, odparła starościna, miłe jakieś i potulne dziewczę, dodała głasząc mnie po licu, panno podczaszanko rzekła obracając się do panny respektowej siedzącej z robotą w ręku, połóż asanna robotę, i zabaw się z panienką. A ty Nastusiu idź do szafarki, i powiedz żeby natychmiast przynieśli gorącą kawę z babą. Nastusia było to dwó-

nastoletnie dziewczętko, które nigdy nie opuszczało pokoju starościny, obowiązkiem jej było siedzieć ciągle na małym stoleczku przy kominie, i czekać na skinienie swjej pani. Nadto służyła ona za ekran chroniący starościnę od palącego płomienia, który podsycała nieustannie, przykładając co chwila suchych drewek na komin.

Starowina lubiła gości, wiek młody bowiem strawiła u dworu, rada więc była sąsiedztwu które dosyć często zjeżdżało się do jej domu; tego dnia jednak niebyło nikogo z obcych, tylko ksiądz z Kiernozi przyjechał przed wieczorem. Starościna jednak wystrojona była jak na galę, miała jak dziś pamiętam białą atlasową spódnice, i karmazynową jubkę z grodeturu obłożoną marmurkiem, na głowie zaś kornet koronkowy, ubrany więc czerwone wstęgi, przypięty do głowy brylantowymi szpilkami. Panna podczaszanka mówiła mi, że tak się codziennie zwykła była ubierać.

Starsi państwo zasiedli do družbarta, ja zaś z panną podczaszanką przegawędziłyśmy cały wieczór, a było o czem gadać, boć się przecie widziało i to, i owo w Warszawie. Panna podczaszanka znacznie była odemnie starsza, ale dosyć jeszcze urodziwa i hoża. Niezważałać wprawdzie męża, boć to szlachciance trudno się wydać w magnackim domu. Pan nie chciał, a chudo-pacholek nie śmiał odezwać się o jej rękę. Zmarnowało się też nieboże, i poniosła biedaczka do grobu swój ruciany wianeczek. Naza-

jutrz z rana podkomorstwo koniecznie wyjechać chcieli, boć mieli jeszcze wstąpić i tu i owdzie, a tu ostatki za pasem, ale cóż kiedy starościna puścić ich żaden sposób z domu nie chciała, — daremne były wszelkie przedstawienia. Podstarości z koniuszym na rozkaz swój pani, zdjęli karetę z sani, niepodobna się więc było wyruszyć, mnie się jakoś markotno zrobiło się na sercu, boć już nie było i o czém gadać z podczaszanką, dorwałam się więc do krosien starościny, i wyszyłam kilka kwiatów złotem na aksamicie, i czas przy robocie zszedł przecież jakkolwiek. Starościna pochwaliła moją pracę, a nawet wpadłam u niej w łaski, że mi podarowała złoty pierścioneczek z rubinkiem.

Wieczorem znowu starsi państwo zasiedli do družbarta z księdzem proboszczem który w dniu tym był na objedzie, a ja z podczaszanką medytowałyśmy smutno przy kominie, gdy w téu szmer powstał w przyległym pokoju, koniuszy wpadł z oznajmieniem, że banda cyganów przyszła i prosi o nocleg.

— Cóżto znowu nowego rzekła starościna, czy to nie ma karczmy dla téj hołoty, żeby mi dom nachodzić mieli, zresztą dać im tam łyżkę strawy, ale niech sobie idą precz, a mieć tam baczość żeby czego nie ukradli.

Koniuszy skłonił się nisko, stał jednak w miejscu nieporuszony.

— Czegóż asan czekasz. Iśe mi natychmiast wypełnić moje rozkazy.

— Oto jaśnie wielmożna pani, rzekł z głębokim pokłonem, starsza cyganka chciała panią kom powróżyć.

Gdy to mówił cyganie nie czekając pozwolenia, tłumnie wchodzili do sali, za nimi tłoczyło się chłopstwo przybrane w świąteczne szaty. Starościna powstała z groźną miną, ja témczasem z podczaszanką, skoczyłyśmy do drzwi. W tém stanęłam jak wryta, poznawszy pod cygańską płachtą dobrze mi znane oczy pana Wojciecha, a w ładnej cyganeccze poznając moją kochaną Marysię. Skrzypki też, cymbalki, i bassetla odezwały się równocześnie. Starościna porzuciła gniewną minę, rozśmiała się nawet serdecznie poznawszy Zupnikowstwo, którzy zmówiwszy się z sąsiedztwem zjechali kuligiem do Wólki.

W mgnieniu oka oświecono wielką salę po drugiej stronie dworu, który szumnie zwano pałacem. Pan Wojciech zrzucił z siebie cygańską płachtę, i ukazał się w zręcznym Mazowieckim stroju przepasany krásnym pasem. Marysia położyła mi kabalę, i wywróżyła wesela po Wielkiej Nocy, a pan młody miał być do pana Wojciecha podobny jakby dwie krople wody. Muzyka brzmiała ohocho, my tańcowaliśmy do upadłego aż do białego dnia, wieczera nawarżono sutą, bez niepotrzebnych wymysłów, ale nie brakło na niej zrazów kaszy, gęsi, indyk i kapłonów, boć tego każdy porządny dom miał podostatkiem. Na drugi dzień przespawszy się nieco, znowu rozpoczęliśmy tany, a nazajutrz trzeci dzień dopiero mospa-

nie ruszyliśmy z kuligiem do Zupnikowstwa, gdzieśmy znowu trzydniówkę odprawili. A i cóż waszeć na to Karolu, nie lepszeż to były czasy?

— Oj lepsze, lepsze ciotuniu, nie ma co mówić, odparł Karol, no ale cóż potem było, wszakże Zupnikówna wywróżyła wesele po Wielkiej nocy.

— Niezupełnie odparła z westchnieniem ciotka, oj innegoć ta Wielkanoc wywróżyła, ale potem o tem, trzeba porządkiem przystępować do rzeczy.

— Owóż po trzydniówce u Zupnikowstwa pojedaliśmy do domu. Zawadziliśmy już tylko o Zawady, gdzie mieszkał wojewoda Gadowski. A wielki to był pan mospanie. Trafiliśmy tam właśnie na niedzielę, a trzeba waszeć wiedzieć, że co niedziela zbierało się u niego całe sąsiedztwo. Szlachta piła, hulała, jak za dobrych czasów, i ścisła nogi wojewody. Wojewoda podeszły już w latach, nie miał weale żony, to też sąsiadki gospodarowały u niego na przemiany; pomiędzy innemi rej wodziła sędzina Kalinecka, przyjeżdżała za zwyczaj w sobotę i siedziała do środy; w środę jeździła do domu, ogarnęła drobne dzieci, zarządziła gospodarstwem i znów na niedzielę wracała do wojewody. Ludzie pletli co im ślina do ust przyniosła, ale sędzia patrzył na wszystko przez szpary, bo mu się dobrze działo. A wojewoda trzeba wiedzieć był pan hojny i rozrzutny, u niego mospanie był pokój wybity samemi półkami, na a nich jak w sklepie pełno było materyi, chustek, i innych kobięcych rupieci, któremi hojnie



któremi hojnie szafował. Sędzina więc stroiła się jak cudowny obraz, sędzia rad był, że go to ani złamanego szeląga nie kosztowało. Jakto tam było, tak było, dosyć że wszyscy byli radzi.

— A i cóż ciotuniu lepiejże było za dawnych czasów; podchwycił Karól całując ciocię w rączkę.

— Toć i to był kąkol mój kochany, cóż robić, kiedy się bez tego chwastu jakoś nigdy, i nigdy nie obędzie.

— No, a teraz powiedz mi droga ciotuniu o ostatkach, bo już po za strugą widać ot tam Wólkę, za pół godziny dobijemy do miejsca.

— Chwała Bogu bo też już kości nie czuję. Toć i ja też zbliżam się do końca mego opowiadania.

Powróciliśmy więc szczęśliwie do domu, dziesiątego dnia po wyjeździe z Warszawy, zdrowi jak ryby choć się nieraz niedospało, i użyło niewygody. Ale też to wtenczas niebyło tyle wymysłów, o chorobie nerwów ani było słyhać, a spazmy nazywano po prostu grymasami. Podkomorstwo zaprosili do siebie wiele gości na ostatki, a między innymi i Żupnikowstwo. Ciotka napisała do matki list, w którym zaklinała ją na rany boskie, żeby także przyjechała do Rudnik. Mateczysko niezaraz się namysliło, ale gdy bracia zjechali na dwa dni przed ostatkami do domu, jak jój zaczęli leżać u nóg i molestować, uprosili ją nakoniec, że wraz z nimi przybyła w sobotę.

— Oj byłoż to w Rudnikach rejwachu i tartasu Boże zmiłuj się, cały dom przewróciliśmy z ciotką do góry nogami. Podkomorzy in gracjam wygranej sprawy, kupił nowe sprzęty, sprowadził nadto z dzie sięć beczek wina z Warszawy, kapela zjechała wojskowa z Łowicza za pozwoleniem rotmistrza, który także zaproszony był wraz z kilku towarzyszami chorągwi. Na trzy dni przed ostatkami zaczęliśmy z ciotką piec baby, placki, pierniczki, przyrządzać wódki i likwory. Wojewoda pozwolił swego kuchacza, i dwóch kucheików do pomocy. Posłańcy rozjechali się na wszystkie strony z zaprosinami oraz do okolicznych miasteczek po rozmaite sprawunki, których się w Warszawie przepomniało. Matczysko cieszyło się niewymownie, jakim jęj oddała śliczny korzecik z Warszawy, a najwięcej szło oto niebode, że nie miała właściwego stroju, bała się więc pokazać przy ludziach jakoby gęś szara. Ciotka zaradziła i reszcie, przywiozła jęj bowiem z Warszawy suknią ciemną grodeturową, i takiż pólśalopek w podarunku.

— Oj byłoż to zabawy, ciągnęła dalej ciotka, dosyć powiedzieć waszeci żem przez trzy dni ostatków zdarła sześć par trzewików com sobie na cały rok kupiła. Podkomorzy częstował suto i panów i pacholców, i konie nawet gościnne. Wino lało się strumieniem, aż w ostatni wtorek trzeba było nowy zapas sprowadzić z Kutna, bo już Warszawskiego nieby-

ło ani kropli, a przecież i piwnica podkomorzego nie-  
mało dawnych miała zabytków.

Ale wszystko ma koniec na świecie, tak też minę-  
ły i ostatki. W ostatni wtorek o pół nocy umilkła  
muzyka, ustały tańce. Podkomorzy podał z uszano-  
waniem rękę starościnie, i poprowadził ją do jadalnej  
sali, wszyscy parami ruszyli za nimi, mnie jakoś  
sama niewiem jak nawinęła się ręka pana Wojcie-  
cha. Żupnik prowadził moją matkę, i coś jej szeptał  
na ucho. Skraśniałam cała, bo o ilem dosłyszała  
wymówił moje imie kilkakrotnie.

W jadalnej sali czekała na gości suta wieczerza,  
na wielkich półmiskach poukładane były ogromnej  
wielkości szczupaki i karpie, śledzie leżały stósami  
na innych, wśrodku stołu stała ogromna waza sre-  
brna a po jej dwóch stronach wznosiły się wysokie  
sztucznie ułożone ciasta.

— Gdy wszyscy obsiedli do koła, podkomorzy  
zbliżył się do stołu, podniósł pokrywy wazy, a  
w tém frrrr... ćma wróbli rozleciała się po sali. Śmiech  
powstał i wrzawa, aż starsi napominać musieli  
młodzież, i mnie się nawet dostała porządna reprzy-  
manda od ciotki.

Pachołcy powypędzali wróble, i wszyscy zabrali  
się do wieczerzy, i cicho w milczeniu spożywali dar  
boży, witając się po przyjacielsku ze śledziem, który  
odtąd aż do Wielkiej nocy miał służyć za powszednią  
strawę.

— No, ależ owe wesele po Wielkiej nocy ciotuniu

jedyna zapytał ciekawie Karol, czy się też sprawdziła wróżba Żupnikownej.

— Oj inne to było wesele mój kochany. No ale idźmyż porządnie do rzeczy. Po ostatkach odjechałam z matką do domu, bracia w swoją stronę pojechali do szkół do Łowicza, smutno mi jakoś było i markotno na sereu, sama niewiedziałam dla czego.

— Oj! Anusiu, Anusiu mówiła matka, waspannie jakoś zapusty zajechały do głowy; teraz nie smakuje chleb powszedni, jak się marcepanów zakosztowało. Okrutnieś mi pobladła i spasowała.

Zamiast odpowiedzi całowałam tylko nogi matki i zapewniłam ją uroczyście, że mi nie a nie nie tęskno za ciotczynym domem. A jednak tęskniłam sama niewiem dla czego, w nocy oczy się jakoś do snu nie kleiły, robota nieszła pomimo usilnej chęci, zapominałam rozkazów matki, i nie raz aż sobie gorzko zapłakałam, że mi wszystko na opak idzie.

Na drugi tydzień po ostatkach matka odebrała list od ciotki że wraz z Żupnikowstwem zjedzie do nas na niedzielę, myślałam że się pod ziemię schowam jak mi matka z uśmiechem zwiastowała tę nowinę. Zajęłam się więc uporządkowaniem domu, a gdy w sobotę o zmroku huk z bieza oznajmił przybycie gości, wszystko już było na swoim miejscu, i szło jakoby z płatka.

— Zgadłeś już pewnie waszmośe że ciotka proszona była w swaty owóz nie inaczej, w niedzielę odbyło się wszystko jak należy. Pan Wojciech padł

jak długi do nóg nieboszczki matki, gdy pan Żupnik oświadczył jej afekt syna. Matka ścisła mnie serdecznie.

— A widzisz wszak prawdę mówiła cyganka powtórzyło uradowane dziewczę.

Żupnikowstwo wraz z ciotką wymogli na matce przyrzeczenie, że ślub odbędzie się po Wielkiejnocy. Ale inaczej zrzędziły wyroki opatrności. Bóg znać niechciał mi dać zakosztować zbyt łatwego szczęścia. Okoliczności zrzędziły że pan Wojciech oddalił się na długo z rodzicielskiego domu, a mnie serce jeno pękało z tęsknoty i trwogi, i w rok dopiero niespełna stanęłam z nim na ślubnym kobiercu.

Może też to Bóg zrzędził dla tego żebym potem lepiej oceniła dołę, jaką mi z swęj łaski przeznaczył. Oj byłaż też to doła jakich mało.

Słuchaj, waszmość czterdzieści lat oto przeżyliśmy obok siebie wiernie, i pocziwie, jak Pan Bóg przykazał, wyposażyliśmy czworo dzieci, drugie czworo zagrzebali w ziemi, żeby nas czekały u wrót Przedwiecznego; a nigdy, ani jedna skarga, ani jedno narzekanie, ani jedno marne słowo, nie wyszło z ust naszych; a kiedym trzy lata temu, żalną ręką zamknęła oczy czcigodnego męża, kiedym pierwszą garść ziemi, rzuciła na jego martwe zwłoki, w ówczas, pierwszy raz gorzko zapłakałam na niego, za to, że mnie poprzędził w drogę wieczności. A cóż waszmość na to, czyż nie lepiej przed tém bywało?

To mówiąc starowina otarła nieznacznie łzy, spływające cicho po zwiędłym licu.

— Oj lepiej, lepiej ciotuniu, odparł rozrzewniony Karol, całując tkliwie ręce poczeiwój ciotki, ale i teraz dobrze będzie, byleśmy naśladowali przeszłość w dobrém, a chronili się tego, co godne nagany, byleśmy wyrwali chwast i kąkał, a zasięwali jak najwięcej czystego zboża.

— Amen, odparła ciotka, błogosławiąc czoło bratanka.

W tej chwili powóz wjechał w opłotki, minął dziedziniec, i zatrzymał się przed białym dworem Wólki.

*Seweryna z Żochowskich Pruszek*

## I.

**U Ł U D A.**

Widzisz te niebios błękity,  
 Co jak namiot turkusowy  
 Przez stwórcyziela rozbity,  
 Wieją nad naszymi głowy?

To się iskrzą jakby morze,  
 To znów mienią się uroczo,  
 Gdy się po modrym przestworze  
 Promienie wiosny roztoczą.

Lecz choćby było w twój sile,  
 Zwiedzić te magiczne strony,  
 Choćbyś skrzydła miał motyle,  
 Albo orła lot szalony:

Strzeż się, strzeż się, lecieć w góry,  
Bo te nieba, boskie cuda,  
Znikną w dole jak uluda,  
A zostaną mgły, i chmury.

Tak i w biednym życiu czleka,  
Chcesz-li w ludziach widzieć niebo,  
Co duszy twojej potrzebą?  
To patrz na ludzi zdaleka.

Bo gdy lot twój zrównasz z niemi,  
Bo gdyś spojrział na nich zbliska,  
Całe niebo twoje pryska,  
A zostają, brudy ziemi.

---



## II. S A M.

---

Tęskno, tęskno mi na świecie,  
Choć co trzeba, wszystko mam.  
Jakiś ciężar pierś mą gniecie,  
Jakbym był na ziemi sam!

Tęsknię w mojem życiu całym:  
Do przyjaźni? Nie — tę znam.  
Do miłości? i tę znałem,  
Zawsze jednak byłem sam.

Iść wśród ludzi? — Niechęć ludzi,  
Dosyć już na duszy płam,  
Widok ich, tęsknotę budzi,  
Wśród nich zawsze jestem sam.

Biedna dusza samotnica,  
 Rwie się ciągle w górę, tam!  
 Do Boga, swego rodzica,  
 Gdzie chyba nie będę sam!

*Seweryn Kapliński.*

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat,  
 Wielki jest ten świat, wielki jest ten świat.

## JASEŁKA W ANGLII.

---

Jasełka tak ważną rolę odgrywały, u wszystkich ludów Grecko-Romańskich, że zasługują na ścisłe i szczegółowe zbadanie. Zdałoby się zrazu, że ludy północne, jako to Anglicy i Niemcy, różniące się tak dalece usposobieniem i obyczajami, od ludów południowych, otoczone zimnym i ponurym klimatem, mniej mogli umiłować ów rodzaj zabawy, aniżeli polityczni Grecy, Włochy, Hiszpanie i Francuzi. Inaczej się rzecz okazuje, możemy nawet śmiało twierdzić, że ludy pochodzenia Germańskiego, lub z natury obdarzone umysłem stalszym i rozważniejszym, z równą łatwowiernością dały się uwodzić złudze-

niom teatralném, od innych ludów, usposobionych wpływem klimatu, do łatwiejszego przyjmowania wszelkich wrażeń. Jasełka równie były ulubione, po nad brzegami Tamizy, Odry, i Zujdersie, jak w Wapolu, Paryżu i Sewilli. Okażemy nawet, że Anglicy i Niemcy, pod osłoną niewinnego żartu, kryli głęboką prawdę, co jest niewątpliwie cechą ich narodowego charakteru.

W Anglii mianowicie, smak w tego rodzaju widowiskach, tak się niesłychanie upowszechnił, że wszyscy niemal sławni poeci i prozaicy, dotknęli w piśmiach swoich owego przedmiotu. Pisarze dramatyczni mianowicie, zaczawszy, od tych którzy uświetnili panowanie Elżbiety i Jakóba I-go, zostawili nam nadzwyczaj ważne wiadomości o wystawie Jasełek. Szekspir sam czerpał w owém źródle, dowcipnych i teatralnych przenośni, czego ślady spostrzegamy w najznakomitszych utworach, i współcześni mu i następni pisarze, jako to: Ben Jonson, Beaumont, Fletcher, Milton, Dadenant, Swift, Addison, Gaj, Fielding, Goldsmith i Szeridan, wyśmieli nie mało ustępów moralnych i satyrycznych, z owej prostej ludowej zabawki. Dzięki skłonności dramatyków angielskich do Jasełek, pozostawili nam oni w tym względzie wiele bardzo zajmujących szczegółów, których daremnie byśmy szukali, w Rasynie, Kornelu, i innych klasykach, poezja klasyczna, bowiem niezwykła zstępować z górnej sfery ideału, gdy tymczasem romantyczna, zwracając uwagę na szczegóły

charakterystyczne, w tym głęboko zapuszcza swoje korzenie.

Udajmy się więc na brzeg Tamizy i pocznijmy czynić poszukiwania; po ulicach, rynkach i mostach Londynu.

*Posążki mechaniczne po kościołach.*

W Anglii, jak i wszędzie posążki ruchome nie mało przyczyniały się do utrzymania złudzenia w religijnych obrzędach. Sławny krzyż na sprężynach w opactwie Berki, długo wraz z innemi przyczyniał się do przechowywania klasztornego zabobonu. Aż do czasów odszczepieństwa za Henryka VIII, duchowieństwo katolickie obchodziło we wszystkich kościołach W. Brytanii uroczystości: Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy, i Wniebowstąpienia, w sposób niemal teatralny, używano bowiem w tych okolicznościach, małych jasełek ruchomych. Historyk jeden powiada, że około 1520 roku będąc obecnym przy obchodzie Zielonych Świątek, w katedrze św. Pawła, widział zstępującego Ducha św. w postaci białego gołębia, przez otwór wykuty w górnym sklepieniu. Podobne widowiska zdarzyły się także na prowincyi w *Witny*, wielkiej parafii w hrabstwie Oxfordzkim, duchowieństwo przedstawiało zmartwychwstanie Zbawiciela, za pomocą jasełek na sprężynach wyobrażających *Pana Jezusa, Najświęt. Pannę, straż około św. grobu* i innych uczestników świętego drammatu; ale od zaprowadzenia prote-

stantyzmu, wszelkie djalogi, a nawet muzyka instrumentalna, wywołane zostały z kościołów, nowowiercy bowiem wzięli za zasadę, ażeby jak najmniej działać na zmysły.

Wiadomo jest, że w społeczności chrześcijańskiej, istniały do najdawniejszych czasów spory, co do wpływu jaki należało pozostawić sztukom pięknym, w obrzędach religijnych. Wszelkie sekty protestanckie są, jakoby odnogami, nieprzyjaznego im stronnictwa, przeszły je tylko jeszcze w surowej oschłości. Tak więc Anglikanie, lutrzy, prezbyterjanie pracowali na wyściegi, nad obaleniem tkliwych i przejmujących katolickich obrzędów. Lubo kościół Anglikański, zachował w swym rytuale, nie równie więcej stariej liturgii, aniżeli inne dysydenckie szczepy, przecież pod ciężącym wpływem prezbyterjanów, wygnał z świątyń wszelkie symboliczne obrzędy, które Knoxa niezmiernie, nazwali nie słusznie, papieskimi zmysleniami. Mówię niesłusznie albowiem pewne obrzędy, które mogły istotnie odrywać uwagę od podobnych rozmyślań, wypłynęły z zepsutego smaku tłumu; ograniczonego duchowieństwa, wbrew powtarzanym wielokrotnie zakazom biskupów, konsyliów i papierzy. Rzecz dziwna, że najoświeceni członkowie Anglikańskiego kościoła, dzielili w tym względzie ogólne przesady. Dowcipny dziekan, św. Patrycego, sam Swest w jednej z swych powieści, przypisuje lordowi Peter, (tak nazywa papierza) wymysł-jasełek i złudzeń optycznych. Sła-

wny Hogart, uwiecznił ołówkiem swoim ów przedmiot, w rycinie przedstawiającej Jezuitę na ambonie z pod którego otwartej sutanny, wygląda suknia arlekina. Gorliwy kaznodzieja, trzyma w każdej ręce jasełkę, i porusza nimi na przemiany. W prawej trzyma *Ojca przedwiecznego* według *Rafaela*, w lewej: *szatana* według *Rubensa*. Do koła ambony widać sześć innych jasełek, jako to: *Adama i Ewę*, *św. Piotra i Pawła*, *Mojżesza i Arona*. Przejęci zbytnią gorliwością nowi obrazoborecy, Anglikanie, nie tylko że wygnali z kościołów, ale nawet druzgotali starożytne ruchome posążki. *Swift* opowiada nam jaki los spotkał ów sławny krucyfix w *Bokslęj*, którego oczy i usta, poruszały się za pomocą ukrytych sprężyn. Oto w niedzielę 24 lutego 1538 roku predykant którym był biskup Rochester ukazał się zgromadzonemu ludowi, i po zachęceniu zdruzgotano ten krzyż w oczach tłumu. Przecież dramat religijny wygnany z kościołów zbytnią gorliwością utrzymał się długo jeszcze pomiędzy bractwami zawiązanymi przez katolików, a utrzymującymi się w Anglikańskim kościele, w misterjach odgrywanych w *Czester*, *Corentry*, *Oxfordzie*, i *Towanlęj*; jasełka przedstawiały olbrzyma, postacie pisma świętego i legend; *Samsona*, *Goliata*, świętego *Krysztofa*, i zwierzęta nawet potworne, jak wieloryb *Jonasza*, smok *św. Jerzego*, i inne, przedstawione były za pomocą wielkich manekinów, poruszanych przez ukrytego w głębi człowieka.

Inne jeszcze widowiska długo ważną odgrywały role w zwyczajach ludu, jakoto: processya coroczna przy obiorze lorda-burmistrza, oraz inna przy obchodzie, zwanym Maj-game lub Maj-pole, który miał na celu zasadzenie drzewa w miesiącu maju. W czasie pierwszej z tych dwóch uroczystości, okazywały się wśród rozlicznych masek, olbrzymie postacie Goga i Magoga z bajecznych wzięte czasów, uzbrojone od stóp do głowy; przy obchodzie *Maj-poles*, orszak składał się stosownie do miejsca z licznych oddziałów, z których każdy miał swego dowódcę, oraz właściwie sobie tańce i pieśni. Przed orszakiem skoki lub też błazen, w urzędowym stroju, to jest z dzwonkami, pęcherzem, berłem i osłą czapką. Dalej postępowali główni bohaterowie narodowych ballad: Robin Hood, brat Tuck, Maryanna, i inni przedstawiając przez żaków przybranych stosownie do odgrywanej roli. Ów orszak zakończyły zwykle grupy najwięcej ulubione od ludu, jakoto: tancerze Maurytańscy oraz wszelkie manekiny zwane *hobby horses* czyli drewniane konie odziane długimi czaprakami, pod którymi ukryci ludzie kierowali nimi według woli *Hobby Horses* ulegli najwięcej prześladowaniu ultra-protestantów, to też pomimo szczególnego w nich upodobania ludu, usunięto owe widowiska za panowania Elżbiety, jako szczątki pogaństwa. Żal powszechny objawił się w balladzie satyrycznej której powtarzająca się zwrotka zamieniona w przysłowie, dostarczyła Szekspirowi



najwydatniejszego rysu, w sarkastycznej rozmowie Hamleta z Ofelią, podczas gdy są obecni przedstawieniu morderstwa króla, a jego ojca.

HAMLET.

Cóż ma lepszego czynić człowiek, jak się weselić? patrz jaką radością błyszcza oczy méj matki, a ledwie parę godzin jak umarł mój ojciec.

OPHELIA.

Ależ nie książe, już odtąd upłynęło po dwakroć dwa miesiące.

HAMLET.

Tak już dawno! O! niechaj więc szatan ubiera się czarno, a ja wezmę gronostaje; nieba! dwa miesiące jak umarł, a jeszcze nie zapomniany. Więc jest nadzieja że pamięć wielkiego człowieka przetrwa całe pół roku, jeżeli budował kościoły, bo inaczej nie pomną o nim więcej, jak o skokach drewnianego konia, który tak znany wszystkim, w napisie grobowym,

Koń tu drewniany

Leży zapomniany.

W jednej z komedyi Ben Jonsona granej w 1614 r. widzimy wyraz *hobby horse* użyty w prostym i pierwotnym jego znaczeniu, jako cacko dziecinne. Kup piękna pani, woła *kramarz*, kup drewnianego konia, aby twój syn był kiedyś dzielnym jeźdźcem; lub bębenek, aby został żołnierzem; albo też skrzypki, aby stał się artystą. A gorliwy purytanin, przechodząc oko-

ło kramarza, znieważa go słowy niewinnego zaś konika nazywa: *istnym balwanem, niegodnym i przeklętym balwanem*.

Po kilkakrotnem zakazie, przejażdżka *hobby horses* (na drewnianym koniu), używała znowu wszelkich przywilejów za panowania Karola I. Widziany w tragi-komedyi Szekspira p. n. *przeniewierca*, dowcipny obraz człowieka, który pod długim czaprakiem drewnianego konia, zmuszony jest wyprawiać dziwne skoki. Autor odmalował nader oryginalnie, poczciwego mieszczanina, wskazanego na odgrywanie tej roli; który rozpacza, widząc się usuniętym i zastąpionym przez innego, wówczas właśnie, gdy się wyuczył najdoskonalej stąpać, kłusować, rzeć, wspinać i poruszać z ręcznie grzywą, przystrojoną w wstęgi i pióra.

*Jaselka angielskie od XIV wieku, do założenia pierwszego teatru 1562 roku.*

Pierwiastkowe jaselka tak w Anglii, jak i u wszystkich narodów, przedstawiały w miniaturze misterya i pobożne djalogi, które członkowie rozlicznych bractw, odgrywali z wielką okazałością w uroczyste święta. Chłopcy ukazujący jaselka, tę mieli korzyść nad aktorami mysteryów, że mogli przenosić lekki swój teatrzyk z parafii do parafii, i ukazywać w każdym czasie swoje rozliczne widowiska. Oprócz scen branych z mysteryów, przedstawiali osoby, którym lud najwięcej poklaskiwa

w publicznych uroczystościach, nadewszystko bohaterów ballad narodowych, *Króla Bladud*, *Robin Hooda*, *młodą Marjanę*, i *Sittle Johna*. Ukazywali nawet, w zmniejszeniu, Goga i Magoga, owych olbrzymów tak ulubionych przy obrzędach municypalnych, oraz tancerzy Maurytańskich, a nareszcie hobby-horses (drewniane konie). Niektóre z pomienionych postaci w jasełkach tylko pozostawiły ślad swego istnienia: *Hawkins* powiada, że za jego czasów, murzyn tańczący, był konieczną figurą jasełek. Co się tycze olbrzymów. Książę Newcastle, w komedyi, mówi przez usta jednej z osób: „Chciano mnie zastraszyć człowiekiem, przebranym jak olbrzym w jasełkach.“ Sławny koń *pusseha* jest dziś ostatniem wspomnieniem pamiętnego hobby-horses. Kiedy w połowie XV wieku, bractwa zreformowały zupełnie swoje repertorium, wprowadzając do swych dialogów allegoryczne postaci, czyli uosobione cnoty i występki, jasełka poszły niebawem w ich ślady. Wyciesano więc z drzewa kilkanaście figurek, nadali im różne nazwy, jakoto: Pychę, Obżarstwo i t. p., najdawniejszą ze wszystkich, była pewna postać, jednocząca w sobie wszelkie występki, zwaną Królem zbrodni (lub Królem nieprawości). Był to pewien rodzaj arleki-  
na, i ochoczy współnik mistrza djabła. Szekspir w *Hamlecie*, wyciągnął ztąd najenergiczniejsze zastosowanie. Oprócz krwawych wyrzutów, które młody książę czyni matce, ukazuje jęj przerażający obraz Klaudjusza.

W *Dwunastej nocy* Szekspir tak maluje charakter i ubiór starego trefnisa, podobny do uosobionej zbrodni „z szablą drewnianą w ręku śpiewa ze mną na cześć djabła.“

Że jasełka przedstawiały także, moralne dialogi na to Szekspir, daje nam dostateczny dowód. Kiedy hrabia Kent wyszedł posłańca niewdzięcznej córki starego Króla odzywa się w te słowa:

„Szablę do ręki, nikczemniku, przynosisz listy przeciw Królowi, służysz owęj zarozumiałej jasełce, Lady vanite (próżności), zbuntowanej przeciw prawej ojcowskiej władzy.“

Widać ztąd, że vanite (próżność) figurowało z innymi pomiędzy jasełkami.

Sztuki grane przez jasełka w pierwszej epoce, mało nam są znane, możemy przecież twierdzić że, trzy pobożne dialogi musiały być wystawiane na teatrze jasełek przed 1560 rokiem. W pośmiertnej bowiem broszurze Roberta Grenna, ogłoszonej w roku jego życia (1592) p. n.: cztery hołdy rozumu, stary komedjant przechwala się przed autorem, że przez siedm lat dyrygował teatrem jasełek, że ułożył dwa doskonale moralne dialogi. Szekspir wspomina zaś o dialogu pod napisem: syn marnotrawny, — grany także na teatrze jasełek.

*Jaselka od roku 1562, do końca panowania  
Karola I-go.*

Ciasny obręb, repertorium jasełek rozszerzył się znacznie wraz z założeniem teatru stałego w Anglii. Wielka zmiana, jakiej uległ smak Europejski, zwana odrodzeniem, nastąpiła dla teatru Angielskiego w 1562 roku. Naówczas-to w miejscu misterjów i dialogów moralnych, które tak popłacały za Henryka VIII, Edwarda VI, i Maryi, pojawiać się poczęły tłumem, nowe rodzaje drammatów, trojaki: komedje, sielanki, tragi-sielanki, słowem, różne zabawy sceniczne, które Poloniusz wylicza w Hamlecie. Jaselka niebawem naśladować poczęły nowy rodzaj. Na wzór żaków od św. Pawła, z Westminsteru, Windsoru, i z kaplicy Królewskiej, oraz sług hrabiów Leicester, Essex, i innych którzy odgrywali w pewne dni uroczyste, swoje dialogi i misterja, jaselka przedstawiały codziennie ludowi drobne widowiska ułożone z dziejów i podań narodowych. Utworzyły one sobie podwójne repertorium, jedno religijne drugie, światowe: z dialogów pobożnych których pamięć przetrwała dotąd, możemy przytoczyć, *Babilon*, *Jonasza z Wielorybów*, *Sodomę i Gomorę*, *Zniszczenie Jerozolimy*, oraz najslawniejszy ze wszystkich *miasto Niniwę*. Ostatni z nich, jak mówi współczesny pisarz dramatyczny, przedstawiał długi szereg obrazów, więcej działających na zmysły, aniżeli na rozum. Co się tyczy dialogów światowych, Ben Jonson mówi

o dwóch, o *Rzymie* i *Londynie*. Jasełka nie przestały na naśladowaniu *mysterjów* i dialogów *moralnych*, ale niebawem jeły powtarzać, najpierwsze utwory dramatyczne grywane w teatrze. Sztuki złożone z narodowych dziejów, najwięcej się ludowi podobały. Ben Jonson w jednej z swych komedyi pod napisem Jarmark Ś-go Bartłomieja tak mówi przez usta, *Pupet-Plager* (pokazującego jasełka.)

„Tak zaprawdę *Jerozolima* była cudną rzeczą. *Niniwa* także, równie *Sodoma* i *Gomora*, pieniądze leciały jak grad! brałem 18 pensów od osoby, a dawałem dziewięć widowisk od południa. Nie mi się jednakże tak nieudawało, jak przedstawienia naszych domowych zamieszek. Ten przedmiot każdy rozumiał i pojmował.“

Ośmnaście pensów przechodziło zwyczajną cenę bo ta ograniczała się zawsze na dwóch pensach. Według Ben Jonsona przed rozpoczęciem widowiska odzywał się bęben, a małe pachole krzyczało na całe gardło. „Wchodźcie panowie, wchodźcie dwa pensy od osoby, dwa pensy, doskonałe jasełka, najlepsze jasełka na całym jarmarku.“

Ale jasełka coraz wyżej sięgać poczęły. Wkrótce umyśliły nawet grać trajedye. *Dekkor* współczesny *Szekspira* powiada, że widział na teatrze jasełek przedstawionego Juljusza Cesarza, i Księcia Gwizjusza. Zdaje się, że wybierano tylko pewne wyjątki, inaczey trudnoby było dawać dziewięć przedstawień po-południu jak wiemy od Ben Jonsona. Tak zu-

chwale wdzieranie się jasełek w repertoryum klasyczne, obraziło do żywego miłość własną autorów i aktorów, poczęli więc co raz bardziej prześladować, swych zuchwałych współzawodników. Wmiontanych przeciw nim szyderstwach i żarcikach czerpaliliśmy najpewniejsze o nich wiadomości. Pokazujący jasełka te słowa kładzie w usta jednej z figur.

„Za wiele wkłada się nauki w naszą mowę, lękać się należy, żeby to nie spowodowało zupełnego upadku naszego rzemiosła.”

Ben Jonson chcąc okryć zupełną śmiesznością jasełka, rzucające się zuchwale na drogę tragiczną, daje nam w piątym akcie Jarmarku Św. Bartłomieja przedstawienie pocieszno-klasyczne jasełek.

Oto jest afisz arcydzieła: Starożytno-Nowożytna historia Hero i Liandra, czyli probiereczy kamień miłości, oraz rzeczywista walka przyjaźni Damona i Pythiasza, dwóch wiernych przyjaciół z Bankcida (\*). Widać że dla przypodobania się publiczności, zamłowanej w starożytnościach pomieszczano dwa przedmioty bohaterskie. Dyalog stosownie do ogłoszenia, mięsza wszystko najpocieszniej!

Nie należy myśleć aby w Londynie i Anglii, były tylko jasełka przenośne i jarmarczne. Oprócz jase-

---

(\*) Przedmieście Londynu nad Tamizą gdzie najwięcej było jasełek.

łek przedstawianych pod otwartém niebem, istniały inne, zajmujące ciągle wielkie sale, w najludniejszych okręgach stolicy.

Inne znajdowały się po za obrębem Londynu, w rezydencji królewskiej, i wielu innych miejscach, dokąd lud Londyński, garnął się tłumnie w dni świąteczne, kobiety, szczególnie w tych widowiskach miały zamiłowanie. W jednej z komedyi Ben Jonsona, osoba allegoryczna, wyliczając największe w życiu przyjemności, dostępne dla kobiety mówi:

„Gdybym była gospodynią, poszłabym tańczyć na Maj-Pole, i robiłabym sery, z mleka i kwaśnych owoców. Gdybym była żoną wiejskiego szlachcica, utrzymywałabym dom porządnym, i chodziłabym do miasta na jasełka w niedzielę i święta.“

Niekiedy *Motion meu* (pokazujący jasełka) przenośli swoje osóbkki drewniane, do domów bogatych mieszczan i kupców, w Cite, aby ożywić zgromadzenia rodzinne. Tworzono nawet z umysłu na ten cel odpowiednie dialogi.

Za Henryka VII pojawili się w Londynie cudzoziemcy, a mianowicie Włochy, ukazujący jasełka w Cite!

Dwojaki były przedstawienia jasełek: nieme i mówiące. Ben Jonson, wspomina obydwaj rodzaje. Pierwsze, w miejsce słów używały pantomin, których kuglarze średnich wieków wyuczyli się od starych wieśniaków. Obrazy przesuwały się przed



okiem widza, nakształt chińskich cieniów, po za transparentem, przy odgłosie srebrnej piszczalki, a krótki program oznajmiał przed rozpoczęciem widowiska, treść dialogu, oraz nazwiska wprowadzonych osób. Drugie jasełka zupełnie były odmienne; ukryty za kulisami, mówił za wprowadzone osoby. Wiele aktorów angielskich, tym sposobem rozpoczęła, lub kończyła swój zawód. Pomiedzy srogimi dziwactwami, jakiemi Hamlet dręczy tkliwe serce Ofelii, widzimy stosującą się do tego bolesną odpowiedź:

OFELIA.

W rzeczy samej, chór nie oznajmiłby lepiej każdej osoby, niżeli ty panie.

HAMLET.

O! tak, zapewne mógłbym doskonale służyć za tłumacza w grze jasełek, pomiedzy tobą, a twym kochankiem.

OFELIA.

Dowcipnym jesteś dziś panie!

Ben Jonson wspomina imiona dwóch sławnych *Motion-Meus*, *Pod* i *Lokstij* według niego używali przedewszystkiemi względów publiczności.

#### IV. *Wojna Purytanów z aktorami. Jasełka podczas zamknięcia widowisk i po ich otworzeniu, aż do rewolucyi 1688 r.*

W żadnym innym kraju, walka kościoła z teatrem nie była tak długą i zaciętą jak w Anglii prote-

stanckiej. Widzieliśmy już, jak wraz z zaprowadzeniem odszczepieństwa za Henryka VIII, nowe duchowieństwo wywołało z głębi świątyń, wszelkie obrzędy działające na zmysły, wprowadzone lub tolerowane, przez kościół katolicki; widzieliśmy, jak naczelnicy kościoła anglikańskiego, pod naciskiem prezbiterjańskiego fanatyzmu, tępiłi jako niebezpieczne zabytki pogaństwa, odwieczne zabawy, które od lat wielu ożywiały wsi i miasta. Jeżeli nie zabroniono od razu, przedstawiać bractwom, wiejskim, misteriów i dialogów, to dlatego jedynie, że o ile paryżanie uważali te zabawy za zniewagę i bałwochwalstwo, o tyle polityczniejsi od nich anglikanie, pragnęli użyć ich jako bodźca, do jednania sobie jak najwięcej proselitów; na korzyść nowego wyznania, *John Bah*, biskup *Oxford* ułożył sam i kazał przedstawić uczniom szkoły biskupiej w *Kilkeny*, ze dwadzieścia moralnych i pobożnych dialogów, pełnych ducha protestanckiego. Duchowieństwo anglikańskie, tak gorliwie weszło na drogę owęj propagandy, że zalecało nawet rodzinom, odgrywanie w domu dialogów podobnego rodzaju.

Za rządów *Maryi*, na mocy wyraźnego zakazu królowej, ustalo to owe szerzenie protestanckiej nauki; ale za to mysterya katolicka, odżyły z niesłychaną świetnością. *Elżbieta* zaś, lubo winna była tron usiłowaniom protestantów, nie dozwoliła wystawiać na scenie żadnych spraw religijnych, utrzymując, jako godna córka *Henryka VIII*, że do niej samój należy

rozstrzygnięcie wszelkich spraw, tyczących się wiary. Upadł więc dramat teologiczny, a okoliczność ta przyczyniła się nie pomalą do wzrostu teatru klasycznego, który tak odpowiadał upodobaniu władzy królowej, w poczci i erudyeyi. Wszystko więc silnie cechować się zdało, odradzającą się tragedją i komedyą, gdy w r. 1562, właśnie gdy przedstawiono pierwszą angielską sztukę, ulepioną na wzór starożytnych, poczęło się rozpowszechniać w Anglii tłumaczenie ustaw protestanckich, zabraniających jak wiadomo surowo wszelkich scenicznych widowisk. Skutek okazał się stanowczy: presbiterjanie trzech królestw, u których słowa Kalwina więcej znaczyły od ewangelii, krzyżować zaczęli na teatr, który, jak utrzymywali, zabytkiem był pogaństwa i miotać nań najstraszniejsze przekleństwa. Odtąd powstała pomiędzy purytanami a teatrem wojna zażarta i uporezywa, która trwała wiek cały. *Geoffry Fenton* r. 1574. *John Nassthebrooke* w 1577 *Stephan Gosson*, *Pluip Stubes*, *doktór Rajnolds* i inni, głównemi byli rycerzami owęj krzyżowęj wyprawy, i dowiedli w końcu tego, że zawiesiwszy kilkakrotnie czasowo widowiska teatru, otrzymali od parlamentu za protektoriatu Kromwela, zupełne zamknięcie teatrów; przed tak smutnem rozwiązaniem, podczas trwającęj jeszcze walki, komedjanci i autorowie dramatyczni, wsparci wyłączną opieką Elżbiety i Jakóba I, opierali się stale nietolerancyi swych prześladowców.

Podczas gdy we Francyi aktorowie i pisarze dramatyczni, napadani gwałtownie, przez *Jansenistów* i *Gallikanów* pomścili się zaledwie *Świętoszkiem* i *Don Juanem*, w Anglii tymczasem za panowania Elżbiety Jakóba I, i Karola I, nie było ani jednej komicznej sztuczki, w którą by nie wprowadzono obłudnej postaci hypokryty, publiczność przyklaskiwała z zapalem. Ben Jonson w swęj komedyi *Jarmark S-go Bartłomieja*, wprowadza doskonałą postać Purytana pod nazwiskiem *Busy*.

Wprowadzony wypadkiem na widowisko jasełek, nie może wstrzymać oburzenia, na widok maleńkich aktorów z drzewa, i uniesiony gorliwością, przerywa sztukę, gradem obelg wydobytych z swego słownika biblijnego.

BUSY.

Precz z Dagonem, precz z Dagonem, nie mogę dłużej znieść waszych bezeenych zniewag.

POKAZUJĄCY JASEŁKA.

Czego pan żądasz.

BUSY.

Chcę wygnać ów bałwan, ów pogański bałwan, ową potworną belkę, która razi oko braci, wasi aktorowie, wasi wierszokleci, wasi tancerze manrytańscy, podali sobie ręce na wzgardę braci, na ochydę całej ich sprawy.

POKAZUJĄCY JASEŁKA.

Ja tu nic nie pokazuje panu, na coby nie otrzymał upoważnienia władzy, mam na to podpis mistrza publicznej zabawy.

## BUSY.

Powiedz raczej podpis mistrza buntowników, na pozór szatański. Idźcie precz, zamknijcie usta błazny, przeklęte jest wasze rzemiosło. Kto go broni, broni samego Baala.

Jak ostrzyga przyływu morza, tak ja gorąco pragne waszego upadku.

## UKAZUJĄCY JASEŁKA.

Nie wiem bynajmniej mój panie, jakie są powody nieżyczliwości ku nam hypokrytów, ale mam pomiędzy innemi jasełko zwane Dyonizym Syrakuzą (który był mistrzem szkoły) to najlepiej zamnie odpowie.

## JEDEN Z WIDZÓW.

Dobrze, dobrze! nie znam godniejszego przeciwnika hipokryty, nad drewniane jasełko.

Wówczas pomiędzy lalką a purytanem, powstaje spór najśmieszniejszy, a zacięty wróg teatru, zasypany zostaje w końcu, gradem szyderstw, i dowieipnych żartów.

Jakoż rzeczywiście, namiętna zaciętość przeciw Jasełkom, którą Ben Jonson przesadza nieco, istniała w umysłach purytanów, *Geoffry Fentom*, w jednym z dzieł swoich dowodził, że *Motion men*, trudniący się pokazywaniem jasełek, wraz z komedjantami, winni być pozbawieni praw mieszczzańskich. Wkrótce potem jasełka zakazane zostały wspólnie z *hobby horses* (drewnianemi końmi) a Jakób I-szy dozwolił je tylko ukazywać w Nie-

dzielę, i święta po nieszpórach. Wszakże i purytanie niektórzy tyle w jasełkach smakowali, że chętnie uczęszczali na ich przedstawienia.

Gdy wszelkie zabawy teatralne zawieszono zostały billem 22 Września 1647 roku, jasełka wyłączone były z pod zakazu. Mamy dowód ów wyjątkowej względem nich tolerancyi, w prośbie podanej przeciw komedjantom Londyńskim, do parlamentu, w styczniu 1643 roku.

Biedni ludzie skarżyli się wymownie na nieprzeblaganą przeciwko nim zaciętość, gdy tymczasem, dozwolone były walki byków, i jasełka. W owym to czasie, repertorium jasełek zbogaciło się nowym djalogiem ułożonym z raję utraconego Milтона.

Podczas zamknięcia teatrów, jasełka ukazywane bywały w całym Królestwie a nawet jasełkarze z *Nodwich*, naówczas będący w modzie, przedstawiali w Londynie rozliczne widowiska.

Restauracja wróciła życie teatrom, poeci i komedjanci, czynnie i gorliwie rozpoczęli nanowo swój zawód, uwolnieni z zbyt długiego mileżenia. Jasełka tymczasem usiłowały zachować względy publiczności. Współzawodnictwo ich z wielkimi teatrami, stało się tyle dla ostatnich groźnem, że około 1675 r. trupa królewska z Drury Lane sięcia Jorku, złączywszy się nawzajem, podały do Karola II, prośbę o rozkaz zamknięcia, lub przynajmniej usunięcia jasełek, ukazywanych na po-

bliskiem placu, które w ich dochodach znaczny czyniły uszczerbek.

Ale zbliżamy się do czasu, który otworzył nową erę polityczną, w dziejach jasełek, chcę mówić o rewolucyi 1688 r. Wypłynęły z niej dwa nader ważne wypadki. Wstąpienie na tron prześwietnego domu Oranii, i szczęśliwe przybycie *panscha* lub *poliszynella* do Anglii.

*Jaselka Angielskie od r. 1688, aż do obecnych czasów. Repertorium i charakter Panscha.*

Zaczawszy od roku 1688, historia jasełek Angielskich, jednoczy się zupełnie z historią repertorium *Panscha*, powiemy naprzód, że nazwisko *Panscha* dało powód rozlicznem fałszywem wywodom etymologicznym. Znajdowano naprzykład tajemniczy związek pomiędzy ogniem bystrego umysłu *Panscha*, z gorącym napojem który przybył podobno z Persyi. Było to błędne mniemanie, *Panscha* nie jest czem innem, jedno skruceniem *Poliszynella*, w pierwszych nawet czasach nadawano mu na przemiany obydwie te miana.

*Pansch* jak mniemają niektórzy przybył z Hagi do Londynu, w orszaku Wilhelma księcia Oranii. Ale to ulega wątpliwości. Są pewne ślady istnienia jego w Anglii, przed abdykacją Jakóba II-go, prędejbym mniemać można, że przybył z Francyi z Stuartami.

Godnem jest uwagi, że *Pansch* nie odznaczał się z razu, głęboką i szatańską niemoralnością, o jaką go później posądzano. *Józef Adisson*, skreślił jego wizerunek wierszem łacińskim w nader dokładnych zarysach. Według niego *Pansch* w r. 1697 był starym zalotnikiem, wzrosłym trzpiotem, trochę wolnomyślnym, ale w ogóle czynił on więcej hałasu, niżeli rzeczywistego złego.

Pewne ustępy owego wiersza dowodzą jasno, że teatr *Panscha* przeszedł znacznie dawne widowiska jasełek, z czasów królowej Elżbiety. Ceny miejsc podniosły się, a złudzenie stało się zupełniejsze. Wszystkie członki małych figurek były ruchome, a z głowy ich wychodził drut, od którego ciągnęły się nici, poruszane umiejętną ręką.

Szkoda tylko, że *Adisson* w utworze swoim nie wzmiankował, żadnego tytułu granych podówczas dialogów. Mało mamy objaśnień w tym względzie, z czasów panowania Wilhelma III-go, możemy za ledwie przytoczyć *oblężenie Namur*, przedstawione w 1695 r. na jarmarku Ś-go Bartłomieja. W kilka lat potem, grano na tymże jarmarku kilka dialogów, wyjętych z pisma świętego, w których, pomimo powagi przedmiotu, znać było zawsze żartobliwego *Panscha*.

Oto jest afisz bez datty ale sięgający pierwszych lat panowania Anny r. 1703, którego oryginał zachowany jest w Brytańskim Muzeum.

W loży *Czacolija* naprzeciw tawerny koronnej,



w Switlifield podczas jarmarku Ś-go Bartłomieja, przedstawianem będzie małe widowisko, pod napisem *stworzenie świata*, świeżo poprawne i zwiększone *potopem Noego*. Kilka wodotrysków wyrzucać będą wodę, podczas przedstawienia.

Ostatnia scena ukaże Noego z rodziną wychodzącego z arki, w towarzystwie zwierząt, postępujących parami, i ptaków siedzących na gałęziach drzew. Nakoniec za pomocą mechaniki, ukaże się nieużyty bogacz, wychodzący z otchłani piekielnej, i Łazarz spoczywający na łonie Abrahama, nadto inne osoby tańczące sarabandy, i gnadrillę, na podziw widzów.

Wszystkiemu temu towarzyszyć będą pocieszne fantazje *Punscha* i *Johna Spendalla*."

Można dotąd czytać w szesnastym numerze pisma *Tatler* z daty 17-go maja 1709 roku, opis przedstawienia jasełek w Bath, którego przedmiotem było zarówno *stworzenie świata*, i *potop*. W drugiej części, mówi autor, wprowadzono *Punscha*, i jego żonę, którzy tańczyli w arce. Według powszechnego zdania publiczności, widowisko to było nader nauczające dla młodzieży. W końcu sztuki *Punsch* skłonił się do samej ziemi, z głębokim poszanowaniem. W innym przedstawieniu potopu, gdy deszcz począł lać potokiem, *Punsch* wychylając głowę za kulisy, rzekł półgłosem do patriarchy: mamy trochę mgły panie Noe.

Adisson, za królowej Anny wydając wraz z Ryszardem Stech Tatlera i Spektatora, podniósł olbrzymio sławę owezeshnych jasełek p. Powell.

Dwaj wspomnieni pisarze wysnuwali z drobnych jego djalogów, tysiączne porównania i złośliwe żarty. Dzięki ich fantazyi, oraz łatwemu do zaspokojenia smakowi publiczności, dzięki nakoniec rzeczywistemu talentowi, pan Powell zjednął sobie za panowania królowej Anny, Jerzego I, Jerzego II, niesłychaną wziętość. Rozpoczął on swój zawód w wielkich miastach królestwa a mianowicie w Bath, w czasie kąpieli roku 1709. Stech ogłosił w kilku numerach Tatlera, zabawną korespondencyę pomiędzy fantastycznym eskulapem, Izaakiem Bickerstaff, i znanym panem Powell. Nieszczęśliwy doktor żali się gorzko, na złośliwość prologów i epilogów satyrycznych Powella; a mianowicie na pociski rzucone przez *Punscha* na jego naukę i pana Powell; w ironicznej odpowiedzi, oświadcza że nie zaniedbał niczego, do ukształcenia się w nowym zawodzie, że w tym celu podróżował do Włoch, Francyi i Hiszpanii, oraz poznał dokładnie działania, najbieglejszych niemieckich mechaników. Zarzuca przeciwnikowi swemu, że jest niespokojnym burzycielem, że chciał zbuntować jego trupe, a mianowicie, pobudzić *Punscha* do zerwania nici utrzymującej jego szczątki. Oburza się na ów spissek, albowiem na mocy najświętszego prawa, jest

on samowładnym panem swoich jasełek, i może jeśli taka jego wola, zapalić fajkę nogę Punscha, lub też ogrzać ręce, jego tułowiem.

W styczniu 1710 roku, jasełka p. Powell i fantastyczne jego dramata, nietylko już w Bath, ale i w Londynie, najlepszemu doznały przyjęcia. Punschinello, wraz z groźnym swoim orszakiem, w którym znajdował się doktor Faust, przerażał niesłychanie według Tatlera, nową operę włoską, i odbierał jej znaczną część widzów. Punschinello zwłaszcza, przeważał niekiedy u płci pięknej zasługę, sławnego śpiewaka Nicolini.

W początku następnego roku, p. Powell umieścił swój teatr w małej galeryi Covent-Garden, naprzeciwko kościoła św. Pawła.

W czternastym numerze Spektatora, p. *Stech* mniema, że otrzymał list zakrystjana, pełen gniewu i zażaleń. Od lat dwudziestu wierny kościelny sługa, nie zaniedbał ani razu dzwonić na nabożeństwo; aż tu od dni piętnastu, nikt nie przychodzi na pobożne jego wezwania. Pan Powell, albowiem, obrał godzinę nabożeństwa na otworzenie swego puppet-skow, (szopki). Zakrystjan oburzony, że w miejscu wiernych, zgromadza widzów na jasełka, zapytuje Spektatora co ma czynić dla oddalenia pana *Punschinello*, lub zmuszenia go przynajmniej, aby obrał mniej konieczne godziny. — DIALOG, który ułożonym był z podania ludu, o Wieittingtonie i jego kocie, powieść ta znana

u wszystkich ludów handlowych na świecie, we Włoszech, Brytanii, Portugalii, a nawet na wschodzie; opowiada przygody biednego chłopca, który wysłał kotkę okrętem płynącym do Indii. Okręt przybył do wyspy pełnej szczurów, naczelnik okrętu sprzedał korzystnie kotkę wraz z kociećtami, królowi owej wyspy. Summa ta oddana Wittingtonowi, tak wzrosła w jego rękę, że za jej pomocą został burmistrzem Londynu. *Stech* porównał dialog o *Wittingtonie* z wielką operą *Rinaldo i Armida*, graną wówczas w *Haj Warkel* i wszelką korzyść przyznaje pierwszemu.

Zręczność p. Powell zamieniła się w przysłowie.

Spektator wspomina, że przed zerwaniem z Francją, damy angielskie otrzymywały mody z Paryża za pomocą lalki na sprężynach, która co miesiąc przyplýwała z Calais do Londynu. Dodaje nadto, że za pomocą dowcipnego p. Powell, wymyślono inną lalkę, za dotknięciem ukrytych sprężyn poruszała wszystkiemi członkami; wysłano ją więc do pierwszego korespondenta w Paryżu aby się tam wyuczyła, przechylając wdzięcznie głowę, podnosić brodę, kłaniać się, chodzić, słowem poruszać się na wzór wielkich dam dworu francuzkiego.

Jaselka tak były podówczas wzięte, że doktor Arbuthnot, ogłaszając w r. 1712 broszurę alegoryczną, tyczącą się ówczesnych obyczajów pod napisem: *Historya John Bulla*; mówi o szczególnem w nich zamiłowaniu, charakteryzującym głównie lud

londyński. Między wyrzutami, jakie lady Bull czyni mężowi, wymawia mu naprzód, że zbyt wiele czasu trwoni na jasełkach. Spektator wyliczając miejsca, gdzie najprędzej można zginąć śmiercią gwałtowną, stawia jasełka na czele, jako miejsce, gdzie się duszono w tłoku.

Jasełka p. Powell umieszczone w galeryi Covent-Garden stały przed innemi roku 1713. Mała ta sala zwała się *Punsch's Theatre*. Wielbiciele tego artysty mniemają, że sam fabrykował aktorów i tworzył małe djalogi, przedstawiane na owym teatrze. Tomasz Bunut, w dowcipnej broszurze zowie p. Powell, Robertem. Jest to zręczne i złośliwe przystosowanie do Roberta Walpole, ówczesnego ministra. Rycina przedstawia go ubranego w strój dworski, trzymającego w ręku laskę pana Powell; sławną laskę przystrojoną w srebrne ozdoby, którą ów mistrz poruszał jasełka. W głębi przy pochodniach ukazuje się na scenie *Punsh* i jego żona. Autor mając głównie na celu dotknąć ostro Roberta Walpole, daje nam przytém poznać niektóre djalogi, grane na teatrze jasełek, układu pana Powell, przytacza między innemi tkliwą ludową balladę: *dzieci w lesie*, ułożoną na teatr, która nie mało łez wycisnęła w swoim czasie.

O Punschu mówi jak o trefnisiu rozśmieszającym ustawicznie dowcipnemi żarcikami, i pociesznemi quiproqua.

O owym to złotym wieku jasełek angielskich,

Swift napisał mnóstwo wierszy, pełnych świętego polysku, poetycznej wyobraźni, i niezrównanego dowcipu. Oto krótki z nich ustęp.

### *Widowisko Jasełek.*

„Aby okazać życie ludzkie, i wykryć całą jego śmieszność, wymyślano jasełka, których głównym bohaterem, bywa zazwyczaj błazen.

Bogowie starożytni wyciosani byli z drzewa, jasełka więc miały niegdyś swoich ezcicieli. Bałwan stał przystrojony w starożytną szatę, a kapłani i ludy z pokorą przed nim skłaniali głowę.

Niech to nie dziwi bynajmniej, że sztuka utworzyła ofiarne jasełka, i wyciosała błazna z belki, którego ludzie poświęcali sławie.

Tym sposobem fantazyja poetycznie dowiodła, że drzewo może przybrać ludzką postać, że ciało zmienia się w piec, a ręce ludzkie w wyciągnięte konary.

Ztąd Dedal i Owidjusz dowiedli każdy właściwym sobie sposobem, że człowiek jest pniem. Powell i Stretch myśl tę posunęli dalej, dla nich życie stało się żartem, a świat igraszką.

Kompania morska stwierdza zarówno ową wielką prawdę, na sławnym teatrze zwanym burzą. Dyrektorowie utrzymują nici, a ich poruszeniom ulega tysiące niedołęgów, smutne pomniki ludzkiego szaleństwa.

Czém był niegdyś Momus dla Jowisza, tem jest

dla nas arlekin, pierwszy był błaznem Olympu, drugi polischynellem na ziemi.

Zmieniająca się scena życia, jest teatrem na którym ukazują się różnego rodzaju jasełka, młodzi i starcy.

Inni znów przedsiębiorą dzieła których końca przewidzieć nie są w stanie, posłuszni kierującym nimi nici, ile powtarzają tylko cudze słowa.

Zbyt często niestety, dumna niewiasta przywłaszcza sobie największą władzę, ileż to mężów spełnia czarę życia, zmaconą i zaprawną goryczą.

Słowem, wszystko to, za czem ugania się człowiek, uciechy, szaleństwa, wojna i miłość, wszystko to ukazują nam jasełka. Stroją się one, mówią, i poruszają jakby ludzie.

Nieustawaj więc wielki Streth (\*) bawić jak dotąd śmiertelników, wprawną i zręczną ręką! Śmieję się z nich do woli! a gdy śmierć przetnie nie twego żywota, otrzymasz w nagrodę to, co pochlebia próżności, jasełki.

Wyrzną twą postać z drzewa, dlut ożywi twą pamięć, przyszłość ogłosi twą zasługę, a potomni poznają twe oblicze, i powtórzą z upodobaniem imię twoje!"

Tymczasem duch filozoficzny epoki, przetwarzając począł jasełka w widowiska poważne i moralne. Filding, przyjaciel prostoty, wielbiciel Punscha,

---

(\*) Streth, ukazujący jasełka w Dublinie.

wyśmiewa się z owej niewłaściwej dążności, w doskonałym ustępie Tom Dżona. Bohater jego przybywa do gospody wiejskiej, w chwili gdy jasełka przedstawiają, najnowsze sceny, modnej ówczesnej komedyi *Libbera*. Widzowie okazywali się dosyć zadowolnieni, z wcale nie zabawnego widowiska, w którym ani jedno dowcipne słowo nie pobudzało do śmiechu, po skończeniu, właściciel jasełek, zachęcony otrzymanem powodzeniem, jął głosić, o ile jasełka podniosły się w obecnym wieku, że usuwając na bok *Punscha*, jego żonę i ich figle, zajęły miejsce między zabawami wyższego rzędu, przypominam sobie, mówił on, jak w początkach swego zawodu, starano się jedynie o rozsmieszanie tłumu, ale nie dążyło, do podniesienia umysłu młodzi, co dziś stało się głównym celem moich jasełek. W pośród powszechnych oklasków, Tom-Dżon, jeden ośmielił się wątpić o istotnym postępie. Żał mu bowiem było starego przyjaciela *Punscha*, i wesołej jego towarzyszki, i z ich usunięcia wróżył niepomyślną przyszłość jasełków.

W owej epoce, na wzór wielkich teatrów utworzyła się w jasełkach nowa szkoła deklamatorska i sentymentalna, do której należał Busel, jeden z znanych następców Powella, nieszczęśliwa Charlotta Charke, córka poety, i komedjanta Collij Cibber, a owa kobieta, rozumnie i starannie wychowana, ale niestała i pełna awanturniczego ducha, opuściła



scenę, gdzie pozyskała nie małą sławę, i otworzyła r. 1737 teatr jasełek, w *Tennis-Const*, ale przywieziona rozpustą do ostateczności, skończyła swój zawód poruszaniem jasełek Buslela, za co zarabiała dziennie gwineę.

Jednakże przedmioty biblijne, ballady ludowe, i śmieszne żarty Punscha, bawiły jeszcze publiczność na jarmarkach. Hagast w pięknej rycinie z 1733 roku, zebrał cudowne dyalogi wystawione na jarmarku w Santheraika. Tu pachole w towarzystwie małpy ubranęj w mundur wojskowy, gra na kozie, i porusza nogą dwa jasełka.

Tam kobieta w ubiorze Sabaudskim, z kozą na ramieniu, ukazuje latarnię czarodziejską, zdumionemu dziecku. W głębi widać szopkę, na której dużemi literami wypisano Punsch, opera, wielki afisz zawieszony na balkonie, oznajmia widowisko.

Gaj malując jarmark wiejski, w rodzaju Gerand-Dowa, wprowadza podobną scenę w której nie zapomina i o Punschu. Tu Szarlatan stojąc na wyniesieniu sprzedaje łatwowiernemu ludowi, swój balsam, pigułki i inne leki na kamień. Sam skoczek na linie, tańczy obok młodej dziewczyny. Dalej jeszcze *Jach Pudding* ubrany w dwój kolorowy kaftan, macha rękawicą, i śpiewa różne figlarne kawałki Punscha. Dotąd jak widzimy poeci i śpiewacy jarmarczni, pożyczali od Punscha niewinnego dowcipu, ale zbliża się czas, w którym jego obyczaje, coraz bardziej kazić się poczynają, w którym

nabiera jadowitej złości, stanowiącej dziś właściwy jego charakter; Swift, około 1728 roku, okazuje nam już nową jego dążność w satyrze wierszem do pewnego wieku, Roberta Lighe, przezwanego Tymotyem, stawiając go naprzeciw biednego niedołęgi Madmullinexa, którego znano w Dublinie jako zagorzałego Torysa. Ten mianując przeciwnika swego, złośliwym poliszynelem, daje nam poznać jasełka przedstawiane podówczas w Dublinie.

„Tymoteju mnie masz być biczem torysów, mylisz się, jesteś powodem ich najżywszej wiary. Gdybyś zmienił rolę, gdybyś się stał poważnym i myślącym, zadał byś im cios boleśny. Wiem otém że masz upodobanie w jasełkach, i że je często odwiedzasz. Czyż nie zważałeś przyznaj sam, jaki brak czują widze, gdy Punsch jest za kulisami, ale gdy się da słyszeć głos jego chrapowaty, jakaż radość przejmuje wszystkich. Wówczas publiczność mało zważa na wyrok Salomona; nie słucha wyroczni z Endoz; Faust sam wraz z djabłem nie zwraca bynajmniej uwagi. Lecz niech tylko Punsch ukaże nos swój potwórny, jakaż wesołość rodzi się na obliczach, z jakąż niecierpliwością oczekują wszyscy jego pojawienia, każda minuta wydaje się wiekiem. Wehodzi nakoniec, naprzód siada nie grzecznie na kolanach królowej Saly. Daremnie xiążę Lotaryngii, chwyta za szpadę, Punsch krzyczy, Punsch biega na wszystkie strony, Punsch dotyka

wszystkich śmiałemi słowy. Połowę swoich figłów poświęca Hiszpańskiemu królowi, nie lęka się nawet świętego Jerzego na smoku, i ośmiela się stać mu czoło. Znosi cierpliwie plagi, nie przestając psocić na chwilę, rzuca się we wszelkie intrygi, w jakimże celu?

Bogu to tylko wiadomo. W pośród najtkliwszych ustępów, rzuca niewczesne żarty. Nie ma żadnej drewnianej nawet jasełki, któraby go chętnie nie powiesiła, gdyby mogła. Nie przebacza nikomu i nikt jemu nawzajem. Co za minka dla widzów nie interessowanych walce, ale przypatrujących się zdaleka. Nie obchodzi ich weale los władcy, ani koniec walki świętego ze smokiem, byleby Punsch pokonał swych wrogów. Pamiętaj Tymoteju, że świat jest wielką grą jasełek, gdzie oszuści odgrywają rolę Punschinnella. A zatém na owym teatrze jasełek, zwanym Dublinem, ty jesteś istnym Punschinellem. Miotasz się i szarpiesz na wszystkie strony, odprawiasz sabat djabelski, wypychasz za drzwi siostry swoje jasełka, wirujesz nie ustannie w kole złośliwości, rozsiewając wszędy postrach i niezgodę, rzucaś się z hałasem wykrzywiając się po małpiemu, w nie swoje sprawy, każdy cię nienawidzi i gardzi tobą, a ty z tém wszystkiém rozśmieszasz widzów twojami błazeństwami prędzej by oni dali wywieszać całą trupę, a nie zdołaliby się już obejść bez ciebie."

Z owego niebardzo podchlebnego obrazu, jako też z pewnych zwrotek pieśni śpiewanych 1731 r., widzimy że Punschello, jest już tylko burdą nader krzykliwym, niespokojnym i zuchwałem, nie popelnia on jeszcze owych okropności małżeńskich, które mu następnie szczególne dają podobieństwo do Henryka VIII. Krytycy Angielscy, porównywają później Punscha z Don Juanem. — William Hone zaprowadził nawet, między temi dwoma osobami, pewien związek utrzymując, że wybryki Punscha, podały myśl do stworzenia charakteru sławnego sewilskiego rozpustnika.

Aby nadać pozór prawdy swęj opinii, dowodzi on że Punsch równie jak Don Juan, porwany był w końcu do piekła.

Przecież porównanie to jest nie właściwe, bo gdy w 1676 roku *Shadwell* wystawił na Londyńskiej scenie Don Juana, Punschello nie był jeszcze znanym w Brytanii. Pan Colluz słuszniej utrzymuje, że dramat *Punsch and Judy* pełen przesadzonych wybryków rozpusty, ułożonym był w skutek arcydzieła Mozarta. W końcu zeszłego wieku, Punsch według niego jest Don Juanem ludu. Wreszcie treść dramatu *Punsch and Judy*, mieści się w balladzie, z 1790 r., ułożonej wkrótce po przedstawieniu dramatu przez jednego z zachwyconych widzów, kto wie nawet czyli pan Callier, nie byłsam

autorem owéj ballady, którą podajemy w tłumaczeniu.

*Piosenka o Punsch.*

Nadstawcie ucha na chwilę; opowiem wam historią, historią Punscha, który był wielkim ladaco, mordercą bez czei i wiary, miał on żonę i dziecię, oboje niezrównanej piękności. Imię dziecięcia nie wiadome; żona zwała się Judyta.

Punsch nie był równie pięknym: nos miał podobny do trąby słonia, na plecach nosił garb, równająca się wysokością głowie; ale mimo to, głos jego zachwycający był jak głos syreny, i tym to głosem złudził Judytę, piękną i młodą dziewicę.

Ale Punsch srogim był jak Turek, jak Turek nie mógł poprzestać na jednej żonie, a prawo broniło mieć dwóch: cóż więc uczynił ladaco? Oto pochał pewną damę.

Judyta odkryła całą sprawę, a w uniesieniu zazdrości, nie dała pokoju mężowi, i jego lekkomyślnéj kochance. Punsch rozgniewał się srodze, przybrał postać tragicznego aktora, i potwór, jednym ciosem, przeciął jéj głowę na dwoje.

A potém, ojciec wyrodny, porwał jedyne syna i wyrzucił go oknem z drugiego piętra. Bo ladaco, wolał kochankę niż żonę, a o syna mniej dbał, niżeli o niuch tabaki.

Rodzice żony przybyli do miasta, żądają od niego rachunku, z strasznéj zbrodni! Uczęstował ich tak samo, jak i godną małżonkę. Śmiał nawet mówić,

że prawo nie jest dla niego prawem, że nie lęka się sprawiedliwości.

Rozpoczął więc podróż po kraju, tak miły i ponętny, że trzy kobiety tylko oparły się jego zabiegom. Jedną z nich było proste dziewczę wiejskie, drugą pobożna zakonnica, trzecią, nie śmiem powiedzieć kto, oto najnikczemniejsza z nikczemnych.

W podróżach swoich napotkał on różnego rodzaju: Włoszki najgorsze były ze wszystkich, Francuzki zbyt były kobiety szczebiotliwe, Angielki ciche i skromne zrazu, wkrótce jednak uległy zapamiętałej miłości, Hiszpanki dumne były jak infantki, ale słabe jak trzeina, Niemki były lodowate. Nie poszedł dalej na północ, boby to było szaleństwem.

W owych podróżach czynił sobie igraszkę z ludzkiego życia. Mordował ojców i braci. Dreszcz przejmuje na myśl o krwi przelanej przez niego. Lubo z ogromnym garbem na plecach, umiał sobie przecież jednać serca wszystkich kobiet.

Mówiono, że zawarł umowę z starym Niklaum. Tę zapewne okoliczności winien był niesłychane powodzenie w płci pięknej.

Wrócił nakoniec do Anglii, rozpustny jak korsarz. Wylądowawszy w Douvres, przybrał inne nazwisko. Policya z swęj strony schwyciła go, i zamknęła w więzieniu. Zatrzymano go w chwili, gdy się najmniej spodziewał podobnego losu.

Zbliżył się nakoniec dzień, w którym przyszło mu zdać sprawę z niecznych czynności. Skoro od-

czytano mu wyrok, przemyślał jakby się ocalić, a gdy kat z złowieszczem obliczem, oświadczył mu że już wszystko gotowe, skinął nań i oświadczył, że pragnie ujrzyć swą kochankę.

A potem udając, że nie wie jak użyć postronka wiszącego u szubienicy, wsunął naprzód głowę kata, na próbę, w miejsce swojej, i zacisnął powróż.

Djabeł nakoniec przyszedł dopomnieć się o swoją zdobycz, ale Punsch, że go nie zna, słowem zaparł się wszelkiej z nim ugody.

„Ha! zapomniałeś o niej, zawołał djabeł, dobrze przypomnę ci ja zaraz.“ I w tej chwili, jęli się obaj za bary. Djabeł bił widłami, Punsch swoją laską tylko, a jednak zabił djabła.”

Drammat Punsch and Judę, który w swoim czasie zachwycał lud angielski, w początkach XIX wieku, zyskał względy wyższej ukształconej publiczności. Zmieniono go więc kilkakrotnie, dodano mu rozliczne ozdoby. Morning-Chronicle, z 1813 roku, zdaje sprawę z najnowszej jego redakcyi; Punsch w owej sztuce, powodowany szałem zazdrości, zabija żonę i dziecko, następnie udaje się do Hiszpanii gdzie go inkwizycya święta trzyma w więzieniu. Ucieka jednak, kluczem złotym otwierając sobie drzwi więzienia; napadnięty przez biedę w postaci psa czarnego, i dwóch jej nieodstępnych towarzyszy rozrzutność i lenistwo, walczy z niemi, zmusza ich do ucieczki; z równem powodzeniem pokonywa

chorobę, która go niespodzianie napada w postaci doktora. Śmierć nakoniec chce go pochwycić w swe szpony, ale tak zręcznie łamie kość starego szkieleta, że ranny, śmierci, śmierć nakoniec zadaje.

Punsch and Judy, ów utworz zmysłowy i sceptyczny, gdzie się potyka życie ze śmiercią, śmiech z morderstwem, gminność z nadzwyczajnością, poruszał struny liry Bajrona. Oto jest sonet Czajłda Harolda, i ostatniego Don Juana.

„Tryumfujący Poliszynellu, ścigam cię z rozkoszą, wpośród swych wesołych wycieczek, gdzie życie ludzkie widzą skreślone z taką prawdą i energią. Nigdy aktor nie ukaże nam tak obrazu na żadnym innym teatrze; czyli to mordujesz żonę wśród igraszek, czyli wyrzucasz niewinne dziecię przez okno, czyli to dosiadasz konia, który cię zrzuca z siodła, czyli to tańczysz z nadobną Polką, piękną i niemrawą, zabiwszy poprzednio jej ojca, w chwili słusznego oburzenia, albowiem głuchym był na dźwięki twój liry, a „kto nie ceni muzyki, nie godzien jest życia.“ A kiedy kat wiedzie cię na szubienicę, możnaż patrzeć bez śmiechu, jak wsuwasz zręcznie naprzód jego głowę, tak, że mu się wywikłać niepodobna.

„Ktokolwiek udaje oburzenie, widząc cię wychodzącego bezkarnie z rąk sprawiedliwości i z szponów djabelskich, ktokolwiek żałuje djabła, jest hipokrytą, obłudnikiem; nic zaiste pociesniejszego, jak widzieć cię, gdy okładasz razami czarny jego kadłub.“



Ale obok owego Punscha, ironicznego, i ultra djabelskiego, którego Bajron pozdrawia przelotnie, istnieje jeszcze w Anglii inny Punsch, satyryczny, prawomówny, wesoły, gotów chłostać wszelką śmieszność, wygwizdać wszelkie zgorszenie. Ów Punsch, rodzaj Brytańskiego Figaro, uosobiony dziś w zbiorze noszącym jego imię, począł w ostatnim wieku, odgrywać ważną rolę w polityce. Można wnosić z jednej z rycin Hogarta, wystawiającej elekcyą 1754 roku, że jasełka nie omieszkały powstawać na zepsucie elektorów. Rycina ta pod tytułem *sposób zbierania głosów*, przedstawia w głębi słup, na którym zawieszony jest malowany afisz. Na afiszu widać Punscha, kandydata do głównego urzędu skarbowego, prowadzi on ulicą taczkę pełną banknotów i gwineów, które rozdaje na prawo i na lewo.

Od początku XIX wieku, jasełka angielska a mianowicie Punch, nie porzucili swęj missyi, satyrycznej. Każdy znakomity człowiek, każdy ważniejszy wypadek, albo zyskiwał oklaski Punscha, albo też ulegał surowej jego krytyce. Lord Nelson był jednym z jego ulubieńców. Po bitwie pod Abukir, zwanęj w Anglii bitwą Nilową, jasełka zajmowały się głównie jej bohaterem; „pójdź tu chłopcze, mówił admirał do Punscha, pomóż mi bić Francuzów. Nie chcę, nie chcę, odpowiedział Punsch, co mi tam potem, gotówem jeszcze utonąć. Nie bój się,

mówił sławny marynarz, czyliż nie wiesz, że kto ma wisić, to nie utonie.”

Nie należy się dziwić oryginalnemu dowcipowi, jaki przebija niekiedy w jasełkach. Często bowiem młodzi ludzie, wymowni i pełni zapału i dowcipu, pozwalali sobie w imieniu Punscha, improwizacyi satyrycznych i ucinkowych. Jeden z nich John Lurran, sławny później w parlamencie w Brytanii, będąc jeszcze uczniem i wielkim miłośnikiem jasełek, zastępował raz przez cały wieczór ich mistrza, poruszał figurki i odzywał się za nie. Dowcip jego niezrównany ściągnął niesłychane pochwały, a dochód zwyczajny zwiększył się dnia tego w czwórnasób.

Zadowolniony z otrzymanego powodzenia młody Lurran, przez kilka dni bawił publiczność, a potem zaś przekonawszy się z jaką łatwością przyszło mu przemawiać różnostronnie za swych małych klientów, odgadł swe powołanie, i został adwokatem. Z świetnego i tkliwego mówcy został następnie członkiem parlamentu Irlandzkiego, a nakoniec w 1806 r. za administracyi Foxa zasiadł w radzie tajnej państwa.

Jak w Hiszpanii jasełka wystawiały walkę byków tak w Anglii naśladowały wyścigi konne, ulubioną zabawę anglików. Punsch odgrywał w nich rolę handlarza koni, i czynił rozliczne zabawy.

Przecież i za dni naszych jasełka nie zanęcały zupełnie przedstawiać widowisk religijnych.

W 1818 r. pokazywano jeszcze w Londynie *Mękę Chrystusa Pana*, *Arkę Noego*, *Syna marnotrawnego*, oraz djalog, osnuty na fantastycznym podaniu, w którym djabeł porywa w koszu piekarza, sprzedającego chleb na fałszywą wagę.

Punsch i szopki znalazły za naszych czasów nie tylko swoich historyków, ale nadto zajęto się ich krytycznym i filozoficznym rozbiorem. William Hazlett, wykazał właściwą im poezję, oraz usprawiedliwił filozoficznie upodobanie wszystkich ludów w jasełkach.

Doktor Johnson, szczególnie miłośnik szopek, zwykł był powtarzać często, że jasełka przedstawiały by tak dobrze jak najlepsi aktorowie żyjący, dramata Szekspira, i że Mackbet zwłaszcza, tracił niestychanie na przedstawieniu scenicznym. P. Boswell przytaczając te słowa, nie omieszkał jednakże powiedzieć, że humorystyczny krytyk nie umieścił tego paradoksu w swoim komentarzu Szekspira, ani w żadnym innem drukowanym dziele.

Były to zwyczajnie słowa na wiatr puszczone w zapale rozmowy, podniesione szczególnym uprzedzeniem przeciw aktorom.

Bądź co bądź, w końcu ostatniego wieku Henryk Rowe, właściciel szopki, nie znając zapewne opinii sławnego krytyka, umyślił przedstawiać w całości arcydzieła Szekspira, powtarzał sam z ta-

lentem wszystkie części dialogu. Widowiska te okazywane były przez lat kilka w rodzinnem jego miejscu Jorku. Co większa, Rowe nietylko że grał Mackbeta, ale nadto wydał 1797 roku, rozbiór krytyczny tego dzieła, a praca jego zajmuje ważne miejsce, pomiędzy dziełami przeznaczonemi na uczczenie Szekspira. Bo czcigodny Henryk Rowe był oprócz tego doskonałym muzykiem, przezwano go trąbą Jorku, albowiem trąbił niegdyś pobudkę w bitwie pod Lalloden. a wróciwszy do rodzinnego miasta, po poddaniu się Jakóbitów, przez lat pięćdziesiąt, trąbił na każdą uroczystość publiczną. Umarł r. 1800 a pamięć jego przechowała się w następującym wierszu.

„Gdy anioł straszliwy, zatrąbi na Sąd Ostateczny, będzie musiał ręką dotknąć Henryka Rowe, albowiem bez tego biedny Henryk nie zdoła się obudzić, odgłos niebiańskiej trąby nie ustraszy go przypominając mu własną jego trąbę. Przez całe życie grał na owym instrumencie dzielnie i wprawnie, i grałby dziś jeszcze, gdyby tchu nie zabrakło mu w piersi. Czyliż Henryk Rowe nie zasługuje aby skromne jego imię stawić obok wielkiego imienia Szekspira.“

# DWA DOKUMENTA

DO ŻYCIORYSU

## HR. ANNY ORZELSKIEJ

CÓRKI AUGUSTA II. KR. POLS.

---

(Przekład z oryginału łacińskiego).

Działo się w Warszawie, we wtorek najbliższy po Wszystkich Świętych, to-jest 7 Listopada 1730 r., panowania 34-go.

Na relacyą JW. Wielebnego Pana Jana z Lipia Lipskiego, Podkanclerzego Królewskiego.

JW. Hrabina Orzelska, prawa małżonka JO. Xięcia Holsztyńskiego, odprzedaje pałac swój własny w Warszawie położony, Najjaśniejszemu Królowi, sukcesorom jego, i krewnym.

August drugi etc. Oznajmujemy etc. Ze przed aktami Metryki Królewskiej Kancellaryi naszej większej stawiała się osobiście ukochana córka nasza Anna Hrabina Orzelska, J. O. Karola Ludwika Xięcia Holsztyńsko-Slezwickiego prawa małżonka, w przytomności męża swego, z wiedzą i za wyraźnem zezwoleniem jego, niemniej urodzonego Jana Renhad Czesnika ziemi Nurskiej, i Pułkownika Naszego w legionach pieszej gwardyi koronnej, działając, będąc zdrową na ciele i umyśle, odstąpiwszy od właściwych sądów, i juryzdykeyi sobie właściwych, juryzdykeyi zaś Naszej Królewskiej co do niżej zeznawającej należy, podlegając i poddając się, chętnie, dobrowolnie zeznała, i obecnie ze znaje. Że pałac swój własny tu w Warszawie blisko klasztoru XX. Reformatów narożnie położony, pierwéj i pierwiastkowo nam przez Wielmożnych Stefana Potockiego niegdyś Referendarza obecnie Marszałka Dworu Naszego, i Teressy z Kąckich prawych małżonków sprzedany, potem zaś przez nas wspomnionéj ukochanéj córce Naszej Annie Hrabinie Orzelskiej dyplomatem naszym wydanym w Grodnie dnia 21 Listopada roku 1726, ręką Naszą Królewską podpisanym, i pieczęcią Kancellaryi mniejszej Królewskiej opatrzonym darowany, wraz z gruntem i ogrodem, w jakiej teraz rozciągłości jest, a od ogrodu pałacu Naszego Morsztynowski zwanego, murem i parkanem rozdzielony, niemniej ze wszystkimi ruchomościami w tymże pałacu znajdującemi się, ze wszy-

stkiemi i szczególnemi rzeczami osobnym inwentarzem spisanemi budowlami, budynkami, stajniami, kuchniami, spichrzami, ze wszystkimi w ogólności należnościami, i przyległościami, pożytkami, użytkami, tak jak przedtém posiadała i trzymała, zeznawająca posiadać i trzymać powinna była, nie dla siebie i potomstw swoich niezostawując, i zastrzegając, z wszelkiem prawem własności i tytułem dziedzictwa Nam i Najjaśniejszym Sukcessorom Naszym i krewnym zwraca, odstępuje, i rezygnuje prawem czystej i nieodwołalnej sprzedaży dając moc dzierżenia, trzymania, posiadania, darowania, sprzedania i odstąpienia Nam Sukcessorom naszym krewnym na jaki się podoba użytek, obrócenia teraz na wieczne czasy intromissją prawną i rzeczywistą z spokojnym posiadaniem wspomnionego pałacu, ogrodu i gruntu z wszelkimi przynależnościami i przyległościami od tąd i rzeczywiście Nam Sukcessorom naszym i krewnym któregokolwiek czasu przez woźnego i dwóch szlachty, albo jakimkolwiek sposobem przez Jurydykę nadanym, i przyjętym oddaje, i odstępuje, bezpieczeństwo wszelkie i ewikycę na majątku i osobie swojej i Sukeessorów swoich zastrzega, i na wszystkich dobrach i summach pieniężnych gdziekolwiek obejmie umieszczonych, zapisuje i zapewnia, a to pod karami ziemskimi, zgodnie oceniwszy i wydawszy dla których kar, i samęj rzeczy sama głównie przypozwana obecnie odpowie przed właściwym sądem swoim z sukcessorami. Te jej osobiste zezna-

nie powyżej przytoczone dla większej wiary własnoręcznie podpisuje.

Anna X. de Holsztein.

Karol Ludwik, X. Holsztyński.

Jan Renhad, Pod. Z. Nur.

Którego to rodzaju odstąpienie, jak powyżej zdziałane, chcąc mieć za stałe i prawne, do obecnych akt przyjąć, wpisać, i z tychże wiarogodną kopią stronom żądającym wydać pozwalamy, dla wiarogodności czego, etc.

August II, z Bożej Łaski Król Polski, Wielki Xiążę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Inflantski, Smoleński, Siewierski i Czernichowski, niemniej dziedziczny Xiążę Saski i Elektor.

Oznajmujemy tym listem naszym wszem w obec i każdemu z osobna. Że My powodowani ze szczególnej ojcowskiej miłości naszej, ku ukochanej córce naszej Annie Hrabinie Orzelskiej, chcąc dopomóc jej wygodzie i pożytkowi, postanowiliśmy, aby téjże pałac w Warszawie blisko Reformatów leżący, nam przez W. Stefana i Teresę Potocką, przedtém Referendarzów, obecnie Marszałków dworu naszego, przed Aktami Metryki Koronnej, prawem dziedziczném, czystej i nieodwołalnej darowizny na wieczne czasy dany i odstąpiony, darujemy i obecnie dyplomem naszym, wspomniony pałac wraz z gruntem, dla rozszerzenia ogrodu i pozostałych budowli



do wspomnionego pałacu Potockich przez Nas przyłączonych, jak teraz w swej rozciągłości są, i od ogrodu Pałacu Naszego Morsztynowski zwanego, murem i ogrodzeniem oddzielonego, niemniej ze wszelkimi ruchomościami, do ozdoby tegoż pałacu przez Nas kupionemi i wyszukanemi, wraz z złotem i srebrem do ozdoby i użytku stołu, tamże złożonym, i ze wszelkimi rzeczami, zupełnie osobnym spisem objętymi, i do Akt Metryki Koronnej wniesionym, wspomnionej ukochanej córce naszej, Annie Hrabinie Orzelskiej i jej successorom dajemy, darujemy i rezygnujemy na wieczne czasy, żadnego sobie, ani potomkom naszym, ani komukolwiek prawa własności nie zachowując, ale całe i nierozdzielne prawo nasze dziedziczne, niedawno przez Konstytucyą na Sejmie w Grodnie odbywanym, potwierdzone, i umocnione, na też Hrabinę Orzelską przenosiemy i przelewamy, dając jej moc, sam pałac, jako i wszystkie rzeczy ruchome, darować, sprzedać i nim rozrządzać, lub na jakikolwiek użytek obrócić, bez czyjejkolwiek przeszkody, na której wprowadzenie odąd rzeczywiście do tego pałacu zezwalamy, i tenże wspomnianej Hrabinie Orzelskiej, na rzeczywistą własność oddajemy. Dla wiarogodności czego, dyplom obecny własnoręcznie podpisany, pieczęcią Królewską opatrzyć rozkazaliśmy. Dan w Grodnie, 21 Listopada 1726 r. Panowania naszego 30. August Król (Miejsce Pieczęci Mniejszej Kancellaryi

Królewskiej. Dyplom sprzedaży pałacu ukochanej córce naszej Annie Hrabinie Orzelskiej, Andrzej Franciszek, Sekretarz J. K. Mości własną ręką.

Oblata tego Aktu, znajduje się w Aktach Metryki Koronnej, pod datą w Białymstoku 20 Grudnia 1726 r. w księdze Nro 224 na str. 165.

## I.

## SPOJRZENIE ZA SIEBIE.

O młodości gdzie tve loty?  
 Gdzie sny twoje? uśmiech twój?  
 Gdzie nadzieje? gdzie pieścizoty?  
 Gdzie twych natchnień święty zdroj?

Czemuż podał czas okrutny  
 Boską czarę do mych warg!  
 Bym do zgonu tęskny, smutny,  
 Nie znał nic, prócz łez, i skarg.

Lepiej było się nie rodzić,  
 Niż tak krótko szczęście znać!  
 Niż tak marnie z świata schodzić,  
 Chwilę czuwać — wieki spać!

## II.

## ŚWIATŁO SPADAJĄCE.

Polubiłem, pokochałem,  
 Anioła dziewczynę!  
 Cóż gdy ona zaręczona  
 Gdzieś na Ukrainę.

Choć jój serce do mnie rwie się,  
 Nie dla mnie te kwiaty!  
 Los okrutny tylko niesie  
 Ciernie, do mój chaty.

„Chcesz mój miły, ja dla ciebie  
 „Jego się odrzeknę,  
 „Cóż bez ciebie choćby w niebie!  
 „Z tobą ja ucieknę.“

— „Zostan, zostan wola Bogal  
 „Zejdziem się za światem,  
 „Iwarda życia mego droga  
 „Będę tobie bratem.“

Ja myślałem że to słońce  
 Co już dla mnie płonie  
 A to światło spadające  
 Tam... w dalekiej stronie.

### III.

#### BIAŁY KAMIEN.

Czy widzisz na polu,  
 Biały kamień w dali;  
 Chmury nad nim płaczą,  
 A wicher się żali.

Żył w wiosce przed laty  
 Janek jasnowłosy,  
 Pierwszy do hulanki  
 Do cepa, i kosy!

Kochał Basię sliczną  
 Był jój narzeczony,  
 Lecz że nie miał grosza  
 Ruszył w obce strony.

Pierwszego tygodnia?  
 Basia rzewnie płacze,  
 Drugiego tygodnia,  
 Już i w karczmie skacze.

A nim miesiąc minął  
 Michał się nadarza,  
 A nim kwartał minął,  
 Poszła do ołtarza.

Janek zebrał grosza  
 I powraca w sioło,  
 I przyspiesza kroku,  
 Spiewając wesoło.

Cicho wszedł w podwórko  
 Pod okno się skradnie,  
 Widzi Basię z mężem  
 I bez czucia padnie.

I ucieka w pole  
 Przed oczami ciemno,  
 O Boże mój! Boże!  
 Zmiłuj się nademną!

Bóg się ulitował  
 Biedaka cierpienia,  
 Bo jak stał w rozpaczy  
 Tak się w kamień zmienia.

Odtąd biały kamień  
 Leży smutno w dali,  
 Chmury nad nim płaczą  
 A wicher się żali.

## IV.

## DO NADWIŚLAŃSKIEJ TOPOLI.

Topolo smukła, drzew naszych królowo!  
 Czemuż tak smętnie twe konary zwiśły?  
 I dumy jakieś wieją ci nad głową,  
 Jakbyś czekała kochanka z za Wisły!  
 Czy płaczesz jodeł co pruchnieją w dali?  
 Czy-ć w myśli zima z jej mroźnemi łany,  
 Czy się twe serce, losem dębu żali,  
 Którego czoło spaliły pioruny?

Topolo smukła, spojrzuj dookoła,  
 Na białą Wisłę, co u stóp szeleści,  
 Na żółte łany, na kwieciste sioła,  
 I na to niebo, co się wszystkiem pieści.  
 Póki to wszystko, masz wokoło siebie,  
 Zdała odpędzaj twe dumy człowiecze,  
 Nie schylaj głowy, czołem utkwij w niebie,  
 Smukła Topolo — bo-ś szczęśliwa jeszcze!

*Sew. Kapliński.*

# WIEJSKA MIŁOŚĆ,

## SZKIC POWIEŚCIOWY.

p. Seweryna Kaplińskiego.

### I.

Piękne są bezwątpienia brzegi Renu, wśród których ta królowa rzek Europejskich poważnie toczy swe wały; uroczo odbijają się w niej te góry winnicą pokryte, na których sterczą odłamki feudalnych zamczysk, te miasta i grody w Rzymskim jeszcze poczęte świecie; ale równie, choć zupełnie inaczej piękne są brzegi naszej skromnej Pilicy: tutaj miasteczko rozłożyło się na wzgórzach pokrytych ogródkami, tam w oddali widać chaty z kościółkiem, tam znów szumią odwieczne lasy, co jeszcze pamiętają Batorego, wszędzie cisza, spokój, smętność.

Dla nas polaków Ren jest cudnej urody kobietą, oślepiającą nas wdzięków swych krasą, blask jej odurza umysł, i zmysły upaja: Pilica skromnym dziewczęciem, nęcącym serce powabami duszy; duszy, któ-

ra się z naszą rozumie, którą znamy, którą kochamy, przy której marzymy swobodnie o tém, co nas dotyka, z którą żyć, przy której chcielibyśmy umierać.

Tak przedstawić się musi Pilica każdemu, kto jedzie od Warszawy do Białobrzeg, a dojeżdżając do miasta, widzi przed sobą, na drugim brzegu białe domki miasteczka, po prawej wzgórza Przybyszewskie, po lewej wśród ogrodów piękną wieś Promną, a wzdłuż rzeki ciągnące się długie i szerokie łąki, jakby przedśnienie czerniejących w dali lasów.

O dwie mile od Białobrzeg na prawym brzegu Pilicy, leży wieś Małopole, w pięknej choć nieodznaczającej się niczem okolicy: szeroka droga wysadzona topolami prowadzi do dworu, otoczonego kłębami bzu, i jaśminu, zgrabny o jednym piętrze pałacyk, przytyka do angielskiego ogrodu. Dosyć przejść przez to oświecone podwórze, dosyć przebiez raz ciemne aleje ogrodu, zatrzymać się nad małym stawkiem, po którym pływa jak śnieg biały łabędź, odechnąć w cienistej altance, do której zaglądną różnobarwne powoju kielichy, żeby wiedzieć, iż tu mieszkać, i rozkazywać musi kobieta młoda i piękna; młodość bowiem, i piękność, mają w sobie jakąś tajemniczą moc, odmładzającą, upiększającą wszystko, co je otacza.

Otóż właścicielka owego pałacyku z angielskim ogrodem, i tej wioski, była istotnie młoda, bo miała najwięcej lat 28, była piękna, bo zgrabna jej figurka odpowiadała ożywionej dowcipem twarzy, ciemnym oczom, rzucającym błyskawice z pod zgrabnie zakreślonych brwi. Człowiek wymagający powie może, że pani Adela Karwecka, jest cokolwiek za żywa w ruchach, za śmiała w spojrzeniach, za złośliwa w odpowiedziach, ale nie tyle wymagającym będzie, gdy się dowie, jak była prowadzoną, i wychowaną.



Ojciec Adeli był bogatym kupcem bławatnym w Warszawie. Na rok przed urodzeniem córki sklep swój zamknął, i kupił wioskę za Pilicą, i ładny dom w Warszawie, tak że Adela ani łokcia, ani faktury nie widziała. Od dzieciństwa przyzwyczajona do wygod i wykwiutności, otoczona osobami dobrze wychowanými, które tłumnie zbiegały się na objady i wieczory, dawane przez jej rodziców, od dzieciństwa nabrała wykształconych ruchów, i poloru wielkiego świata. Ojciec patrząc dumnie na córkę mawiał: „moja Adela stworzona na księżniczkę.” Francuzkie guwernantki nauczyły ją pięknie mówić, i dały ogólne wyobrażenie o najbardziej w towarzystwie popłacających naukach; czytanie chronologiczne francuzkich romansów dokończyło edukacyi; słowem Adela, była tak wychowana i wykształcona, jak u nas większa część pauien, do tak zwanego wyższego towarzystwa należących. W 17-tym roku poszła za pana Karweckiego. Więcej jak dwa razy od niego starszy, ale wyrocznia dobrego tonu, król Warszawskich salonów, nie zupełnie jeszcze zrujnowany, ożenił się z nią, żeby dodawszy jej posag do swojej fortuny, nabyć korzystnie trafiające się dobra, poczem osiadł wraz z żoną w Warszawie, i trzymając dom otwarty, wprowadził ją w pierwsze towarzystwa. W siedm lat po zamężeiu została wdową bezdzietną, z czterdziestą tysiącami rocznego dochodu; nie przestaje jednakże uczęszczać w domach, gdzie z mężem bywała, w towarzystwo, w którym małżeństwo ją postawiło, w którym przyjęła się jak kwiat na właściwym sobie gruncie, którego można powiedzieć, jest duszą. Jesień i zimę przepędza w Warszawie gdzie ją starsze kobiety na rękach noszą, tak im się umie pochlebić; cała młodzież głowę dla niej traci; żaden bal, żaden wieczór w wyższem towarzystwie,

żaden piknik młodzieży, bez niej się nie obejdzie, a u siebie daje wieczory, na których zeszlęj zimy naj-  
lepiej się w Warszawie bawiono. Ale z takim uspo-  
sobieniem, z takim szczęściem do kobiet i mężczyzn,  
czemu pani Adela na kilka długich miesięcy wyjeżdża  
na wieś, czemu nie zostaje w Warszawie? Czy wo-  
dy mineralne miejskich ogrodów, zamiejskie cudne  
przechadzki nie mają dla niej uroku? Nie — bo pa-  
ni Adela lubi swoją wioskę, gdzie się urodziła, w któ-  
rą ją wypieścili rodzice, w której oboje na wieki  
zasnęli; lubi naturę swego angielskiego ogrodu wpra-  
wdzie, ale woli ją od Wilanowskiej i Łazienkowskiej,  
a nadewszystko lubi kilkomiesięczną w roku samo-  
tność. Wprawdzie rozumie ją także po swojemu,  
gdyż śmiejąc się powtarza, że nigdy nie jest tak sa-  
motną, jak w tłumie osób. I właśnie wśród takiej  
samotności, część wiosny i lata, na wsi przepędza.  
Przywozi z sobą z Warszawy całe familie znajomych  
osób, nie które z nich nie robią jej wielkiej przyjem-  
ności, ale zawsze przyczyniają się do jej osamotnie-  
nia.

Tym razem pani Adela także nie jest samą; a na-  
przód: przywiozła z sobą wychowanicę swoją daleką  
kuzynkę, która dopiero co wyszła z klasztoru Sakra-  
mentek, skromną, naiwną, rumieniającą się w go-  
dzinie co chwila, jasnooką Helunię, istny kwiatek:  
przywiozła pp. Wrońskich, bogate małżeństwo przy-  
byłe z Galicyi, dla przepędzenia zimy w Warszawie.

On, więcéj jak w średnim wieku lecz przekonany,  
iż czas zatrzymał się dla niego w chwili kiedy zaczy-  
nał rok dwudziesty piąty; zdaje mu się, że jest mło-  
dy, piękny, czuły, exaltowany nawet. Ożenił się  
z szalonéj miłości z panną Felicytą R. nie bogatą, ale  
więcéj jak o połowę młodszą od niego, edukowaną  
w Warszawie; żyją z sobą od lat ośmiu w jak naj-

lepszéj harmonii. Pani Wrońska jest rozumna i przebiegła, zna doskonale swojego męża, wie co mu potrzeba. Ubóstwia go, zazdrosna o niego jak żeński Otello, ale za to opływa we wszystko: najpiękniejszy ma w okolicy ekwipaż, dom podług swego urządzony smaku, stroje tak wykwintne, iż jeden z jéj czépków, stał się przyczyną appoplexii zawistnéj sąsiadki.

Druga małżeńska para zwabiona do Małopola dla zwiększenia samotności pani Adeli, była niemniej ciekawa. Państwo M. u których pani Adela bywała na srodowych w karnawale wieczorach. Dom państwa M. należy w Warszawie do tych, o których mówią w towarzystwach, wzmianki o mężu nie czynią.

„Gdzie dziś na wieczór idziemy? do pani M. u niéj się dziś zbieramy.

„Kto był w teatrze wczoraj?

„Ten, ów, tamten... i pani M.

„Gdzie jesteś dziś na objedzie?

„U pani M.”

Więc to jest wdowa, rozwódka?

Nie, pan M. żyje, jest to bardzo rozsądny, przyzwoity obywatel. On myśli o domu i familii, on dostarcza funduszów na utrzymanie domu, stroje żony; on nawet herbatę nalewa, i chodzi z kucharzem do miasta, kiedy jest objad proszony. Ale pani M. jest *une femme superieure*; czyta wszystko, co tylko wychodzi w trzech językach, polskim, francuzkim i niemieckim, nie licząc gazet; gra na fortepianie, i zna się na muzyce; przynajmniej rozprawia o niéj; i z uniesieniem uwielbia Europejskie talenta. Jakżeż chcieć, żeby przy takiéj żonie, mówiono o panu M. człowieku ze wszech miar godnym szacunku, ale który nie umie po niemiecku, źle wymawia po francuzku, poprzestaje na kuryerze i gazecie Warszaw-

skiej. Państwo M. z upoważnienia pani Adeli przywieźli z sobą do Małopola Alfreda G. poetę, człowieka nie bez zdolności, ale mającego więcej imaginacyi niż czucia, więcej sztuki niż talentu, więcej zarozumiałości niż zasługi. Wśród takiej to samotności, pani Adela bawi od miesiąca w Małopolu.

Poznawszy w ten sposób mieszkańców i gości pałacyku z angielskim ogrodem, wejdźmy teraz do salonu, którego umeblowania, równie jak i urządzenia całego domu, opisywać nie będę. Oryginalność mieszkań idzie za oryginalnością ludzi, a w naszych czasach tak mało jest ludzi oryginalnych, tak wszystko jednakowym pociągnięte pokostem, że rozwozienie się nad mieszkaniem, do żadnego teraz nie doprowadza wniosku. Powiedziałem, że pani Adela była młoda, piękna, zalotna, że należała do wyższego towarzystwa, że miała kilkadziesiąt tysięcy rocznego dochodu. Każdy więc z łatwością wyobrazi sobie, jak dom jej był urządzony, i przyozdobiony.

Dzień choć w Lipcu był smutny i dżdżysty, po objedzie, około szóstej godziny wszyscy mieszkańcy Małopolskiego pałacu, zgromadzili się w sali: panowie M. i W. zasiedli przy zielonym stoliku do ulubionego rumla. Panie na kanapie z robotkami, obok nich na fotelu pan Alfred. Pod oknem wychodzącym na dziedziniec ocienionym drzewami akacyi, przy krosienkach Helunia.

Pan W. obywatel Galicyjski którego już znamy, w szczególnie dobrym dziś humorze; może dla tego że obrał garnitur cały kortowy w kraty, a na szyję wziął chusteczkę w szafirowe pręgi, w których mu bardzo do twarzy, tak przynajmniej od rana żona powtarza.

„Czy nie możnaby zapytać o przedmiot konwersa-

cyi?" odezwał się pan W. odwracając głowę w stronę kanapy.

„Czemu nie”, odpowiedział pan Alfred: „rozbieramy bardzo interessującą kwestyę, w której Pan Dobrodziej mógłbyś mieć głos stanowczy.”

„Cóż takiego? zapytał pan Wroński tassując karty i bujając się na krześle.

„Mówiemy o zazdrości” odezwała się gospodyni domu z złośliwym uśmiechem. Pani W. zaprzecza żeby była zazdrosną, a my jej dowodzimy, że nie ma od niej zazdrośniejszej istoty, nieprawdaż panie Wroński, że mamy słusność?

„Ja tego bynajmniej nie czuję” odpowiedział szczęśliwy małżonek, a twarz jego mówiła: jest zazdrosna nad wszelkie wyrazy; ale ja powinienem ukrywać jej słabość.

„Jeżeli zazdrością nazywacie państwo obawę utraty serca ukochanej osoby, rzekła spuszcżając oczy pani Wrońska, przyznaję jestem zazdrosną, ale zarazem przyznaję, iż nie pojmuję jak można kochać prawdziwie, i nie obawiać się utraty uczuć, które są naszym szczęściem.

Pan Wroński położył karty z wielkiem oburzeniem pana M. i poszedł złożyć na rękę ukochanej małżonki długie, i głębokie pocałowanie.

Pani Adela rzuciła złośliwe spojrzenie pani M., a ta odpowiedziała pogardliwym uśmiechem. Po chwili, pan Wroński wrócił do grających, a pani M. zapytała gospodyni:

„Jak się twój chory miewa Adelo.“

„Józef? nie miał już wczoraj paroxyzmu, zapewne na tem się skończy.”

„Chciałbym rzekł Alfred, żeby ci wszyscy którzy tak powstają na nieludzkość terażniejszych dziedzi-

ców, widzieli panią jak wczoraj sama weszłaś do chaty, żeby własną ręką podać lekarstwo jednemu z twoich wieśniaków.”

„Zbyt pan podwyższasz moje zasługi panie Alfredzie” odrzekła uśmiechając się Adela; „Józef nie jest dla mnie obcym, matka jego wykarmiła mnie, a on długo bardzo był przy dworze za życia moich rodziców; poszedłszy za mąż, osadziłam go wraz z matką na gruncie i teraz Józef jest jednym z najlepszych gospodarzy Małopola.

„Czy jednym z najlepszych nie wiem, przerwał jej Alfred, ale najpiękniejszym mężczyzną z całej wsi, to pewno. Czy panie go widziały, zapytał zwracając mowę do pani Wronskiej i M. Prawdziwy typ sławiański! wysoki, kształtny, oko niebieskie, pełne ognia i duszy. Ciemne błęd włosy w naturalnych lokach spadają na jego ramiona; a kiedy ubierze się w granatową opończę z czerwonym wyłogiem; czarny kapelusz z pawiem piórem przechyli z fantazyą, na jedną stronę, z kosą na ramieniu, lub siekierą w ręku idzie na łąkę lub do boru, to zdaje się człowiekowi, że ma przed sobą jednego z owych greckich bohaterów o których śpiewa Homer.

„Ha! ha! ha! co za poetyczny obraz wiejskiego gospodarza; śmiejąc się zawołała Adela: „Ale żebyście go państwo zupełnie poznali, powiem wam że ma siłę Herkulesa, odwagę lwa, a przytem doskonały woźnica. Dla tego ile razy przedsięwzięję jaką odleglejszą przechadzkę lub podróż, jemu mój los powierzam. Z nim mogę być pewna, że mi się nie złego nie stanie.

W tej chwili rozległ się w podwózku turkot, a Helunia która dotąd siedziała ciągle z spuszczoną nad krośnami głową, spojrzała w okno, i tak się zaru-

mieniła, że przy jej twarzy zgasła purpurowa róża, dopiero co przez nią na kanwie wyszyta.

„Kto przyjechał Heluniu? zapytała pani Adela nie podnosząc oczu od roboty, i nie ruszając się z miejsca. Teraz bowiem dobry ton wymaga, żeby na przybycie gościa nie spieszyć, ale tak być jak zwykle; jeżeli się go zaś przypadkiem zdaleka spostrzeżło, należy udać, że się nic nie widzi, czempredziej porwać za książkę, dziennik, lub robotę, i dopiero kiedy wejdzie do pokoju, przyjemnie się zdumieć, lub stosownie do okoliczności, wielką okazać radość. Inne czasy, inne obyczaje!

„Pan Michał! odpowiedziała Helunia z pomieszanieniem, i z nadzwyczajną uwagą zaczęła się wpatrywać w ogromny deseń, który jej twarz zupełnie zasłonił.

## II.

Pan Michał Szczerczewski sąsiad Małopola, trzymał o milę nie wielką dzierżawę. Jeden z pięciu synów nie zbyt majątnego obywatela, tyle tylko odziedziczył po ojcu, że mógł na skromnej dzierżawie porządnie się utrzymać.

Pan Michał ma lat około 30-tu, wysmukły, śniady, z czarnym wąsikiem z wyrazem szlachetnej otwartości w czarnym melancholijnym oku, odebrał dosyć staranną edukacją. Skończył w Warszawie szkoły, mówił po francuzku, wprawdzie polskim akcentem i zwolna, tak iż brak wprawy był widoczny, ale rzadko kiedy zrobił błąd gramatyczny. Konno jeździł z niesłychanym wdziękiem, strzelał po mistrzowsku, a co najbardziej czyniło go miłym damom — to, że grał prześlicznie na skrzypcach.

Michał poznał Adelę rok temu na wsi w sąsiedztwie Małopola, i odtąd często ją odwiedzał; zawsze witała go z miłym uśmiechem, prosiła żeby o niej nie zapominał; często przywoził z sobą skrzypce, i godzinami grywali wyjątki z różnych oper, a nawet trudniejsze utwory Beriota i Artota. Cóż dziwnego że pan Michał z szlachetnem sercem, i czułą duszą, widując przez kilka miesięcy co tydzień prawie panią Adelę, kobietę piękną, dowcipną, mile od niej widzianą, zakochał się jak to mówią szalenie. Zima ostudziła nieco gorącość jego uczucie, bo do Warszawy za Adelę jechać nie pozwalały mu jego fundusze i gospodarstwo; pojechał przecież na ostatki, lecz widząc ją otoczoną całą warszawską menażerją nie śmiał się zbliżyć. Raz jeden ją odwiedził, ale zastał świat tak elegancki, tak wykwintny, tak wypolerowany dowcip, tak czystą francuzczyznę, iż na tej jednej poprzestał wizycie, bo pan Michał był skromny, i wiedział, że wśród tego grona, nie był na swoim miejscu. Adela w Warszawie była dla niego grzeczna, uprzejma, ale tą grzecznością zdawkową, z której pysznić się może warszawski salonowiec, ale która nie trafia do prostego, wiejskiego serca. Z boleśnią w duszy powrócił na wieś, starał się zapomnieć o kobiecie która go nie kochała, której majątek, położenie, stanowiły nieprzełamane między niemi zapory; ale serce nie tak łatwo daje się przekonać argumentami rozumu. Nie zdziwi to więc nas, że kiedy pani Adela znowu na wiosnę do Małopola zjechała, pan Michał jak dawniej zaczął ją widywać; przysłuchiwał się jej pieszczonój mowie, patrzył w te oczy, które niekiedy z szczególnym wyrazem, tak mu się przynajmniej zdawało, ku jego stronie się zwracały. Kiedy parę razy zagrał z nią elegię Ernsta i modli-



twę Beriota, uspięone jakiś czas uczucie, znów się zbudziło.

Kiedy Helunia wymówiła nazwisko nowego gościa, pani Adela z żywą radością zawołała: „A jak to dobrze, że o nas nie zapomina.

Alfred przygryzł wargi i rzekł: „Wykrzyknik tak radosny, nie jest zbyt pochlebny dla obecnych.”

„Nie sądzę żebym panie tem obraziła, wiem bowiem, jak pan Michał mile jest od wszystkich widziany. Pani Wrońska pobiegła do drugiego pokoju poprawić kołnierzyk, i włosy przyglądzić. Pani M. z gospodynią prowadziła bardzo żywą rozmowę, tymczasem najdyczanka pana Michała stanęła przed gankiem. On skoczył z niej zręcznie, zrzucił w przedpokoju hiszpańską pelerynę, i wszedł z bijącym sercem do salonu.

Po zwykłych grzecznościach, i wzajemnych prezentacjach nastąpiła znowu przy kanapie ogólna rozmowa, do której już i panowie W. i M. należeli.

Pani Adela nadzwyczajnie uprzejma dla Michała, z większym niż dotąd zajęciem zwracała oczy i mowę do pana Alfreda, bo kobieta zalotna z jednym przeciwnikiem niechętnie przestaje, naprzód, że trudno jest zajmować jednego swą osobą, nie dając mu żadnych praw, a potem to ją wcale nie bawi; ale niech ma przed sobą dwóch trzech, lub więcej, o wówczas jest w swoim żywiole. Jak wprawny generał ustawia swoje szyki, kieruje baterje, tak ona wydobywa całą amunicją spojrzeń, westchnień i miłych słówek; miłość własna, sentymentalność, próżność literacka, lub artystyczna męzczyzn, są to wyłomy, któremi dostaje się do ich głowy, a niekiedy serca.

„Dla czegoż to pan sąsiad od njejakiego czasu tak  
OD. II. TOM II. 44

niełaskaw na mnie? spytała uśmiechając się pani Adela.

„Wiedziałem że pani masz licznych gości z Warszawy, których obecność uprzyjemnia jej pobyt na wsi, mógłbym stać się natrętnym.

„Odpowiedź pańska wymagałaby komplementu, a my kobiety mówić ich nie umiemy. Może pan Alfred mnie wyręczy dodała, zwracając się złośliwie do zadumanego poety.

Ten jakby się ocknął z głębokiego letargu i rzekł: „Wybacz pani, ale nie wiem o co rzecz idzie, myśl moja w tej chwili gdzieindziej bujała.”

„A to pięknie, przerwała z uśmiechem pani Wrońska, przyznawać się do takiej towarzyskiej zbrodni.”

„Za karę dodała pani M. powiesz nam pan, gdzie w tej chwili imaginacja twoja cię unosiła?

„Byłem daleko, bo z bratem pani Adeli, Stanisławem, z którym dwa lata temu w Warszawie się poznałem, i którego pokochałem prawdziwie.

„A gdzież to jest brat pani? zapytała pani M. gospodyni.

„Brat mój skończył dwa lata temu w Warszawie szkoły, a teraz jest w Berlinie na uniwersytecie, jeżeli mu już Hrabia Felix nie wyperswadował, że nauki na nie się nie przydadzą?

„Skądże brat pani zapoznał się z Hr. Felixem, tym lwem warszawskich salonów, który goni resztkami trzeciej sukcesyi?” zapytał pan Wroński muszcząc szczoteczką zgrabnie przycięte faworyty.

„Poznał go w moim domu, i tak się nawzajem sobie podobali, że jeden bez drugiego ruszyć się nie mógł. Wiecie państwo jak to pochlebia młodemu, kiedy poufale żyć może z człowiekiem znacznie od siebie starszym, a przytęm ukształconym, i dobrego urodzenia?

„Zwłaszcza, kiedy ten człowiek nosi tytuł hrabiego lub xięcia” dodał pocichu p. M.

„W tym czasie kiedy Stanisław jechał do Berlina, hrabia Felix udawał się w szóstą podróż naokoło świata.

„Nie bardzo musiał dopomagać panu Stanisławowi w naukach, jeżeli pozostali ciągle razem. Szczęściem, że się w Berlinie rozłączyli; ale po dwóch latach, to jest za kilka miesięcy mają się znów połączyć, i nie wiem gdzie się udadzą.

„Szcześliwi!” rzekł Alfred z westchnieniem: „cóż bym dał za to, gdybym mógł się wyrwać z tych stron, gdzie mnie smutna otacza rzeczywistość! gdzie mi tylko marzyć o szczęściu wolno! i spojrział z wyrazem na Adelę; powstał potem z miejsca i zbliżył się do okna, jakby chciał się usunąć od ogólnej rozmowy.

„Cóż porabiają skrzypce?” zapytała Adela przechylając główkę na jedną stronę, i mile wpatrując się w twarz Michała.

„Od ostatniej bytności mojej w Małopolu nie dotknąłem instrumentu.

„A to dla czego?” przerwała pani M. z oburzeniem: Słyszałam, że pan grasz prześlicznie, jakżeż można zaniedbywać tak piękny talent? O! skrzypce, to boski instrument; niech co chcą mówią o wiolonczeli ja powiadam: nie ma nic nad skrzypce; ta skala zawierająca w sobie tony i najbardziej pieśszczone, i najbardziej męzkie, ta możność tłumaczenia najtkliwszych, i najbardziej namiętnych uczuć, bez żadnego wysilenia! Wiolonczela to płacząca bezustanku kobieta. Skrzypce, to kobieta z ognistą duszą, ale i z sercem czułości pełnem.

„Czy twoja żona grywa w orkiestrze? zapytał po cichu obywatel Galicyjski małżonka Sybilli. Ten

z najzimniejszą krwią odpowiedział: „Nie—ale zna się doskonale na muzyce; najpierwsi artyści rad jej zasięgają.

„Dzięki pani składam za pochwały instrumentu, który jest najlepszym moim przyjacielem; ale jak są chwile w których najlepszy przyjaciel jest nadto, w których pragniemy być tylko z sobą i z Bogiem, tak też są chwile, w których muzyka nie tylko nie robi przyjemności, ale przeciwnie przykreść nam sprawia. Głos Michała drżał w tej chwili, a Adela, jakby myśl jego odgadła, nie nie odpowiedziała, i oczy na dół spuściła. Po chwili odezwała się do siedzącej pani Wrońskiej: Czyś pani skończyła: *Le juif errant*? „Nie jeszcze; czytam bardzo wolno, ale za to mam tę przyjemność, że mi Filip sam na głos czyta.

„Pan czytujesz żonie na głos romanse?

„I cóż w tém dziwnego? nie wierzycie państwo, ale taki ma dar do przejmowania się najtrudniejszymi nawet sytuacyami, że nie mogę słuchać jak mi czyta kto inny.

„W istocie rzekł pan Wroński prowadząc zamglonym wzrokiem po towarzystwie, czuję, że chybiłem mojego przeznaczenia, natura stworzyła mnie dla sztuki dramatycznej. Nie uwierzycie panie, jak jestem w stanie zapomnieć się czytając nowoczesny romans, bo przyznać muszę, jestem wielkim zwolennikiem tego rodzaju literatury.

„Muszę państwu opowiedzieć jak dalece mój mąż zapomina się przy czytaniu. Nie dawno w Warszawie, w mieszkaniu naszym w Angielskiem hotelu, czytał mi na głos romans... zapomniałam tytułu... „Gerfant, czyż nie pamiętasz?” „prawda! Gerfant! — otóż w miejscu, gdzie zazdrosny mąż wyrzuca małżonce zdradę, tak się uniósł, iż czy-

tając porwał za nóż na stole leżący, i podniósł go na mnie. W tej chwili wszedł szwajcar z listem do mojego męża, i z krzykiem rzucił się na niego: „Dla Boga co pan chcesz czynić! dopiero, kiedy oboje głośnośmy się śmiać zaczęli, poznał swój błąd i oddalił się zawstydzony.

„To dowodzi wielkiej żywości imaginacyi pana Wrońskiego rzekł pan Michał: „i czucia” dodała z uśmiechem Adela.

Przez ten cały czas Alfred stał przy oknie w postawie Napoleona, i spoglądał zazdrośnie to na Michała, to na Adelę. Nakoniec przybliżył się.

„Prawdziwie, w szczególniejszy sposób korzystamy z pobytu na wsi; niebo tak pogodne, tak wszystko po deszczu oddycha świeżością i wonią, iż grzechem jest siedzieć w pokoju.”

„Słuszna uwaga; pójdziemy do ogrodu, będziemy mieli prześliczny wieczór. Czy panie zgadzają się?

„Z największą chęcią zawołało całe towarzystwo. Adela wydała po cichu kilka rozporządzeń gospodarskich służącemu, a potem odezwała się.

„Panowie zechcą prowadzić damy.

Alfred poskoczył ku Adeli i podał jej rękę. Pan Michał zbliżył się do Heluni, która wstała od krosienek, i ramię swoje jej ofiarował. Helunia zmieszana i drżąca, oparła się na niem, i całe towarzystwo poszło napawać się świeżością wiejskiego lipcowego wieczoru. Wkrótce damy połączyły się w jedno towarzystwo, mężczyźni postępowali za nimi. Pan Wroński zachwycał się wszystkiem, co tylko mu się w drodze nawinęło, i co chwila wołał żony żeby ta dzieliła jego uniesienia.

Patrz! co za róża!

Patrz jakie to cudne drzewko!

Patrz jaki to motylek!

Ona odwracała się, i nie patrząc chwaliła. Pani M. sama zbliżyć się raczyła do Alfreda, i zaczęła rozmowę o botanice.

„Czy może być piękniejsza nauka jak ta, która nas obznajmia z kwiatami, dla mnie kwiat, to prawdziwy cud natury.

„Zgadzam się; ale dla tego właśnie nie mam pojęcia do tej nauki; jeden rzut oka na najdrobniejszą roślinkę ile we mnie obudza myśli i uczuć, jak głośno mówi do mnie o wielkości i piękności Stwórcy. Botanika chce, żebym zamiast doznawać tych wzruszeń, rozbierał w umyśle, do jakiej ten kwiat należy gromady, do jakiego gatunku, z jakich się składa części.” Chciał jeszcze dalej mówić, ale spojrzawszy ukradkiem na Adelę i Michała, którzy w żywej przechadzali się opodal roznowie, stracił wątek rozumowania.

Z początku idąc obok Adeli, Michał nie wiedział od czego zacząć; serce jego tak było przepelnione miłością, tyle chciałby jej powiedzieć, że na nie zdobyć się nie mógł; ona pierwsza zaczęła.

„Dawno miałam chęć zapytać pana, dla czego będąc tej zimy w Warszawie tak mnie unikałeś?

„O jakże dobrą pani jesteś żeś to spostrzegła.

„Trudno było nie spostrzedz, kiedy tak często widywałam pana na ulicy, w teatrze, a raz tylko u siebie, i nigdy niespotkałam w towarzystwie.

„Tak pani byłaś wszędzie otoczoną, iż sądziłem, że nieobecność moja....

„Omyliłeś się pan, nieobecność osób życzliwych dla nas zawsze się czuje; zresztą dodała z pogardliwym uśmiechem: ta cała młodzież ufryzowana,

upomadowana, wyprostowana, to lalki do zabawiania dzieci, ale nie ludzi.”

Słowa te, jak majowa rosa padły na serce Michała.

„Oprócz tego miałem jeszcze inny powód, dla którego stroniłem od tych towarzystw, których pani musisz być królową?”

„Jaki? proszę.”

„Nie posiadam nic coby mi nadawało prawo do uczęszczania w wyższych towarzystwach mówił Michał tonem szczerości, ani towarzyskiem położeniem, ani nawet kształceniem nie wyrównywał tym, którzy na niemię się ukazują.”

„Wstydź się pan odzywać z podobnemi zdania-  
mi, właśnie to jest cechą naszego wieku, że człowiek dobrze wychowany, ma prawo znajdować się w każdym towarzystwie, ale uważam dodała z figlarnym uśmiechem, że od niejakiemu czasu wdzierasz się pan w atrybucje naszej słabej płci, zaczynasz wymagać komplementów.”

Michał tak był wzruszony tem co słyszał, iż słowa przemówić nie mógł; zdawało mu się, że wszystko co do niego mówiła Adela, miało na celu ośmielić go, przekonać, iż uczucia jego są jej wiadome, okazać, że między nim, a sobą, nie widzi odległości nieprzebytej.

Tymczasem zachodzące słońce ostatnie rzuciło promienie i zmrok coraz grubszy zstępował w cienne aleje Małopolskiego ogrodu. Całe zgromadzenie weszło do altany w gущie chińskim, na samym końcu parku położonej, gdzie stół zastawiony owocami, ciastami, i kipiący samowar oczekiwały już gości.

## III.

Józef wiejski gospodarz, którego już znamy, zajmuje najbliższą dworu i najporządniejszą we wsi chatę; grunta jego najlepiej uprawione, zabudowania najobszerniejsze, chudoba w najlepszym stanie, bo Adela niezapomina o swęj karmicielce, i co rok nowemi obdarza ich dobrodziejstwami. Rano tego samego dnia, w którym rozpoczęliśmy nasze opowiadanie, Józef od kilku dni złożony chorobą, pierwszy raz wyszedł z chaty z kosą na ramieniu, żeby sił swoich spróbować, bo u wieśniaka życie jest pracą, a praca życiem.

Magdalena zostawszy sama jedna otworzyła obórkę, i wypuściła cztery krowy, które poważnym krokiem szły złączyć się z wiejskiem stadem, umiotła izbę, przyniosła wody, a nastawiwszy śniadanie dla jedynaka, poszła odwiedzić wdowę Katarzynę właścicielkę sąsiedniej chałupy. Wdowa Katarzyna miała lat trzydzieści, ale tak była czerstwa, świeża, rumiana, tak ogniste miała czarne oczy, iż nikt by jej więcej nad 25 lat nie policzył. Od pięciu lat była wdową, ale przy pomocy czeladki, tak energicznie zajęła się gospodarstwem, iż i pańszczyznę odrobić, i własne gospodarstwo w kwitnącym stanie, utrzymać zdołała. We wsi nie zadawała się tylko z Magdaleną i dla tego nazywano ją pyszną Katarzyną. Magdalena przyjaźniła się była z nieboszczką matką Katarzyny, i znała tę ostatnią od dzieciństwa; to też Katarzyna kochała ją z całego serca, a zwłaszcza od śmierci męża kiedy częściej się schodziły, i Katarzyna częściej widywała Józefa. Młoda wdowa przylgnęła do młodego chłopca jak mucha do miodu, całemi dniami o nim tylko my-



ślała, w nocy o nim tylko śniła, do karczmy wtedy tylko poszła kiedy wiedziała, że jego tam zostanie; i w ten czas brała najcieńszą koszulę, najświeższą spódniczkę, najzgrabniej wcięty gorset, i na szyję zawieszała korale. Jakie to było szczęście dla niej, kiedy obok Magdaleny jechała na furze dobrze wysłanej sianem, a Józef w granatowej kapocie, z czerwonym przepasaniem, z pawiem piórkem u zgrabnego kapelusza siedział przed niemi, i pośpiewując wiózł na odpust lub jarmark do Biało-brzeg! O wówczas nie było szczęśliwszej od niej kobiety! Wiedziała dobrze matka Józefa dla czego Katarzynie cała wieś obmierzła, wyjąwszy jej chałupy; domyślała się wszystkiego i cieszyła się, że Józefowi dostanie się tak zamożna i gospodarna wdowa. Magdalena poszła do niej z wiadomością, że Józef już zdrow i wyszedł na robotę. Katarzyna tylko co wyprawiła parobka do młocki, dziewczkę do pielienia w ogrodzie, a sama w izbie sprzątnęła i nastawiła śniadanie, kiedy weszła do izby Magdalena „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.”

„Na wieki wieków amen.” Uściskały się serdecznie matka z kochanką Józefa, i usiadły obok siebie na progu chałupy, tej chłopskiej kozetce.

Po zwykłych gospodarskich zapytaniach i odpowiedziach Magdalena rozwodzić się zaczęła nad dobrocią dziedziczki, zamożnością synowskiego gospodarstwa, przeplatając mowę swą, nieumiarkowanemi pochwałami dla syna.

Katarzyna znowu żaliła się, że jej tak trudno wszystkiemu podolać, że się chudoba marnuje, budynki w niwecz obracają, że parobek zuchwały, a dziewczka nie posłuszna.

„Eh! bo byśta też Katarzyno wybrali sobie jakie-  
Od. II. Tom II.

go, zamiast marnować wasze młode lata" przerwała jej Magdalena.

„Abo to tak łatwo jak się wam zdaje; tych którzyby mnie chcieli, ja nie wezmę, a ci którychbym chciała, możeby mnie nie wzięli.

„Co też wy pleciecie Katarzyno! któżby was nie chciał, i młode i urodne, i w chacie i w spichrzu nie próżno, na którego palcem kiwniecie, przyjdzie do was kieby pies jaki; a boć to nie znacie naszych chłopaków.

„Widzicie bo Magdaleno, ja już dawno zbierałam się wam powiedzieć... ale to jakoś trudno..... bo żebyście wy mogli sami dorozumieć się"... po chwili milczenia wyjąkała: „ja bym ta za innego nie poszła, jeno za... waszego Józełka" i stanęła cała w ogniu, i zwijając róg fartuszka twarz swą zasłaniała.

„Mój Boże! co ja słyszę zawołała Magdalena, a dyć to mój chłopak skręci się z radości.

„Czy on by nie był od tego myślicie, zapytała spieszenie Katarzyna i porwała obie ręce Magdaleny.

„Chyba by mu się w głowie pomieszało; tać to opatrność Boża!

„Może on mnie nie woli, może on już za inną myśli... może ja przystara dla niego.

„Ot plecieta sami nie wie co, nie woli; prawda żem ja mu o tém ani wspomniała, bo bywało, jak pocznę o żeniaczce, to on za czapkę i z chałupy; ale jakążby dziewczynę siebie upodobał, może wy mnie powiecie, bo ja wiem że on do żadnej nie chodzi.

Rozjaśniła się twarz Katarzyny i błyszczała nieutajoną radością, głowa jej schyliła się do kolan Magdaleny, które gwałtownie ścisnęła.

„Ale on ma lat 28 a ja skończyłam 35!"

„I cóż z tego, to też wam już nie świta w głowie; wreszcie siedm lat więcej nie wielka summa; mój nieboszczyk ojciec także był młodszy o pięć lat od matki, a żyli z sobą długo i ucziwie; no— i czegoż płacze-ta Katarzyno?

„To z radości Magdaleno, bo co mi mówita, tak mi do serca... oj! chyba oszaleję kej on moim zostanie, i rzuciła się na szyję Magdalenie, i lzy ich razem się zmięszaly.

Na południe Józef wrócił z pola, był wesół bo się czuł zdrowym i duży kawał skosił.

„No matko dajta mi jeść, bom diabelnie zgłodniał.

„Masz mój drogi, jeno nie jedz dużo kartofli.

„Dajcie mi śmietany matko.

„E, lepiejbyś dał pokój.

„A to dla czego, wiecie że lubię śmietanę.

„Czyś zapomniał? wyraźnie pani ci zakazała, i mówita że febry nie stracisz.

„Prawda, prawda, dziękuję wam matko żeście mi spomnieli, co to za głowa ze mnie żeby o tém zapomnieć!

Podczas kiedy Józef zajadał smacznie zacierki na wodzie, Magdalena usadowiła się obok niego na ławie.

„Wiesz Józefie o czém ja dziś myślę od samego rana, jakoś ani na chwilę przestać nie mogę.

„O czemże myślicie?

„O to że ja już nie wiekowa, że może nie długo cię zostawię, i że ty zostaniesz sam jeden, sierota na tym bożym świecie.

„Ot głupstwa wam się bają, jeszcze daleko wam do piędziesiąciu.

„Nie wiadomo kiedy kogo śmierć zabierze, często zapadam na piersi, kaszlę, głowa boli.

„Bo za wiele matko pracujecie, ja mówiłem przyjąć dziewczkę, parobka drugiego, ale wy ani słuchać nie chcecie.

„Czy nie lepiejby to było Józefku żebyś ty się ożenił, żebyś miał kobietę, co by...

Józef porwał się z miejsca i gwałtownie uderzył pięścią w stół. „Prosiłem was matko, żebyście mi o tém nigdy nie gadali, jeżeli chcecie bym siedział doma.

„Czegóż się gniewasz? że ja chcę twojego dobra? Oj ten przeklęty dwór przewrócił ci głowę, gdybyś nie był tak długo we dworze za życia nieboszezki pani, możebyś nie umiał czytać i pisać; możebyś tak ładnie nie mówił, możebyś nie miał takiego dostatku, ale więcejbyś szanował wolę matki i żył tak jak inni we wsi.

„Moja matko, czego wy chcecie odemnie? to mówiąc wstał od stołu i układował się pod oknem na ławie wzięwszy pod głowę kożuch: żadna dziewczyna w naszej wsi mi się nie podoba, a szukać w innej mi się nie chce, po co mi żenić się, kiedy mi i tak dobrze.

„A gdyby ja ci powiedziała o jednej Józefku, młodziej, zamożnej, która cię okrutnie polubiła, i byłaby najszczęśliwsza żebyś się z nią ożenił.

„To nieprawda? gdzieby była się znalazła taka głupia, kiedy ja o żadnej nie myślę.

„Wdowa Katarzyna.”

„Co? Katarzyna! żartujecie ze mnie matko, chyba zwaryowała.

„Ona ma takie dobre grunta, taki piękny dobytek, taka gospodarna i oszczędna.

„Alboż to ja nie mam tego co mi potrzeba, żeby brać od niej, alboż to ja żebrak, żeby potrzebować czyjego wsparcia?

„Od przybytku głowa nie boli. Ona cię tak kocha i od tak dawna, powiedz co masz przeciwko niej?

„Kocha,... kocha,... dla tego że gada; chce się babie dostać młodego, bogatego chłopca i nakłamała przed wami; a wy też wszystkiemu wierzyacie, to mówiąc odwrócił się do ściany i po chwili głośno chrapać zaczął.

Magdalena bardzo się zmartwiła tą rozmową, bo chociaż nie brała wszystkiego co Józef mówił za rzeczy nieodwołalne, przecież widoczne było dla niej, że on o Katarzynie nie myśli. Między naszymi wieśniakami nie ma dyplomacyi, szczerłość, otwartość jest podstawą ich życia, a jeżeli stosunki z panem zmuszają ich nie raz do udawania, to fałsz ten nie rozciąga się dalej jak na pański przedpokój.

Matka z wielkiego świata, któraby szczególnym wypadkiem znajdowała się w położeniu Magdaleny, nieomieszkałaby zawiązać intrygę kończącą się na tém, że syn ożeniłby się dla powiększenia majątku, a wdowa poszłaby za niego sądząc, iż jest ubóstwianą. Między wieśniakami rzeczy inaczej się dzieją; matka Józefa poszła, i słowo w słowo powtórzyła struchlałej Katarzynie rozmowę swoją z Józefem. Biedna Katarzyna tak była od rana szczęśliwa samą nadzieją, i prosta jej fantazyja w tak żywych kolorach przedstawiała jej życie obok Józefa, że teraz długo przyjść do siebie nie mogła, i Magdalena kilka razy całą rozmowę powtórzyć jej musiała.

Nie mogąc utrzymać się na nogach usiadła na łóżku i głowa jej spadła na piersi.

„Żeby choć wierzył, że ja go kocham, i że nie dla tego chcę iść za niego, że on ma chałupę i grun-

ta, ale on myśli że ja taka... i głośno się rozszlochała.

„On sam nie wiedział co gadał Katarzyno, będzie jeszcze tego żałował... uspokójta się.

„O ja biedna sierota! już dla mnie szczęścia nie będzie... on myśli że dla tego, że bogaty.

„Uspokójta, się Katarzyno; powiadam, że on nie wiedział co mówił... może to była znowu gorączka.

„Aha! gorączka! o wiem ja teraz dobrze jaki on jest... ale on się musi przekonać, musi.

Magdalena zostawiła Katarzynę siedzącą z założonymi rękami, z oczyma wlepionymi w ziemię, na twarzy jej widać było wszystkie namiętności miotające jej duszą, siedziała tak chwil kilka, narazie wstała, i wolnym krokiem nucąc tęskną pieśń o Archorym, poszła z skopkiem do obory, bo słońce już zaszło i krowy z łąki wróciły.

Magdalena zastała syna jeszcze śpiącego; obudził się wkrótce, i zaczął z matką rozmawiać, jak gdyby żadnego między nimi nie było zajścia; nie dla tego żeby unikał drażliwego przedmiotu, bo to podobniejsze byłoby między matką a synem wielkiego świata; ale dla tego, że nie kochał Katarzyny, że mu była zupełnie obojętną, że myśli jego po śnie zupełnie inny wzięły kierunek.

„Dawno byliśta matko we dworze.

„Onegdaj chodziłam po lekarstwo dla ciebie.”

„Musieliśta nagadać naszej dobrodziejce, że ja Bóg wie jak chory, kiedy ona sama przyszła.

„Powiedziałam tak jak było, ale ona odrzekła pójdę sama, bo wy to nie bardzo lubicie brać lekarstwa, gdybym mu sama własną ręką nie dała, nie byłabym pewna że wziął.

„Dobra pocziwa ta nasza pani.

„To nie pani, Józefie, ale anioł w ludzkiem ciele.

„Podobno wiele gości we dworze, czyście ich matko widzieli?

„Nazjeżdżało się tam tego do licha, Bóg wie po co ona ich tak zwozi, jakby nie miała swoich we wsi, a to psiarstwo tylko ją objada, a może potem i obszczeka.

„Co też by kto mógł na nią powiedzieć moja matko? Dobrze że zaprasza gości, bo coby sama jedna na wsi robiła. A potem... taka młoda... chciałoby się pójść i za męża... i pewnie pójdzie nie długo.

„Kogoście tam widzieli we dworze?

„Jest tam jakiś pan co się do każdego wdzięczy i ciągle na łapkach przy swojej żonie służy; drugi jakiś, co znów ciągle nos ma spuszczoney na kwintę, jakby się bał spojrzeć człowiekowi w oczy; i jakaś pani rezolutna co na nikogo nie patrzy.“

„A z kawalerów żaden?

„Widziałam jednego... to musieć konkurent; chodzi ubrany jak gdyby wylazł z pudełka, głowę ma jak szopę, a tak kręci oczami jakby dopiero wyrwał się ze szpitala.

Józef nic na to nie odpowiedział, zadumał się tylko trochę: wiecie co matko, słońce jeszcze dosyć wysoko wróć na łąkę, a jutro pójdziemy oboje i podziękujemy naszej opiekunce, że mnie chorego sama odwiedziła.

„Ej! lepiejbyś siedział już dziś w domu; słońce zachodzi, a ona powiedziała, że najgorzej na febrę być na dworze po zachodzie słońca.

Józef nie słuchając jej mowy wziął kapotę, czapkę i kosę i wyszedł z chałupy.

Do samego zachodu słońca kosił łąkę; ale czy tak osłabiony febrą, że ręce jego mgleją, czy rozmowa z matką o Katarzynie staje mu na myśli,

czy też inne jakie trapią go smutki, dosyć że zaledwie kilka razy machnie kosą, staje zamyślony, nie podnosząc jej z miejsca w którym uwięzła.... albo ostrzy choć nie potrzeba, lub oparty na niej wpatruje się w zachodzące słońce. Nakoniec zaszło, ubrał się w kapotę, którą był z siebie zrzucił, żeby mieć ruchy wolniejsze, kosę przez ramię przewiesił i tak szedł powoli do domu.

Ale droga wypadła koło angielskiego ogrodu pani Adeli. Józef już blisko dwa tygodnie tam nie był; jakżeż nie wstąpić do tego ogrodu, gdzie go coś ciągnie, gdzie każde drzewo jest jego dobrym znajomym, albo przyjacielem? te przy nim sadzono, na wierzchołek tamtej topoli wdzierał się, bo mała Adelecia chciała zobaczyć zblizka jak wygląda gniazdko ptaszka. Jakżeż nie miał wstąpić teraz do ogrodu? Przeskoczył przez parkan i puścił się największą gęstwiną; wyszedł na drogę i chodził długo niepostrzeżony w stronie najodleglejszej od pałacu. Już się dobrze zmierzchno, już miał zamiar wracać, kiedy na zakręcie alei spostrzegł światło w oknach chińskiej altany. Ciekawością zdjęty, zbliżył się, a bojąc się kogo napotkać, zszedł z drogi, i przedzierał się krzakami bzu, jaśminu i berberysu.

#### IV.

Zaledwie Józef opuścił drogę żeby krzakami dojść do altany, kiedy drzwi od niej otworzyły się i wyszła pani Wrońska z mężem.

„Ale dziecko jesteś, mówił błagającym tonem pan Filip.”



„Widziałam, widziałam dobrze jak oczy twoje ciągle ją ścigały.

„Ale mylisz się, ona ciągle prawie rozmawiała z p. Michałem, i bardzo nawet była zajęta tą rozmową, ani spojrzała na mnie.

„Nie prawda — z nim rozmawiała a na ciebie strzelała oczami. O Boże! co to za panny, myślałby kto, że to niewiniątko.

„Przysięgam ci kochanie, że się mylisz — to mówiąc p. Filip poprawiał z uśmiechem kamizelkę i fontaż od chustki.

„Jeżeli nie zmienisz twego postępowania Filipie, jutro zaraz odjeżdżamy.

„Jak ci się podoba moje serce, ale przysięgam ci raz jeszcze... Tak rozmawiając o łokcie od siebie rozdzieleni państwo Wronóscy zniknęli w ciemnej alei; ale już w jak najlepszej harmonii stanęli przed gankiem. Za nimi wyszła z altany pani M. Michał pod rękę ją prowadził; rozmowa toczyła się o wyższość szkoły niemieckiej nad włoskimi kompozytorami. Pani M. pod niebiosy wynosiła Belliniego melodye, Michał zachwycił się nad Betowenem, Mozartem i Mendelsolhnem, ale wciąż odwracał się i spoglądał za siebie. Biedny spostrzegł tylko panią M. idącą pod rękę z Helunią uszczęśliwioną, bo przy herbacie siedziała obok Michała, który jej kilka zdawkowych powiedział grzeczności, a ona nie przywykła do zwyczajów salonowych, wzięła je za prawdy z serca płynące.

Kto kochał i nie miał pewności, że jest kochanym łatwo sobie wyobrazi co się działo w sercu Michała, kiedy raz i drugi obejrzał się i nie widział Adeli i Alfreda. Krew mu uderzyła do głowy, to znowu wszystko do serca się zbiegła, a tu na do-

miar nieszczęścia trzeba słuchać pani M., żeby jej nie obrazić roztargnieniem. Nakoniec odetchnął... bo w parę minut, które mu się rokiem wydawały, ujrzał ich idących jedno obok drugiego, w niejakię odległości, nie obejrzał się już potem ani razu.

Alfred nie kochał Adeli, ale kochał się w niej od pół blisko roku, poznał ją na wieczorze literackim u p. Malickiej, gdzie z pamięci mówił wiersz swój: Wspomnienie;—ona prosiła go o przepisanie, a on zaraz nazajutrz przeniesione własną ręką na różowy pachniący papier wspomnienie, sam odniósł do jej mieszkania. Odtąd co raz częściej bywał w jej domu, czytywał jej własne i cudze poezye, pomału głowa jego zapalała się dla młodej wdowy, i kiedy Adela zaprosiła go wraz z p. Malicką, do Małopola z uniesieniem to przyjęła.

Adela lubiła jego towarzystwo bo był człowiekiem wykształconym i dobrze wychowanym, a nadewszystko, że widziała w nim miłość dla siebie, a chociaż jej niepodzielała, choć serce jej dla niego milczało zupełnie, cóż to jej szkodziło widzieć się przedmiotem ubóstwienia. To tak miło... tak błogo mieć obok siebie istotę, która nas uwielbia, dla której jesteśmy wszystkim. Mało bardzo jest kobiet, które wezmą Adeli za złe, że się tak bawiła Alfredem, bo to teraz weszło w nasze obyczaje.

Adela przekonana o miłości Alfreda, unikała wszelkiego z nim sam-na-sam, bo przeczuwała, iż nie omieszka korzystać i o uczuciach swych mówić będzie. Od czasu pobytu jego na wsi, nigdy jej samęj spotkać nie mógł; dla tego teraz, gdy przypadkiem ujrzał się przy niej sam jeden w altanie, rozdrażniony gwałtem jaki sobie od dawna zadawać musiał, jej zalotnością dla Michała, może

rozmarzony kilka kieliszkami szampana, które wychylił przed chwilą, przystąpił szybko właśnie, kiedy już stała na progu i porywając ją za rękę drżący wyrzekł stłumionym głosem:

„Pani tu zostaniesz!

„Co się to znaczy! zawołała zmieszana i zbladła.

„Muszę z panią choć chwilę bez świadków pomówić, żeby ci dać poznać, co się w mem sercu dzieje.

„Ja pana nie rozumiem, to rzekłszy wyrwała rękę, którą on konwulsyjnie ścisnął — i wybiegła z altany.

„Nie rozumiesz mnie pani? mówił dalej Alfred z namiętnością, idąc tuż przy jej boku, nie rozumiesz, że ja cię kocham, że ja cię ubóstwiam, że przy tobie tylko oddycham i żyję, bez ciebie jestem jak kwiat bez słońca, jak trawa bez deszczu, ulituj się nademną, powiedz choć jedno słowo po ciechy.

„Nie pojmuję czem mogłam pana ośmielić do takiej mowy do takiego postępowania — i spojrzała na niego tak, jakby go pierwszy raz w życiu widziała.

„Adelo! na miłość Boską, nie mów do mnie tym tonem, nie patrz na mnie takimi oczyma. Cóż znaczyły twoje przyjmowania mnie w Warszawie, twoje spojrzenia, twój rumieniec, ile razy wchodziłem w towarzystwo?

„Proszę z większym mówić do mnie uszanowaniem, nie dałam panu prawa do tój poufałości, to co mówisz było płodem twojéj imaginacyi, albo zwyczajną, prostą grzecznością, za którą teraz srode jestem ukarana.

„O mój Boże, Adelo!... Pani... ja cię obraziłem, ale nie jestem panem samego siebie, oddalę się na

wieki jeżeli każesz, pozwól mi tylko raz jeden przycisnąć cię do mojego serca — to rzekłszy zbliżył się do niej szybko, i już miał ręką otoczyć jej kibić, kiedy Adela krzyknęła lekko z przestachu, i w tejże chwili Alfred tak silnie uczuł się pochwycony za kołnierz i podniesiony w górę, iż mu się zdawało, że go szatan porywa i wlecze do piekła na rozkaz oburzonej Adeli.

Nie był to szatan ale Józef, który widząc państwa Wrońskich wychodzących z altany zatrzymał się w krzakach, czekał aż wyjdzie jego mleczna siostra, a potem szedł za nią i Alfredem niepostrzeżony aż do chwili, kiedy Adela krzyknęła. Twarz Józefa wyrażała oburzenie i wściekłość; na jedno skinienie Adeli byłby rzucił Alfredem o ziemię jak piłką, ale ona poznawszy swojego wybawcę i ochłonawszy z przerażenia, jakie na niej scena z Alfredem sprawiła, zawołała:

„To ty Józefie! dziękuję ci, dziękuję, i podała mu rękę do pocałowania. Józef jedną ręką przycisnął do ust podaną sobie dłoń, drugą trzymał ciągle Alfreda za kołnierz.

„Co pani rozkaże zrobić z tym paniczem? czy mam go wyrzucić za parkan? czy rozciągnąć i dać z kilkadziesiąt batów?

„Ani jedno, ani drugie mój Józefie, puść pana natychmiast, i pamiętaj nie mówić nikomu ani słowa o tém co tu zaszło.

Józef zdziwił się nadzwyczajnie usłyszawszy tak łagodny wyrok; w jego głowie nie mogło się pomieścić, żeby po takiej obrazie nie ukarać zuchwalcą, i czuć się obok niego bezpieczną.

Ale wola pani była prawem dla niego, puścił struchlałego Alfreda i sam przystąpiwszy do Adeli

skłonił się do jej nóg raz jeszcze, pocałował w rękę i zniknął w krzakach.

Łatwo wyobrazić sobie jaki był stan wewnętrzny Alfreda po tej katastrofie. Doznać takiego wstydu, takiego upokorzenia wobec kobiety, którą ubóstwiał; chciał by się był schować pod ziemię. Adela tyle miała z początku litości, że na niego nie patrzyła, ale ciekawość przemogła, spojrzała, i kiedy ujrzała jego twarz bladą, spuszczone oczy, pochyłą głowę, a na domiar spostrzegła kołnierz orderwany od tużurka i spadający na piersi, głośnym parsknęła śmiechem i długo przyjsć do siebie nie mogła. Śmiech ten zadecydował o miłości Alfreda, w mgnieniu oka uczuł się od niej wyzwolonym, nie przeproszał Adeli, nie tłumaczył się,— w milczeniu szedł obok niej do pałacu, udał się do swego pokoju, zmienił nieszczęśliwy surdut, wrócił potem do salonu i zjadł wieczerzę, w czasie której oświadczył, iż list otrzymany zmusza go jak najprędzej wracać do Warszawy. Nazajutrz o wschodzie słońca konie p. Adeli odstawiły go do Białobrzeg, z kąd extrapocztą udał się do Warszawy.

Po odjeździe Alfreda, Michał został sam jeden na placu boju, i odwiedziny jego w Małopoli, stawały się coraz częstsze, i coraz miłej był przez Adelę przyjmowany, ale jeżeli z natury zalotna wdowa bawiła się jedynie prawdziwą miłością wiejskiego szlachcica, to wychowanka jej Helunia coraz żywiej się nim zajmowała, miłość jej z każdym dniem głębiej w niewinne wrastała serce, co nieuszło uwagi opiekunki. Ażeby kochać prawdziwie trzeba mieć niewinne i proste serce, trzeba być cnotliwym. I jeżeli prawda co powiedział Cicero: Że przyjaźń prawdziwa tylko między prawdziwymi sercami powstać

może, to tém mniej nie ulega wątpliwości, że miłość, ta starsza przyjaźni siostrzyca, występnego, próżnego nie zamieszka serca.

W naszém pokoleniu tak mało miłości — bo mało cnoty.

Helunia nie miała majątku; rodzice jój, właściciele małej wioseczki odumarli ją kiedy miała lat 6, i matka Adeli wzięła ją na wychowanie. Po jój śmierci, opieka nad sierotą przeszła na Adelę, która edukacyą jój powierzyła pieczołowitości PP. Sakramentek. Nie mając posagu tylko tyle, ile się podoba Adeli jój wyznaczyć, Helunia nie mogła jak to mówią patrzeć wysoko, i p. Michał był dla niej dobrą partyą, ale Michał silniej niż kiedykolwiek kochał Adelę, tém silniej, że w niej od niejakiego czasu spostrzegł zmianę. Zdawało mu się, że milój go wita, czulój żegna, że spojrzenia jój tkliwsze, w głosie więćć miękkości; że kiedy on gra na skrzypcach, a ona mu na fortepianie towarzyszy, dusze ich lepiej jak dawniej pojmują myśli autora; słowem zdawało mu się, że potęga jego miłości magnetycznie opanowała jój serce, i błogie duszą jego kołysały marzenia. I zupełnie był w błędzie, bo chociaż serce Adeli dalekiem było od podzielania uczuć Michała, jednakże odkąd domyślała się miłości swojej wychowawicy, miłość Michała nabrała dla niej ceny, stała się potrzebą jój miłości własnej.

Nie uszło i uwagi Michała zajęcie się nim pięknej dziewczyny, ale tak moeno zajmowała go miłość Adeli, szczególnie od chwili jak korzystną w niej dla siebie upatrył zmianę, że się nad tem nie zastanawiał, i okazywał jój tylko zwykłą grzeczność należną osobie młodej, ukształconej, i wychowawicy gospodyni domu.

## V.

Podczas kiedy we dworze miłość w tak różny sposób gra w sercach wykształconych wychowaniem nauką: co robi wdowa Katarzyna? Krzepiona w swęj nadziei przez matkę Józefa i wewnętrzną utrzymywana myślą tyle że nie oddawała się rozpaczy; przychodziła do chaty Józefa tylko wówczas kiedy go w domu nie było; zszedłszy się z nim, niemówiła do niego ani słowa, ale przeszkody te do najwyższego stopnia rozdrażniły ognistą jej miłość. Całe dnie trawiła na kamiennęj przed chałupą ławie, żeby go choć zdaleka zobaczyć jak wracał z roboty lub z karczmy, a kiedy się już zbliżał i koło chaty miał przechodzić, kryła się czempredzej do sionki, i przez szparę od drzwi na niego patrzyła. Gospodarstwo zaniedbała zupełnie, ani do obory ani do gumna nie zajrzy; dawniej bywało wstaje o świcie, budzi parobka i dziewczynę, wysyła jedno tu, drugie tam, sama się zajmie porządkami w chacie. Teraz wstaje kiedy już słońce na niebie wysoko; w noey oka nie zmruży; rano o nim tylko myśli.

Józef także się odmienił, od niejakiego czasu jakiś nie wesoły; robota mu idzie nie sporo, ile razy zacznie jaką piosneczkę, to w połowie ucina i często tak zaklnie, chociaż mu nikt nie złego nie zrobił, że aż strach bierze. Magdalena się martwi bo nie wie co się stało z jej synem i skądżeby wiedzieć mogła, kiedy on sam nie wie dla czego jest taki; „co tobie mój Józefku, tak się zmieniłeś?

„Nie wiem matulu, ale cały świat mi obrzydł, nie mi się nie chce, tyłkobym próżnował a próżnował.

„Oj nie chcesz mię słuchać, tobie trzeba się żenić, zobaczysz jaki ty będziesz szczęśliwy.

„Dajcie mi pokój matko — i wyszedł zaraz z chałupy.

Przez cały czas pobytu Adeli w Małopolu, matka i syn chodzili na cały dzień do dworu, gdzie jedli obiad w kuchni razem z dworską czeladzią.

Kiedy Magdalena spostrzegła, że syn jej coraz smutniejszy, mizerniejszy i o małżeństwie słuchać nie chce, ukartowała plan, który miała w nadechodzącą niedzielę przywieść do skutku.

Właśnie dwór Małopola napelniony był gośćmi obojej płci z Warszawy i okolic, kilku Warszawskich elegantów, przyjechało w cztery pocztowe konie oddać wizytę młodej majątniej wdowie.

Dzień był pogodny i jasny. Po obiedzie całe towarzystwo wyszło na obszerny ganek osłonięty markizą, gdzie mężczyźni pili czarną kawę, a kobiety śmiały się, żartowały, bawiły.

Magdalena wyszła z kuchni tak, że syn nie spostrzegł kiedy, i w pokornej postawie zbliżyła się pod ganek.

Jak ją tylko spostrzegła Adela, wybiegła naprzeciw niej.

„Jak sie masz Magdaleno, dobrze żeś tu przyszła, widzisz co tu ładnych pań przyjechało dziś do mnie, pójdz, przypatrz się jak ładnie ubrane. — Rekomenduję państwu moją mameczkę. — W tej chwili otoczyło Magdalenę całe towarzystwo, tak, iż się zmieszala biedna kobiecina.

„Ja chciałam prosić Wielmożnej Pani o jedną łaskę.

„No co takiego, mów — wszystkie oczy zwróciły się ciekawie na Magdalenę.

„Ja jestem bardzo nieszczęśliwa proszę pani. —



Mój chłopak tak mi sehnje, że aż serce boli patrzeć— i zaczęła szlochać i łyzy fartuchem obcierać.

„Cóż to, czy znówu wróciła się febra, czemuż mi zaraz nie doniosłaś?— ale zdaje mi się, że wczoraj widziałam go na podwórzu.

„Oj to nie febra proszę łaski pani, oto jemu żony potrzeba, chłopak się napracuje cały dzień, a wieczór nie ma kto i popieścić, — dopóki ja żyję to jeszcze pół biedy, ale jak mnie nie stanie, to on sobie rady już nie da! — i znówu gorzko płakać zaczęła.

„A czemuż go nie ożenisz Magdaleno, przecież dzieweząt dużo we wsi i ładne, a twój Józef zamożny, żadna by mu nie odmówiła.

„Toć ja jemu to ciągle powtarzam, ale moje słowa to groch na ścianę, ani chce słuchać, gniewa się na mnie i sroży.

„Czegóż więc chcesz odemnie?” zapytała Adela i spojrzała z uśmiechem na otaczające grono, podczas gdy Magdalena kręciła koniec od fartucha prawą ręką a lewą w głowę się drapała: „co ja temu poradzę.” dodała po chwili.

Magdalena rzuciła się jej do nóg i przyciskając do piersi jej kolana, mówiła:

„Niech W. Pani jemu co powie, mnie nie słucha, ale co tylko mu W. Pani, nasza opiekunka rozkaże, to wypełni jak przykazanie boskie.

Uśmiechnęła się znów Adela.

„No, to przyprowadź że twojego syna, może potrafimy go skłonić.

Uszczęśliwiona Magdalena pobiegła do kuchni, a na ganku młodzież Warszawska cieszyła się, że będzie mieć przedstawioną tak oryginalną scenę; wkrótce wróciła Magdalena z Józefem, któremu nic o rozmowie z Adelą nie powiedziała, — „Józefku, pani

cię woła, rzekła wbiegając do kuchni. Józef skoczył z miejsca i bez czapki za nią pospieszył.

Kiedy stanęli przed gankiem, zmieszał się prosty chłopiec widokiem tylu osób, których uwaga na niego się zwróciła, ale wnet oczy jego znalazły Adelę. Wystąpiwszy na brzeg ganku, zapytała go łagodnie:

„Jak się masz Józefie, czemuż to tak rzadko pokazujesz się we dworze.

„Roboty było dużo w polu W. Pani, i nie byłem potrzebny we dworze.

„Jakże się masz teraz Józefie?

„Dobrze z łaski Boga i W. Pani jestem zupełnie zdrow.

„A jednak jesteś mizerny, czy cię co jeszcze boli?

„Nie! odrzekł wpatrując się w ziemię.

„Kiedyż Józefie zaprosisz mnie na twoje wesela?

Józef spojrział na nią zdziwiony, potem się zamyślił i nie odpowiedział.

„Cóż? nie nie odpowiadasz, przecież musisz się ożenić, już czas?

„Nic pilnego proszę W. Pani.

„On chce czekać, aż ja umrę, przerwała Magdalena.

Józef odwrócił się i spojrział na matkę z takim wyrazem gniewu i wyrzutu, że aż zadrżała, i na parę kroków odstąpiła, domyślił się całego wybiegu matki: ale ona przedsięwzięła stoczyć z nim stanowczą bitwę! i nie ustąpiła z placu.

„Jaka też dziewczyna we wsi najlepiej ci się podobala? spytała Adela.

Józef podniósł głowę, wlepił w nią swe duże niebieskie oczy i odpowiedział:

„Żadna.

Szmer powstał w towarzystwie.

„Un beau garçon! odezwała się jedna z nowoprzybyłych dam—„quel front!“ zawołała druga— „quel regard“! szepnęła trzecia.

„To być nie może, tyle jest pięknych dziewcząt w Małopolu!

„Nie to piękne co piękne, ale to co się komu podoba.

„Każda poszłaby chętnie za ciebie.

„Bo im się chce iść za mąż.

„C'est tout-à-fait comme chez nous”—odezwał się jeden z gości.

„Więc myślisz, żeś się żadnej nie podobał?

„A juści, tak myślę.

„Niech mu W. Pani nie wierzy, choć to nie mój sekret, ale dla W. Pani, która jest naszą matką i opiekunką nie ma tajemnicy, żeby tylko chciał, dziś jeszcze wdowa Katarzyna poszłaby za niego.

„Czy to prawda?

„Może, żeby za mnie i poszła, ale ja bym się z nią nie ożenił.

„A dla czego?

„Bo ja jęj nie lubię.

„Ale czemu jęj nie lubisz, przystojna, młoda, bogata.

„Niech tam sobie będzie Bóg wie jak bogata, ja jęj nie chcę.

„Ce n'est pas comme nou” — odezwał się drugi głos męzki.

„Żeby W. Pani wiedziała jak ona go kocha, i to już od tak dawna.

„Co wy tam matko gadacie, kocha, nie kocha; skąd to możeta wiedzieć; że ona tak wam nabajała: podobała się jęj moja chałupa i moja rola, i chciałaby się za mąż wydać.

„Alboż ona nie ma sama porządnego gospodarstwa? zagadnęła go Adela, żeby się na twoje łakomić. Józef podrapał się w głowę bo argument był trudny do zbiccia, ale po chwili namysłu odpowiedział:

„Ona ma brata w Promny, służy za parobka we dworze, toby go zaraz sprowadziła i oddała mu swoje gospodarstwo.

Tu znowu Adela nie miała nic do powiedzenia — odwróciła się do gości, i zaczęli rozmawiać po francuzku, dziwiąc się, że między wieśniakami takie same znajdują uczucia, wątpliwości, podejrzania, jak w wyższym towarzystwie.

„Mnie się zdaje Józefie że ty się przekonasz do Katarzyny; jak się ożenisz, wyprawię ci wesele we dworze, i dodam parę wołów i krowę do gospodarstwa.

Sklonił się Józef bardzo nisko, ale nie odpowiedział. Magdalena rzuciła się znów z płaczem do nóg dziedziczki, i odeszła wraz z synem. W drodze Józef czynił jej ostre wyrzuty:

„Oto wzięliśta się na sposób, poszliśta na skargę, ale wam się to nie uda. Ja nie dzieciuch, ona myśli dla tego, że nam dała gospodarstwo, to już jej wolno wszystkim rządzić. Oho! nic z tego.

Tego samego wieczora Katarzyna dowiedziała się od Magdaleny o całej z dziedziczką rozmowie, — nie odpowiedziała, ale tak zgrzytnęła, że Magdalena zapytała przerażona:

„Co wam takiego Katarzyno.?

„Nic... odrzekła, a usta jej szeptały: on myśli, że ja chcę jego chałupy, jego chudoby... .

## VI.

Był to już początek miesiąca Września — żniwa się pokończyły: już P. Adela dostała więce pszenicy i żyta i zawiesiła je w sieni obok zeszłorocznych. Już rżyska zapełniły się stadami, bo wiejska dziatwa wybierała pozostałe kłosa, już i chłopskie gumna napełniły się zbiorami, które jednak rzadko któremu do przyszłych zbiorów wystarczają; a przednowek, ta okropna mara, ten potwór co rok tysiące ofiar chłonący, przyjdzie jak zwykle z wiosną, upomnieć się o należną sobie daninę łez i rozpaczy.

Józef przy pomocy parobka zebrał z pola zboże i zwiózł do stodoły, o kilkanaście kroków od chałupy stojącej.

Wróciwszy od Katarzyny matka zastała Józefa siedzącego na ławie przed stołem z głową na rękach opartą.

Nie odezwała się do niego wcale, ale rozebrawszy się układła się na łóżku. W kwadrans i Józef udał się na spoczynek. We dworze zaczęła się dopiero w najlepsze zabawa.

Po herbacie jeden z przybyłych z Warszawy gości usiadł do fortepianu i grał najnowszą polkę, która zelektryzowała całe towarzystwo i w ruch mierzony wprawiała. Jeszcze przed wieczorem nadjechał Michał, a znajdując tak liczne grono Warszawskich elegantów zmieszał się i niezgrabnie ukłonił damom. Zaledwie słów parę przemówił do Adeli z mniejszą jak zwykle słuchającą go uwagą, i zachmurzony usiadł obok Heluni. — Wkrótce skromność, prostota i dowcip jej naturalny rozmarszczyły nieco jego czoło, ale

choć szczebiotanie jój mówiło do jego ucha, zajmowało jego umysł; serce, a z niem oczy sięgały każde poruszenie Adeli.

„Po polce zaczęto kantradansa, Michał zbliżył się nie śmiało do Adeli:

„Czy mogę pani służyć do kontradansa.

„Bardzo chętnie, myślałam, że już weale pan dziś ze mną tańczyć nie raczysz.

„Tak pani byłaś otoczona, iż prawdziwie zdziwiony jestem, że dotąd nie zabrano mi tego tańca.

„Nie zabrano, bom go dla pana zostawiła: i z uśmiechem podała mu rękę.

Michał z promieniejącą twarzą stanął na-przeciw Heluni, która z oka go nie spuszczała.

Właśnie rozpoczynano trzecią figurę, kiedy straszny blask oblał szyby salonu; wszyscy zbiegli się do okien. Pali się! pali! rozległ się w koło krzyk przeraźliwy. Damy zaczęły mgleć, mężczyźni wybiegli na ganek—istotnie pożar we wsi i to niedaleko dworu. Cała ludność mężka uzbrojona w kownyki, cebry i haki, spieszy do ognia — przy damach zostali tylko: p. Malicki i p. Wroński, którym żony odejść nie pozwoliły. Adela pomimo nalegań i przedstawień porwawszy chustkę na głowę, pobięła także na miejsce pożaru, żeby zachęcać do gaszenia.

To stodoła Józefa się pali! stoi jak słup ognisty wśród nocy! — szczęściem że oddalona od chałupy i obory — większe szczęście, że wiatr od strony wsi, boby cała wioska splotęła.

Magdalena i Józef ze snu zbudzeni, zrywają się, wybiegają z chaty, i widzą swój dobytek w płomieniach; ona załamuje ręce, krzyczy, płacze i zawodzi, — on spokojnie z założonemi rękami patrzy na utratę zbioru i dziękuje Bogu, że choć resztę

jego mienia zachowa. — Okropna to rzecz pożar!, kiedy pomoc ludzka na nie się przydać nie może; kiedy się tylko patrzeć musi jak szalejący żywioł, rozrywa, pożera i trawi naszą pracę!

Z pięknej stodoły napełnionej bogatym plonem, zostały w dwie godziny dymiące się słupy. Adela wraz z gośćmi wróciła do pałacu, nie usiłując nawet pocieszać strapionej Magdaleny, wkrótce nieusposobieni do zabawy goście rozeszli się, zając przeznaczone dla siebie sypialne komnaty.

Biedna Magdalena! długo chodziła jeszcze przypatrując się dymiącym zgliszczom; byłaby tam stała do rana, oplakując zniszczenie swojej i swojego syna pracy, ale Józef przystąpił do niej.

„Pójdźcie matko, to się już nie wróci.

„Cóż ty zrobisz Józefie, nie zostało ci nawet czém pola zasiać.

„Dobrzy ludzie nie dadzą umrzeć z głodu, — ale skąd się wziął ogień do stodoły — musiał mnie ktoś podpalić.

„Ktoby nas chciał palić, pewno parobek ślaniał się tam z fajką, albo chłopaki wracając z pola ogień zapruszyli... o mój Boże! mój Boże! znów gorzko zapłakała. Co my teraz poczniemy biedne sieroty... pójdę jutro do dziedziczki...

„Matko! jeżeli choć sropek od dziedziczki weźmieta... ja ucieknę z domu... radźta sobie same...

„Co się tobie dzieje Józefie, do kogoż pójdę, jeżeli nie do dziedziczki...

„Nie turbujta się, w tém moja głowa. Bartłomiej mi pożyczty; on ma więcej niż mu potrzeba... Ja mu trochę odrobę, a trochę zapłacę, już i tak tyle dłużni jesteśmy dziedzicze.

„Alboż to ona nie nasza matka... alboż ja jęj nie wykarmiłam mojemu piersiami...

„Mówię wam matko, że ucieknę od was, jeżeli przyjmiecie od dziedziczki zapomogę... powiedzta, że się nam wszystko nie spaliło, że połowa złożona w sąsiedku przy oborze, powiedzta co wam się podoba...

Tak rozmawiając wrócili do chaty, i położyli się spać... Magdalena ani oka nie zmróżyła. Józef także... chociaż oboje niezupełnie z tych samych powodów.

Nazajutrz słońce tylko się ukazało na niebie, weszła Katarzyna, i z płaczem rzuciła się do nóg Magdaleny.

„Magdaleno spaliła się wam stodoła... ja się z wami podzielę. Pan Bóg poszczęścił nam tego roku, dobry był urodzaj;... nieprawda Magdaleno, że nie pójdziała do nikogo innego? Wszak wy z moją matką byliście jak siostry rodzone! nieprawda Józefie, że weźmieta odemnie tyle ile wam będzie potrzeba? to rzekłszy spojrzała na niego z pomieszaniem i obawą. Józef który dotąd czuł obojętność dla Katarzyny, kiedy ją ujrzał wchodzącą do chałupy, poczuł dla niej wstręt nieprzewyciężony — zdawało mu się, że ona przychodzi natrząsać się z ich nieszczęścia, litować się nad ich losem — sam zresztą sprawy sobie zdać nie umiał, dla czego widok Katarzyny, przejął go jakby oburzeniem i trwogą.

Spojrzał więc na nią z gniewem i odpowiedział:

„Schowajcie sobie wasze zboże, my się obejdzimy bez czyjej łaski, — i niespojrzawszy nawet na nią, wziął czapkę i wyszedł z chałupy.

Katarzyna obróciła się do Magdaleny i głosem od płaczu przerywanym, mówiła:

„;Powiedźcie mi Magdaleno... co ja jemu złego zrobiłam?... czemu on mnie tak nienawidzi?... ja dla niego i duszę bym oddała, a on mnie dobrego słowa dać nie chce...



„Przebaczcie mu Katarzyno... on taki zmartwiony.., straciliśmy cały nasz zbiór tegoroczny, sama nie wiem jak sobie poradzimy...

„To choć wy weźta odemnie, i powiedzta mu, że to od dziedziczki...

„Kiedy on i od dziedziczki nie chce, powiada, że sobie sam poradzi, niech mu Pan Bóg dopomaga... A wy Katarzyno nie gniewajta się na niego... on nie wiedział co gadał... ale on dobrego serca...

„Oj! gdyby on wiedział jak ja go Kocham... zawołała Katarzyna głosem bóleści i rozpaczy, to by pewno lepszy był dla mnie... to rzekłszy, konwulsyjnie uścisnęła Magdalenę i wybiegła z chaty.

## VII.

O godzinie 1-ej po półnoey, Michał, który się czynnie do ugaszenia pożaru przyłożył, podczas, gdy Warszawska młodzież roztropne chłopom udzielała rady, o godzinie 1-ej po półnoey pożegnał Adelę i towarzystwo, udając się z powrotem do swojej wioski.

Przez drogę lube marzenia kołysały jego duszę. Nigdy jeszcze nie był tak rad z siebie, z Adeli. — Prawda, myślał: że z początku jakby niezwracała na mnie uwagi; ale jakżeż wyraźnie dała mi do zrozumienia zachowanym dla mnie tańcem, że nie jestem jej obojętny; jak tklawie prosiła mnie żebym się nie narażał przy ogniu, jak troskliwie badała, czym się nie oparzył, — i utonął w rokosznych na-

dziejach. Czemuż by nie mogła zostać moją, bogata wprawdzie, ale czyliż nie wierzy, że ja dla niej, dla niej samą ją kocham; urodzenie jej nie szlacheckie nawet, a chociaż małżeństwo postawiło ją w wyższej sferze, czyż nie zechce zstąpić do tego który ją ubóstwia, który jej wszystkie dni życia swojego poświęci?

Dosyć już tej niepewności, tego wahania, — raz trzeba los mój rozstrzygnąć — i tak usta moje nie powiedzą jej nic takiego, czegoby jej oczy moje, dawno nie powiedziały.

W takich myślach zajechał do domu i resztę nocy przemarzył.

W cztery dni potem, wczasie których nie mógł się wiać do niczego, ani do Sfinxa, którego już połowę przeczytał, ani do skrzypców od których nie spodziewał się miłszej melodyi nad tę co grała w jego duszy, — postanowił udać się do Małopola, żeby wyrok o swoim losie usłyszeć.

Rzucił się w najtyczankę, sam powoził i tak bił nieszczęśliwą czwórkę nieprzywykłą do takiego obchodzenia, że w szalonym pędzie w godzinę zaniosta go przed Angielski pałacyk.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy spostrzegł zamknięte okienice. Zeskoczył zmieszany w obawie czy nie chora, wziął za klamkę od drzwi do sieni prowadzących, ale drzwi nie ustąpiły; z kuchni wyszła do niego stara gospodyni, w której ręku przez całą jesień i zimę zostawał zarząd Małopolskiego dworu, i oświadczyła, że dwa dni temu p. Karnecka odjechała z gośćmi do Warszawy, i że zapewne już nie wróci, bo kazała wywieźć z Małopola wszystkie meble i sprzęty, jakie z sobą na lato z Warszawy zabiera.

Skłoniła się potem gospodyni i chciała odejść.

Michał zatrzymał ją. Piorun niespodzianie obok niego bijący nie był by go tak przeraził jak ta wiadomość. Wszystkie myśli jego się zmąciły, sam nie wiedział co mówić, o co się pytać, nakoniec nie zastanowiwszy się nad znaczeniem słów swoich, zapytał:

„I nic do mnie niemówiła?”

Gospodyni spojrzała na niego zdziwiona. „Nie” odpowiedziała i odeszła.

Długo stał Michał na jednym miejscu z oczyma wlepionemi we drzwi, jakby się spodziewał, że lada chwila się otworzą i on ujrzy tę, dla której wszystko gotów poświęcić, ale napróżno, drzwi się nie otwierały i Michał z rozpaczą w sercu usiadł w najtyczankę i udał się z powrotem do domu.

Jakże różne były terazniejsze jego myśli; — na-przód gniew, oburzenie, opanowały jego duszę, więc ona mnie zwodziła, więc się mną bawiła tylko, drwiła z moich uczuć! Tyle jej nawet nie obchodzę, że mi nie dała do zrozumienia, iż ją widzę raz ostatni. O to okropnie! tak się zawieść; — zwolna myśli te ustępowały innym bardziej pocieszającym, a niemniej naturalnym. A jeżeli nieprzewidziane jakie zdarzenie zmusiło ją wracać do Warszawy; jeżeli żegnając mnie, sama nie wiedziała że to raz ostatni; kto wie ile ją to kosztowało, że mnie zostawi w tak dręczącej niepewności; bo przecież pisać do mnie nie mogła. O! nie! nie! ona mnie nie zwodzi, ona mnie kocha!

W takim usposobieniu stanął przed gankiem swojego domu. Zaraz nazajutrz przedsięwziął jechać do Warszawy i tego samego dnia oświadczyć uroczyście Adeli swą miłość.

Zostawmy go jak czyni przygotowania do po-

droży, jak się gniewa na Jakóba, że mu gniecie frak i kamizelki, a sami udajmy się za Adela do Warszawy. Pod pewnym względem domysły Michała były prawdziwe, gdyż Adela nie miała jeszcze zamiaru opuszczać Małopola; ale na drugi dzień po spaleniu się stodoły Józefa, odebrała list z Warszawy, że brat z Berlina powrócił i niebezpiecznie chory. Píše jej w liście hr. Felix, którego już znamy, że obecność jej jest konieczną, że Stanisław zostaje sam, bez kobiecych starań; że niebezpiecznie chory, lecz że doktorzy nie tracą nadziei. Adela u której przywiązanie do brata było może jedynem prawdziwym uczuciem, w dwie godziny po odebraniu tego listu była już w karecie z smutną Helunią i państwem Wronskimi... Państwo M. siedli do koczka, i tak dwór Małopolski został znówu opuszczony, samotny, na dwie najdłuższe pory roku, aż dopóki wiosna wraz z skowronkiem i jaskółką nie sprowadzi doń znów Adeli i Warszawskich gości. Koczkiem powoził stary Wojciech, na koźle od karety usiadł Józef w którego umiejętności trzymania koni, Adela pokładała nieograniczoną ufność, zwłaszcza że kareta zaprzężona była w cztery konie po Krakowsku, a Józef w takiej jeździe celował. Józef pożegnał matkę, polecił, ażeby przy pomocy parobka zwiozła pożyczone u Bartłomieja zboże i złożyła w oborze w sąsięku; przywdział Krakowską ferczyą ze szerokim czerwonym kołnierzem wyszywanym mosiężnymi kółczkami, i wyłożył biały jak śnieg kołnierz od koszuli, przepasał się pasem rzemiennym, u którego brzękały wielkie i małe mosiężne kółka, dał z paków ognia tak, że aż echo we wsi mu odpowiedziało, i kareta a za nią koczek wartko się potoczyły ku Warszawie.

## VIII.

Hr. Felix złożył chorego w mieszkaniu przy ulicy Długiej i na krok go nie odstępował, dwóch doktorów po dwa razy go na dzień odwiedzało. — Z początku nie poznał Adeli, nakoniec nastąpiło przesilenie i szybkim krokiem przychodzić zaczął do zdrowia. Hr. Felix stał się codziennym i całodziennym gościem w domu Adeli, gdyż słabość, jeszcze silniejszym węzłem połączyła go z bratem pięknej wdowy. Hr. Felix był jednym z tych ludzi uprzywilejowanych wielkiego świata, którzy nie posiadając żadnego majątku, z bardzo miernym rozumem, jeszcze mniejszą nauką, z szczupłą dozą dowcipu, był powszechnie lubiony; młodzież starała się o jego względy i pochwały, damy uradowane były, kiedy się zbliżał do której; przy poważnej rozmowie milczał, lub drzémał, wcale sobie nie zadając gwałtu; w lekkiej konwersacji, śmiał się ze wszystkiego, z rozumnych, głupich, z biednych, bogatych, z arystokratów, z plebejuszów, słowem z wszystkiego. Ciągłe podróżując, kosmopolita w całym znaczeniu tego wyrazu przywiózł z sobą masę wiadomości które go za granicą nie kosztowały, a które u nas bardzo korzystnie sprzedawał. Ale jakim sposobem hrabia nie mając żadnego majątku, bo ten, który mu rodzice zostawili puścił w przeciągu kilku lat — jakim sposobem pan hrabia podróżuje, staje w najpierwszych hotelach w Warszawie, jakim sposobem ubiera się najwytworniej, jada u Hertego obiady z truflami i szampanem, żadnego

widowiska nie opuszcza i, ma się rozumieć, zawsze w pierwszym rzędzie krzesel poziewa. Jakim tego wszystkiego dokazać jest w stanie cudem? przyznając, że tajemnica ta grubą dla mnie okryta zasłoną—uderzając się pokornie w piersi powiadam: nie wiem, nie mam najmniejszego o tém wyobrażenia;— ale tak jest, tak bardzo wielu żyje — jest to fakt, a przed faktem wszelkie wątpliwości, ustąpić muszą. Brat Adeli przyszedłszy do zdrowia zajął mieszkanie na pierwszym piętrze obok Adeli.

Był to jego własny dom, który wraz z dwukroć stutysiącami summ hipotecznych dostał mu się w spadku po ojcu. Ile razy pan hrabia go odwiedza, a odwiedza go co-dzień i to parę razy, prowadzi go do siostry. Tam albo zastaje jaką wizytę i lekką, dowcipną prowadzą rozmowę, która się nie raz do północy przeciąga, albo jadą razem do Łazienek, Królikarni lub Willanowa, albo idą do Teatru zachwycać się nad czuciem Dobrskiego i lekkością Turczynowiczowej. Dostyc że pan hrabia jest nieodstępny Adeli towarzyszem. Podczas kiedy wszyscy z zajęciem go słuchają, lub śmieją z jego dowcipów, złośliwych uwag, Helunia pogrążona w dumaniach, zupełnie o czém innem marzy. Myśl jej błąka się po aleach Małopolskiego parku, gdzie z rzuconych łabędziowi okruszyn przyszłość swoją wróżyła, gdzie zbierała kwiaty do bukietu, — gdzie z Michałem rzadkie ale mite prowadziła rozmowy;—myślała o tem wszystkim, i serce się jej krajało, i nieraz z niczego łzy jej zakreściły się tak, iż wstać i wyjść do drugiego pokoju musiała. Adela nie pyta jej o przyczynę bo się przyczyny domyśla. Lituje się nad biedną dziewczyną, bo serce jej skłonne do litości. Dla niej samą Mi-

chał jak żeby już żyć przestał; odkąd wróciła do Warszawy, ani chwili o nim nie pomyślała, wyjąwszy, kiedy jej smutek Heluni, przypomni go, a w tych krótkich przelotnych chwilach mówi sobie: dobry chłopiec, zdawało się mu, że we mnie zakochany — szkoda! byłby dobrym mężem dla Heluni...!

Że Adela w miłość Michała nie wierzyła, to nie naturalniejsze. Żeby wierzyć w jakieś uczucia, trzeba koniecznie być zdolnym samemu takowego doznawać.

Tak jak postanowił Michał, drugiego zaraz dnia był w Warszawie. Ubrawszy się czempredzój, jak mógł najgustowniej, pobiegł na Długą ulicę i z bijącym sercem za dzwonek pociągnął. Lokaj w hberyi otworzył drzwi na wpół, nie patrząc prawie na niego powiedział: „Pani nie przyjmuje” — i drzwi mu przed nosem zatrzasnął. — Nie przyjmuje pomyślał, czyżby umyślnie nie kazała mnie przyjąć? — Niespokojny, sam nie wiedział co począć, jak się przekonać. Stał jeszcze z dziesięć minut przed drzwiami, potem zszedł na dół; — znowu szybko przebiegł przez schody, sięgnął ręką do dzwonka... zatrzymał się nagle... i znowu czekał; — gdy wtem usłyszał stąpanie po schodach i wkrótce ujrzawszy twarze dwóch najpierwszych doktorów Warszawy, którzy się z sobą wbrew doktorskim zwyczajom przed bramą domu zjechali i razem weszli do mieszkania Adeli. Krew w sercu Michała zastygła.

„Ona musi być chora! ona musi być bardzo chora, kiedy aż dwóch przywołano doktorów! Mój Boże! mój Boże! jabym jej śmierci nie przeżył” — i długimi krokami przechadzał się po sieni. Wyszli doktorzy, on zbliżył się gwałtownie do jednego, porywając go za rękę drżącym głosem zawołał:

„Panie, zlituj się, powiedz prawdę jak się ma?

„Bardzo źle — ale młodość może go uratować.”

„Kogo?” zapytał uszczęśliwiony Michał.

Doktor spojrział na niego zdziwiony.

„O kogóż się pan pytasz, ja myślałem, że o chorego p. Stanisława...”

Michał za całą odpowiedź uściskał serdecznie doktora i zbiegł ze schodów jak strzała. Adela zdrowa, zakaz przyjmowania dla wszystkich — i uradowany wsiadł do dorożki.

„Gdzie pan każe jechać?”

„Gdzie chcesz.”

Rozśmiał się dorożkarz — „alboż ja wiem gdzie pan sobie życzy!...”

„Jedź do Botanicznego ogrodu.”

Dorożkarz zaciął konie, a że po ogorzalej twarzy i czarnych wąsikach poznał wieśniaka i przeczuwał dwu-złotówkę, wkrótce zatrzymał się przed kratą ogrodu.

Serce Michała przepelnione miłością i nadzieją, żywo uderzało w piersi, i myślom rozkoszny nadało kierunek. Przeszedł przez pawilon na prawo, i znalazł się wkrótce wśród czarujących kłębów. Jesień dopiero co zaczęła złocić listki drzew, i rumieńce drobne jagody berberysu; przez szkła cieplarni uśmiechały się dojrzewające winogrona i brzoskwinie; wszystko przemawiało do niego głosem jaki brzmiał w jego duszy. Był to dzień powszedni; — dotąd spotkał tylko dwóch studentów i jakieś młode małżeństwo, które się na ławce czule do siebie uśmiechało, co wziął za doskonałą wróżbę, gdy wtem skręcając na lewo w dół o mało nie potracił państwa Wrońskich.

Kochająca para przechadzała się od godziny wśród wonnych ulic botanicznego ogrodu, czerpiąc w roz-



kwitłych różnej barwy i pochodzenia kwiatach wątek do niewyczerpanej, a pełnej wzruszeń rozmowy.

„Pan dawno w Warszawie?”

„Od dziś, odpowiedział wesolo.

„Czy interessa, czy przyjemności sprowadzają pana do Warszawy?”

„Czemuż rozdzielasz te dwie rzeczy Filipie, jakby interes nie mógł być nieraz wielką przyjemnością—nieprawda p. Michale?”

„O i bardzo często”—odpowiedział jakby nierozumiejąc. Dawno państwo widzieli p. Karnecką?”

„Byłam tam wczoraj na chwilę. Panu wiadomo że brat p. Karneckiej jest chory?”

„Wiem, gdyż stamtąd właśnie jadę, ale doktorzy nie tracą nadziei, sam pan M. mi to powiedział.

„Czy mówiłeś pan z p. Adelą?”

„Nie.

„Może z Helunią? nie prawdaż jaka zmieniona? czy pan nie znajdujesz?”

„Nie widziałem i panny Heleny, spotkałem tylko doktorów, którzy mi udzielili wiadomość o zdrowiu chorego.

„Już w Małopolu p. Helena znacznie w końcu zmieniła humor; czyś pan tego nie uważał? i z znaczącym uśmiechem spoglądała na Michała.

On jakby tego nie rozumiał, odpowiedział:

„Bynajmniej tego nie spostrzegłem. Panna Helena, przez cały czas pobytu swego w Małopolu, była bardzo wesola i miła...

„Jeżeli pan tego nie uważałeś, o czem wątpię, to wy mężczyzni bardzo dobrze wiecie, kiedy komu głowę zawrócicie, to ja ci powiem p. Michale,

Od. II. Tom II. 49

że mała Helunia bardzo się tobą zajęła, powtarzam bardzo, a ja się znam na tém.

„Moja żona zna się na tem dobrze... powtórzył z uśmiechem p. Wroński.

„Proszę to zachować com panu powiedziała i postąpić tak, jak mu dyktuje honor i sumienie; gdyby nie to, że mam dla pana prawdziwy szacunek, nigdybym się nie mieszała do tego co do mnie nie należy.

Pan Michał skłonił się z uszanowaniem:

„Bardzo pani wdzięczny jestem za ten dowód przychylności, ale sędzę, że pani jesteś w błędzie, — to rzekłszy, pożegnał ukłonem państwa Wrońskich i udał się dołem ku Łazienkom; w drodze myślał sobie: ja to sam uważał w Małopolu, że nie jestem jej obojętnym, ale to dziecko jeszcze, zresztą cóż mnie jej miłość obchodzi. Kocham Adelę i jestem kochany; zapomni o mnie, jak zostanę mężem jej opiekunki, prędzej nawet, bo jak pierwszy elegant okaże jej zajęcie.

W takich rozmyślaniach przebiegł taras Łazienkowskiego pałacu, nie zatrzymał się nawet przy fontannie, nie rzucił okiem na staw, wyspę i amfiteatr, nie objął wzrokiem tego cudnego obrazu oprawionego w ramy różnolistnych drzew, a dostawszy się do mostu Sobieskiego, wziął dorożkę i do miasta powrócił.

W kilka dni potem przyjechała Adela jego odwiedziny, ale niespokojność o zdrowie brata tak mallowała się w każdym jej słowie, spojrzeniu, że Michał zaniechał przedmiotu od którego los jego zależał.

Nie mogąc czekać zupełnego wyzdrowienia, które Bóg wie kiedy nastąpić mogło z boleścią w duszy zdecydował się wrócić na wieś i dopiero za

parę tygodni, po wyrok swój do Warszawy przyjechać.

## IX.

Zaraz na drugi dzień po przybyciu do Warszawy, Józef wybierał się z powrotem do Małopola, ale Adela potrzebowała w czasie słabości brata, mieć przy sobie człowieka tak jak on przyehylnego a zarazem obeznanego z Warszawą, którą Józef znał doskonale, gdyż często bardzo z rodzicami Adeli do Warszawy przyjeżdżał; prosiła go więc żeby został. Po dwóch tygodniach dopiero, gdy już niebezpieczeństwo minęło, pozwoliła mu wrócić do domu, i Józef smutniejszy niż od kilku miesięcy, pożegnał dziewczkę, wsiadł na furę po ogórkach wracającą do Przybyszewa, wysiadł pod Białobrzegami i przed samym zachodem słońca zbliżał się do Małopola.

Już ujrzał kominy dworu i wysmukłe topole alei;—serce jego ścisnęło się jakoś, ciężko i smutno mu w duszy, otarł oczy rękawem od koszuli, przyspieszył kroku i prędko przebiegł przez podwórze pałacowe nie oglądając się na zamknięte okienice i próżny ganek.

Już był o kilka kroków od chaty, ale ogląda się, patrzy w okolo, jakby nie poznawał tych miejsc dobrze mu znanych.

Jakto? gdzie się podziała jego obora, gdzie te chałupy, których rząd rozciągał się za nią?—Na to zapytanie odpowiedziały mu kupy węgla i popiołu,

leżące na miejscach, gdzie była dawniej obora jego i pięć chałup gospodarzy. Właśnie poprzedniej nocy, pożar wszczął się w jego oborze, a że wiatr ciągnął ku wsi, płomień rozlał się na najbliższe chałupy, i gdyby nie gwałtowny ratunek miejscowych chłopków i tych co się z sąsiednich wiosek na widok okropnej łuny pozbiegali, całe Małopole byłoby poszło z dymem.

Załamał ręce Józef i z rozpaczą w sercu wbiegł do chaty.

Na łóżku blada, zmieniona leżała Magdalena;—oczy jej błyszczą ogniem gorączki, usta od rzeczy prawiają; przy niej na zydłu siedzi Katarzyna i podaje jej z dzbanka wodę.

Na widok wchodzącego Józefa podniosła się chora i chciała wyskoczyć z łóżka, ale Katarzyna ją przytrzymała i Józef przystąpił do matki.

„Co to wam matko, chora jesteście? co wam dolega?

„Nie, ja zdrowa jestem — i rozśmiała się konwulsyjnie—zdrowa jestem i szczęśliwa;—widziałeś jaką nam dziedziczka kazała wybudować stodołę i oborę? widziałeś jakie białe ściany, tylko na dachu czerwono. Oj! czerwono, czerwono!—i gorzko szlochać zaczęła, że aż serce się krajało.

Józef usiadł w kącie pod kominem, głowę w dłoniach utopił i tak siedział jak z kamienia, nie mogąc ani zapłakać ani wymówić słowa pociechy.

„Uspokójta się Magdalena mówiła Katarzyna — „uspokójta się, wszystko będzie dobrze. Ja wam dam wszystkiego, co tylko wam będzie potrzeba, ja mam i chudobę znaczną i stodołę pełną i w skrzyni znajdzie się czem odbudować to, co się wam spa-

liło. Ja sama jedna, mnie się to na nic nie przyda.

Magdalena słuchała słów Katarzyny, ale jej niezrozumiała; przed jej oczami stała tylko obora w płomieniach, słyszała trzaskanie dachu, świstanie głowni, widziała sypiące się iskry i dym buchający—i swą białą jałówkę lecącą wprost w ogień tak, iż niepodobna jej było uratować.

Ale Józef słyszał i rozumiał to, co Katarzyna mówiła; — serce jego zmiękło; przypomniał sobie, że on tak srogo dotąd z nią się obchodził, że ją tak okrutnie odpychał. Wstał, zbliżył się do niej, i wzięwszy za rękę rzekł:

„Pocziwa Katarzyno, ja was nie znałem i lzy puściły mu się z oczu.

Na te słowa Katarzyna, której twarz nosiła głębokie ślady cierpień, namiętności, rozpaczy, spojrziała na niego z niewypowiedzianą radością, i chwytając obiema rękami podaną sobie rękę, mówiła prędko i z gorączkowem drżeniem.

„Nie prawda Józefie, że ja nie chcę waszej chudoby, waszego dobytku? Pójdźcie do mnie, ja mam tyle, że dla nas wszystkich wystarczy. Będziemy żyli spokojnie i szczęśliwie. Pójdźcie do mnie, jeżeli nam nie wystarczy tego co mamy, to ja sama będę pracować dla ciebie i dla twojej matki, pójdźcie do mnie Józefie!

Józef milczał chwil kilka, — spojrział potem na twarz pałającą matki, potem w niebo, i wyrzekł:

„Nie Katarzyno, nie mogę.

Katarzyna, która śledziła każdy jego ruch, każde spojrzenie, rozśmiała się głośno śmiechem obłąkaniej, skoczyła z miejsca i wybiegła z chałupy.

Tymczasem pobliski sąd uwiadomiony od wójta

gminy o dwukrotnym pożarze, zjechał do Małopola i Kancellaryą swą we dworze umieścić.

Jawném było, iż ktoś umyślnie ogień pod zabudowania Józefa podkłada, ale kto?

Pisarz Sądowy wzywał już do badania całą prawie gromadę, ani śladu podejrzeń, — wpadł nakoniec na jednego z parobków, który już jak sam wyznawał, dwa razy był karany; zrobiona rewizya w jego skrzynce odkryła paczkę zapalek i chupkę. Czegóż więcej potrzeba dla wprawnego oka kryminalisty żeby w tem widzieć znakomite poszlaki. A że urzędnik delegowany do śledztwa, był młody pragnący się odznaczyć i pełen rozumienia o psychologicznych swych znajomościach; gdy dodał w swém badawczém umyśle do powyższych poszlak: przestрах parobka podczas, gdy go wiano i bladeść, gdy mu groził, że jeżeli się nie przyzna pójdzie na szubienicę, nabrał niezłomnego przekonania, że sprawca dwukrotnego pożaru w jego się znajduje rękę.

Już miał zakończyć śledztwo i więźnia wraz z aktorami odesłać sądowi wyższemu, gdy niespodziewane odkrycie całą postać rzeczy zmieniło.

Józef nie bezzasadnie padł na myśl, że ten, kto go dwa razy podpałił, musiał mieć do niego jakąś osobistą nienawiść, i że zniszczywszy mu zabudowania i cały dobytek nie zechce zostawić i chałupy, a że nie podzielał zdania p. pisarza o niewątpliwém odkryciu winnego w osobie parobka z którym nigdy nie miał nic do czynienia, a tём samém powodu do zemsty dać mu nie mógł, przedsięwziął wykryć winowajcę.

Co wieczór wchodził do chałupy i drzwi za sobą zamykał, a potём jak już wszystko we wsi uci-chło, wraz z parobkiem wychodził oknem do ogro-

du—jeden się kładł na jednym, drugi na drugim końcu chałupy w bruździe,—i budząc się nawzajem czuwali aż do wschodu słońca.

Szóstego dnia, kiedy pokładli się w zwykłych miejscach i z godzinę tak leżeli, usłyszał Józef za płotem ogrodu szelest! Ponieważ noc była ciemną nie mógł dojrzeć co było tego powodem, ale pomimo to zwrócił w ten punkt całą swoją uwagę:—wkrótce skrzypnęło, jak zwykle kiedy kto przez płot przełazi;—Józef podniósł głowę z bruźdy, i ujrzał postać kobiecą, która już z tej strony płotu stała i szybkim krokiem zbliżała się do chałupy. Jak strzała porwał się z bruźdy, a zaszedłszy ją z tyłu, po cichu, pochwycił za obie ręce;—postać krzyknęła przerażona,—a Józef zawołał: czego tu chcesz?—kobieta, czy przestrasz język jej skrzępował, czy też obawiała się zdradzić głosem, nie odpowiedziała, tylko zachwiała się na nogach i jak nieżywa padła na ziemię.

„Jacku! Jacku! zawołał Józef na parobka, który się już był podniósł i stał w oddaleniu przeległy—wszakże dasz radę tej kobiecie, zostań tu, a gdyby chciała uciekać, weź koła od płota i zabij na miejscu jak psa. Patrz, oto upuściła szmatę i żarzące węgle się z niej wysypały, — pilnuj jej jak oka w głowie, bo będziesz za nią odpowiadał, a ja lecę dać znać panu Sędziemu.”

To rzekłszy skoczył przez płot i lotem błyskawicy puścił się do pałacu. Rozbudzony urzędnik, dowiedziawszy się o co idzie, na gwałt zaczął się ubierać; zawołał woźnych których z sobą przywiózł, rozstał ich po chłopów, i wkrótce gromada złożona z pisarza sądowego, woźnych i kilku chłopów z Józefem na czele zbliżała się do chałupy,

gdzie Jacek w ogrodzie na krok nie odstępował leżącej w brudzie kobiety.

Naprzód weszli wszyscy do chatupy, i z rozkazu pisarza zapalili luczywa, żeby nic nie stracić z miejscowych poszlak; przy blasku tych wiejskich pochodni weszli do ogrodu. Katarzyna, bo jak się każdy już dawno domyślił, ona to była, leżała twarzą do ziemi, tak iż rysów jęj niepodobna było rozpoznać; żaden z otaczających ją wieśniaków nie śmiał się zbliżyć, w obawie, żeby jakiej znajomej nie odkrył twarzy.

Wystąpił Józef, przybliżył się do leżącej, a objąwszy wpół podniósł do góry tak, iż twarz oblało światło;—podniósł ją, spojrział i z krzykiem na ziemię upuścił.

To Katarzyna wdowa! krzyknął.

To Katarzyna! powtórzyły razem wszystkie usta, i wszystkie serca przejęła zgroza. Sędzia obejrzał się w około; podniósł kawałek płótna w którym jeszcze tliły węgle, — podniósł i te, które zgaszone rozsypały się wśród trawy, poczem skinął na woźnych; ci zbliżyli się do Katarzyny, postawili ją na nogach, jeden wziął ją pod jedną, drugi pod drugą rękę, i tak powlekli ją raczej niż poprowadzili do pałacu.

Nazajutrz stawiona przed Sądem Katarzyna, ze wszelkimi szczegółami przyznała się do winy.—Wyznała, że, pokochawszy Józefa, chciała żeby się z nią ożenił, ale on nie chciał, przypisując jej tylko chciwość i łakomstwo, i pomimo kilkakrotnych z jęj strony oświadczeń, odmawiał. Wówczas żeby go przekonać o swęj beziinteressowności, oraz i dla tego, iż sądziła, że jak go przyprowadzi do nędzy, on mając starą i chorą matkę, opierać się nie będzie, postanowiła spalić całą jego chu-



dobę, a że jej się to od razu nie udało, musiała kilka razy ogień podkładać.

Podczas powyższego wyznania nie okazywała ani żalu, ani obawy kary, ani nadziei, żeby mogła losu swego uniknąć. Twarz jej była blada jak marmur, czarne oczy spokojnym błyszczały ogniem;— tylko kiedy Józefa przywołano dla odbycia prawnej formalności, rozplakała się głośno i musiano ją wśród łkania odprowadzić do komórki, z której uwolniono niewinnie posądzonego parobka. W kilka dni potem delegowany pisarz zakończył śledztwo, a pocieszając się tą myślą, że ów parobek, chociaż nie był sprawcą podpalenia, ale mógł nim być, bo był dwa razy karany, i miał zapalki w skrzyni, opuścił Małopole, uwożąc za sobą Katarzynę. Obok niej na wozie, po każdej stronie siedział woźny sądowy,— a dziatwa miejska lecąc za jadącemi rzuciła na nią błotem i wołała, podpalaczka! trzymajcie dobrze podpalaczkę! powiesić podpalaczkę!

Tego samego dnia pod wieczór, Magdalena, która od powrotu Józefa, ani na chwilę nie odzyskała zmysłów, pomimo starań syna i bab całej wioski, nie mogła przeżyć tylu strat, i wśród płaczu Józefa, przed samym zachodem słońca, zasnęła w Bogu.

## X.

Michał przyrzekł sobie, że dopiero za dwa tygodnie pojedzie do Warszawy, ale drugiego zaraz

Od II. Tom II.

50

dnia, rady sobie dać nie mógł; to brał fuzyą i szedł w pole, nie patrząc co się w koło niego działo, i nie raz zając co się z pod nóg jego wyrwie, przypomina mu w jakim celu w pole się udał;—to bierze książkę do ręki i rzuca z gniewem o ziemię, — to znów nieszczęśliwe skrzypce jęczą pod wściekłym jego smyczkiem. Czwartego dnia wybrał się w sąsiedztwo najtyczanką i krakowską czwórka, chcąc na parę przynajmniej godzin zapomnieć o Warszawie i jej mieszkańcach.

Jeden z obywateli, których zastał u sąsiada, zaczął przyganiać przymiotom jego zaprzęgu. Pan Michał, w złym był humorze; przycinki obywatela drażnić go zaczęły, rzekł więc do towarzystwa: „proszę panów na ganek, ja sam moją czwórkę poprowadzę, osądźcie”. Wsiadł do najtyczanki, wziął cugle w jedną, bież w drugą rękę i tryumfalnie kręcąc kołmi na wszystkie strony, przejeżdżał przez obszerne podwórze, gdy w tem, właśnie gdy w galopie przed ganek zajeżdżał, przelękniona krzykiem gości czwórka, rzuciła się w bok, lejce się poplątały i najtyczanka się wywróciła. Szczęściem zatrzymano konie, ale Michał zwichnął lewą nogę i startł rękę; z bólu mdlał prawie, tak, że jeden z bliższych znajomych musiał go odwieźć do domu, i posłać do Białobrzeg po doktora.

Skutkiem tego wypadku Michał zamiast w dwa tygodnie, w dwa miesiące przyjechał do Warszawy.

Miłość jego przez ten czas przybrała spokojniejsze ale zarazem poważniejsze cechy, — człowiek złożony chorobą fizyczną, mimowolnie wchodzi w siebie, zastanawia się nad sobą.

Nie pamiętam, kto wyrzekł to zdanie, podług mnie

bardzo trafne, że choroba, występnych, prowadzi na drogę cnoty, zakochanych na drogę rozsądku.

Otóż Michał był właśnie z swą miłością na drodze rozsądku. Kochał Adelę, chciał wierzyć w jej miłość, ale zastanowiwszy się, nie tyle jej ufał; dziwił się sam sobie jak mógł przywiązywać tak wiele znaczenia do tego co mogło być zwykłą przychylnością, postanowił więc wstrzymać jeszcze uroczyste oświadczenie.

Jak tylko przestał na nogę utykać i z ręki zrzucił chustkę, z niepewnością w sercu gorszą nawet od przykrzej rzeczywistości wsiadł w najtyczankę i do Warszawy pojechał.

Widok Adeli odżywił w nim pierwsze uczucia, tak była uprzejmą dla niego, tak go się troskliwie wypytywała o wszelkie szczegóły nieszczęśliwego wypadku, który przyjazd jego opóźnił. Pomimo to, iż ile razy przychodził zastawał hr. Felixa z bratem Adeli, albo większe jeszcze grono gości, głównie do niego zwracała rozmowę, każdą jego odpowiedź dowcipem swym podwyższała, co nawet obudzało zazdrość hrabiego.

W Heluni Michał spostrzegł wielką zmianę, zeszczuplała, zbladła, w twarzy widoczne ślady smutku i tęsknoty.

Kiedy po dwóch miesiącach nieobecności, pierwszy raz wszedł do pokoju, zaczerwieniła się aż po same czoło, a potem tak zblała i usta jej tak posiniały, że Adela, ażeby jej oszczędzić zawstydzenia podniosła się, a zastaniając sobą głośno mówiła: „jak dziś krzywo ubrałaś kołnierzyk, muszę ci przepiąć”—to rzekłszy wzięła za rękę i do drugiego pokoju zaprowadziła.

W hrabim Felixie od razu przeczuł rywala, a stąd żadnej nie miał do niego sympatyj; ile razy hrabia

zbliżył się do niego, on przystępował do Adeli albo Heluni i rozpoczął rozmowę.

Brat Adeli nie okazywał Michałowi wiele uprzejmości, prosty szlachcic siedzący na dzierżawie, czemuż mógł zasłużyć na jego względy?

Takie były wzajemne stosunki osób działających w tym dramacie, gdy jednego wieczora całe grono znajomych naszych znajdowało się w Wielkim Teatrze na ulubionej Łucyi, tém arcydziele Dionizettego. Dobrski grał rolę Edgara, Rywacka Łucyi—wszystkie więc miejsca były zajęte. Amfiteatr pierwszopiętrowy podobny był do grządek różnobarwnych kwiatów, krzesła czerniły się jak mrowisko, po łóżach strojnie przybrane damy, ciągnęły ku sobie jak magnes, lornetki krzesel i amfiteatrów.

Skończył się akt drugi, większa część dam ocierała oczy, jedne z prawdziwego wzruszenia, drugie dla tego, bo jakżeż się nie rozczulić w tak zachwycającem miejscu. Część młodzieży zbiegła na dół do Lursa, część udała się na foyer, żeby się przejść i ochłodzić; między temi ostatnimi był i Michał. Z początku myślał tylko o tem, jak Adela często na niego kierowała swą białą lornetkę, i jak z roztargnieniem odpowiadała na zapytania siedzącego za nią hrabiego. Przemknęła także przed jego myślą i ulotna postać Heluni w białej sukience z niebieskim szalikiem, z bukietem świeżych kwiatów, któremi zasłaniała swą twarzyczkę, ilekroć jaka lornetka zbyt uporczywie się na nią zatrzymywała, gdy wtem usłyszał wymienione obok siebie kilka razy nazwisko Adeli; obejrzał się, koło niego przeszła grupa mężczyzn, jeden rozprawiał śmiejąc się głośno, inni śmiejąc się słuchali. W mówiącym poznał poetę Alfreda, między słuchaczami panów: Wronskiego, M..., których żony jedną zajmowały łożę.

Zdjęty ciekawością Michał, poszedł za niemi i usłyszał co następuje:

„Załóżcie się państwo ze mną, że ona zagięła parol na hrabiego, mówił Alfred.

„Prędjéj on na nią, odpowiedział jeden z mężczyzn.

„Najprędjéj i jedno i drugie; on na nią zarzuca sieci a ona na niego, a oboje udają że o siebie nie stoją.

„Rzecz prosta, mówił głos poprzedzający, że p. Karneckiej chciałoby się zostać hrabiną, tego jéj tylko brak; a że hrabiemu nie zawadzi jéj półmilionek, to i to pewne.

Tłum oddzielił w téj chwili Michała od mówiących, i dopiero po jakimś czasie mógł się do nich zbliżyć.

„Powiadam państwu, że to jest pierwszego rzędu kokietka, która na wsi w braku innych, kokietuje swoich gospodarzy.

Głośny śmiech słuchających, odpowiedział na ten ustęp Alfreda.

„Skądże by się tam wziął ów Józef, chłop jakich mało, w chwili, kiedym właśnie piękną Adelę miał przycisnąć do mojego serca, skąd by się tam wziął mówię, gdyby nie czychał na jéj spotkanie, skąd takie cudowne zjawienie”?!... Wszystka krew uderzyła Michałowi po twarzy na tyle zniewag, rzuconych na kobietę, którą kochał. Oburzenie nie pozwoliło mu dosłuchać końca mowy Alfreda, wyprzedził idących, stanął przed niemi, tak, iż im zatamował przejście, a zwracając się do Alfreda, rzekł głosem pewnym lecz drżącym od gniewu i wzruszenia:

„Wszystko coś pan w téj chwili powiedział na panią Adelę Karnecką, jest nikičemua potwarz!

„Panie!” zawołał Alfred, pan szukasz sprzeczek? Czy wiadomo czém to pachnie?

„Właśnie dla tego, że wiem, raz jeszcze powtarzam, iż wszystko, co pan w tej chwili tym panom powiedziałeś, jest podłe kłamstwo.

W tej chwili Wroński i Malicki zbliżyli się do Michała starając się uspokoić go, ale on wciąż swoje powtarzał tak, iż zniecierpliwiony Alfred przystąpił do niego:

„Wiem dobrze, że i pan jesteś wielbicielem pani Karneckiej i pojmuję, że chciałbyś złożyć u jej nóg szpadę zbroszoną w mojej krwi, ale mogłeś obrac inne miejsce do takiej awantury,—to rzekłszy wyjął z kieszeni wizytowy bilet i oddał Michałowi.

„Zrozumiałeś mnie pan jak najdokładniej odpowiedział Michał i wzajemnie swój mu ofiarował, dodając: mieszkam w Krakowskim hotelu.

Dzwonek już dawno ostrzegł foyer, że trzeci akt Łucyi się rozpoczął, wszyscy się rozbiegli, wyjąwszy należących do powyższej sceny.

Po zamienieniu biletów i aktorowie i spektatorowie rozeszli się na swoje miejsca. Widząc przybywającego z jednej strony krzesel Michała, z drugiej Alfreda, trudno się było domyślać, jaką przed chwilą mieli w foyer rozmowę. Wkrótce lornetka Adeli skierowała się na Michała,—on w tenczas niby winną patrzył stronę, ale gdy Adela oczy ku scenie zwróciła, jego lornetka bez ustanku na nią spoczywała.

## XI.

Nazajutrz cała Warszawa wiedziała już o mającym się odbyć pojedynku Michała z Alfredem, chociaż dwóch nie było osób, któreby się zgadzały na powody tego zajścia. Jedni utrzymywali, że Michał poważył się w obec Alfreda ganić jego poetyczne twory, co tak uniosło poetę, że czynnie go znieważył, drudzy, że obadwa kochają się w Adeli, i że szukali tylko pozoru do wyzwania. Michał wracając po teatrze do hotelu, mówił sobie, iż postąpił jak mu dyktowało sumienie, że nie mógł nie wmieszać się do rozmowy, tam, gdzie szarpano honor kobiety, która zasługuje na jego szacunek, chociażby jej nawet nie kochał.

Nazajutrz rano sekundanci Alfreda przynieśli Michałowi formalne wyzwanie z oznaczeniem czasu, miejsca,—za broń obrano pistolety, pojedynek miał się odbyć za dwa dni w wiosce Michała.

Dzień był pogodny i skwarny, jak to się często wśród jesieni w naszym klimacie zdarza, Michał nie wiedział co robić z czasem,—pójść do Adeli w chwili kiedy się ma za nią pojedynkować byłoby to samo, co wymagać podziękowań, wdzięczności. Jechać do domu nie chciał, bo dwa dni przedtem otrzymał zaproszenie na wieczór pani M., gdzie się spodziewał ujrzeć Adełę, poszedł więc do Saskiego ogrodu.

W dzień powszedni o godzinie 1-iej z południa Saski ogród pusty prawie. Urzędnicy po biurach, kupcy po sklepach, dzieci zajadają śniadanie lub obiady; gdzie-niegdzie tylko widać: tam, przechadzającą się parę po której ruchach i spojrzeniach widać, że sobie miłośną naznaczyła schadzkę—tam znów familja ary-

stokratyczna przyszła odetchnąć chwilę świeżem powietrzem, pod cieniem rozłożystych kasztanów, gdyż u wielu osób arystokracja na tём się zasadza, żeby wszystko nie tak i nie w tym czasie robić jak inni.

Michał przeszedł dwa razy przez środkową aleę, gdy drugi raz zawrócił, spostrzegł zdaleka wchodzące cztery osoby, dwie damy i dwóch mężczyzn; tylko co wyszły z pod filarów Saskiego pałacu, po chodzie i ruchach poznał Adelę; — łatwy domysł, że trzy inne osoby, były: Helunia, brat Adeli i hrabia.

Michał rzucił się w boczną aleę, której koniec dotyka Lesla, i niespostrzeżony wszedł do cukierni, w tej właśnie chwili, kiedy Adela z swym orszakiem była w środku głównej alei.

Z filiżanką lodów w rękę usiadł w sali, której sufit zdobny był w jakieś mitologiczne dzieje, a okna wychodzą na taras otoczony krzakami bzu i ustrojony wazonami kwiatów—usiadł z prawej strony na plecionej kanapie pod oknem z doniczkami kwiatów, tak iż widział wszystkich wchodzących do cukierni, nie będąc od nich widziany.

Siedział tak pół godziny blisko, jakby przykuty do miejsca, jakby jakaś tajemnicza siła trzymała go, i odejść nie pozwalała; — wtém na schodach tarasu pokazał się słomkowy kapelusz Adeli, potem skromniejszy kapelusik Heluni, potem eleganckie kapelusze i rajtroki kawalerów.

„Mnie się zdaje, żeby nie wchodzić do cukierni, każemy sobie tutaj podać, takie tu cudowne powietrze, że żal się z niem rozstać, to mówiąc siadła Adela na ławeczce pod oknem, za którem siedział Michał drżący jak winowajca, chociaż nie sobie nie miał do wyrzucenia, chociaż nic złego nie zrobił. Helunia usiadła obok niej na krześle, tak, iż widział całą jej



twarzą i zgrabny gorsik w biały ujęty staniczek.

Stanisław został przy damach, P. hrabia poszedł zamówić lody; tam idąc, nie spostrzegł Michała, a gdy powracał Michał schylił się trochę, tak iż twarz jego bukiet stojący na stole zasłonił.

P. hrabia przyniósł damom po funcie cukrów, dwa talerze ciast — a wkrótce nadszedł i chłopiec z lodami. P. hrabia usiadł na krześle obok Adeli, Stanisław obok Heluni i zaczęła się rozmowa z której Michał oddzielony od towarzystwa okiem tylko i otwartymi drzwiami żadnego słowa nie stracił.

„Nie ma jak Lesłowskie lody” mówiła Adela bawiąc się łyżeczką, i spoglądając na hrabiego.

„Bez wątpienia w Warszawie, ale chciałbym wiedzieć jakby one pani smakowały po Drezdeńskich lub Paryzkich.

„Lurs także wysmienicie lody sporządza, przerwał poważnie i stanowczo P. Stanisław, wczorajsze lody w teatrze ręczę, że nie ustępują w niczem paryzkim.

„Wczorajszy teatr *jak mówią* obfity był w wypadki” rzekła powoli Adela. Serce Michała żywiej bić zaczęło, a głowa zbliżyła się do okna.

„Nie: *jak mówię* moja droga, przerwał jej gniewnym tonem Stanisław” alez pewnością — ten P. Michał pozwolił sobie ogłosić się rycerzem twojego honoru, jakby miał do tego jakie prawo.

Na wspomnienie Michała żywy rumieniec wystąpił na bladą twarz Heluni, co nie uszło uwagi siedzącego naprzeciw niej za oknem Michała.

„Vraiment c'est drôle—odezwał się hrabia, to zbyt zarozumiałości, poczciwy obywatel chce się w oczach pani zrobić interesującym.

Helunia z gniewem spojrzała na hrabiego i nie mogąc się wstrzymać, rzekła:

„Pan hrabia zbyt mało zna P. Michała, żeby sąd o nim mógł wydawać; jestem przekonana, że jeżeli P. Michał stanął w obronie Adeli, to dla tego, że miał do tego słuszne powody, i postępek ten zaszczyt przynosi jego charakterowi i sercu.

„Musi być wzorem starożytnej cnoty, jeżeli pani stajesz w jego obronie, rzekł skłaniając się przed nią z szyderskim uśmiechem hrabia.

„To mi tylko dowodzi rzekła surowym i pogardliwym tonem Adela, że P. Michał sądzi, iż honor mój potrzebuje obrony, a to samo już jest ubliżeniem mojej osobie.” – Zimno przeszło po wszystkich członkach Michała. Z początku myślał że źle słyszy, zebrał więc wszelką uwagę i mocniej się do okna przycisnął.

„Twoja w tém trochę wina siostro!

„Jako moja wina?

„Zbyt grzecznie przyjmujesz tego hreczkosieja, ci ludzie nie mają wyobrażenia o świecie, i zdaje im się, że kiedy się z nimi grzecznie rozmawia, to się ich już uważa za równych.

„Oni, oni, tu as parfaitement raison, mruknął hrabia poprawiając się na krześle i spoglądając badawczo na Adelę.

„Słyszając panów mówiących, mógł by kto myśleć że Bóg wie jak ośmieliłam tego panicza. Cóż, że go w domu swoim przyjmuje. . . . trudno; skoro jako sąsiad bywa u mnie na wsi, i rozrywa moje nudy, żebym mu w Warszawie drzwi przed nosem zamknęła.—Michał drżał na kanapie i ocierał pot oblewający jego czoło.

„Że z nim mówię, ciągnęła dalej Adela, i okazu-

ję że mi to jest przyjemnie, cóż państwo chcecie? taka moja natura.

„Tak, tak zmawiają na naturę” rzekł z komiczną surowością o pięć lat od siostry młodszy Stanisław.

„To nie innego tylko zalotność; kosztem jednych, chcesz zająć drugich, teraz masz!

„Nie zasłużyłam na kazanie Stanisławie, ale przynajmniej co do P. Michała przyrzekam ci poprawę, istotnie sama to spostrzegać zaczynałam, że jemu się coś w głowie roilo! . . .

„Ślepy mógł to widzieć, przerwał hrabia.

„Od dziś zaraz przekona się, jaki pomiędzy nami przedział.

Helunia nie nie mówiła, tylko spuściła w dół oczy żeby nie można było dostrzedz łez co się w nich zakręciły; ale to nie nie pomogło, musiała je obetrzeć chusteczką. Skończywszy mówić Adela wstała, a że P. hrabia z góry za wszystko zapłacił, nie wracał do bufetu ale podał rękę Adeli, która ją z uśmiechem i zalotnem na niego wejrzeniem przyjęła.

Stanisław podał ramię Heluni i odeszli.

Michał został oniemiały i odurzony, długo nie mógł sobie dać rady z myślami, które gwałtem cisnęły się do jego głowy, obrażona miłość własna, wstyd, pogarda, długo wależyły z miłością, która głęboko w serce jego wrosła, kilka razy tarł czoło, jakby zbierając pomieszane myśli.

Walka ta skończyła się wreszcie, wstał, ale to nie był już ów człowiek, co tam siadał—miłość dla Adeli umarła.

## XII.

Wybiegł z cukierni i pędem strzały poleciał na Nowy Świat do mieszkania Alfreda, świadkowie zawiadomili Michała, gdzie mieszka jego przeciwnik.

Z bijącym sercem wbiegł na drugie piętro, o mało nie urwał dzwonka tak mocno szarpnął za drut. Sam poeta mu otworzył, i odstąpił na dwa kroki ujrzawszy przed sobą swojego przeciwnika. Ochłonawszy zaprosił go z wszelkimi ceremoniami do drugiego pokoju, gdzie była jego sypialnia, jadalnia i salon. Michał porwał go gwałtownie za rękę i rzekł;

„P. Alfredzie przychodzę przeprosić pana za słowa zniewagi jakie w dniu wczorajszym wyrzekłem w foyer Wielkiego Teatru, a to co ci teraz mówię powtórzę w obliczu tych wszystkich którzy się tam znajdowali.

„Ja nié mam do pana żadnej urazy, wyznaję także iż źle uczyniłem mówiąc głośno w ten sposób o Adeli, ale zdaje mi się, że nazbyt daleko posunięte są rzeczy.

„Gdybyś pan krok mój obecny uważał za niewczesny, lub upatrywał w tém obawę walki, gotów jestem służyć mu w każdéj chwili; ale nie z tych powodów, dla których chciałem teraz krew moją przeleć, tamto com powiedział w zupełności odwołuję.

„Aha! jak widzę przekonałeś się pan, że to co powiedziałem, mogło nie być kłamstwem”? Co do mnie uważam tę rzecz za zupełnie załatwioną, nasi sekundanci form dopełnią, a teraz podaj mi pan rękę, rozumiem pana i mam do niego prawdziwą sympatyę:—podali sobie dłonie i szczerze je uścisnęli.

„Do widzenia! rzekł odchodząc Michał.

„Czy będziesz dzisiaj wieczór u P. M. zapytał Alfred;

„Będę dla bardzo wielu powodów, a między innymi i dla tego, że ciebie tam zastanę

„Rozumiem odpowiedział Alfred z uśmiechem, raz jeszcze podali sobie przyjazne dłonie i Michał odszedł rad, że się nie będzie pojedynkował za kobietę którą szacować przestał, i układając w duszy plany szlachetnej zemsty. Około czwartej sekuŃdanci obu stron zgromadzili świadków wczorajszej sceny w szwajcarskiej dolinie, dokąd przybyli uprzedzeni o wszystkim Michał i Alfred. Tam raz jeszcze powtórzył Michał iż nie może się pojedynkować dla tych powodów, dla których to chciał wczoraj uczynić i Alfreda nroczyć przeprasza, za obelżywe wyrazy. Alfred nie dał mu dokończyć, ale rzucił mu się na szyję oświadczając, iż nie jest obrażony, i że pragnie, ażeby zdarzenie to, zbliżywszy ich; prawdziwymi uczyniło przyjaciółmi. Najbardziej obznajmiony z honorowemi prawami nie weźmie za złe Michałowi iż się nie chciał bić za kobietę, która na to nie zasługiwała, i że bić się za nią w tej chwili, byłoby dla niego największym nieszczęściem.

Państwo M. zajmują 1-sze piętro o ośmiu oknach na Krakowskim Przedmieściu nie daleko Poczty, pokoje umeblowane z bogactwem i gustem, osobny gabinet dla pani, a oddzielny dla pana, biblioteka, a zarazem mała galerya obrazów, w salonie mnóstwo biuścików z brązu i marmuru, dwa fortepiany, oprócz tego wszystkie te niepotrzebne graty i drobiazgi, bez jakich salon mający pretensje do dobrego tonu, obejść się teraz nie może.

O godzinie 9-jej pozapalano wszystkie lampy, kandelabry i lichtarze, aż luna biła od okien. Bo pani

M. rzadko kiedy daje duże wieczory, ale wówczas przepychem chce zaćmić wszystkie swe znajomości. Nic różno-barwniejszego jak salon pani M., podczas takiego wieczoru, wygląda on jak bukiet mieszany z ogrodowych i polnych kwiatów; znajdziesz w nim i różę i lewkonię i goździk, ale obok zaraz prosty polny jaskier, dziewannę i trawy podostatkiem

Wieczory pani M. tak są uczęszczane, że nieraz trudno się obrócić na jednym miejscu. Pani M. z uśmiechem na ustach przechadza się wśród gości i z każdym uprzejmie rozmawia. Do pana M. należy pilnować, żeby stoły do kart były w porządku, żeby ci, co mają ochotę grać, grali; żeby lokaje w swoim czasie wnieśli herbatę, torty, lody; i żeby starzy weterani, których oko jejmości odkryć niezdola, nie usypiali w kątach. O godzinie 10, salon był jeszcze zupełnie pusty, tak chce moda, a więc ani słowa. O wpół do jedenastej, przybyła jakaś dama z dwiema córkami, a niezastając nikogo, zawstydzona, czémprędzej poszła szukać gospodyni w drugim pokoju. Następnie weszło trzech mężczyzn, którzy się skryli w gabinecie pana, potem małżeństwo z trzema córkami, panie wyniosły się szukać gospodyni, pan zniknął w gabinecie, a salon ciągle pusty. O godzinie 11 pełno już osób w całym domu, w salonie tylko nikogo. Dopiero kiedy goście zbliżywszy się w myśli, poczuli, że są w znacznej liczbie, powysuwali się z rozmaitych kątów, i w mgnieniu oka salon się zaludnił. Od jedenastej drzwi się już nie zamykały, a o dwunastej taki był ścisk, że pan M. pootwierać kazał wszystkie lufki, a lokaje z tacami przecisnąć się nie mogli.

Pani Adela piękniejsza jak zwykle, bo wrodzonej wdzięki, podwyższa szafirowa morowa suknia,

z szeroką, z czarnej koronki bertą, włosy gładko z czoła zczesane, w hebanowe ramy ujęte białe jak śnieg jęj czoło; warkocz otoczony gałązką kwiatu cierniowego w którym błyszczą rozrzucone łezki, świeży wyrób paryzkiego przemysłu; na piersiach błyszczy wielka brylantowa brosza, w uszach także kolczyki; chustka od nosa tak cienka, tak misternie wyszyta, iż zda się uleci za najmniejszym powiewem. Słowem, uroczą była pani Adela owego wieczora. Nie mniej, choć inaczej, pięknie wyglądała Helunia. Strój jęj, stanowiła biała suknia prawie pod górę, na głowie miała skromną gałązkę kanwalii. W rękę za to pieściła precudowny bukiet, którym się jęj równie jak i pani Adeli, pełen dobrego gustu i grzeczności. P. hrabia przed samym wieczorem przysłużył, Nie miała wprawdzie Helunia brylantowęj broszy, ale za to jęj siedm-nastoletnie oczy, jaśniały stokroć żywszym od dja-mentów blaskiem, może i dla tego, że twarz jęj bledsza jak zwykle. Adela usiadła z Helunią tak, iż widziała wszystkie wchodzące do salonu osoby. Kiedy weszła, salon nie był jeszcze w całej swo-jęj świetności, to jest w całej swęj ciźbie. W kilka minut potęm wszedł Alfred, a skłoniwszy się da-mom, rzuciwszy zimno-ironiczne spojrzenie na Adełę, poszedł w głąb salonu. Wszystkie oczy ciekawie go ścięły, bo jak powiedziałem, cała Warszawa wiedziała już o pojedynku. Po chwili wszedł Mi-chał, Helunia zakryła twarz bukietem. Pani Adela rozpoczęła nadzwyczaj zajmującą rozmowę z są-siadką, ale ani na chwilę nie straciła go z oka. Cichość osiadła w salonie, wszystkie oczy zwró-cone na Alfreda i Michała; we wszystkich twarzach ciekawość, jak tęż oni będą względem siebie. Ja-koż było zdziwienie ogółu, a mianowicie Adeli, kiedy

Alfred ujrawszy wchodzącego Michała, za ledwie dozwolił mu bliżej siedzącym damom oddać ukłon przywitania, tak mu pilno było uścisnąć jego rękę i szczerze się z nim przywitać. Na wszystkich twarzach odmalowało się zawiedzione oczekiwanie. Adela pojąć tego nie mogła, wolała by była, żeby przeciwnicy krwawym na siebie spojrzeli wzrokiem. Czowała, że jej położenie nie było wolne od śmieszności, twarz tylko Heluni rozjaśniła się na widok Michała witającego się szczerze z Alfredem.

Już dwa razy obniesiono herbatę i rozpoczęto tańce. Michał przetańczył z Adelą dwa razy walca, dwa razy z Helunią. Do kontradansa zamówił Adelę. P. hrabia wcale nie tańczył i albo siedział za krzesłem Adeli, albo z utkwionym w nią wzrokiem stawał opodal. Muzyka już dwa razy zaczynała przegrywkę do pierwszej figury, pary nie były jeszcze w porządku, nareszcie stanęli. Michał poprowadził Adelę w drugi koniec sali, gdzie go wizawi jego oczekiwało. Zmieszła się trochę Adela, widząc o parę kroków od siebie Alfreda, który patrzył na nią złośliwie się uśmiechając, ale uspokoiwszy się natychmiast, odwróciła się do Michała, którego twarz surowa była i poważna, i z właściwym sobie uśmiechem rzekła:

„Czy wolno zapytać o czém pan Michał tak duma?

„O, dla czego nie, myśli moje zwykle są tego rodzaju, iż je przed każdym, kto by ich był ciekawy, odkryć mogę.

„Zazdroszczę panu tój prostoty serca, rzekła uśmiechając się, na wpół zalotnie, na wpół ironicznie Adela.

„Tym razem pani tylko powiedzieć mogę i powiem co myślę, chociaż nie wiem czy jej dobroć



udzieli mi przebaczenie za winę, jakiej się dopuściłem.

„Winę względem mnie? cóż to być może? zapytała z tak doskonale odegranem zdziwieniem, iż panna Raszel wyższość nad sobą by jej przyznała.

„Tak pani... poważylem się ująć za tobą w chwili, gdy jeden młodzik, miotał na ciebie publicznie niegodne potwarze.

„Panie Michale, rzekła czule spoglądając na niego, i to pan nazywasz winą!

„Z początku zdawało mi się że miałem słusność, stając w obronie pani honoru, ale potem zastanowiwszy się, że daję tém do myślenia, jakobym przypuszczał, że honor twój pani może być obrażony, nadewszystko zaś wzięwszy na uwagę, iż ja, człowiek zupełnie obcy, nie brat, nie narzeczony, nie mam tytułu, nie mam prawa ujmować się za panią, przekonałem się, że zbłądziłem, i raz jeszcze szczerze i z całego serca panią przepraszam.

„O panie, jakżeż ci wyrażę tę wdzięczność jaką przepełniona moja dusza..... i spojrziała na niego z wyrazem prawdziwej wdzięczności, której doznawała w tej chwili, która oczy jej łzami zwilżyła.

Twarz Michała ciągle poważna, jaśniała dziwnym blaskiem męskiej piękności, w całej jego postaci tyle było szlachetności, tyle czucia, że Adela spojrzawszy na niego, oczu oderwać nie mogła. Ale kolój na nich wypadła i zmięszali się z wirem tańczących, po figurze Michał zbliżył się znów do Adeli i głosem nieśmiałym i drżącym mówił:

„Pani! to jest dopiero połowa tego o czém myślałem w chwili, kiedyś mnie raczyła zapytać.

Adela, która z zamysleniem wpatrywała się w swój bukiet i niekiedy rękę na sercu kładła, jakby chciała uśmierzyć jego drżenie, podniosła głowę i wlepiła

w niego spojrzenie pełne wyrazu i zapytała wzruszonym nieco głosem.

„Jakaż jest druga połowa?

„To, co mam powiedzieć, tak jest ważne, tak dalece los całego życia złączony jest z tém co teraz z ust pani usłyszę, że prawdziwie nie wiem jak zacząć.

„Zacznij pan po prostu tak jak myślisz, jak czujesz, odpowiedziała Adela z wzrastającym wzruszeniem.

„Pani, ja kocham, kocham z całym zapalem czystej prawdziwej miłości.

„Panie, czyliż tu jest miejsce do podobnych oświadczeń, mówiła z widocznym pomieszaniem Adela, a usta jej drżały.

„O! nie lękaj się pani; to co ci powiem, bez obrazy twojej tu ci powiedzieć mogą. Ja kocham pannę Helenę, byłbym najszczęśliwszy, gdybym mógł mieć nadzieję, że ręka jej kiedyś do mnie należeć będzie.

„Panie..... w istocie..... to co mi pan mówisz..... tak nie spodziewane..... to jest..... przeciwnie, uważałam... że Helunia dawno..... chciałam powiedzieć że pan od dawna.....

Michał nie chciał nadużywać swego położenia, nie patrząc więc na jej zmieszanie, ani na łzy upokorzonej miłości własnej, które się gwałtem do oczu jej cisnęły, mówił:

„Ja wiem, że to natychmiast nastąpić nie może. Panna Helena nie zna mnie tak dobrze jak kobieta znać powinna tego, któremu całą swą przyszłość powierza; błagam cię tylko pani, ażebyś pozwoliła mi bywać u siebie w tym charakterze, nie przed panną Heleną nie wspominając.”

Podczas tej mowy Michała, Adela przyszła do

siebie; a że nie prawdziwa miłość, ale chwilowe zapomnienie było przyczyną jej zamieszenia, a nade wszystko iż wiedziała, że Helunia szczęśliwą będzie z Michałem, którego od dawna kocha, odpowiedziała poważnie i z godnością.

„Helunia jest panią swego wyboru, co do mnie znam pana z tak dobrej strony, iż nie miałabym żadnego powodu stawać na przeszkodzie pańskim widokom.

„O! pani, jakżeż ci wdzięczność moją wyrażę. Im dłużej znam pannę Helenę, tém więcej odkrywam w niej przymiotów i czuję, że tylko przy niej będę mógł być szczęśliwym.”

Właśnie skończył się kontradans i Michał z oznakami jak najgłębszego uszanowania, odprowadził Adelę na miejsce.

Zbyt mało mam znajomości kobiecego serca, ażebym mógł domyślić się wszystkiego, co się w tej chwili działo w duszy Adeli. To jednak pewna, iż gdyby Michał zamiast o Helunię, o nią się był w owej chwili oświadczył, nie bez wewnętrznej walki, nie bez żalu, była by mu odmówiła.

Po tej rozmowie, Michał na krok nie ruszał się od krzesła Heluni; z nią tylko tańczył, z nią tylko rozmawiał, a kiedy wychodzili po skończonym wieczorze, podał jej salopę, troskliwie otulił i drżącą na jego ramieniu dziewczynę do karety sprowadził.

Biedaczka, długo, wróciwszy do domu, nie wiedziała, czy to sen, czy prawda, czy istotnie pan Michał to jej powiedział; czy to były prawdziwe jego oczy, które tak na nią patrzyły; ale podwójne bicie serduszka i ognisty rumieniec, który twarz jej palił, powiedziały jej, że to nie był sen.

**Zakończenie.**

W kilka miesięcy po owym wieczorze u państwa M. w samym środku karnawału, pełnym ruchu i zabaw, mieszkanie zajmowane przez panią Karnecką przy ulicy Długiej, przedstawiało pełen życia i świeżości obraz. Powozy to wjeżdżały w bramę, to odjeżdżały, służba biegała na wszystkie strony, lokaje znosili torty, majonezy, ciasta; zapewne pani Karnecka wydaje wieczór, lub święci jaką ważną dla siebie rocznicę. Jeżeli jesteśmy ciekawi, wejdźmy do przedpokoju; przejdźmy po szklącej posadzce pierwszego i drugiego pokoju; niech nas nie zatrzymują wazony kwiatów, ulotne festony świeżo zawieszonych firanek, jaśniejące brązem kandelabry i świeczniki; idźmy dalej w głąb tej świątyni, której boginiami Adela i Helunia. W pokoju przeznaczonym na garderobę, cztery szwaczki siedzą, po dwie schylone nad robotą dwóch sukien, jedna biała kaszemirowa, to dla przyszłej pani hrabiny; druga biała atlasowa, to dla przyszłej pani Michałowój, to ślubne suknie Adeli i Heluni. Kto zastanowił się nad charakterem Adeli, ten nie zdziwi się, że w dwa tygodnie po owym u pani M. wieczorze, kiedy hrabia Feliks oświadczył jej swoją miłość i o rękę prosił, zgodną z życzeniem otrzymał odpowiedź.

Adela nie kochała hrabiego, bo ważne pytanie, czy kogokolwiek kochać mogła? ale rada była, że zostanie hrabiną, że imponować będzie w tym świecie, który ją dotychczas miał prawo jedynie znosić, że będą bywać u niej hrabiowie, książęta, że na

przyszłą zimę pojedzie do Wiednia, Paryża, gdzie nikt nie domyśli się nawet, że owa pełna wdzięku i arystokracji hrabina, jest córką kupca bławatnego z Warszawy!

Nie można powiedzieć, żeby i postępek Michała nie przyczynił się do przyspieszenia jej decyzji, słowem tak się wszystko ułożyło, że małżeństwo Adeli nikogo nie dziwiło, nikomu nie sprawiało przykrości, co ją z wszystkiego najwięcej bolało.

Michał ulęczony zupełnie z miłości dla Adeli, nad którą, im więcej poznawał, tém więcej się litował, w miłości Heleny znalazł świat dotąd zupełnie dla siebie nowy.

Czémże, jeżeli nie gorączkowym szałem była owa miłość w porównaniu z tém błogiem, spokojném, tkliwém uczuciem, jakiego przy boku Heleny doznawał. Czuł, że jest wszystkiém dla niej; wiedział że jest pierwszą i spodziewał się być ostatnią jej miłością. O dziesięć lat bliższy starszy, patrząc na świeżą postać Heluni obok prawdziwej miłości, czuł rodzaj rodzicielskiego przywiązania, chciałby ją samém otoczyć szczęściem, chciałby z drogi jej życia unieść wszystkie ciernie, żeby jej tylko same zostawić kwiaty.

A Helunia? któż nie zgadnie co się w duszy jej działo. Dla niej Michał był pierwszą i ostatnią literą serca. Ta myśl, że z nim, obok niego zawsze i wszędzie, ma przebiec życia drożynę, myśl ta tak ją uszczęśliwiała, że nie raz sama jedna siedząc w pokoju, chwytala się za czoło, za serce, żeby się przekonać, czy nie marzy, czy to wszystko rzeczywistość; co ją obchodziło, że tę lub ową weźmie suknię, te lub owe kwiaty; że opiekunka daje jej 100,000 w posagu, a pan hrabia djamentowy garnitur, to dla niej rzecz obojętna, ona my-

śli tylko o tém, jak stać się godną swojego szczęścia, jak odplacić Michałowi za jego miłość, za szczęście którym ją obdarza.

Spuśćmy zasłonę na ten obraz.

Za chwilę panny młode ubiorą się do ślubu i staną obok swych przyszłych u stóp ołtarza, szczęśliwe! a sami wejdźmy na chwilę do tego gmachu, co się wznosi na rogu Długiej ulicy, nad którego drzwiami wiszą długie i ciężkie kajdany; tam inne gody, inne przygotowania. To arsenał. O nieszczęśliwy gmachu! iluż scen strasznych, obrzydłych, rozdzierających, jesteś świadkiem! Tyś prawa ręka ludzkiej sprawiedliwości! w tobie zagrzebane to, co ona uznaje za odrzucone! Ty smutną koniecznością zepsutej ludzkiej natury. Heż myśli widok twój nastrecza człowiekowi, który nie głową tylko zapatrzuje się na świat i życie, który wierzy w szlachetność ludzkiej natury, płacze nad jej spodleniem i który w sądzie tej ziemi, nie widzi jeszcze szlachetnego wyrazu hezwzględnej sprawiedliwości.

Na podwórzu więziennóm także ruch, także przygotowania; żołnierze przeprowadzają więźniów z podwórza do kancelaryi i znów z kancelaryi na podwórze. Strażnicy brząkają kluczami zatkniętymi u pasa, klną i popychają. Intendent więzienny wydaje rozkazy dwóm strażnikom i czterem żołnierzom stojącym pod bronią, oni to odprowadzą do najpierwszej stacyi więźniów skazanych na Sybir, już stanęło kilku mężczyzn i kobiet gotowych do podróży. „Czy już wszyscy?” pyta groźno Intendent. Strażnik spojrział w książeczkę, przeliczył więźniów i zawołał: „brakuje jednego!” „Jaki numer?” spytał Intendent; strażnik skonfrontował numer więźniów z książeczką i odpowiedział: „115”. W tej chwili od skrzydła na więzienie kobiet przeznaczonego,

otoczona żołnierzami szła wolnym krokiem w więzienną siermiędze, blada, wynędzniała, z zapadłymi oczyma Katarzyna, numer 115, przyszła uzupełnić grono więźniów przeznaczoną na osiedlenie.

Biedna Katarzyna! skazaną została na dożywotne wygnanie. Chciała od razu poprzestać na tym wyroku, ale kazano jej odwołać się do wyższych sądów; i odwoływała się. Wyższe sądy potwierdziły wyroki niższych, bo prawo nie przewidziało podpalenia z miłości, a sędzia prawa zmienić nie może: on stosuje ale nie stanowi prawa. Teraz idzie na Sybir, bo chociaż kazano jej prosić o ułaskawienie, nim łaska jej udzieloną być może, ona musi się stosować do woli ostatniego wyroku. Idzie więc wraz z innymi na Sybir.

„Czy już wszyscy, zawołał ochryplym głosem Intendent więzienia.

„Wszyscy, odpowiedział strażnik z opiłą twarzą.

„No to marsz.

Brzękły kajdany u nóg złoczyńców, klucze strażników, karabiny żołnierzy, brama z skrzypnięciem się rozwarła, i ta karawana zbrodni ruszyła w miasto.

Pierwsza stacya na Pradze, tam strażnicy więzienni, oddadzą złoczyńców władzy konwojującej na miejsce wygnania, a sami z żołnierzami wrócą skąd wyszli. Właśnie kiedy przechodzili przez Długą ulicę, zatrzymał się rząd powozów, wyjeżdżający z bramy jednego domu; wszystko lśni się od atłasów, jaśnieje drogiemi kamieniami, wszędzie bukiety, wieńce, girlandy, to znajome nam dwa wesela. Państwo młodzi jadą do kościoła Panny Maryi, gdzie ich czeka ksiądz z błogosławieństwem, krewni i przyjaciele z uściskami i życzeniem.

W jednej karecie jedna, w drugiej druga panna

młoda z niewieściami orszaki. Pan hrabia karétą zaprzężoną w cztery pocztowe konie.

Michał w zgrabnym ale skromnym powozie, na wszystkich twarzach uśmiech, we wszystkich oczach radość.

Więzienny orszak zatrzymał się nie mogąc przebić szeregu powozów, który płynął z bramy i skręcał na prawo ku Staremu Miastu.

Przeciwległy chodnik przepelniony był widzami; tak, iż tamtędy przejście było niepodobne. Stanęli strażnicy, stanęli skazani. Katarzyna z początku oślupiałym po wszystkich wodziła wzrokiem, ale kiedy przez lustrzane szyby karéty ujrzała twarz Adeli, a tuż za nią Helenę, krzyknęła przeraźliwie i upadła na ziemię. Strażnik kopnięciem przywrócił jej zmysły, ona wstała, zasłoniła oczy załamaniem rękoma, wspomniała Małopole i swoją zagrodę, której już więcej nie ujrzy, i Józefa którego tak kochała, serce jej ścisnęła niewysłowiona boleść, i przez palce popłynęły obfite łez strumienie.

Nie będę opisywał ani hucznego wesela dwóch par, ani szczęścia Heluni, gdyż czytelnik je łatwo wyobraźnią i sercem swoim dopełni. Dodam tylko, że po przepędzonej w Warszawie zimie, oba małżeństwa rozjechały się. Pan Michał wziął w dzierżawę Małopole i tam żonę swą zawiózł. Naprózno sililbym się skreślić uczucia miotające sercem pani Michałowej, gdy ujrzała małopolski dworek; ganek na którym tyle razy stojąc, dumiała o Michale, to okienko przy którym z krosnami siedziała, ten ogród, te kwiaty... Cały dzień zajęta gospodarstwem terażniejsza pani Małopola, wieczorem czyta obok Michała, lub na fortepianie towarzyszy jego skrzypcom, albo na jego wsparta ramieniu, przechadza się po tajemniczych aleach ogrodu. W miej-



scu gdzie była chata biednej Katarzyny, na rozkaz Heluni stanęła kaplica pod wezwaniem S-tój Katarzyny. Tu co tydzień odbywa się msza za nie-szczęśliwą zmarłą za życia, którą miłość poprowadziła do zbrodni, a w uroczystość S-tój patronki wiejskie dziewczęta zbierają się, obraz jej zdobią w polne kwiaty i nucą pieśni nabożne.

Adela z mężem w wygodnym powozie, spieszy zwiedzić obce kraje, a lepsza pod tym względem od wielu, zaczyna od starożytnego polskich królów grodu. Zwiędzili już wszystko, co jest godnym widzenia w mieście; Adela nad każdą zatrzymywała się pamiątką, bo jak potem odezwać się w towarzystwie, że się było w Krakowie i tego lub owego nie widziało. Podczas tych wycieczek hr. Feliks ziewa i mruży, że nie wie, po co przyjechali do Krakowa, na jaką pamiątkę chodzą po wszystkich kątach, że wolałby już widzieć się w Berlinie, gdyż opera włoska krótki tylko czas ma tam bawić; pociesza go tylko doskonale cygaro, które na chwilę go nie opuszcza.

Nareszcie zgodziła się Adela na opuszczenie Krakowa; pragnie tylko raz jeszcze przejść się nad brzegiem Wisły, ulubionej swój rzeki.

Ranek był pogodny, mgła znikła na wodzie ze-wsząd rażona promieniami słońca; rzeka spokojnie kołysze się w swém korycie i każdą falą, oddaje słońcu pożyczone od niego błyski, na wodzie i w powietrzu cisza, co to nie jest ani milczeniem ani gwarem, ale cichym szeptem natury, poranną stworzeń modlitwą.

Adela stała chwil kilka nad brzegiem pojąc się tym rozkosznym widokiem; gdy oryle, którzy się byli na nocleg pod miastem zatrzymali, przy odgłosie pieśni zaczęli ruszać w dalszą drogę.

Posuwa się z wolna olbrzymi płat drzewa; drygawki w ruchu, oryle z zakasanemi rękoma, z krótkimi fajeczkami przebiegają z jednego końca na drugi, wywołując krzyczą... Jeden tylko z nich stoi nieruchomy na brzegu tratwy i oczy w stronę Warszawy obraca. Twarz jego piękną i młodą cierpienie wczesną zorało zmarszczką, z długich jasnych włosów w nieładzie po ramionach błędzących, z rozpiętej na piersiach koszuli, i podartej choć czystej sukmany, wygląda jakby wielkie nieszczęście, może rozpacz... Kiedy tratwa minęła stojące na brzegu pale, oczy oryla padły na Adelę; z początku niedowierzenie odrysowało się na wybladłem jego czole, potem skronie krwią nabiegły, i cała twarz żywym zapłonęła szkarlatem... oczy jego jak piorun błysnęły, z piersi wydobył się głęboki jęk... w tejże samej chwili Adela spojrziała na niego i poznała wiernego Józefa. Biedny Józef straciwszy matkę, chudobę i wszystko co go tylko przywiązywało do wioski, wstał dnia jednego o świcie, wyjął z skrzynki ostatnie pare talarów, bieliznę włożył w zawiniątko i poszedł w Krakowskie do orylki. Gdy go poznała Adela, lzy jej się w oczach zakręciły i wspomnienie Józefa wiązało się z najmłodszymi wspomnieniami jej serca, smutek i tęsknota ją owładły; chciała by go zatrzymać, pożegnać jednem przychylnym słowem, jednem miłym spojrzeniem. Ale tratwa posuwa się rączo, już go wśród innych zaledwo rozpoznać może, wzniosła więc tylko w powietrze białą chustkę i kilka razy posłała mu swe pożegnanie; Józef zdiął kapelusz i podniósł w górę na znak iż zrozumiał i dziękuje, po chwili mgła, oddalenie zakryło całkowicie tratwę, i płynących na niej flisów.

# GAWĘDA CIOTUNI.

## — Nie mów hop, aż przeskoczysz.

— Co tu począć? jak tu sobie poradzić? mówiła młoda i ładna pani Karolowa, siedząc przy kominku obok ciotuni, która żwawo przesuwiała w palcach druty od półczoszki, podczas gdy pan Karól palił nieco o podał sygaro. Co tu zrobić z temi zapowiedzianemi odwiedzinami?

— Ha i cóż, odparła ciotunia, zażywając tabaczkę. Oto wam powiem krótko a węzłowato, przyjąć gościnnie, po dawnemu i kwita.

— Tak przyjąć, przyjąć kochana ciotuniu, odparła młoda kobieta, ale cóż na to świat powie? Pani Włodzimierzowa zgubiona zupełnie na sławie, porzuciła męża dla innego, i w błocie tarza poczciwe imie kobiety.

— Aż zgroza pomyśleć, co mi o niej nagadał mój brat Ludwik, za mej ostatniej bytności w Warszawie, przerwał pan Karól.

— O! jużto Waszmoście najskorsi jesteście do potępiania drugich, mianowicie gdy idzie o biedne kobieciska. A pamiętasz Wasze co Chrystus powiedział w Ewangelii: Kto sam bez grzechu jest, niech

pierwszy rzuci kamień. Uderzylibyście się lepiej, oto sami w piersi, bo i któż zawsze daje pochop do złego? kto uwodzi niewiasty fałszywemi słowy i przyrzeczeniami których dotrzymać nie myśli? kto zaprawdę, jeżeli nie wy mężczyzni. A jak się której Panie odpuść, jeno pośliznie stopa, to już tyle narobicie krzyku i hałasu, jakbyście w sercu ani kropli chrześcijańskiego miłosierdzia nie mieli.

— Ależ moja ciotuniu rzekł Karol, znasz przecie przysłowie: „Powiedz z kim przestajesz, powiem kto sam jesteś.”

— Nie naszeć to przysłowie odparła ciotka wstrząsając głową, ale jakieś tam zamorskie czy Francuzkie, człowiek sam za siebie tylko odpowiada przed Bogiem, a bliźniemu winien przedewszystkiem miłość i pobłażanie. Pięknać mi miłość Mospanie popchnąć kogo w dół, dla tego, że mu się noga zachwiała. A pamiętaszże Waszmość, że Chrystus wziął bez odrazy rękę trędowatego, nie bojąc się zarażenia.

— O! to też Chrystus zupełnie co innego, odparł Karól, przecież on był Bogiem.

— Prawda że był Bogiem, ale trzeba Waszeci wiedzieć, że Chrystus nie darmo nie czynił, ale we wszystkim chciał żebyśmy poszli jego drogą.

Pan Karol skinął głową w milczeniu.

— A potem ciągnęła dalej ciotka, zgnilizna chwytta się zgnilizny, choroba tam się udziela, gdzie trafi na złe usposobienie. Niech jeno twoje serce będzie czyste jak szkło, to go się zaraza nie imie, jak Bóg na niebie. Baczmy więc przedewszystkiem sami na siebie, a złe nie przyjdzie do nas od drugih.

— A jednakże moja kochana Ciotuniu rzekła pani Karolowa, przyznaj że sama, czyż można zarówno poważać złych i dobrych? A gdzież by by-

ła naówczas (dodała z niewieścią dumą) nagroda dla nas enotliwych kobiet, gdyby nas świat nie odróżnił od słabych i przekraczających jego prawa.

— Moja Tereniu, rzekła pani Wojska gadasz o enocie, a wiesz że ty co to enota?

— Jakto ciotuniu, alboż nie idę jęj drogą, cóż mi zarzucisz w tym względzie?

— Nie mów hop aż przeskoczysz moje dziecko, odparła pani Wojska z wolna zażywając tabaczkę. Cnota moja Tereniu, to wytrwanie w dobrém, pomimo sprzecznych okoliczności, to zwycięstwo nie raz ciężkie nad samym sobą, enota powtarzam, to cierpliwe dźwiganie swego krzyża w znoju i pocie czoła. Taka zaś enota, co jeszcze nie przeszła żadnej próby, oj szerokoć to jeszcze Dawidy o niej pisały.

Pani Karolowa nie odrzekła ani słowa, ale po zapłonioném jęj lieu, po poruszeniu drobnych paluszków, któremi kręciła róg chustki, znać było lekką urazę i niezadowolenie.

— Jużciż moja ciotuniu rzekł Karol, prawda że moja żona nie miała dotąd czasu przekonać świat o stałości swych zasad, ale przecież i za to co dotąd czyni, ma prawo żądać nagrody.

— Moje dzieci odparła ciotunia, biada temu, kto by się oglądał na nagrodę od świata. Cała zapłata leży tu moi kochani (to mówiąc wskazała na serce). Bóg za dobre uczynki, zsyła swą łaskę jakoby rosę niebieską. Ale pamiętajcie dzieci, że tylko to popłaca u Boga, coście z miłości dla bliźniego uczynili, inaczęj enota wasza będzie jak ów grób popielany, o którym mówi Ewangelia.

— Jużto ja widzę, że kochana ciotunia kroi koniecznie na to żebyśmy przyjęli w domu swoim

panią Włodzimierzową rzekł Karol, biorąc tabaczkę z ciotczynej tabakierki, a ja mam serdeczną ochotę wyjechać jutro rano z żoną na kilka dni z domu, a potem wytłumaczyć się grzecznie, żeśmy nie otrzymali listu z uwiadomieniem o jej przyjeździe.

— Rób sobie Waszmość jak chcesz, mój Karolu, nie jesteś przecie dzieckiem, ba! już ci się mléko pod nosem nie bieli, ale ja wam powiadam: pobłażajcie bliźnim waszém, jeżeli chcecie znaleźć pobłażanie u ojca Niebieskiego. Oj długieć to lata człowiek, kołacze się już na świecie, widziało się i to i owo. Pamiętam ja w młodości mojej, na taki sam własnymi oczami patrzałam wypadek, i przekonałam się że nie należy nigdy za nadto sobie ufać, bośmy wszyscy słabi i ułomni, a kto pod kim dołki kopie, ten sam najprędzej w nie wpada.

Karol przewidując jakąś nową dykteryjkę ciotuni, nałożył fajkę, pani Karolowa usiadła przy stoliku z robotą w ręku, oczekując na opowiadanie pani Wojskiej.

— No powiedzże kochana ciotuniu, jak to było, rzekł Karol, może nas i przekonasz.

— Żal się Boże jeno psuć gębę, odparła starowina, wam młodym zdaje się żeście wszystkie pozjadali rozumy, dla tego, żeście z parę set książek przepytlowali, a ja wam powiadam, że żadna książka nie nauczy tyle co własne doświadczenie.

— Nie przeczę droga ciotuniu, to też dla tego proszę cię nie ociągaj się dłużej.

Pani Wojska zażyła tabaczki ze srebrnej tabakierki, pomyślała chwilę patrząc w płonący na kominku ogień.

— Owóż powiadam Waszmości rzekła nakoniec, mieszkałam naówczas z nieboszczykiem mężem w

Kujawach pod Kowalem. O granicę od nas mieszkali Stolnikostwo Brodziejowie. Zaci to byli ludzie, Stolnikowa zwłaszcza, Panie świeć nad jej duszą, nikomu wody nie zamąciła, jeno do rany przyłożyć kobiecisko. Stolnik także, nie pokrzywdził nikogo, ale miał jedną wadę, za którą tam już zapewne przed sądem Boskim odpowiedział. Oto kochał ci pieniądze nad wszystko, talary pleśniały u niego w okutej skrzyni, którą trzymał zawsze w sypialni przy łóżku, a jak się przyszło z którym rozstać, to tak mu było markotno, jakby się z rodzonym bratem żegnał. No aleć i któż bez ale, to też stolnik nie dybał na cudze broń Boże, ale swojego też nie rad komu użyczył. Teraz mospanie nie byłoby i oczem mówić, boć to prawie wszyscy tacy: w młodości hulają, marnotrawią, a na starość skąpią tam gdzie niepotrzeba, ale przedtem powiadam inaczej Mospanie bywało. Jaki taki rad poratował w złej doli brata albo kuma, a Pan Bóg to jakoś obliczył w sprawiedliwości swojej, i w trójnasób z lichwą odmierzył. Owoż Mospanie Stolnik więcej żył dla siebie jak dla drugich, nie przy mierzając jak wy to teraz wszyscy czynicie. A mieli Stolnikostwo trzy śliczne dziewczątka, istne aniolki. Liczka miały jakby malowane, oczki jak tarczki czarniuchne, a takie świecące jakby dwoje gwiazdek. Włosy miały ciemne jak z jedwabiu, a jak rozpuściły bogate kosy, to aż do stóp im sięgały. Usteczka ich były drobne malinowej barwy, a ząbki, jakby dwa sznurki urjańskich pereł. A wszystkie trzy, podobne były do siebie jak trzy krople wody, zwłaszcza dwie młodsze, boć to były bliźnięta. Oj to też w domu Stolnikostwa, gwarno było i wesolo. Młodzież przyjeżdżała jak na lep, boć wiadomo było że u stolnika skrzynia nie próżna, że co

roku przedawało się kilka set korey zboża w Gdańsku, ba i często gęsto, przykupiło się jaką taką wioszczynę. Toć też i Stolnik sam nie wiedząc kiedy, z prostego szlachcica jak i drugi wyszedł na pana. A łatwo mu było przyjść do majątku mospanie bo się umiał dorabiać. Nie tak jak oto teraz Waszmoście, co to na lada jakiej szlacheckiej fortune, zaczynacie gospodarstwo, od wygalonowanej liberyi, powozu i machoniów. U stolnikostwa siedziało się na dębowym stolku i dobrze było każdemu. I liberya wisiała na kołku w komórce, ale pachotek co w niej chodził przy gościach, jak nie było nikogo, wdziewał siermięgę i wyganiał konie na łąkę, lub pasł trzodę na ugorze. A trzeba Waści wiedzieć, że jak Stolnik pojechał do Warszawy za interesem, to ani złamanego szeląga nie strwonil na darmo. Zajechał prosto jak w dym, do Ojców Bernardynów, gdzie miał brata Gwardyanem. Na drogę pocziwa Stolnikowa, obładowała mu brykę bigosem, wedliną, chlebem i masłem. Wziął ci jeden i drugi worek obroku a nawet siana, ile się pomieściło. Słowem Stolnik zanim grosz wydał, to go z dziesięć razy wprzód obejrzał do koła, powtarzając często, że kto o grosz nie dba, to sam szeląga nie wart. I w gospodarstwie też Stolnik strzegł się wydatków jak ognia. Mówił on zawsze Mospanie, że lepszy wróbel w ręku niż cietrzew na sęku, i dobrze zaprawdę na tem wychodził. A takie miał szczęście że mu wszystko jak to mówią drzwiami i oknami w dom lazło.

Owóż powiadam Waszmości, panny Stolnikówny miały niesłychane powodzenie. Jak się pokazały na reducie w Włocławku lub w Kłodawie, co się im często nie zdarzało, to choć i mniej wystrojone od innych (bo Stolnik żałował pieniędzy na fatałaszki) tańcowały przeciw do upadłego.



— I cóż w tém dziwnego, kiedy były i piękne i bogate, przerwał Karol. Te dwie rzeczy zawsze popłacały podobno.

— Juźciż uroda jak uroda, ale co pieniądz, to za dawnych czasów, nie miał takiego jak dziś walu. Skromność, potulność, pracowitość, w to mi graj mospanie, te były niewieście zalety, za którymi się młodzież ubiegała, ale co za posagiem, to zaprawdę nie tyle co dzisiaj. Mało téż było wówczas posażnych panien. Bracia zagarniali trzy części ojcowizny, czwarta część przypadła na siostry, choćby tego było i dziesięć. Było to i źle i dobrze; źle boć przecież i kobiéta i mężczyzna zarówno boskie stworzenia; dla czegoż więc takie jej upośledzenie? Tego podobno w prawie boskiem nie znajdziesz. Ludziec to tak nakrzywili do swego widzimisie, boć mocniejsi pisali prawa. Ale z drugiej strony było to mówię i dobrze, bo dziewczęta wzrastały z przekonaniem, że się nie ma co oglądać na posag, starały się przeto o nabycie niewieścich zalet, były potulne i skromne. Mężczyźni zaś, mając nie wiele bogatych, pojmowali i ubogie, i więcej się w wyborze żony radzili sercem jak rozumem. Owoż powiadam waści, panny Stolnikówny, miały kawalerów co nie miara. Jak przyszła niedziela i święto, to aż czarno było na dziedzińcu od kolas, a jaki taki chudzina, to i na człapaku przyjechał, zwłaszcza kiedy miał nie daleko.

Poczciwa Stolnikowa, nie raz ze łzami obejmowała kolana męża, prosząc go nieboga, żeby pozwolił jechać z dziewczętami na redutę.

— Nie potrzeba moja panno, mówił stolnik, nieprzymierzając tłuste ciele to i za piecem znajdą, nie ma co się z tém na targ wozić.

Milczała więc stolnikowa nieboga, boć to ona

tak musiała skakać, jak mąż śpiewał, znała respekt mospanie.

Owoż tedy pomiędzy młodzieżą, co bywała w Kurowie, uczęszczał pan Sędzic Stobnicki. A tęgi to był chłopak, jeno skry sypały mu się z oczu. To też ów pan Jędrzej, bo tak mu było na imię, ujął za serduszko pannę Barbarę, starszą Stolnikównę. Oj ślicznaż to była para zaprawdę, aż się oczy radowały mospanie, jak wywijali razem mazura. On chwata jakich mało, ona potulna jak trusia. Ale Stolnikowi, nie na rękę przypadły zaloty pana Jędrzeja. Staremu chciało się zięcia bogatego, a przynajmniej skoligaconego wysoko, Sędzic zaś nieborak nie miał się bardzo na co oglądać. Ojciec jego, Panie daj mu niebo, był Sędzią Grodzkim, ale że urzędował poczciwie, jak Bóg przykazał, nie dorobił się wielkich rzeczy, nadto obarczony liczną rodziną, zaledwie że mógł wystarczyć na mnogie domowe potrzeby, i na jakie takie wychowanie dzieci, których była łaska Pana Boga, bo aż podobno dziesięcioro.

W owym też czasie, bięda była na młodzież mospanie. Nie było już Palestry, jak za dawnych czasów. Do pruskiego wojska, jakoś Sędzic nie miał ochoty. Siedział więc chudzina przy ojcu i gospodarzył z nim na jednej wiosce.

Sędzia z swęj strony, równie jak i Stolnik niechętnie patrzył na zaloty syna. Sędzina perswadowała mu po macierzyńsku.

— Co ci tam po tém mój Jędrusiu. Za wysokie to progi na twoje nogi. Dostaniesz jeszcze odkosza, a potem i wstyd ci będzie nieboraku, a jak się to rozgłosi po świecie, to ci i wstręt zrobi u innych dziewcząt.

— Moja matko jedyna, mówił pan Jędrzej cał-

jąc kolana poczeiwěj niewiasty, kiedy mi tak serce  
lgnie, jakoby wosk do panny Barbary. Albo ta,  
albo żadna.

Matka smutno skłoniła głowę.

— Niech ci tam pan Bóg dopomaga moje dzie-  
cko, mówiła, a łza łzę jeno potęrała, o to Maje-  
stat boski prosić będę, ale mi się serce kraje, jak  
sobie pomysle, żeć to gruszki na wiérzbie, mój  
kochany. Nie będzie z tój mąki chleba.

A jednak biedne matczyisko, gdy syn wyjeź-  
dzał na szkapinie do Kurowa, żegnało go krzyżem  
świętym w powietrzu. Ba, i nawet zabrawszy się  
z dziewczętami, poszła piechotą do Brdowa, gdzie  
cudowny obraz Najświętszej Panny, modlić się na  
inteneję syna. Ale inaczej znać chciały wyroki  
Opatrzności. W Kurowie zjawił się nowy zalotnik  
mospanie. Nie młody prawda, ale za to bogaty co  
się zowie. Miał on za Włocławkiem dwie prześli-  
czne wsie nad Wisłą, wdowiec ale bezdzietny. Ze  
wszystkich trzech Stolnikówien, jakoś mu panna  
Barbara najbardziej wpadła w oko, bo też lubo wszy-  
stkie podobne były do siebie, ona jednakże była  
z siostr najurodziwsza.

Oj pamiętam jak dziś, było to w ostatki, Stol-  
nik rad, że Basia wpadła w oko Cześnikowi, roz-  
wiązał worek, co mu się nie często zdarzało, a  
sprowadził był jeszcze zeszlęj wiosny, kilka beczek  
wina z Gdańska, dokąd chodził ze zbożem. Zaprosił  
więc do siebie całe sąsiedztwo, i ja tam byłam  
z nieboszczykiem mężem. Bawiliśmy się wysmie-  
nicie, kapela z Włocławka, rznęła tego od ucha,  
a my tańcowaliśmy do upadłego. Biedne Basisko  
tylko, było nieboże jakby na torturach. Był ci także  
i pan Sędzic wraz z innemi w Kurowie, boć nie  
wypadało go żadną miarą wyłączać, zwłaszcza że

rodzice, ludziska poczciwi, szanowani byli w sąsiedztwie, i wraz z córkami zaproszeni zostali na ostatki przez stolnikostwo. Jednakże Stolnik z ukosa poglądał na pana Jędrzeja, nie dolęwał mu wina, choć kieliszek stał przed nim próżniuteńki, i przez całe trzy dni, nie wyrzekł do niego ani marnego słowa. Łzy kręciły się w oku nieborakowi, ile razy spojrział na śliczną Basię, zwłaszcza jak ją Cześnik prowadził za rączkę w polskim tańcu. Odbił ci mu ją wprawdzie kilkakrotnie, a jak kapela zagrziała mazura, tańcował z nią nieustannie, podczas gdy Cześnik poważną z starszemi panami prowadził rozmowę i spijał starego węgryzyna, którego mu Stolnik hojnie dolęwał.

— Panno Barbaro, rzekł z cicha do swojej bogdanki (upatrzywszy sposobną chwilę), z mojego szczęścia nie podobno nie będzie.

— Panu Bogu to tylko wiadomo, odparła zapłonią Basia półgłosem.

— A jak pannę Barbarę wydadzą rodzice gwałtem za Cześnika, to ja pójdę gdzie mnie oczy poniosą, mówił nieborak. Nie darmo też biją się w obcych krajach, może mnie też pierwsza kula nie minie.

— Nie rób tego na miłość boską panie Jędrzeju, mówiła Basia, blada jak kalina, zakrwawisz jeno serce rodzicielskie.

I Iza błyszczała w oku dzieweczęcia, a serduszko jej biło, aż się podnosiła lekka chusteczka na jej piersi.

Pan Jędrzej jednak zrobił jak zapowiedział. Jak się tylko rozgłosiło, że Stolnik przyrzekł rękę córki Cześnikowi, bez względu na jej łzy i lamenta, w domu Sędziostwa równy był płacz i lament, bo Jędrus znikł jak kamfora bez pieprzu.

Oj smutneć to było wesele Basi! a byłam na niem wraz z mężem. Poszła nieboga do ołtarza blada jak śmierć, wyrzekła słowa przysięgi zaledwie dosłyszczanym głosem, a gdy ksiądz opat Ołobocki, daleki krewny Stolnika, związał stułą jej rękę z ręką Cześnika, gdy włożył niebodze na palec złotą obrączkę, padła jak martwa na stopnie ołtarza, i na pół umarłą, ponieśli ją dróżbowie do rodzicielskiej landary.

Przyjechawszy do domu panna młoda, wpadła w straszną gorączkę, gadała w malignie cudowne rzeczy. Zabawa nie szła wcale. Daremnie Stolnik jak mógł nadrabiał miną, daremnie gości zachęcał do kielicha, wszyscy byli jakby powarzeni. Po obiedzie poszłam ci i ja do chorej Basi; niepoznała mnie nieboga, chociażmy się serdecznie kochały! Aż się serce krajało patrzeć na biedaczkę.

— Jędrzeju, Jędrzeju, gdzie ty jesteś, mówiło biedne dziewczę, pójdź do mnie pójdź, nie bój się niczego. Twoja Basia już nie żyje. Ojciec zabił mnie własną ręką.

Oko Basi pałało gorączką, krew o mało że nie tryskała z jej twarzy. Sprowadzono doktora, który puścił krew, i przystawił do głowy pijawki.

Nazajutrz lepiej się zrobiło niebodze. Osłabiona tylko była strasznie i blada jak mara z innego świata. Stolnikowa załamywała ręce z boleścią, siostry płakały gorzko.

— Oj nieszczęśliwa moja dola, mówiło biedne mateczysko, zmarnieje mi próżno niebożatko, co jej po majątku i dostatkach, kiedy sobie za nie kupi niedolę całego życia.

W tydzień po weselu, wyprawili Cześnik sute przenosiny. Stoły uginały się pod zastawą ze srebra. A dworno było i po pańsku w domu Cześnika

mospanie. Brakło jeno ptasiego mléka. Stolnik rósł jak na drożdżach, patrząc na zamożność zięcia. Stolnikowa jeno pobladła i wzdychała nieboraczka, ilekroć spojrziała na zapłakaną Basię. Młoda Cześnikowa drżała jak liś osiny, ile razy zbliżył się do niej małżonek. A ślicznie było niebodze w błękitnej sukni z ogonem, i w pięknym toczku ze strusimi piórami. Wszyscy radzi poglądali na jej nadobną twarzyczkę, jeno że każdemu aż się serce ścisnęło, widząc smutek wybity na jej gładkim czole.

Nie często odtąd widywałam Basię, chyba jak czasem przyjeżdżała na święta do rodziców. Stolnikowa tylko kiedy niekiedy bąknęła mi na ucho że pan zięć nie bardzo pilnuje żony, że jeździ jeno raz wraz do Warszawy, za jakimiś fa-cyendami i nigdy w domu miejsca nie zagrzeje.

Cześnikowa blada była zawsze i smutna jakby lilja, kiedy ją deszcz splucze i wichur nachyli ku ziemi. Bóg ją jednak pocieszył, bo jej dał dwoje ślicznych dzieci, chłopczyka i dziewczynkę a istne to były aniołki, wykapanie wizerunki matki. Cześnikowa pieściła je i chodowała po macierzyńsku, nigdy jednak niedopatrzyłaś wesela w jej oku, ani serdecznego uśmiechu na ustach.

Kilka lat upłynęło, Stolnika powołał Pan Bóg do swęj chwały. Dwie Stolnikówny wyszły za mąż wkrótce po siostrze. Stolnikowa mieszkała jak zawsze w Kurowie, odwiedzałam ją często bo mi żal było osieroconej nieboraczki.

W krótko po śmierci Stolnika dziwne wieści zaczęły krążyć po świecie. Zrazu nie chciało się uwierzyć wszystkiemu, aż tu gdy Francuzi weszli do kraju z Napoleonem, trzeba było nareszcie uwierzyć! Oj byłaż to dopiero radość i wesele w domu Sędziego. Pan Jędrzej powrócił z innemi, widziałam go nie za-

długo po powrocie; zmęźniał wypiękniał. Ślicznie mu było w ułańskim mundurze, z czerwonym kołnierzem i żółtymi wyłogami. Krzyż legii honorowej błyszczał na jego piersi, a sam Cesarz przypiął mu go na polu bitwy. Głęboka tylko szrama, świeży upominek z pod Jeny, przecinała mu na dwoje prawy policzek, ale go to bynajmniej nie szpeciło, owszem dodawało to męzkiego wyrazu jego twarzy.

Odtąd pan Jędrzej został w kraju ale nie chciało mu się opuszczać wojskowej służby. Ojczyisko rade by było zdać gospodarstwo na syna, i usunąć się do drugiego małego folwarku, matka pragnęła gorąco ożenić go, a co teraz to by można było upatrzeć nie lada żonkę a trzeba wiedzieć Waszmości, że pan Jędrzej miał do kobiet niesłychane szczęście, może i dla tego że stronił od wszystkich jak od ognia. Na niczem jednak spełzły matczyne zabiegi, bo syn nie chciał nawet słuchać o żeniacze, i nie chciał porzucić żołnierskiego chleba; który mu dziwnie jakoś przypadł do smaku.

Cześnik tym czasem facyendował to drzewem to zbożem, a szło mu znać dobrze bo niezadługo kupił znaczny klucz w Czerskim niedaleko Góry po nad samą Wisłą, dokąd się wraz z żoną i dziećmi niezwłocznie przeprowadził. Biedna Cześnikowa coraz bardziej żyła nieboga samotnie. Mąż bowiem raz na raz jeździł to do Gdańska, to w różne inne miejsca. Nadto przesiadywał często w dobrach swoich Kujawach. Żal mi było okrutnie biednej Stolnikowej która oblewała się łzami, aż łza łzę potraçała na każde wspomnienie najstarszej córki.

— Mój Boże mówiła zacna niewiasta, Cześnik wywiózł mi niebożatko w dalekie okolice, a i sam nie patrzy domu jeno wdaje się w jakieś tam frymarki ifacyendy. Potrzebne to rzeczy dla szlachcica, ży-

dom zostawić by lepiej takie rzeczy. Basisko i życiem jeszcze gotowe przyplacić wielkie państwo. Oj nie miałam ci ja instynktu da tego człowieka mówiła matka ze łzami, i gdyby nie wola nieboszczyka męża, nigdybym mu była Basi nie dała.

Pocieszałam niebogą jak mogłam, odwiedzałam ją coraz częściej w Kurowie, ale ciężko było ukoić srodze zakrwawione macierzyńskie jej serce. A cóż dopiero jak się rozpoczęła wojna 1809 roku! Wszelka styczność Stolnikowej z córką przerwała się na długo. Listy nawet nie dochodziły wcale.

Oj ta wojna! ta wojna! mówiła dalej ciotunia zażywszy tabaki i podsunąwszy tabakierkę słuchającemu pilnie Karolowi. Oj ta wojna ciężką była dla biednej Basi. Bóg srogą zesłał na nią próbę, ale idźmyż porządkiem do rzeczy.

Cześnik wyjechał był z domu na długo, Cześnikowa została sama z dziećmi. Owoż wyobraź sobie Waszmość co się działo z biedną kobietą. Wojsko nieprzyjacielskie wlekło się nieustannie przez Zagórze (tak się nazywała wieś w której mieszkała). Raz na raz nakazywano podwozy i liwerunki; biedne kobiecisko opędzało się jak mogło. Nakoniec jakby na dobitkę, huk armat dnia jednego odezwał się w pobliżu, Cześnikowa przerażona, przytuliła do siebie dzieciny, ukłękła wraz z niemi w sypialni przed obrazem Matki Najśw. Częstochowskiej i modliła się gorąco. Wtém hałas powstał na dworze, Cześnikowa porwała się z ziemi, pobiegła do przyległego pokoju, dzieciśka z płaczem trzymały się jej sukni. Kiedy słuchaj oto waszmość: otworzyły się drzwi sieni, i dwóch żołnierzy wniosło na noszach ciężko rannego człowieka. Był to znać wojskowy, wyższej rangi widać to było po szlifach. Krzyż legii honorowej błyszczał mu na



piersiach. Ranny nie okazywał żadnego znaku życia, blady był i postniały, istny trup, krew lała się strumieniem z przestrzelonego boku. Cześnikowa drżała jak liść osiny, nie straciła jednak ducha w stanowczej chwili, sama własną ręką rozpięła mundur rannego, nie przypatrzawszy się nawet jego twarzy, której śmiertelna bledź za pierwszym rzutem przeraziła ją strasznie. Zabrała się nawet do obmycia rany zimną wodą, gdy w tém nadbiegł chirurg pułkowy, i opatrzył chorego jak należy.

Po chwili ranny odzyskał zmysły, nie wiedział jednak co się do koła niego dzieje, przeniesiono go ostrożnie na wygodne łożo, a pocziwa Cześnikowa czuwała nad nim, jak anioł nad dobrą duszą, nie pytając nawet o jego nazwisko.

W krótko potem ucichły działa, kilku jeszcze rannych żołnierzy przyniesiono do zagórskiego dworu, gdzie wszyscy znaleźli rychłą pomoc i wygodę. Samym wieczorem gorączka przystąpiła do rannego, zaczął mówić od rzeczy piąte przez dziesiąte. Cześnikowa zaglądała do niego nieustannie.

Wyszła właśnie z pokoju, aby położyć spać i utulić dzieci. W jadalnej sali którejdy przechodziła do sypialni, żołnierze nałożyli ogień na komin i grzeli sobie piwo.

— Oj szkodać to szkoda naszego kapitana, mówił jeden. A dzielny to był i bitny wojak, toć też przyszła kréska i na niego.

— Chirurg powiada, że z niego pono nic nie będzie, mówił drugi.

— Ej gadacie, gadacie, rzekł trzeci, kapitan nasz chwyt, nie da się śmierci, jako żywo.

— Oj bracie, przerwał pierwszy, licha się tam kto wykpi od kostusi, jak naostrzy na niego kosę.

A szkoda szkoda, jak mi Bóg miły, boć podobno nie było i nie będzie wojaka jak nasz kapitan Stobnieki.

Cześnikowa zatrzymała się nieco, słuchając gawędy żołnierskiej. Usłyszawszy dobrze znane nazwisko, stanęła jak wryta, nogi zachwiały się pod niebogą.

Zebrała nareszcie całą siłę, poszła do sypialni, utuliła drobne dzieci, sama zaś biedaczka, upadła na kolana przed obrazem Najświętszej Panny. Modliła się długo, gorąco, myśli wiarem kręciły się w jej głowie, we dworze ucichło wszystko, jakby makiem zasiał. Padła w ubraniu na łóżko, ale sen nie skleił powiek biedaczki. O świcie wstała, pomyślała chwilę co czynić, nareszcie cicho, ostrożnie, poszła do pokoju chorego. Chirurg zasypiał smaczno nie rozebrany na kanapie. Pan Jędrzej, bo to był on, zasnął także trochę spokojniejszy niż z wieczora. Gorączka opuściła go nieco, lica jego raziły śmiertelną bladością.

Cześnikowej serce biło jakby młotem, świeca paliła się w kącie pokoju i słabo oświecała twarz chorego. Spojrzała na niego nieśmiało, i lzy potokiem puściły się z oczów niebogi, gdy poznała dobrze znajomą twarz pana Jędrzeja.

Ale ja bym tu gawędziła do jutra, rzekła ciotunia zażywając tabaczki, żebym się tak chciała nad wszystkim zastanawiać. Owoż mospanie koniec końcem, pan Jędrzej wyzdrowiał w miesiąc potem. Cześnik tymczasem wrócił do domu a ponieważ jakiś ważny interes wzywał go do Warszawy, wyjechał z Zagórza zostawiwszy żonę z dziećmi, w towarzystwie kapitana, który jakkolwiek zdrowszy, nie mógł jeszcze wychodzić z pokoju.

Diabeł nie śpi mospanie, rzecz władoma. Oj nie

zaspal ei, na biędę Cześnikowej. Panu Jędrzejowi tęż Panie odpuść, rozum obcy zajechał do głowy. Nowy kodex pozwalał na rozwód, owoż mówię Waszmości jak jał jęj perswadować, gadać, namawiać, tak tęż skłonił niebogę, że jęj się zachciało zmienić męza, ot tak nieprzymierzając, jak się zmienia suknią albo kapelusz.

— Jużciż moja ciotuniu, lepiej przecie że się rozwiodła z Cześnikiem, jak by miała marnować życie we łzach i tęsknocie, rzekł Karol.

— Panu Bogu to tylko wiadomo co lepiej mój kochany, sprawiedliwość Jego inna, niżeli mylne sądy ludzkie. Mnie się jednak widzi, że przysięga zawsze przysięgą, zawsze ją szanować należy czy dobrowolna lub nie. Nie będziesz brał imienia Pańskiego nadaremnie, mówi drugie przykazanie Boże. A nadewszystko szkodać była dziecisków niebożątek, co jeno Bogu duszę były winny, a przecież największa im ztąd dopieklą bięda.

Byłam właśnie w Kurowie u nieboszezki Stolnikowej, kiedy przyjechała do nięj Cześnikowa, ze swoją małą Fruzią. Syna mąż oddał był do szkół do Warszawy. Upadła nieboga do nóg matce jak długa. Zaczęj Stolnikowej nie chciało się w głowie pomieścić, jak to można opuścić męza.

— Moje dziecko, mówiła czcigodna niewiasta, złą obrałaś drogę, nie znajdziesz na nięj błogosławieństwa boskiego.

— Matko kochana, mówiła Cześnikowa, zastańów się jeno, przecież i kodex nie broni rozwodu, a potēm, wiész dobrze, że nie poszłam za mąż z dobrej woli.

— Co tam kodex moje dziecko, mówiła zaena matka, sumienie to najpięrszy kodex, tego prze-

dewszystkiem słuchać należy, a to pewno ci nie chwali twojego postętku.

— Przecież matko droga, każdemu na świecie należy się trochę szczęścia, a ja, czyżem go zakosztowała choćby odrobinę, sama jesteś świadkiem matko.

— Moje dziecko odparła Stolnikowa jedno jest tylko szczęście na ziemi, a tём jest świadectwo owego głosu, co ci powiada, żeś wypełniła to co do ciebie należy.

— Co się stało już się nie odstanie matko jedyna, mówiła znów Cześnikowa, ściskając macierzyńskie kolana. Mój mąż podpisał się na wszystko, jużby mnie nie przyjął choćbym chciała do niego powrócić. O matko matko, nie odpychaj mnie od twego łona.

— A te biedne sieroty, rzekła Stolnikowa, z ciężkim westchnieniem.

— Jasia, mąż bierze na opiekę, oddał go właśnie do księży Pijarów, Franią ja się będę opiekować.

— Pięknyż to przykład dla dzieci, mówiła matka, biedne sieroty!..

Koniec końcem mówię waszmości; póty biedna Cześnikowa płakała i molestowała, aż się Stolnikowa dała nakoniec zmiękzyć. Nie chwaliłać ona nigdy postętku córki, ale ot, tak jak to zwyczajna matka, przebaczyła i przygarnęła niebogą do siebie. Rozwód postępował spiesznie, już się skończył w pierwszej instancyi, kiedy jednego razu pan Jędrzej przyjechał do Kurowa.

Stolnikowa zrazu krzywo poglądała na niego, aleć na łzy i prośby córki, ułagodziła się nakoniec. Zresztą cóż było już robić. Jedyńy sposób zamknięcia ludziom gęby, było małżeństwo Cześnikowej z kapitanem.

— Dobrze to wszystko Ciotuniu, przerwał Karól, biorąc tabaczkę z ciotczynej tabakierki, aleć coż to ma za związek z naszą panią Włodzimierzową.

— A cóżeś to waszmość w goracej wodzie kąpany, powoli, powoli wyjaśni się wszystko. Właśnie teraz też przystępuje do rzeczy. Owoż mówię Waszmości, Cześnikowa zamieszkała przy matce, odżyła nieboga jakby kwiat na wiosnę, rumieniec znów zakraśniał na jej okrągłej twarzy, oczy świeciły jakby dwie gwiazdy, i była niemal tak ładna, jak owa niegdyś panna Barbara. Pan Jędrzej się też dosłużył pułkownikowskiej rangi i często gęsto zaglądał do Kurowa. Wówczas to właśnie żenił się Kasztelaniec Rawski, z panną Wojewodzianką Brzeską. Oj byłoż to dopiero wesele! gości zaproszono co niemiara, więcćj nawet niżeli mógł pomieścić dom Wojewody. Pani Stolnikowa zaproszoną była z córką, zrazu jechać niechciały obiedwie, ale jak pułkownik ją prosić i namawiać, jak przyjechały do Kurowa dwie młodsze córki Stolnikowy, skłoniły ją nakoniec że się wybierać poczęła do Brześcia. Pamiętam jak dziś, jeździłam właśnie z mężem do Warszawy. Cześnikowa prosiła mnie o kupienie potrzebnych strojów. Pułkownik chodził ze mną do sklepów i wybrał sam prześliczną suknię dla swojej Bogdanki, z którą radby się był poszczycić przed światem. Stroje kazałam porobić u Lida. Dla Cześnikowej kupiłam prześliczny kapelusik biały, podpięty wieńcem z drobnych różyczek. Oj ślicznież jej też było ślicznie, wszystkich oczy zwróciły się na nią jak weszła do sali. Pułkownik ledwie że nie szalał z radości, aleć krótka to była uciecha. Owoż Mopanie nie wszysecy dobrem okiem patrzeli na Cze-

śnikową. Znalazły się i takie kobiety co by ją i w łyżce wody utopić chciały, między innymi była tam Starościna Rokitnicka wielka magnatka mospañie, z córką swoją młodą jenerałową Q. Cześnikowa wpadła im w oko. Jenerałowa pożółkła aż ze złości, i aż przygryzała złośliwie usta, patrząc na hołdy składane ślicznej Basi. Usiadła przy matce zasępią i przymróżywszy oczu przypatrywała się przez szkiełko tańczącym. Ją jakby na przekór nikt nie wziął do mazura, i nie dziwnego, bo też była sucha i sztywna, a nadewszystko złość malowała to w jej zielonkowatych oczach, jakby u gadziuy.

Cześnikowa tańczyła z pułkownikiem, po skończonym mazurze pułkownik widząc próżne miejsca przyprowadził ją i posadził obok jenerałowej. Ona zmierzyła od stóp do głowy biedną Cześnikową, i wzrokiem źmii patrzyła na nią raz po raz z szyderczym uśmiechem, powstała nakoniec z dumą, i usiadła po drugiej stronie matki na kanapie.

— Czy to slychane rzeczy moja mamó, rzekła i niby z cicha, tak jednak żeby mogła być dobrze uslyszaną, czy to wypada, żeby podobne kobiety przyjmować w porządnym domu, wojewoda chyba stracił głowę.

— Zapewne moje dziecko, muszę mu też za to dobry pater noster powiedzieć rzekła matka, niech mi się tylko nadarzy sposobność po temu!

— Jakaż to zniewaga dla nas cnotliwych którym świat niema nic do zarzucenia, przerwała córka, żeby nas mięszać z takimi awanturnicami. Gdzież nagroda za nasze poświęcenie?

— Jeżeli społeczeństwo tolerować będzie podobne bezprawia, rzekła matka, to wszystko się roz-

przeże i upadnie. Dla dobra powszechnego powinniśmy być surowi w tém względzie.

— Bo powiedz tylko mama jak to można zapomnieć się do tego stopnia zupełnie tego nie rozumiem, opuścić męża, złamać przysięgę, mając do tego dzieci, to wstyd, hańba, sromota. Jabym tego nigdy nie zrobiła, gdyby mi przyszło niewiedzieć jak cierpieć.

Gdy tak rozprawiły między sobą, biedna Cześnikowa, to bladła, to rumieniła się, istny cudowny obraz. Chciała nieboga wstać, ale nie miała siły, nogi chwiały się pod nią i trzęsły. A trzeba waszmości wiedzieć, że niedaleko jenerałowej, ku drzwiom, stał młody wojskowy, przyjaciel i kolega pułkownika. Było mu na imie pan Kalasanty, ba i tak ci go wszyscy nazywali. Owoż pan Kalasanty, uważał dobrze każde słowo jenerałowej i jój matki. Przygryzł usta ze złości, bo kochał serdecznie pułkownika. A gdy się jenerałowa zaczęła odrzekać żeby tak sobie nigdy a nigdy nie postąpiła, uśmiechnął się złośliwie, skinął głową i pomyślał w duchu: „poczekaj, zjesz ty licha, zawsze to tak bywało, że która się najbardziej odrzeka, to ma najgorszego djabła za kotłnierzem.” A trzeba waszmości wiedzieć dodała ciotunia zażywszy znów tabaczki, że pan Kalasanty, śliczny był chłopak, a nie miał więcej nad lat dwadzieścia i parę. Twarz jego, była to istna krew z mlékkiem. Oczy miał modre, duże, brew ciemną wydatną, wąsik ciemny zakręcał się prześlicznie po nad rumianemi ustami. Włosy ciemne wily się w pierścienie nad gładkim czołem nieprzymierzając jakby u cherubinka. A takie miał szczęście do dziewcząt, że jak do której zaczął smalić cholewki to już było po niej, jakby ją czary urzekły, albo

złe nawiedziło. Oj znał ci to do siebie pan Kalasanty i nie raz panie odpuść nadużywał onych bożych darów, co i niekoniecznie było dobrze bo zakłócił pokój nie jednego dziewiczego serduszka.

Owoż mospanie po owym mazurze, kapela zagrziała polskiego. Mój Kalasanty nie wiele myśląc, prosto jak w dym do jenerałowej. A jak zaczął jęj szeptać na ucho, ścisnąć rączkę, tak i owa Panie odpuść, niezdobyta baszta, zwolniła jakoś okrutnie. Czy się tam rumieniła, czy nie, tego by nikt nie widział, bo różu miała grubo na palec na twarzy, ale oczy jęj zawsze pochmurzone, latały jak błyskawice, a usta uśmiechając się, odkrywały czarne popruchniałe zęby. A trafiło się to niebodze, nieprzymierzając jak ślepěj kurze ziarno, bo zazwyczaj nikt na nią i nie zważał, kiedy tyle było i urodniejszych i milszych.

Powiadam tedy Waszmości, że pan Kalasanty cały wieczór nie odstępował jenerałowej. Różni różnie o tém mówili, jednym się zdawało, że mu idzie o rychły awans, który zależał od męża jęj jenerała, mnie samėj Panie odpuść, nie świadomėj rzeczy, uwidziło się, że pański ton jenerałowej, ułudził nieboraka, i że rad był, iż tak wielka pani a do tego familiantka, raczyła spojrzeć na niego. Aż tu pan Kalasanty co innego miał w głowie.

Biędna Cześnikowa tymczasem, jak się wszyscy ruszyli do tańca, wysunęła się z młodszą siostrą do drugiego pokoju. Rozplakało się niebożątko, chciało nie czekając, odjechać do domu, aż wreszcie pułkownik uwiadomiony o wszystkiem potrafił ją przekonać.

— Co ci tam Basiu idzie o ludzkie gadanie, mówił całując białe jęj rączęta. Wiiesz, że cię kocham nad życie, i ty kochasz mnie nawzajem, po-



bierzemy się, jeno rozwód skończy, i zamkniemy wczystkim usta. Cześnikowój trafiły jakoś do serca słowa pułkownika, otarła oczy, wróciła do sali i całą noc tańcowała do upadłego, uciekając tylko jak od ognia od jenerałowój i jój matki.

Jenerałowa téż zapomniała o Cześnikowój, bo i nie miała czasu o niój pomyśleć, bo pan Kalasanty zamawiał ją do wszystkich tańców, ścigał ją okiem bez ustanku, i szeptał jój coś zawsze na ucho.

Przez trzy dni trwał festyn u Wojewody, bawiliśmy się przewybornie, a jenerałowa pewno nie gorzej od drugich. Stary Jenerał tymczasem grał w karty i spijał zapleśniałego węgryzna, spokojny o żonę, boć jój się dotąd nigdy nie trafiło popełnić żadnej płochości (Panie odpuść mówiąc między nami, dopóki się nie zdarzyła okazja). Nikt mu téż nie bąknął ani słowa, boć to rzecz wiadoma, że o takich rzeczach, mężowie najpóźniej się dowiadują. Nie długo téż po weselu w Brześciu, Cześnikowa dostała rozwód, i stanęła na szlubnym kobiercu obok pułkownika. Płakała nieboga okrutnie przy szlubie i nie dziwnego, boć przecież sumienie musiało się jakoś odezwać. Nie było nikogo na weselu w Kurowie, oprócz najbliższych krewnych i nas, którzyśmy w wielkiej z stolnikową byli zażyłości. Stary Sędzia ojciec Jędrzeja, kręcił tylko głową powtarzając niekiedy: „Mater Dei, dobrze to wszystko, ale tak się nie godzi.” Sędzina modliła się gorąco za pomyślność ukochanego syna. Stolnikowa niedomagała jakoś, i lzy ustawicznie kręciły się niebodze. Mnie samój serce ścisnęło się, bom w tem wszystkiém nie tęgą widziała wróżbę na przyszłość nowożeńców. Oj sprawdziły się sprawdziły obawy wszystkich, boć to

Pan Bóg żartować z siebie uie pozwala. Ale potem o tém.

— No, ale cóż się stało z jenerałową, zapytał ciekawie pan Karol, bo mi się jakoś zdaje, że ten pan Kalasanty, to łotr wierutny, pewno sobie z niej zażartował.

— Nie inaczej odparła ciotunia dobywając tabakierkę. Owoż powiadam Waści, po weselu u Wojewody, jeneralstwo i Starościna wyjechały do Warszawy, pan Kalasanty udał się także do pułku, który konsystował w stolicy. Zaczął więc często gesto odwiedzać dom jenerała, a gdy rozamorował należycie jenerałową, przestał bywać jakby uciął. Jenerałowa płakała, lamentowała, aż z rzuciwszy pychę z serca, napisała czuły liścik do swego bogdana, wymawiając mu, że ją zaniedbuje. Ale wystawcież sobie jój zdziwienie, gdy zamiast czulej odpowiedzi, odebrała tylko kilka słów napisanych ręką pana Kalasantego: „Kto pod kim dołki kopie, to sam w nie wpada, przypomnij sobie pani, wesele u Wojewody, i własne zarzekanie, że byś sobie nigdy tak nie postąpiła jak Cześnikowa. Chciałem się przekonać, czy to wszystko prawda. A teraz gdy się dowiedziałem, o co mi chodziło, żegnam panią, zostając jój najniższym sługą.

Kalasanty.”

— Dobrze jój tak, przerwał śmiejąc się głośno Karol, pani Karolowa położyła robotę i uśmiechała się od niechcenia.

— Aha! widzicie rzekła podchwytną ciotunia, o dopiero co niechcieliście przyjąć do domu pani Włodzimierzowej, a Terenia odezwała się istnie jak jenerałowa.

— No jakoż wierz mi moja ciotuniu, rzekła młoda kobieta, zbliżając się do kominka, żebym so-

bie nie postąpiła, tak jak ona, choćby mi tu stu panów Kalasantych stało przed oczyma.

— Djabeł nie śpi, moja żonko, już jabym tam ani jednego nie rad wpuścił do domu, strzeżonego Pan Bóg strzeże, rzekł z uśmiechem pan Karol, obejmując kibić nadobnej Tereni.

Ona pogroziła mu z lekka bieluchnym i delikatnym paluszkim.

— Żart na stronę moje dzieci mówiła ciotunia, częstując oboje tabaczką, nie odrzekajcie się nigdy niczego, o jedno prosić Boga żeby was strzegł w swem miłosierdziu. A nadewszystko nie wyrokujcie zbyt ostro o bliźnim, wszelkie sądy zostawieć Bogu, sami zaś miejcie w sercu miłość i pobłażanie dla słabych.

— Oj zapewne, zapewne ciotuniu, rzekła młoda kobieta, już ja jutro nie wyjadę z domu... nieprawdaż Karolu?

— Zapewne droga zoneczku, słuchajmy ciotuni, bo ona zawsze dobrze radzi.

— Nie darmom też zjadła zęby, moje kochane dzieci, ocierając się o świat i ludzi.

— No ale cóż się stało z Pułkownikiem i jego żoną, zapytał Karol.

— Ha, żylić zgodnie i szczęśliwie odparła pani Wojska z westchnieniem. Cóż kiedy niedługo, bo jeno rok niespełna, nadeszła pamiętna zima dwunastego roku. Pułkownik ruszył z wojskiem mospanie, żona została u matki z maleńkim dzieckiem u piersi. Oj płakała nieboga krwawemi łzami, kiedy się mąż oddalił. A widywałam ją często, bo mi żal jej było okrutnie. Jeździłam więc raz wraz do Kurowa.

Dnia jednego było to w zimie, przyniesiono list z poczty, pod adresem Stolnikowej, pisany był

z Wilna. Stolnikowa dla słabości oczów sama czytać nie mogła. Pułkownikowa karmiła wówczas swego małego Adasia. Zbladła śmiertelnie ujrzawszy, jakby ostrzeżona jakimś złem przecuciem. Stolnikowa prosiła mnie, żebym list głośno przeczytała. Złamałam pieczętkę, spojrzałam na podpis, było list pana Kalasatego, przebiegłam go w myśli oczyma. Zbladłam jak trup i upuściłam list na ziemię.

Pułkownikowa położyła dziecko w kołyskę, sama zaś drżąc jak liść ukłękła przed obrazem Boga-Rodzicy.

— Matko Boża! dodaj mi siły i odwagi zniosę niech mężnie nieszczęście, zawołała na głos. Uchyliłam głowę przed wolą Przedwiecznego, bom zasłużyła na ciężką dolę jaką mi przeznaczył.

Jużem na wszystko przygotowana, rzekła zwracając się do mnie: powiedz pani wszak mąż mój nie żyje.

— Tak nie żyje, odparłam zaledwie dosłyszonym głosem.

List bowiem pana Kalasatego zawierał uwiadomienie, że pierwsza kula pod Berezyną, przeszła pierś dzielnego Pułkownika.

— Biedna, biedna rzekła pani Karolowa, ocierając łzę spływającą ukradkiem z jej oka.

— A zniosła też ona nieszczęście, prawdziwie po chrześcijańsku, ciągnęła dalej pani Wojska. Święta to była niewiasta zaprawdę. Zbłądziła jako żywo, niema co mówić przeciw temu, ale też życiem dalszem okupiła błąd jedyny. Wychowała dziatki, Panu Bogu na chwałę, ludziom na pożytek. Świat widząc jej cnoty, zapomniał dawniej słabości, a kiedy kilka lat temu, pobożnie skonała na mém ręku, to zjednoczone głosy wszystkich oddały jej

sprawiedliwość, a Bóg przyjął ją pewno na swe łono w niezmiernem swoim miłosierdziu.

Dziesiąta godzina wybiła, pani Wojska powstała, i czule ścisnęła bratanka i jego młodą żonę, którzy stanowczo zaniechali zamiaru wyjechania z domu nazajutrz.

### K O N I E C.

Z powodu nieprzewidzianych okoliczności, Oddział drugi **Dzwonu Literackiego**, nie we czterech lecz w dwóch się tomach zamyka. Cały przeto zbiór kompletny tego pisma, w sześciu się tomach mieści, a w dwóch Oddziałach niezależnych od siebie.

Dwór i Chata, powiad. Swierzyński i Lubowicki

Przemak

Podziękowanie Państwu i P. W. Głównemu, 1890

Głód P. Głód

Żył i kochał się i p. Kłopotliwy i Kłopotliwy

manuskrypt

Bibliografia 1890 pisma Wągrowickiego Głównego

Nocna Piosenka, Swierzyński i Z. P.

Djak obrazek L. Głód i Z. P.

Podziękowanie Państwu i P. W. Głównemu, 1890

Swierzyński i Z. P.

Pouryo. Uluda, prace Swierzyńskiego i Kłopotliwego

Sam, 1890

szawiedliwość, a Bóg przylid ja pewno na swe  
 łono w nieśmierci swoim miłosierdziu.  
 Największa kobitka wydzia, pani Wolska powsta-  
 ła i czule serwując bratanku i jego młode żone,  
 której stanowozo zamieszkała w wydzianu  
 z domu bratanku, podziwiała, jak jał-  
 miłosierdziu, ogłaszając, że jał-  
 miłosierdziu i gurt jak miłosierdziu, a myżno być  
 miłosierdziu.

K O S T E K

Wskazywał w tym czasie, jakby widać było, że  
 jego miłosierdziu, jakby widać było, że  
 miłosierdziu.

—  
 X powodu nieprzewidywanym okoliczności. Od-  
 dział drugi **Wznowienie literackie**, nie wie-  
 czterech lech w dwóch się tomach zamyka. Tę-  
 przeto zbiór kompletny tego pisma, w sześciu  
 się tomach mieści, a w dwóch oddziałach nie-  
 zależnych od siebie.

List powiada, że Katarzyna, która w  
 domińcu, w pierwszej kuli pod Derczynem, prze-  
 szła przez dalekiego **Wolskiego**.

—  
 Wolski, który w tym czasie, w  
 rażeniu, w tym czasie, w tym czasie.

— A quoniam est...  
 Katarzyna, która w tym czasie, w tym czasie,  
 była niewiastą zaprawdą. Zawsze jako żywo  
 miała co mówić, przeto w tym czasie, w tym czasie,  
 dawała dźwięki, jakby w tym czasie, w tym czasie,  
 Pani Boga na chwale, jakby w tym czasie, w tym czasie,  
 widząc jej cudy, imponował dawać, jakby w tym czasie,  
 i tedy kukuła, jakby w tym czasie, w tym czasie,  
 jej życie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie.

382 . . . . . (Dwa Dokumenta do historii hr. Anny Orszulki)  
 383 . . . . . (Dwa Dokumenta do historii hr. Anny Orszulki)  
 384 . . . . . (Dwa Dokumenta do historii hr. Anny Orszulki)  
 385 . . . . . (Dwa Dokumenta do historii hr. Anny Orszulki)  
 386 . . . . . (Dwa Dokumenta do historii hr. Anny Orszulki)  
 387 . . . . . (Dwa Dokumenta do historii hr. Anny Orszulki)  
 388 . . . . . (Dwa Dokumenta do historii hr. Anny Orszulki)  
 389 . . . . . (Dwa Dokumenta do historii hr. Anny Orszulki)  
 390 . . . . . (Dwa Dokumenta do historii hr. Anny Orszulki)

# SPIS PRZEDMIOTÓW

**w Tomie drugim Dzwonu Literackiego.**

	Str.
Życie jednej kobiety, obrazek przez Paulinę Z. L. Wilkońską . . . . .	1
Wiadomość historyczna o mieście Bolesławcu W. H. Gawareckiego . . . . .	21
Dwór i Chata, powieść Seweryny z Żochowskich Pruszek . . . . .	47
Pośmiertne Pamiętniki P. de Chateaubriand, przegląd P. Broglie . . . . .	103
Żywot w krótkim rysie ś. p. Księdza Ksawerego Szaniawskiego . . . . .	166
Bibliografia 1622 pisma Wojciecha Gostkowskiego . . . . .	181
Nocna Piosenka, Seweryny z Ż. P. . . . .	214
Djak, obrazek Leona Kunickiego . . . . .	217
Podróż rzemiennym dyszłem, Gawęda Ciotuni, przez Sewerynę z Ż. Pruszek . . . . .	246
Poczye. Uluda, przez Seweryna Kaplińskiego . . . . .	281
Sam, tegoż . . . . .	283

Jaselka w Anglii. . . . .	285
Dwa Dokumenta do życiorysu Hr. Anny Orzelskiej, córki Augusta II króla Polskiego (przekład z oryginalu łacińskiego) . . . . .	327
Poezye. Spojrzanie za siebie S. Kaplińskiego. . . . .	333
Światło spadające, tegoż . . . . .	333
Biały Kamień, tegoż . . . . .	334
Do Nadwiślańskiej topoli . . . . .	336
Wiejska Miłość. Szkic powieściowy p. S. Kaplińskiego	337
Gawęda Ciotuni. Nie mów hop, aż przeskoczysz, Seweryny Pruszek. . . . .	421

w Tomie drugim Dawnym Literackiego.

285	Sam, tegoż . . . . .
281	Poezye. Uroda, przez Seweryna Kaplińskiego.
246	Sewerynę & S. Pruszek . . . . .
217	Podróż przemianami dźwięku, Gawęda Ciotuni; przez Djak, obrazek Leona Kunickiego . . . . .
214	Noona Piosenka, Seweryny & S. P. . . . .
181	Bibliografia 1823 piśmia Wojciecha Gosławskiego . . . . .
166	miawskiego . . . . .
103	Żywot w krótkim rysie & p. Kaspera Kaweręgo Szar- gład P. Broglio . . . . .
47	Posmieszne Pamiętniki Leona Kunickiego, prze- Pruszek . . . . .
21	Dwór i Chata, powieść Seweryny & S. P. z Żochowskich Gawędek . . . . .
1	Wiedomość historyczna o mieście Bolcaławcu W. H. Wilkońskiego . . . . .
84	Życie jednej kobiety, obrazek przez Paulinę & L.









N. P.  
548  
1853